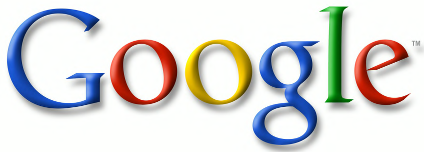






DWUTYGODNIK

LITERACKI.

DWUTYGODNIK
LITERACKI

POD REDAKCYĄ

WALERYANA KUROWSKIEGO.

Trzeba orać ziemię żyzną z wiarą i nadzieją.
E. W.

TOM I.

W KRAKOWIE
NAKŁADEM JÓZEFA CYPCERA
W DRUKARNI UNIWERSYTETU JAGIELLOŃSKIEGO
1844.

DWUTYGODNIK
LITERACKI.

N. 1. Kraków dnia 1 Kwietnia 1844.

KRAKOWIAK.

Zapomniane skrzypki moje zagrajcie od ucha,
Lasy, wzgórza i doliny zapalcie w nich ducha —
Ducha w nich zapalcie, niechaj brzmią na okół,
A ty myśli moja podlatuj jak sokół!
Już skowronek i jaskółka witają nas wiosną,
Rzućmy ziarna na tę glebę a kłosy wyrosną!

Trzeba orać ziemię żyzną, z wiarą i nadzieją,
Niedbać na to, chociaż kwiecień zaszumi zawieją.
Zaszumi zawieją, lecz jak świéży ranek,
Rozpogodzi niebo, maj, wiosny kochanek.
Daléj razem jak te wołki idźmy krok za krokiem,
Bo gdy zagon uprawiony miło rzucić okiem!

Ty fujarko brzmij po drzewach niech pękają liście,
Wtedy wtórem i las chórem zagra uroczyście,
Uroczyście zagra, jakby przy niedzieli,
Jak piosnka kochanki, serca rozweseli.
A więc skrzypki i fujarko na ojczystéj grzędzie,
Razem grajcie, zgodnie, żwawo, a muzyka będzie!

Żyzna niwa kłosem pływa, kwiateczkami woni,
Tu się bławat patrzy w niebo, polny mak się płoni.
Polny mak się płoni, juści go wstyd ima,
Że błyszczy purpurą, lecz zapachu nie ma,
O! boć darmo, samym blaskiem nic się nie przymili,
Stokroć milsza jest pszenica gdy kłos ciężki schyli!

Daléj skrzypki grajcie hucznie, Wisła dźwięk poniesie,
Na jéj brzegach rosną lasy, słowiki są w lesie.
Słowiki są w lesie, na dzióbkach zanucą,
I całą naturę zbudzą, rozesmucą!
A gdy żniwo już skończymy wtedy na dożynek,
Wszyscy Bogu piosnkę świętą złożym w upominek.

Kraków d. 9 marca 1841 r.

E. W.



HUMORYSTYKA.

§. I. O SOBIE SAMYM.

Ist es nicht möglich zu tadeln ohne zu spotten?.. und zu spotten ohne zu verwunden?.. Müssen Aufklärer den Licht-scheren gleich seyn, die nur dann helle machen, indem sie schneiden?.. Verdriessliche Nothwendigkeit!

Börne.

Czém się to dzieje... dalibóg że nie wiem... ale tyle jest pewna, że przez 40ci lat życia mojego, przeznaczenie, ten kamienny reżysser towarzystwa ludzkiego, wziąwszy mnie sobie znać w awersyą jakąś... na teatrze tego mizernego świata, lub gdyby się komu zdać miało, że za széroki horyzont zakréślam dla méj figury, więc na małym teatrzyku naszego miasta Krakowa, przydzielało mi

zawsze do odegrania role, albo tak trudne, że im podołać nie mogłem; albo też tak niewłaściwe, że je mniéj więcéj grałem zawsze fałszywie... Przekonanie też że w tym wielkim rozdawniku ról na téj ziemi, mam systematycznego i niczém nieubłaganego nieprzyjaciela — przekonanie, które utwierdza każdy nieledwie dzień i godzina, które umacnia każda nowa a dla mnie pominiona sposobność — każda świéża, a zawiedziona nadzieja moja... przekonanie to sprawi zapewne rychło... że mi nareszcie zbrzydnie i powołanie aktora, jakim jest każdy z nas na tym świecie, i teatr nawet, na którym moje role odgrywam.

Bo pytam się wszystkich, którzy mnie czytać będą... albo też czytają... nie jestże to jawne urągowisko zazdrosnego jakiegoś *fatum*, że kiedy wszyscy nieledwie towarzysze młodości mojéj... koledzy szkolni i nieszkolni, puścili się w drogę życia każdy odrazu właściwym dla siebie torem, kiedy każdego z nich los przyjazny ujął, że tak powiem, za rękę od lat dziecinnych, i przeprowadziwszy przez manowce... postawił u żłobu dopisującego na włos rozmiarom jego postaci, żołądka i głowy.... ja tylko jeden... ścieżką, na którą mnie wprowadzono, zaszedłem w jakieś bezdroża... i przez 20 lat z górą, szukam napróżno właściwéj dla siebie mety; szukam daremnie dogodnego dla mnie żłobu...

Pamiętam dobrze, że kiedy mnie w 5tym roku życia mojego (było to ile sobie przypominam w r. 1808) zaniesiono na rękach do ś. Barbary, ażeby przed nieboszczykiem Berskim, dyrektorem téj szkoły, odbyć piérwszy tentamen w życiu, z umiejętności przepisanych dla szkół normalnych krakowskich, szanowny ten pedagog, zdziwiony biegłością moją w katechizmie, zachwycony przytomnością umysłu z jaką rozwięzywałem najtrudniejsze

1.

pensa wydanego przezeń elementarza, rzekł uroczyście,.. kładąc rękę na mojéj głowie, jak niegdyś Laiguille w Brienne o Napoleonie, (z tą tylko różnicą, że Berski mówił po niemiecku), rzekł tedy: „*Der kann's weit bringen!*„ Skutek przekonał—że ś. p. Berski, lubo nauczyciel piérwszéj biegłości w nauce elementarza, w sztuce wróżenia przyszłości był jeszcze studentem;.. bo od ś. Barbary na Floryańską ulicę, nie można powiedzieć, żebym miał zajść bardzo daleko!.. Otóż tedy wracając do tego co powiedziałem o nieprzychylności z jaką mnie los traktuje,.. tego samego dnia i razem nawet ze mną, zdawał examen pan Ignacy... serdeczny mój przyjaciel i w dalszym zawodzie naukowym nieodstępny kollega. Pan Ignacy pod ówczas jeszcze Ignaś... pocił się niesłychanie nad zadanemi mu pytaniami, i rzadko na nie trafnie odpowiadał... W oczach naszego sędziego malowała się wyraźna pogarda dla malca, który w tak łatwych umiejętnościach, jakiemi są katechizm i elementarz, pokazał się być takim nieukiem! Biédny więc Ignaś... zmieszany surowém obliczem poważnego dyrektora, popisał się jak najgorzéj... i ledwie instancyom rodziców i wpływowi wujaszka, podówczas konsyliarza, udało się wyrobić dla niego świadectwo,.. rodzaj *absolutorium* z elementarnego przedsionka nauk, upoważniające małego adepta, aby zasiadł w ławce licealnéj. Zyskał więc pan Ignacy świadectwo z postępkiem „*sehr gering*“ i usprawiedliwił je téż przez 6 lat pobytu swego w gimnazyum. Na naukę bowiem tego, czegośmy drudzy uczyli się w pół godziny, potrzebował pan Ignacy dzień cały... a czasem i nocy dołożył... i jeszcze mimo pracy, ustępować nam zawsze musiał krédy przed tablicą; bo ani nieboszczyk Gaudziński... ani nie odżałowanéj nigdy pamięci Karkoszyński, nie mogli z nim nigdy trafić do końca.

Wprawdzie nie należał Ignaś nigdy do naszych wypraw studenckich, na tych szérokich i śklniących jeziorach jakie pod ówczas oblewały Kraków, zacząwszy od Szewskiéj furtki, aż do Sławkowskiéj bramy; nie latał nigdy ślizgawką;.. nie chodził téż w lecie z nami na majówkę... na rozmiary;.. nie grywał w piłkę na błoniach ani pod Kapucynami;.. i nie należał ani razu do bandy, stale pomiędzy nami uorganizowanéj,.. która, rok w rok peryodycznie, objadała pożyczki i wiśnie w ogrodzie pod młynami do nieboszczyka Kucińskiego należącym, Ignaś, jak mówię nie należał nigdy do żadnéj z tych pustot: bo nie miał czasu,.. bo się uczył, pracował... Ale rzecz dziwna, chociaż się uczył i pracował, umiał zawsze jakoś mniéj od nas... i może téż dla tego właśnie zrobiono go cenzorem szkolnym, i przez całe 6 lat, nie wydarzyło mu się nigdy być zaproszonym do gabinetu p. Prorektora!..

W końcu nareszcie, kiedy wybiła godzina wyswobodzenia naszego ze szkół licealnych, i kiedy ja, dumny zyskaną eminencyą, ruszyłem do Lwowa szukać światła w tamtejszym uniwersytecie, kiedym póżniéj i do warszawskiego zabłądził, p. Ignacy, a raczéj jego rodzice, przestając skromnie na porcyi wiedzy nabytéj przez niego w gimnazyum nowodworskiém, na zyskanéj przez niego *sekundzie...* i wnosząc, słusznie może,.. żeby słaba jego zkąd inąd głowa nie przetrawiła jak należy umysłowéj strawy, jaką dawano w ówczas na salach jagiellońskich, zabastowali dla niego w zawodzie naukowym, i osadzili go w kancellaryi jednego z celniejszych *alias* bogatszych adwokatów.

Patrząc na takie początki nas obu, pytam się wszystkich,.. czy można było przypuścić, że w 10 lat zaledwie potém, będę musiał przed panem Ignacym zdejmować z uszanowaniem czapkę;.. że go znajdę dygnitarzem, ozdo-

bionego honorowym znakiem, rozpiérającego się w urzędowém krześle, tak jak gdyby Krasickiego nigdy nie było na świecie,.. i jakby nie był napisał:

„Że nie dość zasiąść w krześle dużym i wygodnym,
„Trzeba jeszcze coś więcéj!.. być siedzenia godnym!..“

A przecież tak się stało... I niechże tu teraz kto powié, że w przeznaczeniu mojém, nie mam zawistnego sobie nieprzyjaciela... Nie!.. nie podobna mi się obronić téj myśli, i albo los zawziętym jest przeciw mnie oczywiście; albo jest prawdą to, co mi już nie raz na myśl przychodziło, że ja, i mnie podobni, urodziliśmy się na świat albo zawcześnie, albo téż za późno;.. pan Ignacy zaś i jego koledzy, że się na nim zjawili w samę porę!..

Nastały bowiem czasy, w których na ukołysanie wzburzonego i występującego z swych brzegów morza... szukano substancyj.,. zdolnych pohamować rozhukane jego fale... Oliwę więc i wszelkie tłuszcze... lepiące się wszędzie... przenikające wszystko... przeciskające się przez najstalsze ciała... ciężkie a więc do rozruszania trudne... i samą wagą martwości swojéj gniotące życie, i łamiące siłę, uznano właściwemi do zaradzenia złemu. Oliwą téż i tłuszczem oblano powoli świat cały, gdzieniegdzie dodano smoły, a, rzecz cudowna, burza ucichła, ryk zamilkł, i wszystko wróciło w dawne koryta. — Możnaż się więc dziwić, że ja, który od młodości mojéj byłem zawsze chudy, blady, suchy, a zatém palny, nie mógłem się w żaden sposób przydać do nowego preparatu. P. Ignacy zaś który był zawsze rumiany, tłusty i okrągły,.. a zatém ciężki, p. Ignacy, który ciekawością nie zgrzészył nigdy, który żadnéj zasłony nie odważył się w życiu uchylić, i który, mimo teoryi wykładanéj wymownemi usty Karkoszyńskie-

go, wierzy do dziś dnia, że grzmot jest znamieniem gniéwu nieba, a piorun narzędziem jego kary; p. Ignacy powtarzam, chodzące na dwóch nogach sádło,.. użytym został do nowego lekarstwa, z nie małą korzyścią i pacyenta i własną....

Wspomnienie to przywodzi mi na pamięć fenomen, zatrudniający nie dopiéro myśl moję, i na który zwrócić uwagę czytelnika, nie będzie może od rzeczy... Uważałem, że ludziom otyłym zawsze się jakoś lepiéj na świecie wiedzie, aniżeli chudym; i myślę, że zbadanie przyczyn tego szczególnego zjawiska, mogłoby być zadaniem godném analizy, nie jednego z spółczesnych fizyologów. Rzecz nie zawodna, że dobra tusza, w praktyczném życiu, uprzedza na korzyść jéj possesora wszystkich, z którymi tylko possesor ten w jakichkolwiek zostaje stosunkach.— Człowiek otyły, rumiany, budzi mimowolnie od razu jakąś ufność w każdym;.. i choć to rzecz na pozór śmiészna, niemniéj jednakże jest pewna, że brzuch duży i obwisłe podbródki uchodzą w świecie za pewien rodzaj rękojmi, jeżeli nie poczciwości, to przynajmniéj dobroduszności jakiéjś. U płci téż pięknéj, w tysiącznych interesach prawnych lub przemysłowych, przed sądami i w obec wszelkiéj władzy na świecie, dawanym bywa zawsze prym ludziom spasłym lub zaokrąglonym. Niesłyszałem jeszcze kobiéty mającéj otyłego męża, żeby narzekała na stan małżeński. Adwokaci, notaryusze, stręczyciele interessów, faktorzy kupna i sprzedaży, wolą mieć zawsze do czynienia z klientem tłustym, aniżeli z chudym. W sali ustępów sądowych rzadko zobaczysz figurę, któréjby linije cyrkumwallacyjne przechodziły miarę, przepisaną naturalnemu stanowi człowieka przez dowcipnego Legouvé; a jeżeli się nawet zjawi niekiedy, sto można stawić naprzeciw je-

dnemu, że ma sprawę jaśniejszą od słońca, i że z wyrokiem pomyślnym w kieszeni, pożegna izby sądowe. Rządy nareszcie, sprawujące swą władzę nad poddanemi cyrcumferencyi mniéj więcéj do Falstaffa podobnéj, mogą spać spokojnie, i z politowaniem spoglądać na sąsiadów, których poddanym robi frak krawiec z 2ch łokci; bo historya, najlepszy świadek podobnych rzeczy na świecie, uczy nas wymownie, że Alby dopiéro potrzeba było, żeby rozruszać spasłych Hollendrów. Lecz nie tu koniec dowodów, jakieby się stawić dały na stwierdzenie prawdy założenia mojego. W zgromadzeniach publicznych, w obradach sejmowych, w parlamentach, ludzie otyli, są i będą... zawsze i wszędzie, obrońcami zasad konserwacyjnych, i nie zobaczysz nigdzie oppozycyi złożonéj z ludzi innych jak tylko chudych, cienkich i wymokłych.—Fox i Canning niegdyś, Roebuk, Schiel i Oconnel dzisiaj, koryfeowie oppozycyi angielskiéj, téj *nota bene*, która nigdy, albo bardzo rzadko i to na krótko, przychodzi do władzy,.. byli i są ludzie szczupluchni, o cienkich nogach i zapadłych policzkach; a panów Thiers, Dupont de l'Eure i Odillona Barrot... możnaby, że tak powiem, przewléc przez ucho od igły. Dzisiejszy lord Brougham, słynny niegdyś obrońca królowéj Karoliny,.. był chudym kiedy jéj bronił; i natychmiast jak tylko dostał brzucha, zrobiono go lordem i przeniesiono do Izby wyższéj angielskiéj.

Apropos Izby wyższéj, kiedy mi już o niéj mówić wypadło! Przypominam sobie, że w czasie bytności mojéj w Paryżu w r. 1835, dzięki uprzejmości księcia Décazes, referendarza podówczas Izby parów, udało mi się dostać bilet wejścia na jedno z jéj posiedzeń w Luxemburgu, i to bilet do trybuny jéj prezydenta P. Pasquier... Izba parów funkcyonowała podówczas jako trybunał najwyższy

w sprawie fakcyonistów liońskich, — i na posiedzeniu na którém byłem obecny, miał być właśnie ferowany wyrok przeciw obwinionym. Ścisk ludzi był niesłychany, trybuny wszystkie pełne, sala zaś na dole jeszcze pusta, bo szanowni członkowie tego poważnego zgromadzenia, obradowali w sali ustępowéj, a panującéj tam ciszy nie przerywały nawet stąpania licznych sług sądowych *(huissiers)*, którzy w stroju urzędowym, w pończochach i trzewikach, przechodzili się z powagą po wysłanéj kobiercem podłodze. Wyznam, żem był nie pomału ciekawy ujrzeć siedzące na trybunale tak dojrzałe ciało polityczne, i poznać zewnętrzną jego fizyonomiją,.. chociaż nie spodziewałem się nigdy, żeby fizyonomija ta, miała tak mało odpowiedziéć powziętém o niéj wyobrażeniom moim. — Kiedy bowiem, po dosyć długiém oczekiwaniu, jeden z owych woźnych otworzył drzwi średnie amfiteatru na oścież, i głosem donośnym zawołał: „*Messieurs! la haute Cour!*" stopnie jego zaczęły zaludniać postacie... godne prawdziwie ideałów w obrazach Rubensa. Po jednemu... po dwóch... po trzech... a wszystko z powagą i powoli... to w sile wieku, to znów srebrną okryci siwizną... oparci albo na laskach, lub téż na ramionach usłużnych woźnych, pokazywali się na wzniesionéj widowni, zielonym obitéj dywanem, poważni członkowie najwyższego politycznego areopagu Francyi!.. Nie wiem dla czego, ale ich widok pomimo otaczającéj ich uroczystéj pompy, nie bardzo korzystne uczynił na mnie wrażenie. Patrzałem na te massy ciała, przesuwające się po pod memi oczyma i tonące kolejno w obszernych pluszowych fotelach, z pewnym rodzajem zadziwienia; bom nie mógł pojąć, żeby magistratura złożona z członków, wegetujących zaledwie, mogła się na co przydać, a tém więcéj mogła funkcyonować z jakąśkolwiek korzyścią,

w organizmie ciała takiego, jakiém jest i powinien być rząd w każdym kraju, — ciała, którego zdrowia najpiérwszym warunkiem musi być, i jest wszędzie, pełnia życia i siły. Oprócz jednego p. Montalembert, nie widziałem ani jednego para, o którymby można powiedziéć, że waży mniéj jak 2 cetnary, i patrząc się dopiéro własnemi oczyma na tę Izbę, o któréj istnienie przed trzema laty, tak żwawe toczono spory, zrozumiałem słowa P. Guizot, który wtedy powiedział o niéj: „*La chambre des Pairs, messieurs, est une portion du Roi,* i znaczenie wyrazów p. Perrier kiedy ją nazwał— „*le contre poids du mouvement demesuré.*“— Myślę nawet, że Perrier trafniéj skreślił charakter tego zgromadzenia,.. gdy nie podobna zaprzeczyć, że waga *takiemi obłożona gwichtami,* zdolna jest odpowiedziéć przeznaczeniu swemu w całém znaczeniu tego słowa i może przeciw-ważyć wszystko, co tylko przeciw-ważyć potrzeba.

Już więc sam skład fizyczny *du pouvoir moderateur* we Francyi naprzykład, przemawia za prawdą tego wniosku: że dobra tusza w życiu nawet publiczném, i w obec wszelkiéj zwierzchniéj władzy, jest pewnym rodzajem moralnéj kaucyi, budzącéj ufność i uspasabiającéj tę władzę do wydzielenia jéj znamienitych funkcyj w organizmie publicznym, funkcyj jakiemi są naprzykład: miarkowanie wydzierającego się naprzód zapału, lub hamowanie niewczesnych rozpędów burzliwéj wyobraźni, ambicyi, lub innych szkodliwych namiętności: i przeciwnie, że *nous autres* na cienkich nogach, lżejszéj nieco wagi śmiertelnicy, stronnicy prawie wszędzie mniemań sprzecznych z powszechnie przyjętemi i kurs momentalny mającemi, nie możemy sobie rościć prawa do zaufania władzy, nie posiadamy go w istocie nigdzie i musimy poprzestać na pozostaniu w głębi

téj sceny, na któréj okrąglejsi bracia nasi tak znamienite i korzystne odgrywają role. — Historya nawet małego naszego kraju, a nastręcza nam przecie dowodu, że spostrzeżenia moje nie są bezzasadne. Ś. p. Jakub Czerniński, głowa oppozycyi na sejmach niegdy krakowskich, był także chudy, jak każdy z nas pamięta. Że zaś najwięksi nawet sternicy przeznaczeń ludzkich z niechęcią tylko patrzyli na ludzi chudych i wywiędłych, starożytne, równie jak i nowsze dzieje, tysiąc nam stawiają przykładów. Cezar obawiał się Kassyusza dla tego tylko, że był chudy, i przeciwnie sprzyjał Antoniuszowi dla tego, że Antoniusz był ciężki i otyły. — Napoleon miał zawsze jakąś awersyą przeciw jenerałom Moreau i Bernadotte, którzy jak wiadomo, nie mieli na sobie nigdy zbyt wiele ciała, a lubił znów jenerała Caulaincourt dla tego, jak sam powiada, że to był poczciwy tłuścioch. Cerwantes mawiał zawsze, że nie było i nigdy nie będzie na świecie demagogów z tłustemi brzuchami i obwisłemi podbródkami. I trzeba oddać sprawiedliwość Cerwantesowi, że miał słuszność; bo jak powszechnie wiadomo, Marat i Robespierre byli chudzi niesłychanie. Do podobnie pomyślnych wniosków, na korzyść *tuszy*, prowadzi nas i rozbiór fizyologiczny nie tylko ludzi ale i innych ciał, jak np. książek. — W wielkiém księstwie Badeńskiém, książka o 20tu arkuszach druku wolną jest od cenzury; a wszystkie cieńsze, chudsze pisma, książki i broszury, poddane jéj są bezwarunkowo. Nie jestże to najlepszym dowodem, że tusza znaleziona gdziekolwiek, budzi zawsze ufność i uchodzi na całym świecie za rękojmią prawych chęci, w otyłych rzeczach i ludziach!?

(Dokończenie nastąpi).

WSPOMNIENIA.

JÓZEF KANTY NEPOMUCEN BOGUCICKI

NAPISAŁ

JÓZEF MUCZKOWSKI.

Jeszcze w piérwszéj połowie zeszłego stulecia, w okolicy teraz z uzdrawiających wód słynnego Buska, niegdyś w województwie sandomierskiém położonego, w wiosce parafialnym kościołem ozdobionéj, osiadł był na karczmie starozakonny Lewek Berkowicz i w niéj się arendą bawił. Czworo dziatek, to jest trzech synów i jedna córka, było nie licznóm jego potomstwem. Czyto wieloletnie wśród chrześciańskich zagród przemieszkiwanie, czyli téż, co podobniejsza do prawdy, ciągłe namowy osób, do których Lewka jego zatrudnienie zbliżało, tak silnie na jego umysł z czasem wpłynęły, iż tenże najgoręcéj zapragnął przejść na łono kościoła katolickiego. Tą myślą wiedziony w podeszłym wieku, bo około 60 lat liczący L. przybył do Krakowa, gdzie w kościele archiprezbiterialnym N. Maryi Panny przez ówczesnego archiprezbitera ks. Jacka Łopackiego, w dniu 16tym grudnia 1757 roku, do grona prawowiernych pod imionami Antoniego Wincentego Ferraryusza został przypuszczony; przy czém mu Jan Pusszet, starosta duninowski, tudzież Maryanna Wielopolska, wojewodzina sandomiérska, usługę religijną świadczyli.

Zaledwie sześć tygodni ubiegło od czasu kiedy nasz Antoni wodą zbawienia był oczyszczony, aliści nowy ten nauki Chrystusowéj zwolennik, w dniu 27mym stycznia 1758 roku do świątyni Pańskiéj, w któréj sam niedawno

ś. chrzest był przyjął, przywiódł swych dwóch synaczków, cztérnastoletniego Wolfa i w dziesiątéj wiośnie życia będącego Izraela, z tém gorącém życzeniem, żeby i oni uczestnikami zbawienia stać się mogli. Tu młodzi Lewkowiczowie, których Ignacy Scypio, starosta lidzki, tudzież wspomniana wyżéj Maryanna Wielopolska, do chrztu trzymali, do kościoła Chrystusowego przez archiprezbitera Łopackiego przyjęci zostali; przy czém starszy z nich Stanisława, młodszy zaś Józefa imię na chrzcie otrzymał ([1]). Odtąd tak ojciec jak i ochrzczeni dwaj synowie od rodzinnéj wioski Bogucic, w któréj tamten późniéj życie zakończył, Bogucickimi nazywać się zaczęli. Matka ich dopiéro w roku następnym (1759) w dniu 22 stycznia w téjże saméj co i oni świątyni ochrzczoną została. Ale trzeci brat Mardke (Mardehej, Marek) w wierze swych przodków pozostał, i w niéj w Pinczowie, zostawiwszy potomstwo, w r. 1798 życia dokonał; gdzie téż i starsza od ochrzczonych Bogucickich siostra Katarzyna, niegdyś Brandle zwana, która późniéj niż bracia w Busku religią katolicką przyjęła była, w r. 1793 z tego zeszła świata, zostawiwszy z piérwszego męża Sadkowskiego obojéj płci potomstwo.

Taki jest rodowód Józefa Bogucickiego, męża głębokiéj i rozległéj nauki, niezrównanéj o dobro powszechne gorliwości oraz rzadkich przymiotów duszy i serca, które w swych pismach, testamencie i pięknéj przez siebie uczynionéj fundacyi uwiecznił.

([1]) Na wydanych późniéj przez B. pisemkach prócz imienia Józefa i dwa inne to jest Kantego i Nepomucena zwykle dodawane znajdujemy, lubo według metryki tylko piérwsze na chrzcie był otrzymał.

W jedynastym roku życia swego (1759) Bogucicki wraz z starszym bratem Stanisławem ([2]), do szkół krakowskich oddany, z tak wielkim pożytkiem przepędził czas ku nabyciu początkowych nauk przeznaczony, że już w r. 1764 d. 25 maja nauk wyzwolonych i filozofii bakałarza stopień otrzymał. Dobre obyczaje, wzorowa pilność, nieposlednim zdolnościom wyrównywająca, połączone z miłą i ujmującą powiérzchownością dobrego młodzieńca, tak dalece zjednały mu względy u jego przełożonych, iż ośmnastoletniemu Bogucickiemu zarząd szkoły ś. Szczepana czyli seniorstwo w niéj Uniwersytet powierzył.

Młody nasz nauczyciel, pomimo wielkiéj od tak ważnego powołania nieoddzielnéj pracy, nie tylko, że, mając już mniejsze święcenia, na kurs teologii w tym czasie najpilniéj uczęszczał; ale téż przez swoję rzadką i w późniejszym wieku podziwianą w sobie pracowitość oraz nie

([2]) Stanisław Bogucicki po nabyciu potrzebnych do stanu duchownego nauk, powołanie pasterskie za najwyższy kres życia swego zamierzył i późniéj jako komendarz w Chorzęcinie na chwałę Bożą pracował.

([3]) *Cultus Duliae B. Isaiae Bonerio S. Th. D. Ord. Erem. S. Aug. Provin. Polonae Convent. Crac. ad aedes S. Catharinae Virg. et Martyris exhibitus per dedicationem Thesium Theologicarum disputationis publicae in Alma Universitate Cracov. defendente Conclusiones Excel. Dno. M. Josepho Bogucicki Ph. D. Scholae S. Steph. Seniore. Sub assistentia M. Stanislai Patelski S. Th. Prof. Collegae majoris etc. Anno Dni 1767 mense Martio. 4. Fol. v.* wizerunek Izaiasza z podpisem *Sc. Elev. Crac.* Dedykacyi do B. Izaiasza Bonera przez Bogucickiego uczynionéj 2½ k. Tu wprost do Izaiasza mówi i znowu jego życie jako trzeciéj osoby opisuje. Po tém następuje *Synopsis vitae B. Isaiae Boner S. Th. Doct. Cracoviensis Poloni* 4½ k. Kończą pismo *Conclusiones*.

zrażające się trudnościami zamiłowanie nauk, tyle dokazał, iż w r. 1767 dnia 23 stycznia mistrzem nauk wyzwolonych i filozofii doktorem został uczyniony. W tym téż roku odprawił dwie teologiczne dysputy, jednę w miesiącu marcu, w któréj popiérał naukę o czci świętych i modleniu się do nich (3); w drugiéj zaś, w dniu 5 listopada odbytéj, bronił konkluzyj z teologii moralnéj według zasad Tomasza świętego (4). We dwa lata późniéj to jest w r. 1769 d. 5 marca jako alumn akademicko-dyecezalnego seminaryum oraz kaznodziejskiéj wymowy już od roku professor, przewodniczył swym uczniom podczas gdy ci w wymowie kaznadziejskiéj publiczne odprawiali ćwiczenia. (5).

Atoli Bogucicki nie samą tylko teologią wyłącznie się zajmował. Obdarzony bowiem od natury bystrém pojęciem, z łatwością ogarniał on cały obszar nauk i wzajemne ich związki i wpływy przenikliwie odgadywał. Dla tego téż młody ten nauk miłośnik lubo sobie w teologii szczególniéj ulubił, jednakże i innych nie zaniedbywał nauk: zwłaszcza tych, które z nią w ściślejszym będąc związku, nabyte w niéj wiadomości rozjaśniają, utwierdzają i rozszérzają.

(4) *Conclusiones theologicae ex cursu morali menti D. Thomae Angelici et Eccls. Doct. conformes. Crac. typ. Acad. Coll. maj. 4.*

(5) *Exercitatio scholastica ex praeceptis Sacrae Rhetorices et praecipue de genere concionandi morali concinnata atque per eximios eiusdem sacrae lectionis auditores sub assistentia M. Jos. Cantii Nepomuceni Bogucicki AA. LL. et Phiae Doct. Seminarii academico-dioecesani alumni ac interea Sacrae Rhetorices professoris, in Collegio majori Universitatis Cracovien. die 8tia mensis Martii A. D. 1769 publice demonstrata. 8.*

Tento wzgląd na wzajemne skojarzenie nauk był mu pochopem, że mimo zatrudnienia do seniorstwa szkoły przywiązane, już jako filozofii doktor i zewnętrzny professor, na lekcye prawa pilnie i z taką korzyścią uczęszczał, że w r. 1771, jako bakałarz prawa podczas poniedziałkowéj wydziału prawnego dysputy d. 28 lutego, ośmiu kwestyj tyczących się przysięgi bronił (6). Jasne tłumaczenie się i gruntowne zbijanie zdań przeciwników, utorowało umiejętnemu szermierzowi drogę do seniorstwa bursy prawnéj, którém go w dniu 26 czerwca t. r. Uniwersytet zaszczycił.

Usilne Bogucickiego do nauk przykładanie się, które najpiękniejsze o nim rokowało nadzieje, skłoniło Uniwersytet, że proszącemu o pozwolenie wyjechania do Rzymu w celu nauczenia się języka greckiego, nie tylko takowe w dniu 21 lipca 1773 r. najchętniéj udzielił; ale téż w dowód uznania jego pilności i położonych przy Uniwersytecie zasług, już podówczas proboszczem w Macharzu będącemu, miejsce w swém gronie zapewnił, postanowiwszy, żeby przez czas swéj naukowéj podróży, za czynnego professora był uważany.

Jeszcze dwa lata spełna nie ubiegły od czasu jak Bogucicki otrzymał od Uniwersytetu wolność udania się za granicę, aliści już w dniu 28 kwietnia 1775go roku, po uzyskaniu w dniu 17 kwietnia t. r. od Piusa VI, papiéża, przypuszczenia do rzymskiego kollegium zakonu kaznodziejskiego, skoro odbył ścisły examen w témże kollegium przed wysadzonymi ku temu celowi mężami, przez tajemne głosowanie za godnego wieńca doktora ś. teologii jednomyślnie uznany i uroczyście ozdobiony nim został (7).

(6) *Continuatio controversarum quaestionum juris ad disputandum expositarum. 1771. 4.*

(7) *R. P. Mag. Fr. Ludovicus Cebrian, Collegii S. Thomae de*

Z okwitym nauk plonem wrócił do kraju Bogucicki i w r. 1778 jako professor zwyczajny, tytułem członka literatów warszawskich zaszczycony ([8]), zajął miejsce w kollegium mniejszém, które Uniwersytet jeszcze w r. 1774 bawiącemu za granicą życzliwie był przeznaczył i zachował. Uzyskanie w tym samym czasie plebaństwa w Igołomii, do którego przez kollatorkę Humiecką, wdowę po stolniku koronnym, Uniwersytetowi był przedstawiony i usilnie zalecony, było dla niego nową pobudką do gorliwego pracowania w winnicy Chrystusowéj i około rozkrzewienia w narodzie oświaty, którą za węgielny kamień pomyślności krajowéj zwykł był uważać.

Zaprowadzona w dniu 29 września 1780 roku, jako w uroczystość imienin Michała księcia Poniatowskiego, prymasa królestwa i szczególniejszego Uniwersytetu dobroczyńcy i opiekuna, nowa szkoły Jagiellońskiéj reforma, wywiodła Boguckiego na rozleglejsze działania naukowego pole. Nie tylko bowiem że w tym roku miał so-

Urbe Regens et Praefectus, praemissa solemni fidei professione, praestitoque juramento de sectanda angelica S. Thomae Aquinatis doctrina, eundem promovit, adscripsit et incorporavit per annuli traditionem impositionemque bireti. Z dyplomu promocyi.

([8]) Cobyto było za towarzystwo literatów warszawskich trudno teraz oznaczyć. Wszakże Bentkowski w swojéj Histor. lit. pol. t. I. str. 134, przed trzydziestą lat o niém wspominający, pomimo, iż bliższy był owych czasów i przy źródle mieszkał, zaspokajającéj nawet wiadomości nie mógł o niém zasięgnąć. Nie uzasadnioném jednak zdaje się być jego twierdzenie, jakoby to towarzystwo nie długo trwać miało; boć od r. 1766, który przywodzi, do 1780 r. w którym między Boguckiego zaszczytami i ten wspomniany znajduję, 24 lat upłynęło.

bie powierzony stér szkół wydziałowych krakowskich, których rektorem został mianowany; ale téż jako professor historyi kościelnéj umieszczony w kollegium teologicznêm i sekretarstwo w niém sprawował (⁹). Oceniając usposobienie Bogucickiego wizytator Uniwersytetu i jego reformator Hugo Kołłątaj, mimo ważności już powierzonych mu dwóch urzędów, któreby same dostateczne były do zupełnego zajęcia człowieka mniejsze niż Bogucicki posiadającego zdolności, w tymże czasie powołał go na sekretarza Szkoły głównéj, któréj uroczyste otwarcie uświetnił mąż ten pięknie powiedzianą mową łacińską drukiem ogłoszoną. A kiedy na przełożenie Kołłątaja, Kommissya Edukacyjna swojém postanowieniem z dnia 17 czerwca 1782 roku wizytatorowi Szkoły głównéj ośmiu professorów przydała do pomocy przy dokończeniu reformy, jako téż dla wprawienia tychże osób zgromadzenie Uniwersytetu składających w zupełne poznanie interesów stanu akademickiego i zamiarów, jakie sobie w urządzeniu edukacyi publicznéj założyła, i Bogucickiego téż w ich liczbie umieszczono.

Tyle i tak rozlicznych zatrudnień nie mógł Bogucicki bez uszczerbku dobra powszechnego na długo połączyć z nader ważném powołaniem gimnazyalnego rek-

(⁹) Z okoliczności posunięcia się Bogucickiego na katedrę w kollegium teologiczném, jakiś niewiadomy w liście z Krakowa do Warszawy d. 2go października 1782 r. pisanym, którego dwie kopie czytać mi się zdarzyło, donosząc swemu, z nazwiska tu nieoznaczonemu, przyjacielowi o reformie Szkoły głównéj i o zatrudnieniach jakie w niéj dawnym professorom wskazano, to zaszczytne o Bogucickim napisał zdanie: „Rektor wydziałowy historyi kościelnéj dawać będzie. Z tym Bóg cud uczynił, i on korresponduje łasce Boga.“

tora. Wszakże, potrzeba pilnego czuwania nad szkołami w których zaprowadzona przed kilką lat (1777) reforma nie najlepiéj trafiała do smaku według innych pojęć usposobionym professorom, wymagała szczególnego poświęcenia się temu zawodowi. Skoro więc Bogucicki kilkoletniém doświadczeniem utwierdził się w przekonaniu, że mimo największą usilność wszystkiemu podołać nie może; nie długo się namyślał, którąby z tyłu posad opuścić mu wypadało. Jakoż przejęty ważnością obowiązków rektora szkoły, którego gruntowna nauka, gorliwość, tudzież ujmujące z nauczycielami, a prawdziwie ojcowskie z młodzieżą obejście się, do utrzymania, nie owéj surowéj najpospoliciéj chybiającéj celu karności, ale do chwalebnéj z obopólnego przywiązania wynikłéj uległości uczniów, do wzbudzenia w nich zamiłowania do nauk i do ożywiania najpotrzebniejszéj w nauczycielach gorliwości i wytrwałości najdzielniéj się przyczyniać mogą i powinny; skoro się przekonał, iż tak ważny urząd z innemi pogodzić się nie da, już w r. 1782 d. 30 września, idąc za natchnieniem miłości dobra powszechnego, złożył korzystne sekretarstwo Uniwersytetu, aby się bezpłatnemu powołaniu rektora tym gorliwiéj mógł poświęcić ([10]).

Ale Bogucicki tylko przez trzy lata mógł się zajmować szkołą, do któréj go wdzięczność jako dawnego jéj wychowańca szczególniéj przywięzywała. Kiedy bowiem w skutek zaprowadzonéj nauk reformy Kommissya Edu-

([10]) Bogucicki prócz plebanii w Macharzu i Igołomii, jako prof. historyi kościelnéj brał pensyi 5000 Złp. jako kanonik kollegiaty ś. Anny należał do podziału dochodów kollegiaty, jako sekretarz Collegii theollogici złp. 1000 jako sekretarz Uniwersytetu 2000 złp. pobiérał. Protokół obrad Szkoły głównéj r. 1780 str. 15.

kacyjna Uniwersytetowi krakowskiemu w Koronie, a wileńskiemu w W. Księstwie Litewskiém stér naukowy i najbliższy nadzór nad szkołami poruczyła, i z tego względu te dwa Uniwersytety odtąd Szkołami głównemi nazywać kazała, Szkoła główna koronna przekonana, iż, przy braku należycie usposobionych nauczycieli szkolnych, trafny wybór wizytatorów, którzyby swą nauką i doświadczeniem mniéj usposobionych młodzi przewodników oświécali i wspiérali, najwięcéj na podźwignienie edukacyi narodowéj wpłynąć zdoła, zaszczytnie w tym względzie znanego Bogucickiego, w dniu 27 października 1783 r. na wizytatora jednomyślnie wybrała i najprzód go do wielkopolskiéj, a następnie w roku 1785 i do małopolskiéj prowincyi na wizytę wysłała. Jak chlubnie nowy wizytator odpowiedział położonemu w sobie zaufaniu, świadczą nie tylko rapporta, które o zakładach przez siebie niekiedy o własnym koszcie zwiedzanych ([11]), przed zebraną Szkołą główną był poczynił; ale téż i owe liczne pochwalne wiérsze, które i młódź i nauczyciele szkolni na cześć jego pisali, uwielbiając w nim obok rozległéj nauki, rzadką o dobro edukacyi gorliwość, oraz to ujmujące ze wszystkimi obejście się, którém zarówno i młodzieży i nauczycieli serca do siebie przygarniał, i do usilności i wytrwałości zagrzéwał. Z kilku pochwał tego rodzaju, które szczęśliwe zdarzenie podało mi w ręce, ze względu na piszącego, szczególniéj zasługuje na uwagę oda Franciszka Xaw. Dmochowskie-

([11]) Szkoła główna na swém posiedzeniu d. 15 listopada 1785 r. uchwaliła, że poniesione przez Bogucickiego koszta wizyty 500 złp. wynoszące, mają mu być wypłacone aż na końcu b. r. szkolnego, po opłaconych wszystkich Szkoły głównéj wydatkach, i przy pokazanym remanencie szkolnego roku. Protokół N. 4. str. 378.

go (12), w któréj poczynający naukowy i nauczycielski zawód ten znakomity tłumacz Homera, między innemi w te się do Bogucickiego odzywa słowa:

Mężu, którego kocham, wielbię cnoty,
Twój rozum niech mi będzie przewodnikiem.
Ty mi do pracy dodajesz ochoty,
Krasząc ją słodkich względów Twoich likiem.

Ty na nas Twojém łaskawém wejrzeniem,
Dajesz skuteczne do nauk pobudki.
Ileś mię nowym zapalił płomieniem,
Pokażą dalsze oczywiście skutki.

Na Twoje względy zarabiać się kuszę,
Twojéj mądrości hołdować na wieki.
Tchnę i tchnąć będę miłością Twéj dusze,
Aż do zamknięcia śmiertelnéj powieki.

Obok nauczycielskich zatrudnień i wizytatorstwa, które Bogucicki sprawował przez dwa lata z chlubą dla siebie a dla nauk z pożytkiem, musiał on w tym czasie i inne załatwiać czynności, do których go powszechne zaufanie wielokrotnie powoływało. Pomijając tu wiele drobniejszych, lubo mimo to ważnych, nie można tego przemilczéć, iż jeszcze w roku 1784 w dniu 16tym grudnia Szkoła główna uznawszy potrzebę katedry literatury, postanowiła, żeby do jéj wykładu na miejsce historyi kościelnéj wezwać Bogucickiego, który na tém samém posiedzeniu zgromadze-

(12) W r. 1784 w czasie czynionéj przez Bogucickiego wizyty, 22letni Dmochowski był nauczycielem w szkołach radomskich pod zarządem Piarów zostających.

nie upraszał o pośrednictwo do Kommissyi Edukacyjnéj, by mu logikę za lekcyą przydatkową kandydatom tak długo wykładać dozwoliła, dopókiby książki elementarnéj téj nauki drukiem nie ogłoszono.

Rok 1787 pamiętny w dziejach miasta i Uniwersytetu naszego, iż w nim, od 23ch lat panujący król Stanisław August, po raz piérwszy zwiedził dawną Jagiełłów stolicę, w życiu Bogucickiego nader smutną stanowi epokę; bo odtąd zaczęły się jego ciągłe prześladowania, które mu resztę życia zatruły. Nim atoli o nich mówić nam przyjdzie, związek rzeczy wymaga, żebyśmy o królewskiém w Krakowie bawieniu, choć w kilku słowach wspomnieli.

Okrzyki ludu krakowskiego, upojonego radością z oglądania Króla w murach wawelskiego grodu, gdzie już od pół wieku grobowa cisza była zasiadła, tudzież nie odłączne od tak uroczystych zdarzeń zabawy i uczty, nie wstrzymały w Królu, nauk czcicielu, chęci okazania swéj ojcowskiéj troskliwości około dobra Szkoły głównéj koronnéj, która przed cztérema wieki przez jego poprzednika Jagiełłę wspaniale wzniesiona, po kolejach świetności i upadku, nakoniec za jego staraniem z umysłowego otrętwienia ocucona, nowym blaskiem jaśniéć i błogą oświatę w kraju rozniecać zaczęła. Wszakże dostojny Monarcha, nie tylko że nazajutrz po swém do Krakowa przybyciu, to jest w dniu 17tym czerwca zaraz po Województwie krakowskiém publiczne dał posłuchanie Szkole głównéj w akademickie ubiory przybranéj, od któréj przez jéj rektora Felixa Oraczewskiego był witany ([13]); ale téż

([13]) Powitanie to wraz z królewską odpowiedzią wyszło najprzód w 2 ark. in fol., a późniéj w Dyaryuszu przyjazdu króla Stanisława Augusta do Krakowa w t. r. wydanym na str. 24—32 umieszczone zostało.

w sposób dla niéj zaszczytny najłaskawiéj z tronu odpowiadając i oddając jéj swoję królewską dziękę, iż jak się wyraził, tém się jedynie zatrudnia, co naród oświécać, ulepszyć i wsławić może, mowę swą temi pamiętnemi zakończył słowy: *„Przystąpcie do mnie, podaję wam rękę na znak i zadatek najskłonniejszego affektu i szacunku mego“*. Te wyrazy Króla, nauk miłośnika, późniéj nieraz żałosne w sercach akademików wzbudzały wspomnienia, kiedy im z zaszczytną, dla siebie niegdyś uprzejmością królewską przychodziło porównywać owo lekceważenie siebie w słowach i obejściu się, jakiego w czasach następnych wielokrotnie doświadczali od nieznających ważności nauk; a tém samém i poświęcających się im osób cenić nie umiejących.

(Dokończenie nastąpi).

OPIS
DWÓCH RZADKICH MEDALI POLSKICH.

Wiadomo jest, iż dwóch bywało w Polsce podskarbich, jeden koronny, drugi litewski, którym, dla różnicy od pod skarbich nadwornych królewskich, tytuł *wielkich* dodawano. Do obowiązków tych ministrów należał szczególniéj zarząd mennic, dla tego na monetach tak koronnych jako i litewskich, widzimy herby ich umieszczone, a niekiedy i cyfry. Prócz tego był zwyczaj wybijania medala na pamiątkę podskarbiego. Taki medal zwykle wyrażał imię, nazwisko, godność i herb, a czasem myśl ściągającą się do jego osoby lub urzędu. Szereg podskarbich wielkich wymienia Bandtkie na wstępie swojéj numizmatyki, lecz z medali ich pamięci poświęconych cztéry tylko dotąd znajdujemy opisane w dziełach Bentkowskiego i Ra-

czyńskiego: mianowicie, jeden dla Jana Firleja, dwa dla Jędrzeja Morsztyna i jeden dla Jana Chlebowicza; dwaj inni bowiem, Jan Lubomirski i Stanisław Miłoszewski, uczczeni także medalami w dziełach wspomnionych opisanemi, byli podskarbiemi nadwornemi.

Na medalu miedzianym, którego tu rysy załączamy, jeden cal i dwie linije w średnicy miary nowéj polskiéj mającym dotąd nigdzie nieopisanym, przedstawia:

Str. gł. Herb Przegonią zwany, to jest na tarczy miecz ostrzem na dół stojący, wedle którego dwa półksiężyce, rogami ku bokom tarczy położone. Nad hełmem smok do połowy widzialny, w prawą obrócony (w lewą względem patrzącego na medal) z skrzydłem w górę wzniesioném i stérczącą łapą. Z jego otwartéj paszczy, wśród płomieni, wystrzéla podobnyż miecz z półksiężycami. Hełm i tarcza przystrojone są po bokach w ozdobne liście. Wokoło między sznureczkiem i wieńcem napis: IOANES (sic.) * DULSKI * * CASTEL * COLMEN (Castellanus Colmensis) to jest Jan Dulski kasztelan chełmiński.

Str. odwr. W kwadratowéj ramce, któréj boki ozdobione floresami podobnie jak na holenderskich dukatach, ośm równych wiérszy dopełnia powyższy napis, w wyrazach:

REGNI . POLONI
TERRARVMQ
PRVSSIAE . THES
AVRARIVS . BRAN
ROGENH . SVRA
SI. SVECIAE. EC.
CAPITANEI (sic.)
. 1 . 5 * 8 . 5.

(regni Poloniae, terrarumque Prussiae thesaurarius, Branscensis, Rogenhausensis, Surasiensis, Sveciae. etc. capitaneus

1.


IOANES DVLSKI


REGNI·POLONI
TERRARVMQ
PRVSSIÆ·THES
AVRARIVS·BRAN
ROGENS·SVRA
ZI SVECIÆ·EC
CAPITANEI
·1·5 · 8·5·

2.





1585): to jest, Królestwa Polskiego i ziem Pruskich podskarbi, Brański, Rogoziński, Surazki, Świecki i t. d. starosta (*).

Monety polskie za króla Stefana bite od roku 1581, i za Zygmunta III do roku 1589, noszą na sobie herb Dulskiego. W tym jednak przeciągu czasu zdarzają się niektóre z odmiennemi znamionami: i tak n. p. talar koronny z roku 1585 przez Bandkiego pod liczbą 178, jako téż i dukat koronny z 1586 r. pod liczbą 720 opisane, mają na sobie strzałę z podwójnym krzyżem czyli herb Lis zwany, Jędrzeja Sapiehy, podskarbiego litewskiego; trojak zaś koronny z r. 1586 pod liczbą 722 wyrażony w rzeczonéj numizmatyce, nie tylko herbem Głaubicz (ryba) Jakuba Rokossowskiego, który był Dulskiego poprzednikiem, ale téż i cyfrą jego I. R. jest oznaczony. Wyjaśnienie tego spostrzeżenia zostawiamy bieglejszym numizmatykom.

Drugi medal na dołączonéj rycinie przedstawiony, jeden cal i 5 linij w średnicy mający, a blizko ćwierć cala gruby, wyrobiony z szarego marmuru, wyobraża na

Str. gł. Popiersie męzkie w prawą stronę obrócone. Piers i ramię odziane są zbroją, przystrojoną w liściowe ozdoby. Na głowie prosty szyszak z przyłbicą, w któréj broda schowana; w około napis: PRVDENCZY MYSLIKO............AWY; a pod ramieniem AETA: 48 (aetatis 48) to jest w 48 roku życia. Samym brzegiem idzie wązka opaska, jak gdyby z drobnych ostrych listeczków złożona.

Str. odwr. Herbowa tarcza poprzecznie przedzielona. Wiérzchnią jéj połowę zajmuje szachownica ukośna, dolna

(*) *Brańsk* i *Suraż* miasta w podlaskiém, *Rogoźno* (Rogenhausen) m. w chełmińskiém wojew., drugie zaś po łacinie *Rosna* zwane w poznańskiém; *Świecie* (Schwetz) m. w województwie pomorskiém nad Wisłą położone.

ma próżne pole. Nad tarczą hełm, z którego w górę dwie trąby nakształt słoniowych sterczą; z boków zaś hełmu wychodzą ozdobne liście, rozciągające się aż po bokach tarczy. Na brzegu w około znajduje się wązka obwódka, podobnie jak na stronie głównéj. Napisu nie ma żadnego.

Z poprawnéj pisowni polskiéj w napisie, z postaci głosek i rodzaju zbroi, niewątpliwie wnosić można, iż medal ten do polskich należy i jest dziełem polskiego artysty; obcy bowiem, kiedy naszego używali języka, zwykle w pisowni robili uchybienia. Medal ten pięknie wykonany tak w modelowaniu twarzy jako też w subtelności ozdób i głosek napisowych, jeżeli nie jest jednym z najdawniejszych tego rodzaju narodowych zabytków, to przynajmniéj do końca 15 lub początku 16 wieku z pewnością liczyć się może. Jest on znacznie uszkodzony. Utrącona część zajmowała na stronie głównéj wiérzch szyszaka i resztę napisu, który, wnosząc z rozmiaru, około dwunastu głosek mógł zawiérać. Z tych cztéry zajmowały dokończenie nazwiska WSKI lub WICZ, ośm zaś z pozostałemi AWY... wyrażały zapewne miejsce z którego się pisał Myślikowski. Na odwrotnéj stronie przez utrącenie medalu brak jednéj trąby nad hełmem, którego powierzchnia przez umyślne zestruganie uszkodzona została. Dziwić się należy, iż tak nazwisko Myślikowskiego lub Myślikowicza, jako też i herb jego wyżéj opisany żadnemu z polskich heraldyków nie były znane.

T. Ż.



POCZĄTEK PRZYSŁOWIA

„SIEDZI JAK NA NIEMIECKIÉM KAZANIU."

W XItéj księdze historyi Długosza na str. 211 pod rokiem 1410 czytamy: iż zesłani do Pragi posłowie polscy do Wacława, króla czeskiego, uproszonego od Jagiełły, aby między nim a mistrzem krzyżackim i zakonem toczące się spory w sposób zaspokajający rozstrzygnąć zechciał; kiedy na złożoném w tém celu zebraniu wyrok sprawiedliwym Władysława żądaniom uwłaczający w języku niemieckim czytać zaczęto, lubo, jak tenże autor pisze, niektórzy z nich mowę tę dostatecznie rozumieli, nic nie mówiąc, powstali i z sali obrad wychodzić zaczęli. A gdy ich król zapytał, dla czegoby to czynili, tę mu odpowiedź dali: *Tu jest niemieckie kazanie, a my Polacy, którzy tego języka nie rozumiemy, tam pójdziemy, gdzie po polsku kazać będą.*

Na tymto historycznym wątku p. Kazimiérz Wójcicki, znakomity nasz pisarz, osnował początek rzeczonego przysłowia; bo powiedziawszy w szacowném swém dziele, przysłowia narodowe obejmującém (t. III. str. 44), że posłowie oświadczyli, *iż téj mowy nie świadomi, na niemieckiém kazaniu siedzieć nie powinni,* dodaje: iż ta udawana nieświadomość rozeszła się po kraju, i odtąd gdy kto czego słucha a nie rozumié, zwykło się mówić: *„Siedzi jak na niemieckiém kazaniu."*

Ale okoliczność, że według Długosza wcale innéj osnowy było oświadczenie posłów polskich, w którém najmniejszéj nie masz wzmianki o siedzeniu; tudzież to, że czytanie wyroku nie ma żadnego związku wyobrażeń z ka-

zaniem, przez któryby je na pamięć przywodziło, powinno było zwrócić uwagę Autora, iż przysłowie to nie z tego poczęło się zdarzenia: ale raczéj, że obecnym tam posłom brzmienie czytanego wyroku mimowolnie nasunęło na myśl od niepamiętnych czasów o niemieckiém kazaniu powtarzane w kraju przysłowie, i że stąd czytanie to niemieckiém kazaniem nazwali.

I cóż więc temu przysłowiu mogło dać początek? Oto zwyczaj w dawniejszych wiekach u nas zaprowadzony, że w niedziele i dni świąteczne w jednym z najcelniejszych kościołów stolicy królestwa, do prezenty panującego należącym, słowem w kościele archiprezbiterialnym N. Maryi Panny przy rynku krakowskim położonym, w języku niemieckim kazania czyniono. Wtedy bowiem pobożni Polacy na nabożeństwo do téj świątyni uczęszczający, dla wysłuchania całéj summy, na tych niezrozumiałych dla siebie kazaniach przesiadywać musieli.

Aczkolwiek Iwo Odrowąż, biskup krakowski, w uczynionéj przez siebie w dniu 10go września 1226 r. erekcyi rzeczonego kościoła wyraźnie zalecił, żeby w téj nowéj świątyni, jak dawniéj w kościele ś. Trójcy (niegdyś farnym, a przez niego po wybudowaniu kościoła P. Maryi, dla Dominikanów przeznaczonym), dla nauki ludu polskiego kazania w języku narodowym zwykle bywały (1); atém wszystkiém, jeżeli nie liczniejsza to jednak oświatą i przemysłem przeważniejsza część osiadłych w Krakowie Niemców, tak dalece nadużyła powolności potulnych krajowców, że ich z czasem do kaplicy ś. Barbary przed r. 1304, nie zaś, jak dotąd mylnie utrzymywano, spółcześnie z kościołem N. Maryi Panny wybudowanéj, dla słuchania polskiego kazania zręcznie usunęła; a tutaj swego kaznodzieję

(1) Rękopis w Archiwum uniwersyteckiém N. [illegible] k. 517 f. v.

osadziła. Kiedyby to nastąpiło trudno z pewnością oznaczyć, nie mając pod ręką erekcyi téj kaplicy, o któréj Piotr Wysz, biskup krakowski, wspomina, kiedy w poniedziałek przed ś. Franciszkiem r. 1394, zatwierdziwszy wyżéj rzeczoną Iwona erekcyą, dodaje: żeby wzniesienie i fundacya kaplicy ś. Barbary świéżo przez niego pozwolona kościołowi N. Maryi Panny, szczególniéj zaś czynieniu w niém kazań w języku polskim bynajmniéj nie uwłaczała; o czém téż, jak daléj mówi, i w erekcyi wspomnianéj kaplicy ś. Barbary wzmianka była uczyniona. Bądź jak bądź w układzie względem nowéj fundacyi na kaznodzieję niemieckiego przy kościele archiprezbiterialnym w r. 1511 w piątek przed ś. Janem Chrzcicielem, między archiprezbiterem Janem Heydecke z Damm w Pomeranii, a burmistrzem i magistratem krakowskim uczynionym, wyraźnie powiedziano: iż przy tym kościele kaznodzieja niemiecki od niepamiętnych czasów był utrzymywany ([2]).

Kiedy pod błogiém panowaniem Zygmunta Igo z szérzącą się oświatą i prawa spółeczności rozbiérać, i właściwiéj pojmować je zaczęto, sprawiedliwy Król, na przełożenie sejmujących Stanów, tudzież rajców i ludu krakowskiego, aby odtąd po polsku kazywano w kościele N. Maryi Panny, z którego krajowcy wbrew sprawiedliwości i służącym sobie prawom usunięci zostali, mimo odwoływań się rajców pochodzenia niemieckiego do zwyczaju, który się przez przeciąg czasu niejako w prawo zamienił, ze względu, iż niegodną byłoby rzeczą, żeby język obcy w stolicy i najcelniejszym królestwa kościele przed krajowym miał piérwszeństwo, a przytém zawiadomiony, że liczba mieszkańców polskich do téj parafii należących tak dalece

([2]) *In qua ab aevo semper et ultra memoriam hominum theutonica lingua verbum Dei praedicatur.* l. c. k. 345. f. r.

wzrosła, iż ci w kaplicy ś. Barbary, do której dla słuchania kazania polskiego przez Niemców niegdyś usunięci zostali, pomieścić się nie mogli, przez co nie tylko niewiasty brzemienne wielokrotnie na wielkie niebezpieczeństwo narażane bywały, ale téż z przyczyny wielkiego tłoku przybyła do miasta szlachta dla słuchania kazania do kaplicy wnorаz i wcisnąć się nie mogła; za zgodą sejmujących Stanów w piérwszy poniedziałek po *Invocavit* r. 1537, postanowił: żeby kazania polskie, które dotąd przed południem zawsze w kaplicy ś. Barbary bywały, w przyszłości w kościele N. Maryi Panny miewano; dla Niemców zaś, których i mniejsza była liczba, i do tego wszyscy po polsku dobrze umieli, żeby odtąd u ś. Barbary kazywano. Nadto nakazał, żeby po południu w dni niedzielne i świąteczne w kościele N. M. P. dla Niemców, a u ś. Barbary dla Polaków w tymże czasie kazania czyniono (³).

Odtąd aż do roku 1583, kazania niemieckie bywały w kościele ś. Barbary. W tym czasie po ustąpieniu téj świętnicy na użytek Jezuitów, Piotr Myszkowski, biskup krakowski, postanowieniem swém z d. 1 lutego t. r. tutejszych mansyonarzy przeniósł do kościoła N. M. P., a kaznodzieję niemieckiego u ś. Wojciecha umieścił, nakazawszy, żeby tu, rano co niedziela i święto, po południu zaś u N. Maryi Panny, według dawnego zwyczaju, po niemiecku kazywano (⁴). W późniejszym czasie kaznodzieję tego stąd do księży Marków przeniesiono, gdzie dotąd w języku niemieckim kazania bywają.

Acz kolwiek powyższe o ustanowieniu kaznodziei niemieckiego wspomnienie dostatecznie przekonywa, iż miasto nasze, w najświetniejszych narodu czasach, mieszkańcami pochodzenia niemieckiego było przepełnione; dla

(³) l. c. karta 329 f. r. (⁴) l. c. karta 400 f. v.

poparcia jednak téj prawdy nie od rzeczy będzie przywieść tu niektóre szczegóły z urządzeń kościelnych w różnych czasach ze względu na napływ cudzoziemców poczynionych, które za nowy dowód posłużą, jak dalece łagodny i względny rząd krajowy, szczególniéj zaś swobody miast na prawie magdeburskiém zasadzone, pracowitych i użytecznych osadników do grodu naszego zwabiały.

Wszakże Jan Welsz, znakomity akademik w wieku XVtym żyjący, nauczyciel synów króla Kazimiérza Jagiellończyka, założywszy swym kosztem cmentarz na przedmieściu Garbarach (Piasek), przy wymurowanéj tam przez siebie znacznéj kaplicy osadził był penitencyarza polski i niemiecki język posiadającego (5). W połowie tegoż wieku, w skutek zaniesionéj od Uniwersytetu skargi przeciw mistrzowi Janowi Pragerowi, ś. Anny proboszczowi, w r. 1471 zmarłemu, iż tenże zaniedbuje chwały Bożéj, w kościele sobie powierzonym, nie mając do religijnéj posługi sposobnych wikaryuszów, ówczasowy biskup krakowski nakazał, żeby dwóch wikaryuszów utrzymywał, z którychby jeden po polsku drugi zaś po niemiecku należycie umiał (6); lub żeby probostwo złożył.

Jeszcze w r. 1527mym d. 14go października rajcy krakowscy do Piotra Tomickiego, bisk. krak., zanieśli skargę na Mikołaja Wartka, archipresbitera kościoła N. Maryi Panny, iż

(5) Sołtykiewicz o stanie akad. krak. str. 176.

(6) *Ut quemadmodum superioribus tantisque temporibus, quod inicii et contrarii eorum memoria non existat, fuit per plebanos prefate ecclesie tentum et observatum, modernus etiam plebanus duos vicarios, unum polonici, alterum alemanici idiomatum pro bene agenda cura plebis eiusdem ecclesie necessarios secum haberet.* Dokument w Archiwum uniwersyteckiém pod liczbą 13004.

tenże był obojętnym w utrzymywaniu nabożeństwa w swoim kościele; bo kiedy sześciu wikaryuszów, tak polski jak i niemiecki język posiadających przy kościele utrzymywać był winien, nietylko że ich nie miał w przepisanéj liczbie: ale nawet między tymi znajdowało się dwóch, którzy po niemiecku ani słowa nie rozumieli. Na to przełożenie urzędu miejskiego, archipresbiterowi oświadczającemu, iż ma trzech wikaryuszów, co obadwa języki posiadają, biskup nakazał: żeby odtąd miał ich sześciu w obu językach biegłych ([1]). Wreszcie zachowany w bibliotece uniwersyteckiéj pergaminowy rękopis statutu bractwa maryackiego w roku 1481 w języku niemieckim napisanego, najmocniéj przekonywa: że w kościele N. Maryi Panny, w tym języku modliło się to bractwo, do którego się téż król Kazimiérz Jagiellończyk wraz z królową Elżbiétą z domu Rakuskiego, tudzież z trzema królewiczami Albertem, Alexandrem i Fryderykiem był zapisał.

([1]) l. c. 562 f. v.

J. Muczkowski.

Dwutygodnik literacki *wychodzi dwa razy w miesiąc to jest 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Staraniem będzie wydawcy, aby i w urzędach pocztowych Królestwa Polskiego, Galicyi i W. Księstwa Poznańskiego ułatwić żądane zapisy; tu zaś w Krakowie przyjmuje się przedpłata w* Nowéj Księgarni.



DWUTYGODNIK LITERACKI.

№ 2. Kraków dnia 15 Kwietnia 1844.

Treść: Humorystyka p. Hilarego Meciszewskiego (dokończenie). — Józef K. N. Bogucicki nap. J. Muczkowski (dalszy ciąg). — Wiadomość o związku filantropijnym w Krakowie przez t. — Panna Mars.

HUMORYSTYKA.

(Dokończenie).

Lecz spyta mnie może nie jeden, przeczytawszy ten wstęp rozwlekły i długi, do czego to wszystko prowadzi?.. lub co obchodzić może kogo, żem albo z moim losem jest w zgodzie, albo téż z niego nie kontent? Na to odpowiem, że znajomość tego wszystkiego, potrzebną jest koniecznie każdemu z czytelników *Dwutygodnika*, jeżeli humorystyczne artykuły tego pisma nie mają mu się wydawać blademi, jeżeli ich w ogóle ma jak należy zrozumieć. — Boć że się przeznaczenie nie poprzestało patrzeć na mnie synem, że mi w każdym kroku życia mojego najtrudniejsze tylko przydziela role, dowodem jest nawet i ten nowo rodzący się dziennik, planta hodowana u nas niegdyś obficie, dziś prawie całkiem zaniedbana. Kiedy bowiem dojrzała nareszcie myśl wydawania znów u nas literackiego pisma... ci co się podjęli téj roboty, poczęli myśleć o pomocnikach... i obejrzeli się naprzód w około siebie... czy ich na miejscu nie znajdą?.. Tymczasem trzeba wiedzieć, że lubo w Krakowie ludzi myślących wielki dostatek, piszących przecie, a przynajmniéj takich, co się niekiedy

rwą do pióra, nie wiele; boby ich podobno na palcach policzył, i jeszczeby może palców zostało!.. W tém położeniu rzeczy rachunek był nie długi, i bez wielkiego zachodu zebrało się wnet małe kółko ludzi, częścią umiejących już pisać, częścią pragnących się dopiéro nauczyć tego tyle u nas korzystnego rzemiosła. Jakim tytułem znalazłem się w tém kole, niech odpowiedzą na to ci, którzy mnie do niego wezwali. Co do mnie, zapamiętały zelota nauki, wedle któréj *czyn dokonany jest prawem*, zapatrując się na moję obecność w tém zebraniu tém samém okiem, jakiém niegdyś lord Palmerston patrzał na obecność francuzów w Algierze! to jest zapatrując się na nią jak na *fait accompli*, nie zajmowałem się dochodzeniem przyczyn, tłumaczących obecność moję w tak szanowném gronie, i byłem tylko ciekawy dowiedzieć się przy téj sposobności głównie dwóch rzeczy: raz, czy prawda, że w istocie tak śmiały pomysł, jakim jest wydawnictwo Dziennika, był celem zebrania się i narady? po drugie: czyli i jaka praca przeznaczoną jest dla mnie w tém nowém przedsięwzięciu?

Co do piérwszego. Że wydawnictwo dziennika literackiego w Krakowie nazywam śmiałym pomysłem, nikt mi zapewne za złe nie poczyta, kto tylko zna naturę podobnego przedsięwzięcia, kto zważy warunki jakich dopełnić wypada chcąc rachować na jego powodzenie, kto się z resztą zastanowi nad warunkami miejscowemi, pod jakiemi go usiłować wypadnie?. — P. Guizot, nazwany głową doktrynerów, ów okrzyczany dzisiaj p. Guizot, ile razy jednak otworzy usta, mówi bardzo logicznie, a ile razy weźmie pióro w rękę, pisze wcale mądrze. Otóż w jedném z dzieł jego znalazłem ustęp, który mi zawsze przychodzi na myśl, ile razy o nowym dzienniku jest mowa. — P. Guizot napisał w dziele

ka wspomnioném: *„La société offre l'image d'un chaos si bien défini par ces paroles: Chaque chose n'y est point à sa place, et il n'y a pas une place pour chaque chose."* Jeżeli słowa powyższe dadzą się trafnie zastósować do towarzystwa ludzkiego w ogóle, zastósowane w szczególe do nas, pod względem osobliwie wydawnictwa Dziennika, definiują jego przyszłe położenie, jak wierniéj nie można. Mimo najprzychylniejszych chęci wszystkich, którzy pośrednio lub bezpośrednio, z tytułem lub bez tytułu, wpływać będą na przyszłą postać jego, wiele w nim rzeczy nie będzie może na swojém miejscu, a jeszcze więcéj miejsca dla siebie nie znajdzie. Wydawnictwo więc dziennika Literackiego w Krakowie śmiałym zawsze zostanie pomysłem, a nawet Autorowi jego słusznieby z kapelanem Fredry godziło się powiedzieć: *„Nie uchodzi!"* Boć przecie każda rzecz na świecie, jeżeli ma żyć, zakwitnąć i owoc wydać, musi mieć dane wszystko, czego do życia, zakwitnienia i zapłodnienia potrzebuje; a więc musi mieć dane ziemię właściwą, soki odpowiednie, słońce i klima potemu. Czy to wszystko pozwoli się znaleźć u nas w Krakowie?... wyznaję, że wątpię, i przecież piérwszy gotów jestem odstąpić méj mary, jak mi się tylko nowa objawi.

Co do drugiego: Że przy robocie według nowego dzieła myślano i mnie wydzielić jakąś pracę, żadnéj nie zdawało się ulegać wątpliwości; lecz jaką? to było pytanie. Umiejętności wszelkie ścisłe i nieścisłe, nauki przyrodzone, literatura, historya, sztuki piękne, kunszta i cała technika, miały tam swoich mistrzów, przed którymibym z placu ustąpić musiał, gdybym z temi rzeczami więcéj nawet był obeznany, aniżeli nim jestem w istocie! Ale dopiéro ci, gdy mi są prawie obce, i gdy się z niemi znam ledwie z widzenia!

I tak np. filozofia, osobliwie téż taka, jakiéj nauczają dzisiejsi tworzyciele systematów myślenia, była, jest i zostanie dla mnie na zawsze hieroglifem, nad którego odgadnieniem nie myślę sobie łamać głowy. Ma ona niby przeznaczenie uczyć ludzi myśleć, tak jak gramatyka powinna ich uczyć mówić i pisać! a przecież widząc, jak mało zna grammatykę, a jak wielu mimo to mówi i pisze poprawnie?! wyprowadzam ztąd wniosek, może być że wcale fałszywy, ale zawsze wniosek: że można umieć myśleć bardzo porządnie, nie umiejąc ani słowa filozofii!.. i przeciwnie, że jak nie umiejący jakiego języka nie będzie nim mówił ani pisał, choćby jego gramatykę umiał na pamięć, tak nie umiejącego myśleć nie nauczy ani Plato, ani Arystoteles, ani Baco, ani Locke, ani Spinoza, ani Leibnitz, ani wreszcie Kant, Fichte, Hume, Hegel, Trentowski i Szeling! — Zresztą nie wiem, czy to jest dobrze, ale to wiem z pewnością, że kiedy mnie kto częstuje filozoficzną jako książką, lub nowym myślenia systematem, to mi się tak wydaje, jak gdyby zapraszający mnie na obiad, zamiast do stołu, zaprowadził mnie w pole, i postawiwszy przed łanem żyta, zachęcał uprzejmie, żebym się najadł do woli! Nic pewniejszego, że w każdéj filozoficznéj książce znajduje się najzdrowszy i najpotrzebniejszy pokarm ducha ludzkiego, jak w łanie żyta są miliony ziarn, z których mąkę zemleć i chléb upiéc można; lecz autor książki dalekoby lepiéj uczynił, gdyby ten pokarm, który w niéj zawarł, do codziennego spożycia więcéj usposobił, i właściciel owego łanu grzeczniejszymby się o wiele okazał, gdyby zamiast surowego zboża położył przed gośćmi gotowy bochenek chleba. Gdyby nam przed każdym obiadem wypadało wprzód nażąć żyta, potém go omłócić,

[illegible]cie zemléć, zaczynić i do pieca wsadzić, siadalibyśmy bardzo późno do stołu i dzieci nasze pomarłyby może z głodu! Takie to ograniczone wyobrażenia o nauce, dziś w wielkiém poważaniu będącéj, zalegly oddawna moję głowę, i chociaż przekonany jestem, że wyobrażenia te nie wielki jéj przynoszą zaszczyt, zostanę przy nich i umrę z niemi zapewne, bo jeżeli mnie 40letnie życie pomiędzy ludźmi myśleć jeszcze nie nauczyło, żadna mnie pewnie książka nie nauczy!

To samo mógłbym powiedzieć i o nauce prawa, do któréj czułem zawsze jakiś szczególny pociąg, i którą nawet ukończyłem tak, jak ją w uniwersytetach ukończyć było można. Nie wiem czyli w najobszerniejszym słowniku znajdzie wyraz, któryby wyobrażając podobnie wielką i świętą ideę, jak ją wyobraża ten wyraz *prawo*, był w życiu praktyczném równie mylnie pojętym, z taką ujmą znaczenia swego zastósowanym, do celów wreszcie tyle sprzecznych z przeznaczeniem jego użytym! — Co to jest prawo?.. niech mi na to pytanie odpowié aby jeden głos na całéj kuli ziemskiéj... ale niech mi na nie odpowié, nie definicyą jaką idealną, nie frazesem uprzędłym z pojęć naturalnych, jakie każda rozumem obdarzona istota chowa w głębi duszy o prawie!.. ale definicyą odpowiednią przyrodzonym o niém wyobrażeniom, lecz opartą zarazem i na praktyce gdziekolwiek! definicyą... uzbrojoną dowodem, że wedle niéj urządzone są stósunki publiczne lub prywatne towarzystwa ludzkiego, choćby na najmniejszą wyrachowanego skalę! Dopóki prawa okoliczności tworzyć, a ludzie pisać będą, dopóki interes, namiętność lub fanatyzm nie przestanie rządzić ostatnimi, dopóki między nimi trwać będzie walka o mienie, o wpływ lub władzę jakąkolwiek! dopóty ustawy nie będą niczém inném, tylko manifestami zwy-

ciężców w zapasach, których teatrem świat cały, dopóki nazwa *prawa* w świętém i idealném tego słowa znaczeniu będzie dla nich niewłaściwą, i dopóty odpowiedź na powyższe pytanie niepodobną!..

I niechaj nikt nie myśli, że czyniąc taką wróżbę mam na widoku te tylko wyłącznie ustawy i prawa, które stanowi władza jednego!.. Bynajmniéj! ustawy stanowione tak zwaną większością, w wyższym daleko stopniu mogą ubliżyć, i często ubliżają idei prawa, więcéj i dużo więcéj mogą być rzeczy publicznéj szkodliwe, aniżeli piérwsze! bo na ich właśnie postać i brzmienie, łatwiéj aniżeli na tamtych, wpłynąć mogą i zwykle wpływają interes własny, namiętność lub fanatyzm jakowy!.. Z resztą sam zapał momentu, tyle zbawienny i święty, kiedy idzie o poniesienie ofiar dla rzeczy publicznéj, także jest często zgubnym dla tak licznych zgromadzeń przy stanowieniu jakowego prawa!? jakże z niego zimny egoizm łatwo korzystać może, jakże go często z zawiązanemi oczyma do własnych celów prowadzi!?.. Dowodem tego niestety, całe niegdyś prawodawstwo polskie!.. całe wreszcie prawodawstwo, nie już dzisiejszych izb francuzkich, ale tego nawet zgromadzenia, które obradując na pozór najswobodniéj na świecie, stanowiło przecie pod wpływem najsmutniejszego obłędu, jaki tylko kiedy ujarzmił niepodległość zdania ludzkiego, bo obłędu będącego dzieckiem fanatyzmu i bojaźni!... zgromadzenia, powtarzam, będącego autorem owéj sławnéj deklaracyi praw człowieka, poczytywanéj przez czas tak długi za extrakt filozoficznych pojęć o prawie powszechném, a która, zaślepiwszy oczy najjaśniéj widzącym, uwiodłszy najdorzalsze umysły, służąc kolejno to za bożyszcze na ołtarzach mylnie zrozumianéj wolności, to znów za godło chorągwi nowato-

rów na całym świecie; potrzebowała dopiero tysiąca ofiar i trzech lat krwawéj anarchii, żeby się przekonano o jéj niewykonalności; i która z wysokości, na jakiéj ją stawił chwilowy zapał obłąkanego mnóstwa, zeszła nareście tak nizko, że ją najbieglejszy sektator podobnych papierowych głupstw ludzkich, a przy tém najdzielniejszy logik, jaki exystował na téj ziemi, najdzielniejszy mówię bo praktyczny, Jeremiasz Bentham, ogłosił za zbiór wszystkich sofizmatów i nonsensów, jakie kiedy napisać mogli i napisali: Mabli, Rousseau, Raynal, Condorcet, Voltaire, Diderot, de Price, Priestlej i inni, i nie poprzestając na ogłoszeniu, dowiódł niestety, że nie zasługuje na inne nazwisko (*). Oprócz Mojżesza, nie znam prawodawcy, któregoby ustawy wolnemi były od cechy, o jaką pomawiam wszystkie pisane prawa nasze, i dla tego téż może właśnie, że przykazania tego Arcbilewity, wolnemi są od niéj zupełnie, że będąc wypływem prawdziwie boskiego natchnienia, są zbiorem najczystszych prawd moralności, najniezaprzeczeńszych zasad praw i obowiązków człowieka, dla tego może nie uczą ich z katedr publicznych, nie rozbierają w uczonych traktatach, nie cytują w Sądach! i szczęściem jeszcze nazwać potrzeba, że nam się godzi pamiętać o nich w codziennym naszym pacierzu!

Lecz zanadto podobno w zapale oddaliłem się od pierwotnego przedmiotu! Miałem pisać o sobie, a wdałem się w rozprawy o filozofii, i prawie, które już widzę z jakim uśmiechem politowania przez nie jednego czytanemi będą. Wróćmy więc raczéj do przedmiotu, to jest do

(*) *Traité des sophismes politiques, ouvrage extrait des manuscrits de M. Jérôme Bentham Jurisconsulte Anglais, par M. Dumont.* Genève 1816, Tom. II. pag. 271.

siebie samego, bo i czas skończyć raz przecie ten długi artykuł, i czas żeby się czytelnik dowiedział nareszcie, o co tu rzeczywiście idzie?

Wracam więc z przeproszeniem do siebie. Kiedy pytanie, czyli w istocie ma być w Krakowie wydawany dziennik literacki, znalazłem *a priori* roztrzygnione *affirmative,* i kiedy o to tylko chodziło, w jakim wydziale przyszłego pisma pracować mi wypadnie? odpowiedź na to zdawała mi się być tym trudniejszą, im bardziéj rozpatrywałem się, raz w przedmiotach mających być treścią przyszłego dziennika, drugi raz w moich własnych usposobieniach. — Jak dziwne wyobrażenia mam o filozofii i prawie, wié już czytelnik z wszystkiego, com wyżéj o tych dwóch umiejętnościach powiedział. Nie lepiéj od nich, zapisaną jest w głowie mojéj i reszta oddziałów wiedzy ludzkiéj!.. W matematyce mimo eminencyi zyskanéj od Kodesza, kompletnym można powiedzieć jestem nieukiem, gdy 40letnie doświadczenie przekonało mnie, że ani dodawać, ani odciągać, ani mnożyć, ani dzielić jak należy nie umiem! Jeszcze słabszym się czuję w jéj wykryślnym czyli pomiarowym rozdziale: gdy, jak to zewsząd słyszę, mierzę wszystko na skalę jakąś wcale w Krakowie nieznaną, jedném słowem nie krakowską! i gdy téj skali krakowskiéj jak z wstydem wyznać muszę, ani zrozumieć ani znaleźć nie umiem. W naukę fizyki straciłem wszelką ufność i wiarę, od czasu głównie, jak się przekonałem, że jedna z najważniéjszych zasad jéj teoryi: *De gravitate universali corporum*, jest mylną, bo jéj codzienna praktyka jawny fałsz zadaje. Gdy bowiem wedle téj teoryi wszystko, co ciężkie *alias* materyalne, powinno opadać na dół! wszystko zaś co jest lotne, subtelne, duchowe, powinno dążyć i osiadać na górze; w praktyce

tymczasem dzieje się zupełnie przeciwnie, bo wszystko co ciężkie, co materyalne, widzimy jawnie na górze, co zaś lotne, duchowe, dąży wprawdzie, bo dąży do góry, ale koniec końców osiada na dnie... i zostaje sobie spokojne na dole. — Tak więc, gdy w zawodzie wszelkich umiejętności pisać nie byłbym sposobnym, bo jednych nie rozumiem tak, jak je dzisiaj rozumieć należy, drugie zaś zbrzydły mi zupełnie; przekonany byłem, że albo wrócę z narady z próżnemi rękoma! albo co gorsza, że mi każą pracować w przedmiocie jakim dla mnie obcym, tém samem więc, że się znów sprawdzi na mnie to, na co od dawna narzekałem i narzekam, to jest: że w każdym zawodzie los nieprzyjazny każe mi odgrywać role niewłaściwe.

Tymczasem, gdy kolej przyszła nareszcie na mnie, zawołał ktoś z boku oczywiście dla mnie życzliwy: „Niech pisze humorystyczne artykuły.“ „Zgoda“ krzyknęła reszta, i ja sam w piérwszéj chwili zawołałem z nią „Zgoda“! bo mi się w saméj rzeczy zdawało, że Humorystyka jest przedmiotem, w którym nie tylko pisać najłatwiéj, lecz który nadto będzie dla mnie najwłaściwszym; bo od dzieciństwa byłem przyjacielem wesołości, lubiłem namiętnie dowcip, i byłem tego przekonania, że na drodze żartu i ironii, słowem na drodze przyzwoitéj satyry, najwięcéj i najłacniéj nauczyć się można!

Uradowany więc wielce, że się los aby raz przecie raczył do mnie uśmiechnąć łaskawiéj, wróciłem do domu, i szczerze, *con amore*, wziąłem się zaraz do dzieła! Lecz powierzchowny nawet przegląd pola, na którém mi pracować wypadło, przekonał mnie, żem się oszukał, i że przeznaczenie wierne nieprzyjaźni, z jaką mnie od dzieciństwa traktuje, i tym razem równie jak zawsze okazało się

dla mnie ojczymem. — Zamiast najłatwiejszego przedmiotu, jak mi się z początku zdawało, dostał mi się najtrudniejszy... i przypatrzywszy się bliżéj wyznaczonemu dla mnie zadaniu, poczułem wnet, że mu nie podołam! Bo przyznajże sam kochany czytelniku, możeż być co trudniejszego na świecie, jak pisanie humorystycznych artykułów w Krakowie? .

O czém tu pisać?... co zaś najgorsza, jak pisać?... to są pytania, na które prawdziwie odpowiedzieć trudno! — Humorysta albowiem, jeżeli ma w setnéj tylko części odpowiedzieć powołaniu swemu, jeśli chce iść choćby w najdalsze nawet ślady Swifta, Sternego, Suarda, Jana Pawła Rychtera i innych, musi się duchem wzbić nad poziom, nad powszedniość, musi pogardzić wieloma prawidłami, które szanować każdy inny pisarz ma sobie za obowiązek, musi z tych prawideł żartować nawet, i przechwalać się razem, że mu to czynić jest wolno. Potém jego wojennéj taktyki nie może być co innego, tylko kontrasta, głupstwa z rozumem, rzeczy wzniosłych z płaskiemi, śmieszności z tém wszystkiém, co u świata w powadze i na co przywykł patrzéć z uszanowaniem; choć broni się z takich nawet kontrastów wyczerpniętą nie wolno mu wojować inaczéj, tylko lekko, powierzchownie, bez [illegible], a przecież tak, żeby sam jéj zamach skutkował: — bo skutek jéj mieścić się powinien w téj niespodziance, w tém zdziwieniu, z jakiemi przeciwnicy jego spostrzegają się, że mu o takich rzeczach, i to w podobny sposób, mówić i pisać jest wolno! Obok tego, powinien łączyć wytworny dowcip z najśmielszą i najbujniejszą wyobraźnią; niepokonaną siłę myśli z tkliwością i delikatnością czucia; wytrawiony wreszcie i dojrzały rozum z surowém prawdy zamiłowaniem!... Powinien być przyjacie-

kim ludzi, i na świat spoglądać okiem nie urągającego się jego śmiesznościom, ale ubolewającego nad niemi! — powinien w nim widzieć więcéj słabości, aniżeli złéj woli, więcéj głupstwa aniżeli zepsucia! i nie może być nigdy niczyim sędzią, lecz osobistość przedewszystkiem własną, łącznie z osobistością innych, własnemu parodyjującemu poddawać sądowi. W oczach humorysty nie powinno być na świecie ani głupstw ani głupców pojedynczych, ale musi brać głupstwo ryczałtem, i patrzeć na ten świat jak na obszerne koczowisko szalonych! Dla tego nie wolno mu znajdować kogo bądź śmiesznym, lub pogardy godnym, lecz wszyscy powinni mieć prawo do jego współczucia! i nad każdym litować się nieledwie powinien!.. I takie to właśnie usposobienie jego, tłumaczyć w nim winno tę łagodną rzewność, z jaką w obrazach swoich to zstępować ma to w dziedzinę Elegii! to wznosić się w górne sfery natchnienia i *Pathos!* i tę pustotę, co śmiejąc się ze łzami w oczach i żartując drżącym od rozrzewnienia głosem, pod maską dojrzale pomyślanego libertynizmu, ogłasza wnioski i konkluzye, na pozór potworne, przyjętym wyobrażeniom dyametralnie sprzeczne, a mimo to w właściwém zastósowaniu pełne zdrowego sądu i nauki.... Humorysta, powinien poniżać wielkie, ale dla tego tylko, żeby tém łacniéj mógł obok niego postawić małe, małe zaś podnosić dla tego, żeby się lepiéj przy wielkiém wydało... powinien nosić głowę Janusa, po jednéj stronie z twarzą pełną surowéj powagi, po drugiéj z śmiejącą się i żartobliwą; podwójne jednak takie oblicze swoje tak układać, żeby twarz piérwsza ubolewała nad drugą, druga zaś zdawała się żartować z piérwszéj... W oddaniu myśli swoich powinien używać stylu i kolorytu, równie niezwykłych, jak niezwykłym jest jego sposób widze-

nia i sądzenia świata; i sąd ten głównie, powinien się malować i odbijać w języku, jakim przemawia. W locie nareszcie swych myśli i mowy, nie może się trzymać żadnego stałego kompasu; bo sternikiem kierującym jego wyobraźnią i piórem nie może być duch inny, tylko ten duch swawoli, który Wieland tak właściwie *Capriccio* nazywa.

Otóż kochany czytelniku, jeżeli się zgodzisz ze mną na powyższą definicyą humorysty, musisz się równie zgodzić i na to, że humorystą takim nie łatwo, a nawet kto wié, może całkiem nie podobna być w Krakowie. Pomijając nawet jawny brak potrzebnych przymiotów, do którego się przedewszystkiem poczuwam;— bo ani wytwornego dowcipu, ani bujnéj wyobraźni, ani silnéj myśli, ani delikatnego czucia, że już nie wspomnę o dojrzałym rozumie, nie posiadam;— pomijając mówię to wszystko, i przypuściwszy nawet, żeby się we mnie te konieczne przymioty prawdziwego humorysty znalazły, to i tak jeszcze mrówki mnie przechodzą na samą myśl tego, coby za skutki sprowadzić mogło zjawienie się na horyzoncie naszym takiego naprzykład meteoru, jakim był Sterne, choćby tylko świécił światłem o połowę... o $^{9}/_{10}$ z resztą mniejszém od niego.

Bo tylko proszę sobie na chwilkę wystawić, coby to było, gdyby się pomiędzy nami znalazł w istocie tak odważny, coby gardząc względami, które każdy inny pisarz szanować musi i szanuje, ośmielił się z nich żartować... i coby miał czoło przechwalać się, że mu to czynić jest wolno. Gdyby bronią z kontrastów miejscowych ukutą, chciał powojować po Krakowie, choćby najlżéj, najdelikatniéj... i gdyby sobie pozwolił nią machnąć... choćby raz tylko, tak np. na próbkę, pod oczyma Krakowian,...

niechby to z resztą było w jak najprzyzwoitszym oddaleniu!.. Nowy ten Ikarus skończyłby myślę wnet karyerę swoję... i wątpię, czyby mu taką bronią udało się machnąć raz drugi... gdy przekonany jestem, że piérwsze zaraz machnięcie na nimby się tylko samym skrupiło, i kto wié, czyby się przy téj sposobności nie oberwało co i szanownemu *Dwutygodnikowi?*.. Byliśmy przecię nie raz świadkami, jaki był krzyk i hałas w Krakowie, gdy kto drugiemu poważył się wytknąć głupstwo, choćby najmniejsze, pojedyncze,.. a cóżby się to dopiéro działo, gdyby się znalazł taki śmiałek, coby nas pod tym względem chciał traktować ryczałtem?.. Nie... nie... kochany Czytelniku, humorystą można być wszędzie... przypuszczam, wyjąwszy w jednym Krakowie, bo prawdy, któréj on głównie musiałby być głosicielem, w takiém pomiędzy nami jest poszanowaniu, że ją jak klejnot jaki, chowany tylko od święta, trzymamy pod kluczem starannie w bawełnę zawiniętą,.. anismy przywykli widywać się z nią w dnie powszednie na ulicy.

Zresztą nie wiem, czy to jest bardzo logicznie, ale ja prawdę kładę w jednym rzędzie z tabaką, i utrzymuję, że jak szczypta tabaki, zażyta przez nieużywającego nigdy tego ziela, straszliwą w jego nosie wywołuje rewolucyą, wierci w nim dopóty, dopóki ze sto razy nie kichnie, i łzami nie spłynie, tak téż i prawda, podana temu, co albo do niéj nie przywykł, albo jéj zażywać nie lubi, podobny sprowadza skutek; z tą tylko różnicą, że uczęstowany nią niespodzianie wybucha wprawdzie gniewem, alias kicha, jak po tabace; częstujący jednakże prawie zawsze łzami ten tryumf oblewa. Wprawdzie zdarzają się czasem rzadkie w tym względzie wyjątki, *selon les circonstances*, bo to się samo przez się rozumié; myślę

jednak, że nie nadwerężają całości reguły, ani jéj prawdy i mocy w niwczém nie osłabiają.

Summując więc teraz to wszystko, cośmy wyżéj o humorystyce, o jéj warunkach i skutkach powiedzieć mieli sposobność, nie podobna zaprzeczyć, że pisać humorystycznie, jest pomiędzy nami zadaniem albo zupełnie do wykonania nie podobném, albo najtrudniejszém, o jakiém tylko pomyślić można. Chcąc bowiem pojąć, ocenić, i znieść żart à la Sterne, trzeba mieć angielski rozum i nerwy, a gdy my tutaj nie zaopatrzyliśmy się jeszcze dotąd w te nader potrzebne artykuły, obejść się przeto bez takich żartów możemy, i obejdziemy zapewne.

Przekonywasz się teraz kochany Czytelniku! że miałem słuszne prawo narzekać na prześladujące mnie od kolébki *fatum*, gdy, jak sam widzisz, w rozdziale nawet pracy obdarzyło mnie najniewłaściwszą pod względem usposobienia, najtrudniejszą zaś pod względem wydołania jéj warunkom! — Przecież gdy obowiązku przyjętego należy dopełnić jak można, gdy słowa raz danego, choćby się go najlekomyślniéj wyrzekło, dotrzymać zawsze wypada, musiałem i ja mimo wszystkiego, pomyśleć o uczynieniu zadość obietnicy, to jest: o napisaniu humorystycznego artykułu, chociaż, wierzaj mi kochany Czytelniku, w niemałym i to długi czas byłem kłopocie, o czém go i jak, napisać wypadnie.

Ten téż to kłopot i ta niepewność, niech mnie przed Tobą wymówią, jeżeli nie mogąc się zgodzić z samym sobą, jakby tu bez narażenia się na twą niełaskę uiścić się mimo to z zaciągniętego długu, ośmieliłem się na piérwsze danie napisać „o sobie samym.“ Bo jakkolwiek i przedmiot artykułu nie wiele zapewne jest zajmujący, i płód ten humorystyki mojéj zdawać Ci się może niewydarzonym, da

jednak i z niego spodziewam się odnieść korzyść, że się oswoisz z tego rodzaju pismem, i widząc, że pomimo napisanego przeze mnie o sobie humorystycznego artykułu, jestem zdrów, cały, i trzymam się zawsze dość rzesko na nogach, pozwolić raczysz, że przyszły... spróbuję napisać o Teatrze (*).

JÓZEF KANTY NEPOMUCEN BOGUCICKI.

(Dalszy ciąg).

W ciągu swego przez czternaście dni w Krakowie bawienia, uczony Monarcha na trzech posiedzeniach Szkoły głównej, na których wybrane przez niego rozprawy odczytywano, był obecnym; a w dniu 26 czerwca przed południem na popisach w amfiteatrze szkolnym rozdał ręką własną medale *Diligentiae*, uczniom zaleconym pilnością, postępem w naukach i obyczajami: oraz złożył w ich ręce order ś. Stanisława dla Felixa Oraczewskiego, kommissarza edukacyi narodowéj, wizytatora i rektora Szkoły głównéj koronnéj; ażeby jako oni sami nadzwyczajnym sposobem nagrodzeni zostali, tak przelewając niejako zdarzenie to na osobę godnego Rządcy swego, nadzwyczajnym także uwiecznili zasługi jego przez ten szczególny dobroczynnego króla upominek.

Zarazem na piérwszém publiczném posiedzeniu Szkoły głównéj, w dniu 19 czerwca po południu, w obecności Króla, Księcia Prymasa, i licznie zebranych obojéj płci znakomitych gości, w sali jagiellońskiéj odbytém, Bogucickie-

(*) W piérwszym numerze Dwutygodnika na karcie 10 wierszu trzecim od dołu zamiast: *kurs momentalny mającemi*, powinno być: *kurs momentalny mających.*

mu, jako ś. t. d. i historyi kościelnéj publicznemu professorowi, dostał się z woli królewskiéj niepośledni zaszczyt odczytania napisanych przez siebie uwag nad niektóremi znakomitszemi dziejami trzeciéj epoki religii chrześciańskiéj w wieku XVym. Obszerna ta i z wielu względów ważna rozprawa, odczytana z uczuciem, jakie w mowcy ważność przedmiotu wzbudziła, lubo z powszechném zajęciem słuchana, nie jednakie na wszystkich uczyniła wrażenie. Kiedy bowiem jedni uwielbiali w autorze rozległą naukę, szczęśliwe i łatwe wysłowienie, a trwożyli się śmiałością mowcy, który przez miłość prawdy i sprawiedliwości, wyzuwszy się ze wszystkich względów, złość, przewrotność i obłudę powoływał przed sąd bezstronnéj potomności; drudzy, podług swego sposobu widzenia o rzeczach sądzący, z zgorszeniem i nie małém oburzeniem słuchali mowy, która według ich przekonania i dostojnym kościoła członkom, i religii katolickiéj jawnie uwłaczała. Czyliby słuszne były ich zarzuty, o tém niechaj czytelnik sądzi; dla mnie dosyć tu będzie nadmienić, że ta rozprawa była dla Bogucickiego źródłem prześladowań i przykrości, które przed czasem o śmierć go przyprawiły. Wszakże Szkoła główna z obawy, żeby śmiałego głosu jéj członka na karb ducha całego zgromadzenia niechętni nie policzyli, na posiedzeniu swojém w dniu 28 czerwca, na którém się i Bogucicki znajdował, i gotowość usprawiedliwienia się oświadczył, ściśle tego dochodziła: czyliby te uwagi przez delegowanych do przeglądania rozpraw przez professorów publicznie czytać się mających, były zatwierdzone. Atoli w Szkole głównéj rzecz ta, jak się zdaje, za wpływem rektora Oraczewskiego wnet umorzona została; bo skoro się przekonano, iż tak rektor jak i delegowani kilkakrotnie Bogucickiemu przekładali, żeby swoję rozprawę według potrzeby odmienił,

co téż uczynić był przyrzekł, zwłaszcza kiedy mu oświadczono, że gdyby ją bez zmiany odczytał, toby i na niego i na całą Szkołę główną najniepomyślniejsze skutki niewątpliwie stąd spłynęły; oświadczenie to było dla Szkoły głównéj dostateczne do zasłonięcia się przed pociskami złości i potwarzy; dla tego téż na niém przestano i dalszych kroków nie czyniono.

Kiedy w Szkole głównéj sprawa ta dość szczęśliwie się zakończa, Duchowieństwo oburzone Bogucickiego postępkiem, iż, sam będąc kapłanem, przeciw Soborowi konstancyeńskiemu śmiało powstawał, niedługo po owéj uroczystości do księcia Prymasa, administratora dyecezyi krakowskiéj, zaniosło przeciw mowcy ciężką i pełną goryczy żałobę, któréj odpis przesłało Szembekowi, biskupowi płockiemu, najgorliwszemu, jak się wyraziło, w narodzie pasterzowi, upraszając go o skuteczne w tym względzie wsparcie. Oto jéj osnowa!

Jaśnie Oświecony Mości Książę Dobrodzieju!

„Troskliwość Duchowieństwa krakowskiego, owszem całego narodu polskiego, dążąca zawsze ku statecznemu zachowaniu całości świętéj religii katolickiéj, nie przed kim inszym tylko przed WKs. Mością JO. Panem Dobrodziejem wynurzoną być może, z tém zaufaniem i z taką skutecznością, jakiéj się po WKs. Mości gorliwym, czułym i najpiérwszym w narodzie Pasterzu spodziewać należy. Zaszczycałeś JOMKsiążę Dobrodzieju bytnością swoją Akademią krakowską, odbierałeś z jéj czynności sprawę w formowaniu umysłów uczącéj się młodzi do nieskazitelnych obyczajów i do téj świętéj religii katolickiéj, którą nam przedwieczna prawda, Bóg Jezus Chrystus, na zbawienne dusz prawowiernych pożycie nieomylnie na-

dał. Téj świętéj religii uwłaczać i przeciw niéj mową pismem, lub uczynkiem wykraczać, przyznasz WKs. Mość za występek najsroższy, ujmujący nietylko prawom kardynalnym krajowym, ale i boskim. Takowego przestępcę przechowywać, bronić, onemu sprzyjać albo bezkarnego zostawić, byłoby to ściągnąć na siebie toż samo względem ś. religii zdanie i porozumienie, na jakie zasługuje sobie każdy bluźnierca; oraz wystawić cały naród i religią na dalsze a coraz gorsze przypadki i niebezpieczeństwa. Jesteś JOMKsiążę Dobrodzieju świadkiem owéj dyssertacyi z historyi kościelnéj czytanéj przez JX. Boguckiego, akademika i kapłana. Przekonał on aż nadto całą publiczność, jak lekce poważa Zbawiciela prawdy, kiedy Hussa i Hieronima Praskiego, owych to srogich przeciw religii buntowników, aż pod niebiosa wychwalał, a święte *Concilium*, z natchnienia Ducha Bożego ogłaszające prawidła religii lub potępiające zdania bluźnierców, sam potępiał, onemu naganiał, i za najistotniejszy błąd poczytał, że się nie poznało na zdaniach tych dwu wiarołomców. Naganiać takowe czynności świętemu *Concilium* jestto nie przyznawać, iż w zamiarze religii sam Chrystus Pan zesłaniem i natchnieniem Ducha Bożego radzących na tém świętém zgromadzeniu wspiera, onych oświéca i nieomylnie naucza, co jest i być powinno artykułem wiary świętéj, lub co jéj się sprzeciwia: słowem nie przyznawać téj prawdy dla świętych *Conciliów* objawionéj przez samego Stanowiciela religii, jestto całą świętą Chrystusową wiarę z gruntu obalać. Że takim jest JX. Bogucicki, nie potrzeba dowodów; sam się dostatecznie wynurzył w swojéj dyssertacyi; przeto na jakie zasłużył sobie kary, nie jestto w naszéj mocy Zwierzchności przepisywać: o tych tylko rozciągnienie jak najtroskliwiéj dopraszać się, które

prawem boskiém i krajowém narodu polskiego są przepisane na wiarołomców."

„Jeżeli w obecności Najjaśniejszego Pana, obrońcy i protektora ś. religii katolickiéj, jeżeli w obecności WKs. Mości czułego i gorliwego pasterza i prezesa swego oraz przy znakomitém zgromadzeniu obywatelstwa duchownego i świeckiego, śmiał przeciwko religii oczywiście bluźnić; jakiéj mamy po nim spodziewać się nauki z lekcyj prywatnych dla naszych alumnów sposobiących się do stanu duchownego? ([14]). Mamy w duchowieństwie naszém nie mało kapłanów wyszłych po części z pod edukacyi i nauki JX. Bogucickiego. Wrzało aż dotąd w ich sercach nieukontentowanie z jego lekcyj, chwiały się ich umysły względem wyboru zdań nowych, a zawsze gorszących, rozsiewanych przez tegoż professora na lekcyach swoich; dopiéro teraz gdy cała publiczność wołać zaczęła *o poskromienie i niecierpienie w kraju naszym tak wielkiego bluźniercy*, wynurzać zaczynają: jakie nauki i maxymy wpajać w ich umysły starał się. Dzięki Bogu, że się publicznie tych zdań i nauki wyrzekają; ale na przyszłość któż się odważy na duchownego edukować przy podobnych lekcyach lub wyedukowanego do owczarni Bożéj przypuścić? Chyba ów, któryby będąc tegoż porozumienia, chciał na wszystkie przypadki wystawić całość religii, narodu i duchowieństwa naszego. Zabraniają prawa neofitów do duchowieństwa i katedr professorskich teologicznych przyjmować; wszelako w duchowieństwie i akademii mieści się JX. Bogucicki, który mając ze krwi przodków swoich niewierności ducha, skutkiem okazuje: jak srogiém a przyszłości smutném i okropném grozi niebezpieczeństwem, wzywać

([14]) Zdanie Kołłątaja o ułożonéj przez Bogucickiego historyi kościelnéj znajdziesz niżéj przy wykazie jego prac naukowych.

neofitów do stanu duchownego i nauczycielskiego teologicznego. Poznajesz, JOMKsiążę Dobrodzieju, jak mocno skrzywdził duchowieństwo i akademią ile kapłan i nauczyciel; jakaby hańba spadła na zwierzchność duchowną i edukacyjną, gdyby przy swojéj funkcyi duchownéj i nauczycielskiéj miał dłużéj zostawać, i jakieby stąd nieszczęśliwe wynikły konsekwencye, wynurzyć obowiązkiém jest naszym. Oto czekają tylko gorliwi obywatele roku szkolnego, w którym, gdyby JX. Bogucicki nie był oddalony od funkcyj swoich i z kraju się nie wyniósł, *podałby sam siebie oczywistemu niebezpieczeństwu*, a obywatele zanosiliby zażalenia swoje do wszech magistratur apostolskich i krajowych, nie przestawaliby mówić na sejmikach i sejmach; pokądby skrzywdzona publiczność przyzwoitéj nie wymogła sprawiedliwości.

Przyjmij, JOMKsiążę Dobrodzieju, tkliwe duchowieństwa wyrazy i prośby; chciéj zaradzić téj nieprzyzwoitości i niebezpieczeństwu wypadającemu dla religii, narodu, duchowieństwa i akademii; dozwól JW. Suffraganowi krakowskiemu listem ogólnym nas wszystkich po dekanatach zapewnić o mającéj wkrótce nastąpić publicznéj satysfakcyi; a po tém odebraném zapewnieniu będzie naszą powinnością zajątrzone obywatelów serca i umysły uspokajać i łagodzić oraz wiecznemi czasy wielbić gorliwego Pastérza, obrońcę i protektora religii, narodu, duchowieństwa i akademii.“

(Dokończenie nastąpi).

WIADOMOŚĆ
O ZWIĄZKU FILANTROPIJNYM
w Krakowie.

Aby uwiecznić w Krakowie pamięć bytności w województwie krakowskiém króla Stanisława Augusta w r. 1787, nie długo po jego z téj stolicy wyjeździe, Felix Oraczewski, ówczesny rektor Szkoły głównéj, ogłosił drukiem wezwanie do spółobywateli, a razem dołączył projekt związku filantropów, którzyby ku zachowaniu téj pamiątki zjednoczeni, pieniężne wnosili składki na nagrody dla osób klasy rolniczéj, przemysłowéj i t. p. pobożnością, moralnością, pracowitością oraz usposobieniem lub wiernością celujących. Nagrody te, w stósunku wniesionéj składki i podług użyteczności wynalazku lub wysługi publicznéj, jako téż potrzeby istotnéj, z wielką uroczystością rozdawane bywały.

Ponieważ związek ten, prócz krótko skréślonego projektu przez jego założyciela, nie miał żadnych ustaw, i tylko lat kilka utrzymywał się; dla zachowania więc pamiątki godnych uwielbienia i prawdziwie obywatelskich usiłowań Oraczewskiego, nie od rzeczy będzie podać tu krótki rys tego zjednoczenia, któremu, gdyby się było dłużéj utrzymywało, zapis Bogucickiego przy podobnych następców chęciach, jakiemi Oraczewski był ożywiony, wieczną trwałość nie wątpliwie byłby zapewnił.

Oraczewski w ogłoszonym przez siebie projekcie oświadczywszy, iż chętnie zaczyna tę pomocną dobru powszechnemu składkę, złożywszy 5 czerw. złotych, takową summę co rok na ten cel do kassy filantropów obowiązał

się wnosić. Aby zaś ułatwić sposobność tym, którzyby do tego z wielu miar chwalebnego połączenia się przystąpić chcieli, otworzono księgę w kollegium w sali jagiellońskiéj, w któréj każdy chcący do filantropów należéć zapisywał swoje nazwisko z oznaczeniem summy, którą miał składać. Czyli ta księga była rzeczywiście utrzymywana, nie jest mi wiadomo; z wydrukowanego atoli spisu członków przy końcu mów podczas uroczystości rozdawania nagród czytanych, pokazuje się, że zapisanie się do związku filantropii tylko na rok jeden obowięzywało. Na sekretarza tego towarzystwa uproszony był bibliotekarz i prof. Jacek Przybylski. Projektujący ze względu, jak się wyraził, żeby istotniejszy był skutek tak pożytecznego zamysłu, radził, żeby mniéj nad dwa dukaty nie składano. Do zbierania składek miała być przygotowana i zapieczętowana karbona zamknięta trzema kluczami różnéj wielkości, z których jeden osobie duchownéj, drugi obywatelowi województwa, trzeci zaś jednemu z akademików miał być powierzony.

Składającym towarzystwo filantropów służyło prawo podawania osób do nagrody bądź z rolniczego stanu z okolicy trzech mil około Krakowa, bądź z rzemieślników piérwszéj potrzeby, bądź z innéj części przemysłu, bądź nakoniec z doświadczonéj przynajmniéj przez lat 20cia wierności i zręczności w usługach. Podani powinni byli składać wiarogodne świadectwa o swéj pobożności, moralném życiu, trzeźwości i t. d. zapewniające. W niedzielę na tydzień przed uroczystością, na którą ostatnią niedzielę przed ś. Janem Chrzcicielem przeznaczono, zbierali się filantropowie na amfiteatrze szkół Władysławsko-nowodworskich celem naradzenia się i umówienia, komu z ubiegających się

nagroda większością głosów najsprawiedliwiéj miała być przysądzona.

W dniu uroczystości towarzystwo wraz z osobami na poprzedniém posiedzeniu za godne nagrody uznanemi, którym na znak, że były wybrane, bukiety z róż i innych ogrodowych kwiatów u lewego boku przypinano, zgromadzało się do kościoła ś. Anny; gdzie śpiéwano wotywę na intencyą odbierających nagrody, oraz i tych, którzy się w tak zbawiennym celu połączyli. Wśród nabożeństwa wybrani do nagrody, po wyspowiadaniu się, przystępowali do najświętszego Sakramentu, który z rąk celebrującego przyjmowali.

Po skończoném nabożeństwie cały orszak udawał się na amfiteatr szkolny tysiącem ciekawych widzów już napełniony. Skoro się liczne zgromadzenie usadowiło, wybrane do nagrody osoby zasiadały na stopniach tronu okrywającego portret króla Stanisława Augusta, od którego spadająca girlanda z kwiatów, kłosów i dębowego liścia uwita, łącząc się z wieńcami dla zasłużonych przeznaczonemi, wyobrażała związek téj szczęśliwéj harmonii między cnotliwymi i królem. Gdy wszystko ucichło, zabierał głos jeden z professorów filantropów, a po ukończeniu mowy do uroczystości zastósowanéj, wzywał każdą z wybranych osób, żeby przystąpiła do odebrania nagrody jéj przyznanéj; przy tém oddawał należne zalety jéj cnocie, pracowitości i t. d. Uproszona dama lub panienka wręczała te nagrody.

Skréśliwszy w krótkości zasady związku filantropów, i wspomniawszy, jakim sposobem uchwalone przez siebie rozdawało nagrody, nie odstąpię od rzeczy, kiedy i o liczbie jego członków, o jego funduszach i o ilości nagro-

dzonych osób w krótkości nadmienię; zwłaszcza, że ciekawe te szczegóły teraz całkiem są nieznane.

Przełożony Królowi tak zbawienny projekt, nie tylko że mile został przyjęty; ale nawet pełen ludzkości Monarcha chciał, żeby i jego imię w liczbie filantropów było umieszczone.

Uroczystość rozdawania nagród, która się w piérwszym roku (1787) zawiązku filantropów 30 grudnia odbyła, w roku następnym dla wygody powszechnéj raz na zawsze na ostatnią niedzielę przed ś. Janem, jako najbliższą epoce czasu bawienia Króla w Krakowie, przeniesioną została.

W r. 1787, jako piérwszym swego zawiązku, towarzystwo filantropów, oprócz Króla, 27 członków liczyło: między tymi było professorów lub do korporacyi Szkoły głównéj należących osób 16, tudzież dwie damy, razem 18; obywateli z prowincyi 3, obywatelek 2, mieszczan krakowskich 2, duchownych nie professorów tylko 2 t. j. Seb. i Wacław Sierakowscy, kk. kr. Ogółem 27 osób.

Co do składek: z tych największych po 5 dukatów było 2, po 4 d. 1, po 3 d. 6, po 2 d. 18. Razem 68 dukatów. — Rozdano 9 nagród: z tych dwie po 108 a siedm po 216 złotych wynosiły. Otrzymali je: rolnik, rolnicza i mechanik, pasiecznik, cieśla, akuszerka, sukiennik, dwie prządki wełny w fabryce sukiennéj i kredencarz. Z pozostałych w kassie 22 dukatów, jedenaście wniesiono do składki na roboty około kanałów dla czyszczenia miasta Krakowa; resztą zaś składkę na powszechny smentarz za miastem Krakowem pomnożono.

W r. 1788 było członków 30, prócz garnizonu krakowskiego, którego ilości osób nie oznaczono: między tymi 14tu z korporacyi Szkoły głównéj i dam dwie, razem

16; obywateli z prowincyi 8, obywatelek 4, mieszczanin 1, duchowny 1 (Sołtyk Michał). Nagrodę po 216 złp. otrzymali: 2ch rolników, żołnierz, ogrodnik, cieśla, posługacz chorych w szpitalu, stolarz, drukarz; nadto przysłanemu z Kozienic na naukę chirurgii, a w tym roku do szkół krakowskich uczęszczającemu Janowi Mazurkiewiczowi, dano nadzwyczajną 324 złp. wynoszącą nagrodę za to, iż z narażeniem własnego życia w dniu 27mym maja t. r. stojący na téj stronie Wisły na piérwsze zasłyszenie, że na drugim brzegu toną dwaj młodziency, rzucił się w rzékę, którą przebywszy, gdy pędem gwałtownéj wody pogrążonych i już na dnie Wisły osadzonych widziéć nie mógł, płynąc pod wodę, pilnie ich wyszukał, i jednego po drugim szczęśliwie wydobywszy, przy pomocy jednego ze swych spółuczniów do życia przywrócił.

W r. 1789 związek ten liczył tylko 22 członków t. j. 12tu z grona Szkoły głównéj i żona rektora, razem 13 osób; obywateli z prowincyi 4, obywatelek 3, mieszczanin 1, duchowny 1 (Michał Sołtyk). Nagrodę po 200 złp. otrzymało siedm osób, jakoto: rolnik, akuszerka, szwaczka w usłudze szpitalnéj, niewidomego ojca i matkę chorą z pracy rąk swoich od lat kilkunastu utrzymująca, prządka z fabryki sukiennéj, szewc, strażnik skarbowy przez 24 lat wiernie rządowi służący, ośmdziesięcioletni posługacz kościelny, niegdyś rzemieślnik i mieszczanin krakowski. Nadto przeznaczono 12cie dukatów dla patrona miejskiego, któryby się podjął stawać w obronie praw ubogich siérot.

Kiedy w drugiéj połowie 1789 roku Oraczewski od stéru Szkoły głównéj koronnéj do innego powołany zawodu, z Krakowa się oddalił, połączenie filantropów bez-
biły, która nie zawsze była przykładną, nie zawsze szla-

stałego funduszu, jedynie wpływem jego i zabiegami przez lat trzy utrzymywane, zupełnie się rozchwiało.

Pisma drukowane do tego stowarzyszenia odnoszące się, są następujące: *a) Projekt związku filantropów i t. d. p. Felixa Oraczewskiego* 4 *kart* 4to. *b) Trzy obwieszczenia* 4to. *c) Opisanie wtoréj uroczystości* 4to. *d)* Dwie kartki *doniesienia* w małéj 8ce. *e) Doniesienie* in fol. wykazujące, kto i ile w roku 1787 wniósł składki; nakoniec *f) Trzy mowy*, z tych jedna Marcina Fiałkowskiego na drugiém, dwie zaś Jacka Przybylskiego na piérwszém i na trzeciém posiedzeniu miane, w 4tce wydane.

PANNA MARS.

Damy w Paryżu pod przybraném nazwiskiem, byłéj garderobiany téj sławnéj artystki, wydają w pewném paryzkiém piśmie damskiém, wiadomości z prywatnego jéj pożycia. Jestto szczególne zjawisko, ażeby pod oczami żyjącéj osoby pozwalać sobie podobnych niedelikatności. — My niemając z indywidualnością panny Mars bliższych stosunków, pozwalamy sobie niektóre wyjątki z tych pamiętników w naszém piśmie zamieścić.

Rzućmy na chwilę okiem we wnętrze tego pełnego tajemnic i wsławionego budoaru; jest on przybytkiem drugiéj Niny de l'Enclos, nad którą ani lata, ani ząb czasu nie śmié swéj siły wywiérać: jest on pomieszkaniem kobiéty, która nie zawsze była przykładną, nie zawsze szla-

chetną, ale która urok przyjemności, rozsądek i siłę wyobraźni w najwyższym posiada stopniu.

Teraz, gdy już bożyszcze świątynię opuściło, — gdy panna Mars na scenie już nie występuje, zdaje się, że następujące szczegóły jéj życia nie będą bez powabu. — Panna Mars żyje jeszcze na wielkim świecie; w wieczór podczas przedstawień sztuk scenicznych piérwszego rzędu, widziéć można kobiétę 60 letnią z krótkiemi rękawkami, wygorsowaną, z rozpuszczonemi lokami, siedzącą w loży obok swego adjutanta panny A m i g o, artystki z teatru włoskiego.

Panna Mars jest nadzwyczajnie żywą, drażliwego temperamentu; jéj pamięć, która dawniéj tak słynną była, niema już swéj młodocìannéj siły. Czy to przypadkiem nie zazdrość, z powodu odnoszonych zwycięztw nowych koryfeów w świątyni Melpomeny, przyćmiła jéj ducha? I toby być mogło, bo coś podobnego już często dało mi się słyszéć.

Wstąpcie teraz czytelnicy ze mną do tego domu, przypatrzcie się bliżéj téj damie, która o piérwszéj godzinie po południu jeszcze w łóżku leży..... To panna Mars, moja pani. — Na głowie ma piękny czépek, obszyty suto blondynami, a pod poduszką leży broszura nowéj sztuki, któréj próba w téj chwili w teatrze się odbywa. Na stoliku stoi lampa, która całą noc się pali, a przy niéj flakon napełniony wodą z kwiecia pomarańczowego, najskuteczniejsze lekarstwo na kurcze téj sławnéj kobiéty. — Trzy razy mnie dziś w nocy budziła. — Maryo, która godzina? Północ, łaskawa pani. — Północ, dopiéro północ a jak też długo ta noc się ciągnie!... Maryo, podaj mi drugi tom M a r i v a u x, jeszcze raz muszę przeczytać! — To jest, proszę pani. — Maryo, popraw ogień na kominie —

ten pokój, to prawdziwa jaskinia lodowa. — I tak idzie co noc.

Piérwsza godzina bije, pukają. Lecz panna Mars nie przyjmuje w łóżku wizyt, wyjąwszy tylko zaufanych swych przyjaciół i znajomych, jak n. p. pana Scribe; ale to temi czasy gdy on na teatrze francuzkim występował. Tak, to w ten czas, gdy jeszcze pan Scribe nie był takim sławnym, był i dla mnie grzeczniejszym; bo ile razy przyszedł pani mojéj role odczytywać, to wprzód pogłaskał mnie po twarzy, a przymilając się bez ustanku mówił: „moja Maryniu“ „moja Maryo,“ istne miłostki... ale późniéj, jak się tylko z panną Mars lepiéj zapoznał, to ledwie dzień dobry wybąknął, a w końcu już i rzadko bywał; przypada to właśnie w téj porze, gdym się oddalała ze służby.

Kamilla szwaczka zastaje panią jeszcze w łóżku. O wtenczas to były najśmieszniejsze sceny! Wtenczas gdyby nawet cała akademia francuzka była temu *lever* przytomną, panna Mars nie mogłaby się pewnie wstrzymać z wybuchem wrodzonéj popędliwości.

Kamillo, to jest okropnie, to niegodziwie, oczywisty spisek, Wpanna mi robisz suknie za obszerne w talii, a za ciasne w gorsie. Wczoraj podczas sceny ledwiem nie zemdlała, a ta złośliwa Mante (*) śmiała się serdecznie z mych cierpień! jeżeli Wpanna raz jeszcze coś podobnego uczynisz, skończy się nasza znajomość!

Bije pół. — Auterowie i szwaczki wynoszą się po cichu, aby nie przeszkadzać Bogini w rannéj toalecie. —

Sądzicie może, iż ona zaraz wstanie? o! mylicie się państwo; ma ona jeszcze pilną robotę załatwić; jeszcze nie przeglądała żurnali. — Leży tam na stole, *Currier*, *Constitutionnel*, *Débats*, *Siècle*, *Presse*, *Globe*, *Indépendent*, i

(*) Aktorka.

Bóg wié jeszcze jakie, słowem wszystkie, jakie tylko Paryż posiada.

Patrzcie jak raz blednieje, to się znowu rumieni.... tu pochwała, tam nagana, tu znowu krytyka, może i wiekowi nie przepuszczająca, to już zanadto goryczy....

Nieszczęsne żurnale, one to wyrokują czy pani przez cały dzień będzie w dobrym albo złym humorze! —

Przypominam sobie dobrze poczciwego Pana Wedel byłego dyrektora teatru francuzkiego. Drżał jak listek nieborak, wchodząc do naszéj świątyni i pytał mię: Mario czy w dobrym humorze? — Nie bardzo. — Do djabła, to źle. — Ma migrenę. — O! tom zgubiony, pewnie jutro nie będzie chciała wystąpić na scenę.

Biédny dyrektor z przestrachem wszedł do budoaru. Mój panie, rzekła p. Mars, cóż się to panu dzieje? chcesz jutro dać tę sztukę? Firmin twierdzi, że ani słowa z swéj roli nie umié, a to wchodzenie i ustępowanie ze sceny, odbywa się bez porządku; prawdziwie ta lekkomyślność jest nie do pojęcia. Apropos! wiesz P., że Janin wyśmiéwa się dzisiaj z naszego teatru; niedowierzaj P. temu człowiekowi, będziesz miał z niego nieprzyjaciela — pan wiesz, a przynajmniéj wiedziéć powinieneś, że jest kochankiem pewnéj damy, która teatr lubi, loża *Débats*, zajęta przez familią Bertin, poślij mu pan inną... Ale! ale, byłabym zapomniała, proszę pana bardzo, aby w orkiestrze nie siadali tacy młodzi i gadatliwi muzykanci, to psuje mój effekt... to mnie gniéwa i działa na nerwy.

Odszedł dyrektor zupełnie zmieszany.

W ostatnich czasach jéj świetności, gdy już z wielkim bólem serca podzielić musiała berło z panną Rachel, usiłowała jeszcze zachowywać te kaprysy rozpieszczonego dziecka, ale biada!.. Nowy dyrektor nie chciał

już zważać na podobne grymasy; — a następujący dialog jego z p. Mars pokazuje o ile już na swéj potędze straciła.

Pani jutro grać będziesz Elmirę w Świętoszku (Tartuffe).

Nie będę grała...

Ależ to jest jedna z główniejszych ról pani.

Tym bardziéj; dość, że gram, kiedy Geffroi gra świętoszka przedstawia, niech Mante weźmie tę rolę.

To nam zmniejszy dochód!

Ubolewam nad tém, ale występować nie myślę!..

Jeżeli pani grać nie będziesz, to jéj za karę miesięczną pensyą zatrzymam.

Co? mnie, piérwszéj aktorce?

Pani, tak dobrze jak każdéj innéj, wszyscy bowiem artyści w obliczu praw teatralnych są równi.

Po odejściu dyrektora, ja piérwsza garderobiana zostałam sam na sam z panną Mars. — Natura płci naszéj, po kilku uronionych łezkach, wzięła znowu górę; raz się śmiała, to znowu gniewała, to znow była dobrą, a w mięszaninie tych sprzecznych uczuć, podobną do brylanta, który tysiące promieni rozrzuca.

Maryo!.. podaj mi suknią... Maryo, zasznuruj gorset... ach! jakaś niezgrabna, ściskasz mnie za nadto..., tam... tu... przypnij chustkę, tu jednę kokardę, to za nisko, jeszcze za nisko... ach! głupie stworzenie i to chce być garderobianą... oj! gąski, gąski, tylko same siebie ubierać umieją. Jak kto przyjedzie uważaj... pan Lurine albo Soume, albo Dumas, to powiedz, że do domu nie wrócę... nie chcę, żeby mnie dzisiejszą literaturą karmiono, bo i bez niéj cierpię na niestrawność. — Jeżeli zaś pani Ancelot przybędzie, to jéj oświadcz, że o 5téj powrócę, może tu swój rękopism zostawić... ot! tylko się przypatrz temu lokowi, mogą myśléć, że przyprawiony —

najmniejszego nie masz gustu, o sto lat mnie starszą robisz! Podaj mi szal... powóz czy zajechał? Nie zapomnij też włożyć karmelków, którem dla dzieci p. Montrose kupiła; pojadę tam skoro wrócę z próby... podaj mi woreczek z pieniędzmi... a są w nim pieniądze? — Włóż tam co do niego. Nie wpuszczaj do pokoju nikogo, a jeżeli z kwitami za żurnale przyjdą, to zapłać zaraz. Jeżeliby zaś p. Karol Maurice z redakcyi teatru *Courrier des Théâtres* chciał mnie odwiedzić, to mu zgrabnie nadmień, że ja także mam zamiar być u niego. Bądź zdrowa, a pamiętaj o wszystkiém, com ci powiedziała.

Po tych kilku słowach, wszechwładczyni moja wsiada do powozu, kazawszy woźnicy jechać do *Théâtre français*.

Po odjeździe méj pani musiałam naprawiać nieporządek będący skutkiem kunsztu, jak się czasami wyrażała panna Mars. Na krawędzi kominka można było spostrzedz jak gdyby od niechcenia, resztki hiszpańskiego cygara, które Alexander Dumas poprzedniego wieczora palił; to znowu w inném miejscu, małe figurki z papiéru, które Victor Hugo mojemi nożyczkami wystrzygał.

Wiktor Hugo, jest dobrego wzrostu, przystojny męszczyzna; on to niekiedy dla méj świéżości nazywał mnie panną z jabłuszkową twarzyczką. Daléj były kunsztowną robotą wykładane plamy od farb na stole rozcieranych, pamiątka po malarzu Lépaule, owym brodatym malarzu, prawdziwym djable hiszpańskim, który podczas wieczorów gdy wszyscy rozmawiali, szkice sobie rysował. — A! oto! leży tomik *Liaisons dangereuses*, w których panna Anaïs, ta młodociana naiwność, udaje, że czyta w chwili, gdy rozkochany w niéj hrabia * * * rozpłomienia się u nóg swego bóstwa.

Tu, w tych puszkach jest róż i bieliłko, dwa kolory najstósowniejsze dla każdéj aktorki, któréj talent dwie postacie miéć musi. Biały przedstawia ciało, bladość, przestrach, śmierć; kolor zaś czerwony, piękność, świéżość, młodość, niewinność, miłość — jedném słowém trajedyą i komedyą...

W téj chwili nadchodzi roznosiciel listów, z tysiącem rozmaitości; bilety bez podpisu, oświadczenia miłości, wiérsze, propozycye angielskich i rossyjskich milionerów: trudnoby uwierzyć, ile tysięcy listów p. Mars corocznie odbiéra. Talma już raz powiedział, że poczta znaczne jéj winna wynagrodzenie.

Wybornie! już wszystko poustawiane... a moja troskliwa rączka zatarła ślady disharmonii, która jeszcze przed chwilą tu była... zadanie rozwiązane. Teraz oczekiwać trzeba odprowadzenia téj bogini Melpomeny do jéj przybytku, a co się tam dziać będzie, (NB. za kulisami), to niech posłuży za przedmiot do dalszéj biografii naszéj bohatérki.

Dwutygodnik literacki *wychodzi dwa razy w miesiąc to jest 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Staraniem będzie wydawcy, aby i w urzędach pocztowych Królestwa Polskiego, Galicyi i W. Księstwa Poznańskiego ułatwić żądane zapisy; tu zaś w Krakowie przyjmuje się przedpłata w* Nowéj Księgarni.

DWUTYGODNIK
LITERACKI.

N. 3. Kraków dnia 1 Maja. 1844.

ALLELUJA.

Do góry! o bracia moi!
W niebo myśl wasza i oko;
Choć niebo chmury zawloką,
Tam słońce wiecznie nieruchome stoi!

Na niebie jest słońce jedno,
Jedna myśl wielka w człowieku,
Raz się objawi w półwieku,
By błyszczéć nad ziemią biedną!

Z oczów miliona
Uwiążmy słońce,
Zapalmy myśli błyszczące
A ciemność skona!

Tylko w górę, tylko w niebo,
Myśl! oczy!
A nad rodzinną glebą
Nowe słońce krąg roztoczy!

Na krzyżu Zbawiciel przybity,
Gdy konał w męczarniach bez końca,
Pogodne oko w błękity
I pogodniejsze myśli wzniósł do słońca!

Bo na niebie miał Ojca we światłości stoku
Dla ziemi ojcem się stał,
I godność ojca w Jego zajaśniała oku,
I pogodną duszę miał!

W męczarniach życia, o! bracia moi,
Choć gwoździe przebiją ręce,
Wy zapomnijcie o męce
I wzrok zawieście u niebios podwoi!

Daremnie plugawe żydostwo
Plwało w twarz i ciało siekło,
I królujące ubóstwo
Wlekło pod krzyżem, aż na krzyż zawlekło!

Trzy razy upadł na głaz,
Trzy razy wstał,

Lecz zbawił nas,
Bo duszę ojca miał;
Odwalił grobowy głaz,
I Bogiem z grobu wstał!

O! i wam orlemi pióry,
Z pleśni grobowéj wylecić!
Uczciwą sławą zaświecić,
Do góry bracia! do góry!

Myślą, jak laską Mojżeszą,
Bić w skałę, a źródło tryśnie;
Nad ludzką znędzniałą rzeszą,
Tęcza przymierza zabłyśnie!

O! bracia moi, ku niebu!
Bo na tym padole płaczów,
Ludzie — to naród tułaczów —
Od kolébki do pogrzebu!

Więc by tułactwo osłodzić,
Wzbić się nad siebie potrzeba,
A z siebie przyszłość urodzić.
Do nieba bracia! do nieba! —

Pisałem w Krakowie d. 16 Kwietnia 1844 r.

Edmund Wasilewski.

HUMORYSTYKA

JESZCZE COKOLWIEK O SOBIE, ALE JUŻ NIECO I O DRUGICH.

Z owego kpij najbardziéj, co nos górą nosi!..
Niby Pan — niby mędrzec, a hebes i goły.
Butny... jak się w czeladnéj izbie rozkomosi,
Gotów służyć z farfurą... kędy pańskie stoły.
. . . .
Owóż łatwo figlować, kto ma swe sposoby,
Różnych trzeba fortelów... na różne osoby.

Statut błazeński Jana Dzwonkowskiego. Wydanie nowe

Jeżeli jakiego zwyczaju ojców naszych żałować szczérze wypada, — że zagasł, że się zatarł w nowszéj a cudzoziemskiéj ogładzie naszéj, to zapewne zwyczaju utrzymywania po możniejszych domach, tak zwanych błaznow, trefnisiów, — ludzi, którzy bacząc na ich bardzo niegdyś rozciągłe przywileje, — dziś podobno więcéj, niż kiedy indziéj, byliby potrzebni i przydaliby się w towarzystwie naszém!... Nie przeto, żebym się ważył utrzymywać, aby towarzystwo, w którém żyjemy, nie mogło się *à la rigueur*, gdyby chciało, wykazać nie małą liczbą i to bardzo pięknie zachowanych exemplarzy figur, jeżeli nie zupełnie tego rodzaju, to przynajmniéj tego samego nazwiska! — Broń mnie Boże od takiéj współczesnych kalumnii!... jednakże, jak niezaprzeczoną nawet może być rzeczą, że i dziś jeszcze plączą się błazny pomiędzy nami; — tak równie żadnéj nie podpada wątpliwości, że to są błazny 19go ale nie 16go wieku; że dawne swoje przywileje wymienili na nowsze; że jedném słowem są to błazny *à rebours* tych, o których wspominają: Trztyptycki, Dzwonkowski, Rej i Siarczyński.

W jakiém znaczeniu używany był u nas w 16m wieku ten przydomek *błazen*, dowiedziéć się może najłacniéj z pism Wójcickiego, ktoby nie miał ochoty, lub czasu wartować ksiąg innych, starych i zbutwiałych. Wójcicki w starożytnych obrazach swoich zebrał treściwie nie tylko wszystkie możebne definicye i rysopisy téj nader ciekawéj postaci, napotykanéj niegdyś w Polsce na królewskich równie jak i na szlacheckich dworach; ale nadto obeznał nas z historyą i życiem wielu z celniejszych konfraterni błazeńskiéj, którzy bądź umieli sobie zarobić na imię jakiekolwiek, bądż téż zasłynęli jakimś wyrazistszym psikusem lub dowcipem! — Imiona więc i życie, figle i ucinki Bieniasza, błazna na dworze Szydłowieckiego,— Jaśka, błazna na dworze Piotra Kmity,— Gąski, na dworze Zygmunta Augusta,— Stańczyka, (którego sam poważny Bielski osobliwym błaznem nazywa), Stańczyka więc, błazna nadwornego trzech po sobie panujących królów,— Rijalta, na dworze Zygmunta III., — Słobikowskiego, Zięby, Wojtaszka i innych;— nareszcie imię i czyny Winnickiego, nadwornego błazna Jana III; co to na przekór narodowéj bucie królowéj Jejmości, żonie swego Pana... osadził Francuza na kurzych jajach, i w téj pozyturze okrytego kołdrą i wysiadającego kurczęta... na śmiech zgromadzonego dworu wystawił... imiona powtarzam tych wszystkich bohaterów starożytnego błazeńskiego cechu, żyć będą w historyi naszéj, i późnéj dojdą potomności; bo każdy z nich miał swego dobrodzieja, obrońcę i wielbiciela, a wszyscy razem wzięci, mieli swych kronikarzy i bijografów...

Inaczéj się ma rzecz, niestety, z dziedzicami tego nazwiska, czy téż tytułu pomiędzy nami. I zdaje się, że los niesprawiedliwy zupełnemu zapomnieniu ich poświęcić za-

myśla. — Nie tylko bowiem nikt, ile mi przynajmniéj wiadomo, nie zajmuje się utrzymywaniem porządnego regestru współczesnych nam błaznów; nie tylko nikt nie spisuje ich życia, ani w właściwe kroniki nie zapisuje ich czynów i rozmaitych powodzeń; ale co gorsza, pomiędzy nami nawet samemi nie ma dotąd na to zgody: coto jest błazen 19go wieku, i w jakiém istotnie znaczeniu starożytny ten przydomek dziś używanym bywa.

Przecież, gdy to jest przedmiot połączony ściśléj, aniżeli się komu zdawać może, z moralną stroną towarzystwa naszego, godzi się nad nim zastanowić się z uwagą; godzi mu się przypatrzyć wszechstronnie, rozebrać go jak należy i zgłębić, ażeby, jeżeli można, dojść nareszcie raz do ustanowienia jasnéj i nie wątpliwéj definicyi stworzenia w naszym oświeconym wieku, nazywanego powszechnie *błaznem*.

Błazna o takich prerogatywach, jakich używał niegdyś w Polsce, dalekoby szukać potrzeba; anibyś w innych krajach nie napotkał podobno najmniejszego śladu! — Hiszpańskie gracyozy, niemieckie hanswursty, francuzkie trufaldyny, żokrysy, a nawet tak zwani: „*fous du Roi en titre d'office*, byli to wszystko płatni raczéj śmieszkowie, magacze koziołków, utrzymywani po dworach dla rozweselenia pana i jego przyjaciół, aniżeli trefnisie, obowiązani, albo tylko upoważnieni, do mówienia komu bądź prawdy! — Wójcicki wyczytał w jakiémś angielskiém piśmie, — że nawet w Anglii, za czasów Edwarda II, płacono i grubo za pobudzenie monarchy do śmiechu. „Pod- „czas pobytu króla w Wolmir" (mówi) „dano dwadzieścia „szyllingów poganiaczowi Morris za to: że na łowach „przed królem często spadał z konia, i pocieszną swoją „figurą mocno go ubawił.". Byli tacy, co nadymali sobie

gębę, ażeby policzki, któremi ich pan częstował, głośniéj się odbijały i pobudzały do śmiéchu; i takich nazywano po łacinie *buffo*. Imieniem i urzędem nadwornych błaznów, znajdziesz także zaszczyconych histryonów (kuglarzy), petauristów (mietelników), skoczków i przedrzeźniaczy; ale napróżnobyś pomiędzy tą hałastrą szukał takiéj postaci, jaką była Stańczyka, albo téż Rialta w Polsce; — napróżnobyś między błaznami francuzkimi, angielskimi, lub niemieckimi, dopatrywał się powagi błaznów niegdyś polskich; napróżnobyś wreszcie w języku, jakim przemawiali tamci, chciał znaleźć dowcip, śmiałość, a nawet zuchwałość, jakie prawie zawsze cechowały mowę nadwornych trefnisiów w Polsce.

Jak wszystko w Niemczech, tak i szanowny cech błazeński znalazł swego kronikarza i historyografa.. Uczony Flögel napisał: „historyą nadwornych błaznów" (*), a rozczytawszy się w niéj, przekonać się dopiéro można, jak wielki przedział rozgraniczał w 16tym wieku błaznów polskich od błaznów reszty Europy. Flögel przyznaje, że we Francyi, oprócz Brusqueta i Angely nie było trefnisia w właściwém tego słowa znaczeniu; lecz że to, co się tam nazywało błaznem, zaledwie na imię Pierrota, lub Arlekina zasługiwało. — W Anglii, w długim szeregu lat, znalazł Flögel zaledwie dwie postacie, któreby się z Stańczykiem, Gąską lub Winnickim zmierzyć w przybliżeniu pozwoliły. — Tytułowany *King's fool* Henryka ósmego J. Heywood, słynął z pism dramatycznych i epigramatów, a Sergan *Famous jester* królowéj Elżbiety, miał być humorystą w guście czysto angielskim.

Co do Niemiec, pomimo jawnéj przychylności, z jakąby swoich rodaków pragnął odmalować i z téj nawet

(*) J. Flögel's Geschichte der Hoffnarren. — Leipzig 1789.

strony, nie może Flögel zaprzeczyć, że błazny niemieckie, nie potrafiły się nigdy wznieść nawet do stanowiska Brusqueta, Angelego, Hejwoda i Sergana. *Von gröberem Schrotte und mitunter derb zottenhaft waren die Narren an den deutschen Höfen*, powiada w tym dziełku, przechodząc do historyi błaznów swych spółrodaków... Pomiędzy koryfeami tego cechu w Niemczech wspomina tylko o błaźnie nadwornym Maxymiliana I, nazwiskiem Kunz von Rosen, który, obok gimnastycznych dzieł swoich, pozwalał sobie niekiedy bawić swego pana i dowcipem; natomiast chwali się Hanswurstem typu prawdziwie niemieckiego *(von ächt deutschem Typus)*, który pod imieniem Klaus der Narr albo Klaus von Ranstadt, miał słynąć swego czasu na dworach niemieckich. Klaus von Ranstadt urzędował przy boku 5ciu po sobie panujących regentów saskich i Flögel przyznaje, że sól attycka była minerałem zupełnie dla niego obcym, ale że za to używał soli kuchennéj pełnemi garściami; a tak wysoko ceniono wówczas w Niemczech ten gatunek soli, że w inwentarzu sporządzonym po jednym z książąt saskich, jego panów, Klaus der Narr położony jest, jako ruchomość, w cenie jak na owe czasy niesłychanéj, bo 80,000 talarów!

Zaprzeczyć wprawdzie nie można, że wpływ i użytek z utrzymywania na dworach książęcych trefnisiów, w właściwém tego słowa znaczeniu, podrzędne zaś i upokarzające stanowisko, jakie na[illegible] błazny zajmowały w 16tym i 17tym wieku w Niemczech, umieli czuć ludzie myślący swego czasu, jakimi byli np. Lamprechtner i Erazm z Roterdamu. Ten ostatni widząc, że błazen nadworny był wszędzie postacią *bierną* tylko, gdy wedle niego *czynną* był być powinien, że zamiast strzelać do drugich, i ranić wedle potrzeby i okoliczności, — służył

owsem tym drugim sam za tarczę, do któréj, jakby na celstacie jakim, ten tylko nie strzélał, kto nie chciał; Erazm więc z Roterdamu pisał i dopominał się głośno, „że każdy książę dwóch błaznów właściwie mieć powinien: jednego, któregoby sam mógł wyśmiéwać, drugiego, któremuby wolno być miało wyśmiéwać i księcia i jego „dworzan; bo inaczéj instytucya błaznów, w połowie tylko „wykonana, celu swojego chybia; i ani utrzymującym ją „w tym stanie, ani poświęcającym się jéj usłudze, nie „wiele przynosi zaszczytu!“

Sam nawet strój błaznów niemieckich świadczy, jak nizki w hierarchii i dworskiéj i towarzyskiéj zajmowali stopień. — Błazen w Niemczech musiał golić głowę, co tylko w ówczas u obłąkanych, niewolników, lub na ochydne skazywanych kary miewało miejsce; — tak ogoloną głowę stroił czapką błazeńską (*Narrenkappe* także *Gugel, Kugel, Kogel, etc.* od słowa *cucullus* zwaną), którą znowu zdobiły grzebień koguci i trzy ośle uszy. Nareszcie żeby téj barwie Hanswursta nie zbywało na niczém, błazen niemiecki musiał zdobić swoję czapkę, kryzę, a nawet obuwie dzwoneczkami, które zdaniem Erazma z Roterdamu miały wyobrażać odblask majestatu; rzeczywiście zaś były szyldem urzędu i rękojmią nietykalności osoby w nie przystrojonéj. — Bo rzeczywiście błaznom niemieckim w wynagrodzeniu zapewne braku innych prerogatyw i swobód, których nie używali, służył przywiléj nietykalności osoby, to jest: że ich nikt więzić, bić, ani do pracy ręcznéj zmuszać nie miał nigdy prawa. Temuto przywilejowi przypisać zapewne trzeba, że gdy w Hiszpanii, Francyi i w Niemczech czapka błazeńska z dzwonkami była w istocie zasłoną przeciw osobistéj niewoli, gdy w nię przybrany, posiadał tém samém rodzaj żelaznego

listu, freybriefu — przeciw inkwizycyi i samowolności i prześladowaniu możnych; wszystko co tylko w owych krajach i czasach nie ufało własnéj pięści, co tylko pracować mozolnie albo nie mogło, albo też nie chciało, — wszystko, co tylko nie miało dość odwagi, by stawić czoło napaści, lub co się osobistych nieprzyjaciół miało lękać powody; — wszystko to garnęło się pod sztandar błazeński, wyjednywało sobie u książąt świeckich lub duchownych, u biskupów, opatów, burgrafów lub baronów, tytuły nadwornych błaznów, a ustroiwszy głowę w opiekuńcze ośle uszy, wędrowało wolno po kraju; przysiadało się śmiało do stołów pańskich, i używało pewnego rodzaju swobody i osobistéj wolności. — Ważne te licencye przyznane na rzecz błaznów, prawem więcéj zwyczajowym aniżeli pisanym, były przyczyną, że Hiszpania, Francya i Niemcy zaludniały się wnet wędrownikami, którzy, pod opiekuńczą barwą błaznów, używali swobód nieznanych w ów czas innym klassom towarzystwa. — Niedługo też liczba ich wzrosła do stopnia, iże się poczęli łączyć w bandy, a dufając w nietykalność osób, dopuszczali się rozmaitych nadużyć, tak iż w końcu przyszło do tego, że sejmy państwa *(Reichs-tage)* w latach 1495 i 1575 musiały stanowić surowe ustawy przeciw nadużyciom nadwornych błaznów, osobliwie zaś tych, którzy, nie posiadając rzeczywiście tego urzędu, używali jednak jego przywilejów, na mocy przyznanego sobie tytułu, wyjednanego najczęściéj przez fawor, lub kupionego za pieniądze (*). — *(Dal. ciąg [illegible])*

(*) Staatslexicon T. 8 str. 37.

JÓZEF KANTY NEPOMUCEN BOGUCICKI.

(*Dokończenie*).

Skarga ta, odbiwszy się o konsystorskie sklepienia, w niezliczonych zabrzmiała echach; bo Kraków podówczas liczył około kilku tysięcy duchownych świeckich i zakonnych ([15]). Wzbudzony jéj odgłosem duch prześladowania, ze wszystkich stron spędzał na głowę Bogucickiego czarne chmury tysiącem ciosów brzemienne. Wszystko oddychało żądzą srogiéj kary; bo tłumacze nauki Chrystusa, stłumiwszy w sobie miłość bliźniego, którą nam boski Zbawiciel szczególniéj zaleca, tą zgubną namiętnością całe miasto ozionęli. Kto wié, czy Bogucicki nie uległby był losowi Husa, i nie odświéżył w pamięci Krakowian okropnéj sceny, kiedy Melchiorową Weigel palono ([16]); gdyby nie wpływy rektora Oraczewskiego, a nadewszystko światło dostojnego dyecezyi Administratora, połączone z prawdzi-

([15]) Woronicz, bisk. krak. w rapporcie swoim do Kommissyi Rząd. Wyznań Relig. i Oświécenia publicznego w Królestwie Polskiém w dniu 24 stycznia 1824 roku, do liczby 174 podanym, pisze: „Kraków, przy wstępie na tron Stanisława Augusta odpowiadającym orszakiem duchowieństwa, do 700 osób wynoszącym, ołtarze Boże uświetniał; teraz garstka ledwie 60 ofiarników dawne dobrodziejstwa Opatrzności obecnym pokoleniom przypomina.“ Że tu tylko o duchowieństwie świeckiém mówi, przekonać się można z Rubryceli dyec. krak. na r. 1823 i 1824.

([16]) Węgierski w *Slavonia reformata* pod r. 1539 str. 207 nazywa ją *Catharina Melchioris Zalasovii, senatoris Cracov. uxor.* Inni pisarze nie przywodzą jéj nazwiska. Że się Weiglową nazywała, świadczą akta jéj processu.

wie pobożną żarliwością o religią, któréj, jak Laktancyusz, ojciec kościoła chrześciańskiego, zaleca, nie morderstwy, lecz poświęceniem życia; nie srogością, lecz cierpliwością; nie zbrodnią, lecz sumiennością bronić należy (¹⁷).

Tyle udręczeń, tyle prześladowania, tak dalece wstrząsło już dwudziestotrzechletnią pracą w zawodzie nauczycielskim nadwątlone Bogucickiego siły; iż, upadając na sercu i wątpiąc azali go, otoczonego zewsząd niebezpieczeństwy, opieka ludzka od grożącéj mu zguby zasłonić zdoła, ostateczne w tym czasie majątku swego uczynił rozrządzenie. Testament ten, na wpół złamanym arkuszu, bez daty, w tym czasie napisany (¹⁸), jako najgruntowniej-

(¹⁷) Defendenda religio est, non occidendo, sed moriendo; non saevitia, sed patientia; non scelere, sed fide: illa enim malorum sunt, haec bonorum: et necesse est, bonum in religione versari non malum. Lactantii *Divinarum Institutionum* ed. Biponti lib. V. c. 19.

(¹⁸) W papiérach procesu o majątek po śmierci Bogucickiego, w protokule gdzie jest mowa o tém, czy się jego testament znaiduje, napisano: *„Testament teraz nie znajduje się, gdyż nagle umarł. Dawniéj w r. 1787 uczyniony znajduje się w magistracie krakowskim przez konsystorz przesłany.“* Sama treść testamentu dowodzi, że w tym roku musiał być pisany. Wspomina w nim bowiem o swojém w kollegium mieszkaniu, gdzie na dole drugą od bramy izbę po prawéj ręce zajmował; a więc jeszcze był professorem. Najważniejszym atoli dowodem, że ten testament przed drugą połową 1789 roku był napisany, jest ta okoliczność, że w nim Bogucicki 600 czerw. złot. zapisał filantropów związkowi, który jak się niżéj pokaże z wyjazdem Oraczewskiego z Krakowa w r. 1789, zupełnie się rozchwiał. Wreszcie to, że Bogucicki uprasza Kommissyą Edukacyjną, żeby tę jego ostatnią wolą, powagą i wzjętością swoją w narodzie utrzymała, tudzież owo wzywanie śmierci i zapewnienie, iż go znajdzie spokojnego, domyślać się każe, że nie,

sza i prawdziwie chrześciańska odpowiedź na uczynione mu bezbożności zarzuty, i najrzetelniejsze odbicie się jego zacnéj i szlachetnéj duszy, która dla dobra bliźnich była wylana, godzien jest zachowania; i dla tego przepisany ze znajdującego się w aktach sądowych oryginału w całości tu umieszczamy ([19]).

„W imię Boga wiecznego. Znając się być śmiertelnym, wzbudzam najprzód w sobie tę pocieszającą wiarę, która mnie we wszystkich goryczach i prześladowaniach wspiérała; że Bóg najlitościwszy, któremu otwarta jest niewinność serca mojego, mieć będzie miłosierdzie nad ułomnościami i słabościami nędznego i skazitelnego stworzenia, a jednak dzieła wszechmocnéj ręki i niezgruntowanéj mądrości. Byłem człowiekiem podobnym wszystkim innym ludziom, alem nie był złośliwym, czarnym i zdrajcą względem mojego bliźniego tak jak wielu było względem mnie, którzy za dobre przysługi oddawali mi najszkaradniejszą niewdzięcznością; przez potwarze, podstępy i najniegodziwsze sposoby, usiłując mnie zgubić na majątku i honorze. W rzeczy saméj do tego ich wszystkie dążyły kroki, aby mnie od wszelkiéj w stanie tak duchownym jako i akademickim promocyi oddalili. Wiadomy będzie sprawiedliwéj potomności rok 1787, w którym za moję dyssertacyą utrzymującą świętość, dobroć i

chorobą złożony pisał ten testament; ale w ciężkiém udręczeniu serca i niebezpieczeństwie, jakiém mu zagrażało owo oświadczenie duchowieństwa w skardze do administratora uczynione; iż gdyby się nie wyniósł z kraju na oczywistąby się zgubę naraził.

([19]) J. S. Bandtkie w swéj Historyi Biblioteki Uniwers. Jagiellońskiego na str. 151 przedrukował go w mylnéj kopii, i dla tego w kilku miejscach jest tam niezrozumiały.

wi zupełnie ufam. (Po wyrazie *ufam* wyciął nazwiska i co było, a na boku umieścił znaczek (*) z dopiskiem: *na miejsce tych obieram;* ale nazwisk nie dodał)... ofiaruję niektóre po mnie pozostałe sprzęty i naczynia srebrne. Za najwyższą zaś opiekunkę, tego testamentu obieram, i przez wszystkie najświętsze obowiązki upraszam Przeświętną Kommissyą Edukacyjną, która, powagą i wziętością swoją, w narodzie, zechce utrzymać moje rozrządzenia w zupełnym stanie; ażeby majątek mój, na który trzydzieści lat krwawym robiłem potem, na łup sępów, obce dobro szarpiących i cudzą pracą żyjących, nie poszedł.“

„Przychodźże już śmierci, jedyna przyjaciółko nieszczęśliwych i od jadowitéj zazdrości prześladowanych, a znajdziesz mnie spokojnie na ciebie czekającego. Boże, najwyższy twórco wszystkich jestestw, nieskazitelny początku prawdy i mądrości, sprawiedliwości wieczna, wszystkie rzeczy do istotnego porządku przywracająca, lituj się przez twoję nieskończoną dobroć nad nędznym narodem ludzkim; odkryj mu zasypaną rozmaitemi błędami i zabobonami drogę, aby trafił do niemylnéj ścieżki swego prawdziwego szczęścia. Światło twojéj łaski, i o losie każdego człowieka zawiadującéj twojéj niezgruntowanéj opatrzności, niech go prowadzi do czystego zdroju spokojności i bezpieczeństwa, które się na łonie twojéj nieograniczonéj wszędzie obecności znajduje. Wysłuchaj, Panie wielkiego miłosierdzia, ostatnie głosu mego tchnienie, a przyjmij w ręce twoje ojcowskie do niewzruszonéj i błogosławionéj wieczności, tkliwą, czułą, i najżywszemi dolegliwościami w dosyć smutném i burzliwém życiu swojém skołatą i udręczoną duszę jednego z najczulszych, a tém samém najnieszczęśliwszych ludzi w dzisiejszym toku świata mo-

ralnego. X. Józef Bogucicki mpp. *(Fa)vete et valete aeternum amici. Mors ultima linea rerum.*

Ale upadający Bogucicki pod brzemieniem prześladowania, którém żarliwość Krzysztofa Szembeka, biskupa płockiego, do żywego mu dojęła, naprożno wzywał śmierci i oświadczał, iż go spokojnie na siebie czekającego znajdzie; bo sprawiedliwa i niezgłębiona w swych wyrokach Opatrzność, chciała go zachować na opłakane czasy, w którychby, poświęcając Szkole głównéj ostatki sił swoich w zawodzie nauczycielskim starganych, przyniósł pomoc zagrożonemu zgromadzeniu; a tak, obyczajem prawego chrześcianina, odpłacił przykrości i niechęci, jakich w późniejszych czasach za tyle poświęceń i prac podjętych ciągle doznawał.

Aczkolwiek opieka księcia Prymasa, który, jakeśmy wyżéj wspomnieli, ujął się był za Bogucickim, potężnie go zasłoniła od jawnego prześladowania, nie mogła ona atoli stłumić podstępnie doskwierającéj mu złości, oraz wrócić mu przez tyle udręczeń znacznie skołatanego zdrowia. Jakoż często odtąd w chorobę zapadający, już w r. 1789 musiał jechać do wód zagranicznych dla poratowania słabnących sił swoich.

Następne lata, brzemienne w nieszczęścia krajowe, przeżył Bogucicki wśród naukowéj pracy i dolegliwych cierpień moralnych, wzniecionych w jego cnotliwéj duszy i tkliwém sercu przez ucisk i niedolą rodzinnéj ziemi, któréj, jak się w testamencie wyraził, gorącym był miłośnikiem.

Między wielu zbawiennemi ustawy, przez które poświęcające się zawodowi nauczycielskiemu osoby Komissya Edukacyjna do zamiłowania swego powołania zagrzéwać, tudzież do wytrwałéj gorliwości pobudzać je usiłowała, niepoślednie zajmuje miejsce postanowienie: iż professo-

rowie, oduczywszy lat 16cie, dwie trzecie części pensyi swojéj aż do śmierci pobierać mieli; i że daléj przy swéj katedrze tylko za jéj pozwoleniem pozostawać mogli ([23]). Korzystając Bogucicki z tego postanowienia, na posiedzeniu Szkoły głównéj w dniu 10 stycznia 1796 roku, po zajęciu Krakowa przez wojsko cesarsko-austryackie, uczynił oświadczenie: iż, jak tylko w roku bieżącym dopełni liczby lat dla zawodu nauczycielskiego przez Kommissyą Edukacyjną przepisanéj, z powodu znacznie zwątlonych sił swoich, obowiązku tego nadal nie będzie mógł sprawować; dodał nadto, że jakikolwiek los spotka osoby Szkoły głównéj, ten chętnie i on zarówno ze wszystkimi znosić będzie.

Zagrożona następnie upadkiem Szkoła główna, nie mogąc się utrzymać przy zasadach instrukcyi publicznéj pod swój stér od lat kilkunastu oddanéj, nad tém szczególniéj przemyśliwała, jakimby sposobem wielom ze swych członków, co na tak ważnéj posłudze krajowéj najpiękniejszy swój wiek strawili, los zabezpieczyć i spokojne utrzymanie na ich ostatnie lata zapewnić im mogła. Naradzając się w tym celu na posiedzeniu swojém w dniu 10 stycznia 1796 r. Szkoła główna, zgodziła się na wysłanie do Najwyższego Rządu Austryackiego delegacyi z dwóch osób, któréj plenipotencyą w języku łacińskim dać postanowiła i do napisania jéj Bogucickiego wezwała. Jemu téż wraz z Janem Śniadeckim, Wincentym Szastrem i Jackiem Przybylskim, było poruczone instrukcyi w języku polskim i francuzkim dla rzeczonéj delegacyj ułożenie.

([23]) Ustawy Kommissyi edukacyi narodowéj dla stanu akademickiego i na szkoły w krajach Rzeczypospolitéj przepisane, w Warsz. 1783. fol. str. 10.

Lubo przedstawione projekta plenipotencyi i instrukcyi dla delegowanych w dniu 15 stycznia na pełném Szkoły głównéj posiedzeniu zgodnie przyjęte zostały, atoli z przyczyny niedostatku wypływającego z powszechnych nieszczęść krajowych, dla którego nauczyciele, pomimo czynnego swego powołania, już od lat trzech (1793—1795) wcale pensyi nie pobierali, niepodobna byłoby i pomyśléć o téj delegacyi; gdyby tak ciężkiéj zgromadzenia potrzebie życzliwość kilku zamożniejszych członków chętliwie była nie zaradziła. Jakoż gorliwi o dobro szkoły professorowie Rafał Czerwiakowski, Felix Radwański, Franciszek Scheidt i Marcin Fiałkowski po 25 czerw. zł. a ksiądz kanonik i prof. Minocki 100 czerw. zł. na potrzebne wydatki dla mającéj się wyprawić do Wiédnia delegacyi ofiarowali z zastrzeżeniem, ażeby im ta summa z najpiérwszych do kassy Szkoły głównéj przychodów zwrócona została. Otrzymawszy tym sposobem potrzebny na ten cel fundusz, Szkoła główna zaraz na tém posiedzeniu przystąpiła do wyboru delegowanych, na których Bogucickiego wraz z Janem Śniadeckim większością głosów wybrała i powołała.

Wkrótce po swym wyborze delegowani udali się do Wiédnia, gdzie po przedstawieniu się ministrom i innym osobom do rządu wchodzącym, tudzież po złożeniu panującemu w uzyskaném posłuchaniu hołdu uszanowania, na powtórnéj przypuszczeniu siebie do Monarchy w dniu 24 lutego w długiéj nocie, w języku francuzkim podanéj, przedstawili stan Szkoły głównéj, jéj prawa i t. d. i o łaskawą opiekę dla niéj upraszali. Takiemi zabiegi delegacya wstrzymała i odwróciła niekorzystne dla Szkoły głównéj nowego rządu zamiary, które, względy finansowe, już od roku 1784 otworzona we Lwowie akademia,

tudzież niedogodne w zakącie prowincyi położenie Krakowa, koniecznie mu wskazywały. W dniu 24 kwietnia t. r. (1796) delegowani zebranéj na posiedzeniu Szkole głównéj zdali sprawę ze swoich w Wiédniu czynności, i wraz donieśli jéj o uzyskaném ze strony rządu zapewnieniu: iż przy nowéj Akademii reformie na sprawiedliwe żądania jéj dawnych członków wzgląd miany będzie.

Kiedy Bogucicki mimo nadwątlone zdrowie swoje w interesach Szkoły głównéj do Wiédnia został wysłany, podróż ta tak dalece zwiększyła jego dolegliwości, iż jeszcze w tym samym roku dla pokrzepienia sił swoich do wód udać się musiał. Szkoła główna, zaradzając wynikłéj z wyjazdu jego wielkiéj przeszkodzie do pomyślnego załatwienia swych interesów z rządem nad jéj reformą przemyślającym, nie tylko że na czas jego nieobecności, dla wyręczenia go, pozostałemu delegowanemu Śniadeckiemu dwóch profesorów to jest Franciszka Scheidta i Antoniego Szastra grona swego wyznaczyła i przydała; ale téż pragnąc w tak stanowczym dla siebie czasie, korzystać z jego gruntownéj nauki, zdrowéj rady i szczeréj życzliwości, skoro tylko do kraju powrócił, poleciła swemu sekretarzowi w d. 1ym października t. r., aby w jéj imieniu najusilniéj go prosił: żeby przez gorliwość o pożytek uczącéj się młodzieży, tudzież miłość dobra Akademii do Krakowa chciał zjechać, i mimo dopełnionych lat służby, ustawą przepisanych, jeszcze przez bieżący rok szkolny i lekcye wykładał, i do ukończenia interesów z rządem Szkole głównéj dopomagał. Nie mógł Bogucicki oprzéć się tak pochlebnemu dla siebie Szkoły głównéj wezwaniu, i ostatki niknących sił swoich jéj usłudze poświęcił, pracując dla jéj dobra, aż do chwili kiedy go w dniu 27 kwietnia 1797 r. na spoczynek przeniesiono. Nie długo atoli cieszył się

on tą spokojnością, do któréj w dniach znoju i burzy życia swojego tęskliwie był wzdychał; albowiem już w roku następnym (1798) dnia 26 grudnia, a w 51szym wieku swego, nagle żyć przestał.

Był Bogucicki mężem wielce uczonym, przez co jeszcze w r. 1778 chlubne dla siebie wezwanie na członka towarzystwa do ksiąg elementarnych od Kommissyi Edukacyjnéj był pozyskał ([24]). Jego piękne przymioty duszy, ujmującą powierzchownością uwdzięczone, u wszystkich poczciwych wzjętość mu jednały; a młodzież akademicka otaczała go czcią i miłością, którą w nieskażonych sercach młodzieńczych połączona w nauczycielu z nauką cnota, i szczéra o dobro swych uczniów troskliwość, zwykle budzi i roznieca. Kilkoletnie za granicą bawienie i zwiedzenie Włoch, Niemiec, Francyi i Anglii, nie tylko że zbogaciło już i tak obszérne jego wiadomości; ale téż ułatwiło mu gruntowne obeznanie się z literaturami najoświeceńszych Europy krajów. Jakoż Bogucicki i z ojczystą, i z francuzką, niemiecką, angielską, włoską, grecką literaturą dobrze był obeznany. Jak dalece zaś biegłym był w języku łacińskim dowodzą jego piękne zapowiedze-

([24]) Bogucicki od r. 1778 przy innych swoich naukowych tytułach zwykła i ten dodawał, iż był członkiem towarzystwa uczonych warszawskich. To ogólne wyrażenie było mi powodem do oświadczenia wyżéj na str. 17 w przypisku 8ym, iż nie wiem, co by to było za towarzystwo. Bliższe atoli rozpatrzenie się w Indexach Szkoły głównéj wyjaśniło mi tę wątpliwość; bo w jednym tylko z nich, to jest w tym, który na rok szkolny 17$\frac{88}{89}$ wydano, Bogucicki wyraźnie dodał, iż był członkiem uczonego zgromadzenia warszawskiego do ksiąg elementarnych, które, jak wiadomo, Kommissya Edukacyjna na początku 1775 roku z dziesięciu osób była postanowiła.

nia lekcyi publicznych w Indexach Szkoły głównéj co rok ogłaszane, tudzież świadectwo jednego z najuczeńszych mężów swojego wieku, ks. Hugona Kołłątaja, które niżéj przytoczymy. Wielkie nauk zamiłowanie uczyniło go obojętnym na to, za czém się inni jego powołania zwykle najbardziéj ubiegają. Dowodem tego, iż nie tylko w r. 1796 dawanego sobie przez uniwersytet probostwa w Gołczy przyjąć nie chciał; ale téż i za korzystne beneficium korczyńskie w następnym roku sobie ofiarowane Szkole głównéj podziękował. Liczne i różnéj natury zatrudnienia, jakie z polecenia zgromadzenia wielokrotnie podejmować musiał, nie zostawiały mu tyle swobodnego czasu, żeby się pismiennictwu szczególniéj mógł był poświęcać. Dla tego też prócz drobniejszych pisemek, któreśmy wyżéj w przypisach 3, 4, 5 i 6 przytoczyli, tudzież wspomnianych już przez Bandtkiego w historyi biblioteki uniwersytetu Jagiellońskiego na str. 148 i 149: *Laudatio funebris Jacobi Michaëlis Marciszewski U. J. D. et Prof.* nadto *Oratio cum in Regni schola, Universitate Cracoviensi — studiorum reformatio introduceretur;* i nakoniec: *Assertiones ex historiae ecclesiasticae saeculo primo selectae Cracoviae*, 1781. 8vo, nic więcéj Bogucicki drukiem nie ogłosił. W rękopismach, ile mi wiadomo, pozostawił: 1ód. *Uwagi nad niektóremi znakomitszemi dziejami trzeciéj epoki religii chrześciańskiéj w wieku XVtym kościoła przypadłemi.* 2re. *Historia ecclesiastica*, dzieło obszerne do końca XVII wieku doprowadzone. Bogucicki zajmując przez lat szesnaście w Szkole głów. katedrę historyi kościelnéj, tylko kilka okresów co rok z niéj wykładał. Rozległa dziejów znajomość, gruntowność, i łatwe wzorową łaciną wysłowienie się, tak dalece słuchaczów na tę jego lekcyą znęcały, że nie tylko teologowie, ale też i innych wydziałów ucznio-

wie na wykład Bogucickiego licznie i ochoczo uczęszczali. Jak wysoko Kołłątaj, gruntowny w tym względzie znawca, cenił tę naszego professora pracę, dowodzi jego rapport o wizycie w r. 1784 Kommissyi Edukacyjnéj podany. W nim bowiem na str. 26 czytamy iż: „Historya kościelna w języku łacińskim dawana przez JX. Józefa Bogucickiego ś. t. d. zaczęła się w r. 1780. Prospekt téj nauki w roku 1779 prześw. Kommissyi okazany, zupełnie jest od professora zachowany. Sposób, którym daje historyą nie tylko jest dokładny, ale nadto zaręcza, że dzieło przez niego skończone będzie bardzo pożyteczne dla tych wszystkich, którzy gruntowną wiadomość historyi kościelnéj posiadać pragną. JX. Bogucicki łączy w niéj nie wątpliwą chronologią z rozsądną krytyką; a styl jego może być wzorem literatury w rodzaju narracyi. Dotąd zakończył wieków ośm, teraz (1784 r.) aktualnie daje wiek IXty. Gdy dzieło JX. Bogucickiego zupełnie dokończone zostanie, historya kościelna w ciągu lat trzech kończyć się będzie mogła.“ Tenże w swéj Korrespondencyi listownéj z Tad. Czackim z rękopisu przez Ferd. Kojsiewicza w Krak. 1844 roku wydanéj, w tomie I. na str. 168 w uwagach względem urządzenia uniwersytetu wileńskiego, w r. 1803 napisanych, wspomniawszy o potrzebie wykładu historyi kościelnéj, dodaje: „życzyłbym starać się o manuskrypta niedawno zmarłego X. Bogucickiego, nie tylko gruntownie biegłego w téj historyi; ale nadto jednego z najlepszych pisarzów w języku łacińskim, którym się wiek nasz mógł szczycić.“ Zostając na ziemi obcéj Kołłątaj, podczas kiedy Bogucickiego w kraju śmierć zaskoczyła, nie mógł wiedzieć, jaki los spotkał tę jego wieloletnią przez siebie tak wysoko cenioną pracę. Wszakże J. S. Bandtkie w Historyi biblioteki na stronie 50 wspo-

mina, iż „była pogłoska, jak twierdzono, pewna, że ważne pisma do historyi kościelnéj po Boguckim w Igołomii zmarłym, przez kilku fanatyków duchownych spalone zostały. Nie chciano bowiem tych pism wydać zacnym duchownym, którzy w tych rękopismach żadnéj nie upatrywali herezyi.“

NAPOLEOŃ I PUŁKOWNIK DELÉLÉE.

Zawziętość, którą Napoleon powziął przeciwko jenerałowi Moreau, nie na nim samym tylko się kończyła; sięgała ona wszystkich, którzy w jakichkolwiek bądź stosunkach z jenerałem zostawali, mianowicie zaś tych officerów i żołniérzy, którzy pod nim służyli. Znał bowiem cesarz przywiązanie ostatnich ku niemu, które przy każdéj sposobności silnie się objawiało.

Z jego rozkazu, nie tylko wszyscy obecni w Paryżu adjutanci jenerała Moreau aresztowani zostali, ale nawet i ci, którzy nie będąc już pod nim w służbie, na prowincyi mieszkali. Do ostatnich należał pułkownik Delélée stojący podówczas na kwaterze w *Besançon*.

Na łonie familii, obok przywiązanéj młodéj małżonki, pędził on błogie chwile w gronie małego dobranych przyjaciół, któremi byli jenerałowie, Guilleminot, Hugo i Foj.

Delélée stronił zawsze od wielkiego świata, a niemając udziału w wypadkach politycznych, szczególniéj zaś w knujących się pod ów czas przeciwko Napoleonowi spis-

kach, tym mocniéj przerażony został swojém aresztowaniem, do którego najodleglejszych nie mógł znaleźć powodów.

W nocy, w milczeniu, pod mocną strażą żandarmów, do Paryża zawieziony, tamże w ostrém więzieniu *la Force* osadzony został. Tu dopiéro od officera żandarmeryi dowiedział się, że powodem jego uwięzienia jest odkryty spisek przez jenerała Moreau uknowany; gdyż i jego nazwisko na liście sprzysiężonych znaleziono.

Stroskana żona, w najwyższéj rozpaczy udaje się do Paryża, błaga najwyższe władze, by jéj przystępu do nieszczęśliwego męża nie wzbraniano; lecz po długich dopiéro prośbach dostaje pozwolenie, z tém zastrzeżeniem, że tylko w przytomności dozorcy więzienia, przez żelazną kratę, wolno jéj będzie na migi rozmawiać, a nie zbliżając się do niego, na jednéni tylko uściśnieniu ręki poprzestać. Atoli rozkaz ten nie rozciągał się do jéj 4letniego synka, którego dozorca wpuszczał do ojca. — Co dzień z rana nieszczęśliwa matka ze swojém dziecięciem odwiedzała męża, lecz bolało ją serce, że strapionemu małżonkowi przez udzielenie mu swych uczuć, nie mogła przynieść najmniejszéj pociechy i ulgi w cierpieniach, ani mu téż donieść o stanie processu, od którego wypadku zależało, życie lub śmierć. Po niejakim czasie, postanowiła użyć swego synka za pośrednika do listownéj komunikacyi. Mała dziecina po mistrzowsku odgrywała wskazaną sobie rolę: albowiem, mając w trzewiczku list do ojca ukryty, udawała, że kuleje, i że go nożka boli. Pułkownik w obecności dozorcy brał dziécię na łono, a obróciwszy się tyłem do niego, zdejmując trzewiczek, opatrywał nożkę, a przy téj sposobności, zręcznie list ukryty wyjmował.

Tym czasem zapadł wyrok na sprzysiężonych. Pułkownik Delélée, któremu nic dowieść nie było można,

prawdzie z więzienia, ale nie od zarzutu, uwolnionym został; z wyraźnym przytém rozkazem, aby nazwisko jego z listy armii wykréślono; nadto oddano go pod nadzór policyi z zastrzeżeniem, żeby 40 mil od Paryża mieszkał.

Każde zwycięztwo uwieczniające jego towarzyszów broni, i na wyższe stopnie wynoszące, wtenczas gdy on na nieczynność był skazany, wzbudzało w młodym i dzielnym pułkowniku dręczące i bolesne uczucia; nie miał bowiem innego zatrudnienia, jak tylko smutném okiem ścigać na mappie postępy zwycięzkiego wojska. — Na kilkakrotne prośby przesyłane do Napoleona, by mu jako ochotnikowi, z bronią w ręku, wolno było umrzéć za Francyą, tę tylko raz lakoniczną odebrał odpowiedź: *„Niech czeka.“*

Mieszkańcy w *Besanson* znając godny charakter pułkownika Delélée, ubolewali nad smutném jego położeniem. Nie pomijano żadnéj nastręczającéj się sposobności polecenia go łasce i sprawiedliwości cesarza.

Jeżeli się nie mylę, to wkrótce po batalii pod Jena, przybywały deputacye z całéj Francyi do Paryża, w celu złożenia cesarzowi powinszowań z okoliczności nowo odniesionych zwycięztw. Delélée będąc natenczas obywatelem departamentu *Dub*, jednogłośnie na członka deputacyi obranym został, do któréj i prefekt z Besanson należał, pod przewodnictwem czcigodnego marszałka M**.

Tak więc zbliżała się dla pułkownika pożądana chwila, która miała zakończyć jego cierpienia; — ma widziéć cesarza, mówić z nim, i z godnością użalić się na tę tak długą i nie zasłużoną nie łaskę!

Te były uczucia i nadzieje, które się w piérwszéj chwili w sercu jego odezwały; a przejęty wspaniałomyślnością swoich spółobywateli, dziękował im z rozczuleniem za okazany sobie udział w jego nieszczęściu.

Deputacya przybywa do Paryża, a dla dopełnienia przepisanéj formalności udaje się do ministra policyi. Jakże wielkie było jego podziwienie, gdy ujrzał w jéj gronie człowieka, na którym ciężyła niełaska władzcy Europy. Przekonany, iż obecność jego nie miłe uczyniłaby na cesarzu wrażenie, oświadczył to marszałkowi M**. Skoro deputacya z mieszkania ministra oddaliła się, marszałek M** udaje się do pułkownika Delélée i następujące czyni mu oświadczenie:

„Przyjacielu! wszystko zgubione! z twarzy bowiem „dworzan cesarskich wyczytuję, że przeciwko tobie zbyt „są oburzeni; a gdyby cię cesarz w naszém ujrzał gronie, „poczytałby to za oczywiste sprzeciwianie się jego rozka„zom, gniéw jego dotknąłby nas wszystkich.“

Jakże to odmienić panie marszałku? odrzekł z godnością Delélée.

„Ażeby departamentowi, deputowanym i panu nie „zrobić nieprzyjemności, — sądzę....

Marszałek uciął mowę,

— mam —

„może dobrzeby było, gdybyś bez zwrócenia uwagi na „siebie..... oddalił się...

Tu już przybrakło cierpliwości pułkownikowi. „Panie „marszałku, wybacz, rzecze, że rady twéj usłuchać, honor „mi nie pozwala; czyż w tym celu przedsięwziąłem tę po„dróż, abym podobny dziecku, piérwszą przeciwnością „ustraszył się? Za nadto już jestem przygnębiony nie za„służoną niełaską cesarza, a bardziéj jeszcze tą upadlającą „nieczynnością, — niech się gniéwa lub ułagodzi... wi„dzieć mię musi... niech mnie rozstrzelać każe, jeżeli „mu się podoba; życie, które od 5ciu lat wlokę, nie ma „już dla mnie żadnego powabu!“

Marszałek M** zamilkł... a Delélée ostygnąwszy cokolwiek z piérwszego uniesienia, dodał: „Wreszcie poddaję się pod sąd moich kolegów deputowanych departamentu Dub.“

Według tego oświadczenia pułkownika, rzecz ta, deputowanym z departamentu *Dub* i *Besançon* przełożoną została, a ci z zapałem i jednozgodnie pochwalili zamiar jego.

Nadszedł dzień świetnego przyjęcia deputacyi. Z całego cesarstwa zgromadzenie udało się do *Tuilleriów* a z niém i pułkownik Delélée.

Gdzieś tylko okiem rzucił w salonach, przedstawiał ci się widok przepysznych i kosztownych ubiorów. Wszyscy obecni w Paryżu jenerałowie, ciało dyplomatyczne, ministrowie, prezesi rozmaitych wydziałów, deputacye z departamentów z swemi prefektami ozdobionemi trójkolorowemi szarfami, wszystko tam zgromadzone było, a podzieliwszy się w rozmaite grona, oczekiwali w milczeniu przerywaném niekiedy ostrożnemi szeptami, na przybycie cesarza. W jedném z gron pomniejszych, widzieć można było officera pięknego wzrostu z szlachetnemi rysami twarzy, różniącego się od drugich, skromnym ubiorem wojskowym z czasów jeszcze rzeczypospolitéj. Ani na piersiach, ani na szyi jego, nie błyszczał żaden znak honorowy, któremi koledzy jego tak hojnie byli obsypani, tym officerem był pułkownik Delélée.

Bardzo mała liczba dawnych przyjaciół i towarzyszów broni poznawała naszego wojownika. Najodważniejsi zaledwo małém skinieniem głowy witali go, które raczéj ubolewania i obawy, niż przychylnéj znajomości było znamieniem; bojaźliwsi w końcu i spojrzéć nie śmieli.

On stał spokojnie.

Wkrótce rozwarły się podwoje, a odźwierny mocnym głosem zawołał: „Panowie, cesarz nadchodzi!“

Zgromadzenie rozwinęło się we dwa rzędy, pułkownik Delélée stanął na przodzie.

Napoleon przechadzał się wolnym krokiem, rozmawiał z prezydentami różnych wydziałów, nie przepominając każdemu coś pochlebnego powiedzieć. Zbliżywszy się w końcu do deputacyi z *Dub* przemówił kilka słów do marszałka M** a w chwili gdy już miał się oddalić, padł wzrok jego na nieznajomego officera.— Zdziwiony, wstrzymuje się i pyta: „Kto pan jesteś?“

„Pułkownik Delélée, Najjaśniejszy Panie, były adjutant jenerała Moreau.“

Silny głos, którym te słowa zostały wymówione, rozległ się po sali, w którėj przytomność Napoleona grobową ciszą sprawiała.

Cesarz cofnął się w tył, utkwiwszy badawczy i przenikliwy wzrok w pułkownika, który na chwilę tém nie zmieszany, skłonił się z godnością. Twarz marszałka M** pokryła się śmiertelną bladością.

„Czego pan tu żądasz?“

„Tego, o co się już od wielu lat dopominam Cesarzu! a to jest, abyś mi raczył powiedziéć, com zawinił? lub też przywrócił mój dawny i zasłużony stopień!“

Odpowiedź ta w stojących obok pułkownika oddech stłumiła.

Uśmiech nieznaczny otworzył dotychczas ściśnięte usta cesarza, który położywszy palec na nich i zbliżywszy się do mówiącego, łagodnie, a prawie po przyjacielsku wyrzekł te słowa:

„Było to coś, lecz już teraz nie ma mowy o tém.“

To wyrzekłszy, daléj postąpił, lecz zaledwo dziesięć uszedł kroków, zwrócił się nagle, a stanąwszy przed pułkownikiem.

„Panie ministrze wojny“ zawołał: „zapisz nazwisko „tego officera i przypomnij mi, trzeba mu dać zatrudnie„nie, bo jest nieczynnością męczony.“

Te kilka słów z ust cesarza wymówionych zmieniło postać rzeczy.

Po skończonéj audyencyi z ubieganiem zbliżano się do pułkownika, a ci którzy przed chwilą i spojrzeniem go uczcić nie śmieli, teraz najserdeczniéj ściskając, obsypywali powinszowaniami, łącząc zapewnienia szacunku i przyjaźni, za które ze wszystkich stron nagabany pułkownik z trudnością mógł oświadczyć swe dzięki. W końcu i marszałek Sawary, który dniem wprzódy oburzył się na śmiałość pułkownika, i żądał by go nie wpuszczano przed oblicze cesarza, teraz przedzierał się do niego, a podając mu przez drugich rękę, usilnie upraszał, aby nie zapomniał być nazajutrz na śniadaniu u niego.

Dwa dni późniéj, odebrał pułkownik Delélée nominacyą na szefa sztabu głównego przy armii portugalskiéj, którą dowodził książę Abrantès.

Udającego się na swe przeznaczenie pułkownika, kazał Napoleon przywołać do siebie i w te słowa do niego przemówił:

„Pułkowniku! zbyteczną byłoby rzeczą nadmieniać ci, „abyś czas stracony nagrodził; spodziewam się, że wkrót„ce obydwaj z siebie będziemy udowoleni.“

Delélée udał się na miejsce swego powołania, lecz zawczesna śmierć nie pozwoliła mu ziścić powziętych o nim nadziei Napoleona.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W KRAKOWIE:

Groby królów polskich i pomniki sławnych mężów w świątyniach krakowskich. Zeszyt II zawierający pomnik Władysława Łokietka, Kazimiérza Wielkiego i Władysława Jagiełły, z opisem in 4to. Nakładem J. Cypcera, w drukarni Uniwersyteckiéj.

Kalendarzyk polityczny krakowski na rok 1844. Rok piérwszy in 16mo, nakładem J. Cypcera, w drukarni Uniwersyteckiéj.

Kraków i jego okolice przez Ambrożego Grabowskiego. Wydanie czwarte zupełnie przejrzane i pomnożone, in 8vo min., nakładem J. Cypcera, w drukarni Uniwersyteckiéj.

X. Hugona Kołłątaja Listy w przedmiotach naukowych, z rękopisu wydał Ferdynand Kojsiewicz tom I i IIgi in 8vo, w drukarni Uniwersyteckiéj.

POD PRASĄ:

Michała Wiszniewskiego Historya literatury polskiéj, tom VIty in 8vo maj. w drukarni Uniwersyteckiéj.

Książka do nabożeństwa dla prawowiernych katolików, wydana niegdyś przez świątobliwego kapłana X. Pawła Symplicyana, nakładem X. M. Wójcikowskiego, in 8vo min. w drukarni Uniwersyteckiéj.

Pamiątka z Krakowa, opis tego miasta i jego okolic przez Józefa Mączeńskiego w 3 częściach z rycinami i planami w najcelniejszéj litografii paryzkiéj w 8ch kolorach wyrobionemi. Część piérwsza dzieła tego obejmuje przegląd dziejów tego miasta, Kraków pod rządem polskim, wyciągi z jeografii fizycznéj i politycznéj kraju wolnego miasta Krakowa, rzut oka na Kraków. Część druga obejmuje opis kościołów. Część trzecia akademią jagiellońską i połączone z nią instytuta naukowe, gmachy celniejsze rządowe i prywatne, okolice; w drukarni Józefa Czecha.

Kazania Woronicza, wydanie trzecie w jednym tomie z popiersiem autora, w drukarni Józefa Czecha.

Dykcyonarz biblijny, z ksiąg pisma świętego starego i nowego testamentu zebrany, z francuzkiego na włoski język przez księdza

Prospera de Aquila, zgromadzenia Montis Virginis zwanego, królewskiego profesora akademii Neapolitańskiéj, przełożony, i pomnożony w IVch tomach zawarty, z włoskiego zaś na polski język przełożył X. Tadeusz zgromadzenia OO. Kapucynów prowincyał, in 8vo maj. nakładem i drukiem St. Gieszkowskiego.

DZIEŁA WYSZŁE W POZNANIU:

Uwagi krytyczne nad Chowanną czyli systemem pedagogiki narodowéj ułożonym przez Br. Ferd. Trentowskiego, in 8vo, nakład i druk W. Stefańskiego.

Słowiańskie starożytności P. J. Szafarzyka, przełożył z czeskiego Dr. H. N. Bońkowski tom II in 8vo, wydanie i druk W. Stefańskiego.

Odgłos pieśni ruskich Czelakowskiego, z czeskiego na język ojczysty przełożył H. Szuman in 12mo, czcionkami N. Kamińskiego i spółki.

Muszmerit czyli powieści przy świetle księżyca, przez Luciana Siemieńskiego, 2 tomy in 12mo, nakład i druk N. Kamińskiego i spółki.

Powieści M. Czajkowskiego, in 8vo, wydanie i druk W. Stefańskiego.

Pamiętniki o Samuelu Zborowskim, zebrane z spółczesnych dzieł i rękopismów biblioteki Kórnickiéj przez L. S. in 8vo, nakład J. K. Żupańskiego.

Bogumił i Wilhelm czyli rozmowa przyjacielska dwóch protestantów o religii katolickiéj, z niemieckiego in 12mo, druk i nakład Stefańskiego.

Elementarz polski z 22 rycinami, in 12mo, druk i drzeworyty W. Stefańskiego.

Łacińska grammatyka mniejsza wydana przez A. Poplińskiego, in 8vo w księgarni nowéj J. Łukaszewicza.

Historya powszechna dla klass niższych szkół realnych i gimnazyalnych na wzór Weltera ułożona przez A. Poplińskiego, in 12mo, w księgarni i drukarni J. Łukaszewicza.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.*

DWUTYGODNIK
LITERACKI.

N. 4. Kraków dnia 15 Maja. 1844.

GAŁĄZKA.

Czemuż ogrodniku młody,
Tę gałązkę drobną, małą,
Bez powabu i urody,
Hodujesz
I pielęgnujesz,
Poświęcasz jéj baczność całą?
Od mroźnych szronów ochraniasz,
Od spieki słońca zasłaniasz,
Chłodną wodą wciąż podléwasz,
Badylki w koło wyrywasz?

Ta gałązka drobna, mała,
Jedna mi się pozostała
Z drzewa, co w czasu przestrzeni
Udzielało swoich cieni
Ojcu memu, matce drogiéj
I całéj rodzinie mnogiéj.

Drzewo uschło — a odłamek
Świéży jeszcze i zielony,
Przeniósłem go w te tu strony,
Pielęgnuję
I hoduję.
Może się nadzieja ziści,
Że wzniesie konary swoje,
A pod cieniem jego liści,
Spoczną znowu wnuki moje.

Paulina z L. Wilkońska.

DO WODOSPADU.

O ty nieśmiertelny,
Co nie syty chwały,
I młodością dzielny,
Rzucasz się ze skały!
Być może,
W téj porze,
Przyszły władca świata,
Do piersi ujęty,
Drobnemi rączęty,
Matki włosy splata,
Igrając niewinnie;
Jak ty u gór szczytu
W kolébce z granitu,
Bogu tylko widny — bulkocesz dziecinnie.
O jakiś ty piękny
W srebrnym wód krysztale!
O jaki namiętny
Grzmot twój, echem sąsiedniém odbity wspaniale!

Gdy z przestrachu drżące,
Nad brzegiem stojące,
Z odwiecznych konarów rwąc drzewa zielone,
Na przepaść skazujesz bezdenną;
A skały zdumione,
Które podczas klęski
Zatrzymała trwoga,
Dopędzasz zwycięzki,
I z szyderstwem wroga,
Jak drobne kamyczki — w otchłań rzucasz ciemną!
Kochankowi na odzienie,
Złote słońce śle promienie,
Igrając świetnéj tęczy kolorami,
Z rozprysłéj rosy mgłemi obłoczkami.
I czemuż tak pilny,
I czemuż tak głodny,
Ku morskiéj pospieszasz rowninie?
Czyliż ci nie lubo — tam, w górnéj dziedzinie,
Przyglądać się z bliska strefom nieba czystym,
Lub wisieć w szczelinach skał przez ciebie zrytych,
Szeleścieć po krzakach mchem siwym pokrytych,
Lub boki skał zdobić kryształem przejrzystym.
O! nie pędź tak pilny,
O nie pędź tak głodny,
Ku modréj wód morskich równinie,
Młodziencze, ty jeszcze jak Bóg jesteś silny,
Jak Bóg swobodny!

Wprawdzie tu na dole wabią cię nie mało,
Spokojnego morza tęskliwe westchnienia,
Morza, co swą postać poważnie wspaniałą,
W purpurę, to w złoto, ku słońcu przemienia.

Młodzieńcze! co znaczy spokojność mdlejąca,
Co uśmiéch księżyca łagodny,
Co zorza purpurą i złotem kapiąca,
Dla tego, co w jarzmo kark poddał swobodny?
Ty tu nie podległym,
Jak twe dzikie serce,
Tam w dole panują wichry przeniewierce,
Lub cisza śmiertelna, na morzu uległém!
O! nie pędź tak pilny,
O nie pędź tak głodny,
Ku modréj tam morskich wód głębi!
Młodzieńcze, ty chociaż — jak Bóg jesteś silny,
Jak Bóg swobodny,
Jéj uścisk pierś twoję oziębi!

— *ski.* —



SŁOWO O MUZYCE.

Sztuka, utwór człowieka, ma za podstawę naturę. Nasz umysł przywłaszcza sobie jéj rozrzucone żywioły, ukształca całość i nadaje im formę. Natura podaje nam tony, kolory; ale muzyka, malarstwo, są naszą własnością. Nam służy zręczność przewyższyć śpiéwaków leśnych i od nich się ucząc, otrzymywać skutki im niewiadome. Czyżyk, kos, zięba, a nawet słowik są naszemi mistrzami, ale [illegible] głos nie jest muzyką. Przez naszą cudowną pra[illegible] organizacyą podnosimy do sztuki to, co u nich jest tylko instynktem, tak jak dzikie kwiaty przesadzając, nadajemy

im piękniejsze i rozmaitsze kolory. Nasze ucho każdy ton rozpozna, i nasz organ każdy naśladować potrafi. Nasz rozum i moc kombinacyi uzupełniają dzieło i tworzą muzykę. Ale nie rozwięzuje to jeszcze naszego pytania. Powiedziawszy, że ton muzyczny z ciał elastycznych tylko pochodzi, jeszcześmy nic nie powiedzieli. Ton pochodzi z ciał elastycznych, ale cała muzyka polega na równości drżeń; im drżenia są więcéj jednakowe i czyste, tém ton muzykalniejszy. Akkordy wynikają z drżeń zupełnie równych; gdzie wielką liczbą tychże pomięszanych słyszymy, tam nie masz tonu muzykalnego. Angielski pisarz Wiliam Gardiner w dziele świéżo wydaném *o muzyce naturalnéj* dowodzi, że wszystkie głosy śpiéwu kunsztownego, mowy, lub muzyki instrumentalnéj, namiętności lub wesołości wyrażające, przejęte są z tonów świata żyjącego. — Wiadomo, że każde nieprzyjemne brzmienie jest harmonią nie rozwiązaną i to stara się autor naocznie wykazać, oznaczając wszystkie brzmienia natury odpowiedniemi tony kunsztownéj muzyki. Przechodzi on cały świat żyjący: pszczoły, ptaki, konie, dzieci, gołębię, tęt kopyta końskiego, ruch ognia, wołanie młodéj dziewczyny. Posłuchajmy tylko słów wyżéj wspomnianego autora, co nam o słuchu przytacza:

„Przez ćwiczenie można moc słuchu do najwyższéj doprowadzić doskonałości. Od żywości onego zależy szczęście szulerów i złodziejów. Po brzęku można poznać każdy pieniądz (t. j. rozróżnić np. dwuzłotówkę od złotówki).

„Wexlarze tak są wprawni, iż licząc pieniądze, słuchem poznają fałszywe; gracze poznają po dźwięku, na którą stronę padł pieniądz rzucony. Atmosfera jest wielkim środkiem, za pomocą którego brzmienie daléj bywa prowadzone, późniéjsze atoli odkrycia okazały, iż są inne

ciała, które głos jeszcze spieszniéj podają. Uwiązawszy np. do nitki trzonek strojnika *(diapason)* i wetknąwszy drugi onéjże koniec na małym palcu okręcony do ucha, zostawując strojnik wolno na sznurku wiszącym, wtedy słyszéć możemy wyraźnie lekki łoskot, o 200 łokci daleki, którego w około stojący bynajmniéj nie pojmują. Pracujący koło węgli kamiennych, przez samo uderzenie poznają, do jakiéj doszli warstwy. Podług najnowszych odkryć, przez samo przyłożenie pewnéj trąbki do piersi rozpoznać można najdokładniéj poruszenie serca, a są i osoby mogące najlżejszy łoskot rozróżnić. Jeden mój znajomy utrzymywał, że gdy mucha na jego czapce usiędzie, z odgłosu jéj skrzydełek pozna, w którą stronę odleciała."

Uważając dobrze tęt konia, lub nasze własne stąpania, spostrzeżemy, że jedno stąpienie zawsze jest od drugiego głośniejsze i to jest zwyczajna miara taktu dwa lub cztéry cwierciowego. Koń galopujący zawsze oddaje trzecie stąpienie mocniéj, niżeli dwa inne, bo wtedy piérwsza i trzecia noga konia jednocześnie stąpają i to wydaje $^3/_4$ t. j. takt trzyćwierciowy.

Ala słuchajmy daléj słów jego: „Za czasów Hippokratesa puls, według podobieństwa, nie uderzał zapewne więcéj jak 60 razy na minutę; ztąd może i ten podział. W miarę jak się ród ludzki udelikatnia, zapewne i puls jest prędszy, i człowiek podobnie jak zegarek tém spieszniéj wyjdzie, im prędzéj idzie.

„Najłatwiejszy i najpewniejszy sposób zachowania taktu w muzyce jest, ażeby w koncercie grać razem z [illegible] innemi, a im większa orkiestra, tém pewniéj takt zachowuje. Tak uważano, że w sklepach zegarmistrzów wszystkie zegarki na jednéj ścianie zawieszone, lub na jednéj desce leżące, do tego stopnia sympatycznie takt zachowu-

ją, że te, które wyprzedziły lub się spóźniły, i wolno idące za innemi pospieszają tak, że potém wraz idą."

Osoby nie znające się na ptakach mniemać mogą, że wszystkie jednego rodzaju jednako śpiéwają; zawsze jednak są w ich śpiéwie różne odcienia. Tak znawcy w Anglii poznają po głosie szczygłów, zięby, słowików, z których są prowincyi. Te odcienia możnaby porównać z różnemi dyalektami prowincyi.

Osobliwą jest rzeczą, iż najznakomitszym śpiéwakom zdarza się właśnie detonować. Ten krytyczny moment zdarza się zwykle, gdzie przypada tertia, quinta lub oktawa (octava). Te przestanki są właśnie jak w mowie te same, w których głos instynktowo wznosimy albo spuszczamy, dla tego w tym czasie śpiéwak mniéj jest bacznym na to, co śpiéwa, i zwykł się opuszczać, gdy przeciwnie inne tony skali potrzebują natężenia umysłu i szczególnego wykształcenia głosu, i dla tego z większą je odśpiéwuje bacznością.

Odgłos najmocniejszy umiéra zaraz nie rozciągając się daléj, ale tony akcentowane, śpiéwane w odległém miejscu, dokładnie zrozumiéć można.

Zdaje się, iż melodya jest właściwie tylko środkiem rozsyłania tonu na przestrzeń obszérniejszą. Dla tego za granicą przekupnie uliczni nie krzyczą, ale śpiéwają, aby zdala byli słyszanymi.

Skrzypce kremońskie, Amorka mająca tylko ton słaby, ale miękkie brzmienia jéj strony rozlegają się na przestrzeń, któréjby nowe daleko głośniejsze skrzypce nigdy nie zdołały zapełnić. I kiedy sławny skrzypek Bootti grał na amorce, znawcy szli na galeryą, aby go lepiéj słyszeli.

Między ptakami, głos słowika najdaléj sięga. Głos jego czysty, dobitny. Lecz któż pojmie te długie jego

skargi, te rozmowy, te żale, któremi napełnia powietrze i serce tkliwego człowieka? Słowik śpiéwa, chociaż w klatce przez nielitościwych lubowników zamknięty, a nawet okrutnie pozbawiony światła, aby w niedoli swojéj nie miał żadnéj pociechy.

W wielkich kościołach, mszę śpiéwaną słychać w każdém miejscu kościoła, gdy głos czytany choćby najmocniejszym głosem trudno zewsząd dosłyszéć. **Chatham** sławny mowca angielski, chorobliwy, mający głos nader słaby, przez modulacyą głosu i zręczne słów tonowanie był w całéj izbie słyszanym i z przyjemnością słuchany; gdy przeciwnie **Burke**, którego mowa ciągłym była krzykiem, mimo całego talentu, nie mógł zająć uwagi słuchaczów; gdy wszedł na mownicę, członkowie się udawać musieli do mównicy. Na niczém spełzły usiłowania tych (co i do wielkich dziwactw śmiało liczyć można), którzy chcieli tony z farbami równać; lubo wiele dowcipnych rzeczy w tym względzie powiedzieli, obracając w śmieszność to, co za pełne rozwagi z zdrowego wyczerpali rozsądku. — Ale było to tylko chwilowém marzeniem bez rzeczywistości. Trudno bowiem przekonać kogo, czemu głos *oboi* podobniejszy ma być do koloru żółtego niżeli głos fletu? Nawet ojciec Pastel wynalazł klawikord kolorów, który jest tylko igraszką bez żadnego użytku, owoc nadpruchniałego już dowcipu. — Bo, jeżeli Hajden, chcąc wyrazić powolne przejście z ciemności do światła, użył najprzód instrumentu przytłumionego, potém głos pomnożeniem mass wzmocnił, aż nareszcie wszystkie instrumenta orkiestry w jedno *tutti* połączył, że niejako grzmiały; wtedy przyznamy wprawdzie niejakie podobieństwo między harmonijném *crescendo* tonu i światła; ale kto słysząc tę

symfonią, nie wié o zamiarze twórcy, temu pewno wschód słońca na myśl nie przyjdzie.

Muzyka bowiem czucia, i serca naszego dotyczéć się powinna, nie zaś zewnętrznych zdarzeń. Naśmiano się dosyć z tych, którzy pół taktu uważali za gruchanie gołębia, szesnastka galop konia, trącanie o strony, uderzanie morskich bałwanów i t. d., a całość razem w kupę wzięta, stanowiła pstrokaty obraz szalonéj idei! Jak układ pewien linii, przyjemność lub odrazę sprawując, budzi w nas uczucie piękności albo wstrętu, tak pewne równoczesne, albo następujące po sobie drżenia, piérwsze lub drugie na nas czynią wrażenie. W stanie uczuć głos ludzki z saméj natury do melodyi się wznosi. Przyjemne wzruszenia, wybuch gniéwu, miłości, nienawiści, zémsty, nadają mowie akcentowanie, które istotę i podstawę muzykalnéj melodyi stanowi.

Ptaki, których instrumentowanie daleko nie sięga, śpiéwają, aby wyrazić swe żądze, miłość, uciechy i cierpienie. Naśladując ich tony, nie odbieramy im namiętności, która jest ich duszą.

Nawet tony natury fizycznéj, mają pewien wyraz, który rozmaicie nas wzruszy. W nocy zimowéj, gdy wichry wyją, jest to przyjemnością melancholiczną, słyszéć wściekłość albo jęczenie wiatru szumiącego na drzewach, świszczącego przez szpary. Zdaje się nieraz, że słyszysz jęk konającego żebraka, któren pozbawiony jest przytułku. Któż nie wié, jak dziwną harmonią wydaje morze, czyli gdy ten olbrzym snem lekkim złożony pomrukuje z cicha, czyli gdy wściekły, roztrącając się o skałę Edistone, okoliczne pola zalewa? — Lecz nikt może nie zważał, jaka różnica odgłosu wiatru od bałwanów? ten jęczy jak duch rozpaczy, rozbijając się we fale, te wyją głucho, jak od-

głos armat w jaskini. Rossini, Haendel, Hajden, Bethoven naśladowali ten łoskot. Crescendo, którego prawie wszędzie nadużywa Rossini, usłyszéć można w lesie, gdy wiatr świszczący przez liście, z powoli wytrzymanego gniéwu rozdrażniony do wściekłości przechodzi.

Instrumentem kościelnym i królem, że tak powiem, instrumentów, są zapewne organy, zabytek średnich wieków. Głęboki i poważny jak wiara nie do naśladowania w wzniosłém wyrażeniu.

Piérwotne wzory organów, i wszystkich dętych instrumentów, znajdujemy w rozległych jaskiniach, w które wiatr się zapuściwszy, okropną wydaje harmonią.

Wiatr lecący przez liście nauczył człowieka brzdąkać po strunach lutni, a echo nauczyło go, jak przez zręczne urządzenie deki oddźwięcznéj tonowi, który się skupia i odbija, można przydać siły i miękkości.

Gitara, którą muzycy dziś gardzą, jest sama w sobie małą orkiestrą. Zręczny muzyk może na niéj wygrać trio i sextet. Prawda, że mając słaby ton i oddźwięk mały, nie może czynić wielkiego wrażenia, zwłaszcza teraz, gdzie w muzyce tyle jest strzałów i grzmotów.

W samotności, kiedy smutek lub cierpienie udręcza nasze serce, mimo słabych i łagodnych tonów, najmocniéj może poruszyć, wycisnąć łzę na wspomnienie straty drogo ukochanéj osoby, lub cię pocieszyć w niedoli; ona w zetknięciu z piersią tém czulsze i mocniejsze wywabi z niéj tony; ona drząc o piersi odpowiada sercu grającego. Gitara, lękliwym zaśpiewa nam głosem, jéj pieśń już skona, a jeszcze usłyszysz słodką melodyą półechem, i pieścisz nią zbolałe serce, i pokrzepiasz cierpieniem nadwątlałe siły.



SZKICE PSYCHOLOGICZNE
NIEKTÓRYCH LUDZI-ZWIÉRZĄT

NAPISAŁ

Au. Wi. Chirurg filozofii.

Przedmowa ostrzegająca.

Kogokolwiek rażą jasne wyrazy, niechaj poniżéj umieszczonych szkiców psychologicznych nie czyta. W rozmowach salonowych jedwabne słówka popłacają, ale nie na polu prawdy, gdzie stają się niedołężnością, gdzie przystępne dla ogółu, zrozumiałe a więc proste orzeczenie jest najpiérwszym pisarza warunkiem. Nadto nie są to rozprawy na metafizyce oparte, ale spostrzeżenia chirurga filozofii, który rznie prawdę a o resztę nie pyta.

WSTĘP PIÉRWSZY.

Ludzie każdy po szczególe i wszyscy w ogóle, są głupimi!.. ale jedni są mniéj głupi, drudzy więcéj głupi. I z téj to różnicy głupstwa rościmy sobie prawo do nazwy rozumnych: np. Piotr ma 70 stopni głupstwa, Paweł 30, Andrzéj 20, Kazimiérz 6, a ja tylko 3 stopnie; — wówczas Piotr jest srodze głupi, Paweł bardzo głupi, Andrzéj już będzie rozumny, Kazimiérz bardzo rozumny; a ja będę najrozumniejszy!.. to jest podług powszedniego sądu ludzi; gdy tymczasem, objawiając szczérą prawdę, ani Andrzéj, ani Kazimiérz rozumnym nie jest, a nawet i ja! — rad nie rad, do głupców policzyć się muszę. Proszę mi wierzyć, że tak jest niewątpliwie. Dowodów

na to przytaczać nie widzę potrzeby, chybaby kto stanął mi w oczy, i okazawszy świadectwo od lekarza, że jest zdrów na ciele i umyśle, wyrzekł: „jam przedmiot i podmiot na wskróś przeniknął! — jam w życiu mojém nigdy głupstwa nie popełnił!“ w takim razie wdam się w dowodzenia, i jak Bóg Bogiem dowiodę każdemu, że łże! — W mocném przekonaniu, że się nikt nie stawi, któryby żądał dowodów swojego głupstwa, w założeniu ogłaszam i za filozoficzny przyjmuję pewnik, że każdy jest głupi. Com dotąd wyrzekł, proszę uważać za wstęp piérwszy, jak my to u góry napisali.

WSTĘP DRUGI.

Każda ludzka istota, różniąca się od zwiérząt nie mową i rozumem, jak to ś. p. Kopczyński mylnie powiedział, ale jedzeniem potraw gotowanych, skoro przechodzi 100 pomiarów głupstwa (*), przestaje być człowiekiem i zamienia się w ludzkie zwiérze, czyli staje się człowiekiem zwiérzęciem. O tych to ludziach-zwiérzętach mówić zamierzyłem.

Wykład téj obszernéj nauki przechodzi granice pracy jednego człowieka; albowiem ile jest zwiérząt, tyle téż i rodzajów ludzi zwiérząt napotykamy: ja więc tylko niektóre rodzaje oszkicuję, wprawdzie nie z należną dokładnością, ale bo téż i trudno być dokładnym w zbadaniu człowieka-zwiérza, który często rządzi się namiętnościami jednocześnie kilku zwiérząt.

(*) Przez głupstwo nie rozumiemy samych stopni braku nauk, przebiegłości, sprężystości i bystrości umysłowéj, ale niemniéj i stopnie braku uczuć serca i uczuć ducha, — i stopnie ślepoty na cel i przeznaczenie człowieka.

SZEREG PIÉRWSZY.

Małpy.

Małpy są ze zwiérząt ludzi najliczniejszym rodzajem, i dla tego téż jest ich po całym świecie ilość nieskończona. Są małpy salonowe, literackie, hrabioskie, szlacheckie, wielko-miejskie, mało-miejskie, artystoskie, rzemieślnicze, chłopskie, zgoła wszelkiego stanu i powołania; nadto męzkie, żeńskie i nijakie; stopnia równego, wyższego i najwyższego; odbywają małpiarstwo przez wszystkie czasy, osoby liczby i przypadki z tysiącem najrozmaitszych podziałów i odcieni. *Człowieka-małpy znamieniem jest bezrozumne, szybkie naśladownictwo.* I tak pokaże się ktoś dzisiaj na ulicy w kusym ubiorze srokatym, z pewnością nazajutrz napotkasz sto małp-ludzi w kusych srokatych sukienkach, bez żadnego względu na okoliczności ich życia, na porę czasu, na zdrowie i przyzwoitość; w tydzień spostrzeżesz dwieście, w miesiąc do tysiąca małp ludzi srokatych, kuso ubranych; i liczba ta będzie wzrastała do setek tysiąców, dopóki znów jaki orangutan modelowy nie ukaże się w ciemnéj długiéj opończy, a wówczas na nowo spostrzeżesz, sto, tysiąc, pięćdziesiąt tysięcy małp-ludzi w ciemnych długich opończach.

Jerzy założył wielką gorzelnię, bo daleki przewóz zboża i obfitość lasu, tego rodzaju przemysł przez rozumowy rozbiór nastręczyły; — aliści w rok potém Ignacy małpa, Jan małpa, Stefan małpa, Grzegórz małpa, i 300 małp innych pospieszyło jakby na wyścigi z wystawieniem ogromnych gorzelni, pomimo że nic ich nie zmuszało do pomnażania tego szatańskiego źródła niedoli naszego biednego ludu wieśniaczego.

Pojechał chory bogacz do wód zagranicznych dla poratowania zdrowia, trzy tuziny zdrowych małp-ludzi wle-

cze się za granicę z nadwerężeniem swojego szczupłego majątku.

Niechaj w zbytkach tonący hrabia dla rozerwania nudów, albo wielki przedsiębiorca dla zyskania przychylnych zdań, wyprawi bal świetny, niezawodnie téjże saméj nocy jeszcze kilkanaście małpeczek suszy mężulom główki, aby i oni co rychléj bal wielki wyprawili. Zgoła w każdém zdarzeniu, przy każdéj okoliczności, ludzi małp, małpeczek i małpiątek jest olbrzymia obfitość, i gdyby np. w kraju naszym tysiąc szybkopisarzy od świtu do zmierzchu spisywało codziennie dowody małpowania naszych ludzi-zwiérząt, jeszczeby ani setna część czynów małpowanych do kroniki głupstwa ludzkiego zachowaną być nie mogła; — bo jakoż rzadko, bardzo rzadko trafia się u nas taki człowiek, któryby nie małpował, któryby czynności swoich przekonaniu rozumu opiérał, alboli też nawet w naśladowaniu czynów godnych, natury małp-zwiérząt nie zdradzał. Pilne zastanawianie się nad naszém przeznaczeniem, badania czysto umysłowe przed rozpoczęciem każdéj czynności, to są jedyne lekarstwa zapobiegające przeciw zarażeniu się przywarami małp ludzi-zwiérząt, w stopniu wyższym albo najwyższym; bo stopień niższy, jest podobno niestety! przez nieodgadnioną niełaskę wszech-mamy (natury), w naszę ziemską jestność niejako wpleciony; jakoż wszech-mama przy utwarzaniu powiérzchowności zwiérząt, małpy najwięcéj do ludzi podobnemi uczyniła.

SZEREG DRUGI.

Osły.

Niemasz jednego zakątka na całéj ziemi, któryby nie był siedzibą osłów. Wprawdzie małp jest najwięcéj na świecie, ale i osłów gromady są liczby olbrzymiéj; — bo

proszę mi powiedzieć, kiedy to? w którym to stanie? w którym zawodzie na osłach zbywało?... Czyż oddawna nie widzieliśmy i dzisiaj nie widzimy osłów, o! bardzo wielkich osłów, w naszém rolném gospodarstwie? Czy nie widzimy osłów w urzędowaniach, w wojsku, pomiędzy lekarzami, artystami, i o zgrozo! nawet pomiędzy literatami! Nie szukając daleko, w saméjże Warszawie, iluż to osłów literackich!.. np. ten jegomość, który napisał.. 1. prima Aprilis, nie powiem. O złośliwy czytelniku! tybyś może rad był czytać w alfabetycznym porządku wydrukowany quasi-kalendarzyk wszystkich dziś-czesnych osłów literackich?... a jakbyś tam i swoje znalazł nazwisko?.. hę?.. miłoby ci było?... Nadto chcąc drukować listę osłów literackich, należałoby wedle ścisłéj sprawiedliwości wydrukować i osłów z innych kategoryi; wówczas pojawiłyby się imiona wielkich panów, osób uhonorowanych, osób zaszczyconych dostojeństwami, — przez co ja biedny chirurg filozofii mógłbym popaść w tarapaty uwieńczone zwiérzątkiem brodatém, za które, znając je dobrze — najuniżeniéj dziękuję: mówić w ogólnikach to wcale co innego.

Osły-ludzie dzielą się na młode osły i na stare osły; na osły kamiennego uporu i na osły najwyższéj powolności; na osły ryczące, głośne, i na osły ciche, spokojne; na osły zarozumiałe, i na osły pokorne, nakoniec na wielkie osły i na małe osły. W tym gatunku ludzi-zwierząt płeć męska wyłączną odgrywa rolę. Szkoły są dla osłów piérwszém polem popisywania się z tępém pojęciem, z lenistwem, z obojętnością duszy i serca; wszakże zdarza się, że te same osły w dojrzalszym wieku bywają bardzo pilne, w mało-pożytecznych pracach, i bardzo czułe w miłości: ale jest to najpocieszniejszy widok, osieł rozamorowany (rozkochany).

Powszechnie osły z łatwością i pięknych i bogatych żon dostają; anatomię przyczyn fizycznych i występne kobiét rozumowanie w téj mierze, jako zbyt zasmucające pomijam, a raczéj objawię cześć dla tych dziewic, które pogardzają osłami.

SZEREG TRZECI.

Niedźwiedzie.

O ile marmurek, lis, pies i pies z ogonem, (o których niżéj), najwięcéj do miast się cisną, o tyle niedźwiedzie najchętniéj po wsiach się sadowią. Człowiek-niedźwiedź zawsze nadęty, grzeczność i uprzejmość poczytuje za słabość charakteru i unika tych przymiotów, rozumiejąc, że jego niedźwiedzia mość ubliżyłaby swéj ogromnéj godności, gdyby dla kogokolwiek grzeczność i uprzejmość okazała. Zwykle niedźwiedzie chorują na suchoty mózgowe, ale co do ciała na saméjże *personie*, są w kwitnącym stanie. Stare niedźwiedzie miewają czasem tę istotną zaletę, że są szczérémi, otwartémi, i rzetelnémi w słowie; u młodych niedźwiedzi i o te zalety najczęściéj napróżno się spytasz. — Niezgoda w publiczném, gnusność w prywatném życiu, są także niedźwiedziemu rodowi nieodłączne. Żyją wystawnie, z pracy ludzi innego gatunku.

SZEREG CZWARTY.

LWY, LWICE I LAMPARTY.

Lwy.

Po najwykwintniejszym, częstokroć zarazem i najdziwaczniejszym stroju, po zapachu najdroższych olejków, po najmodniejszém ugładzeniu długich kudłów, lub téż w odwrotnéj ostateczności, po krótko, bo aż przy saméj skórze strzyżonym włosie, co mimowolnie przypomina

szczecinę nierogacizny, po osobliwszych zarostach twarzy, po butném spojrzeniu, bez wielkiéj trudności poznasz lwa; a gdybyś najmniejszą miał wątpliwość, wpatrz się pilniéj, na jego czole wyczytasz lekko ścieniowane wyrazy: „wielki człowiek do małych interesów.“

Lwów i Lwic dawnemi czasy dostarczały nam wyłącznie książęce, hrabioskie, albo bardzo zamożnéj szlachty rodziny; dzisiaj przez cywilizacyą XIX stulecia, z każdego bezwyjątkowo stanu łonią się lwy i lwice, i dla tego mamy ich téż teraz podostatkiem. Lew w wielkich miastach odbywa nowicyat, w wielkich miastach dojrzewa, w wielkich miastach traci kwiat swojego życia, i w wielkich miastach w nędzy, nie rzadko z głodu umiéra. Lwy odznaczają się chęcią górowania i ztąd zapewne przyznano im nazwę lwów. Są to panowie wspaniałomyślni w wydatkach piéniężnych, odważni w zaciąganiu długów, silni potęgą uczuć dla płci pięknéj, którą aż do szaleństwa uwielbiają, dla któréj zaniedbują najświętszych obowiązków względem swojego kraju, samę nawet naturę lwów utracają, przeistaczając się stopniowo w osły i w orangutany.

Lwice.

Błyszczéć na całą stolicę, rozrzucać śmiałemi spojrzeniami na wszystkich i wszędzie, lekce ważyć zwyczaje bogobojnych i skromnych niewiast, a na drodze emancypacyi, z cygarem w ustach, z kieliszkiem szampańskiego wina w drobnéj rączce, postępować bez rumieńca wstydu, oto jest lwic ogólny zarys. Pod względem zmysłowości lwice bywają bardzo przyjemnemi zwiérzętami; ale ani głębokiéj, prawdziwéj czci, ani szczérego uwielbienia godnemi nie są. Biada niedoświadczonemu młodzieńcowi,

gapiących się psów po ulicy i t. d. (*): on gapi się, gawroni bez uczucia i myśli, a rozmaitość sennych marzeń, z wieczora gdy się spać położy, jest jedyną jego próżniaczych trudów nagrodą. Godziny, dni, miesiące, życie całe upływa gawronowi w umysłowym letargu; a gdy i śmierć wreszcie nadejdzie, jeszcze nie rozważy po kogo przyszła, ale się zagapi na klepsydrę, kosę i łopatę, i będzie się dziwił silnemu zamierzeniu, i z rozwartą gębą przejdzie do czysca, gdzie go przez tyle lat rózgami ćwiczyć będą, ile godzin czasu zmarnował na gapieniu się w życiu ziemskiém.

SZEREG SIÓDMY.

SROKI I PAPUGI.

Sroka.

Gdy kobiéta bez ładu i szyku skradzionemi wyrazami skrzeczy o tém, czego wcale nie rozumié, jest to kobiéta-sroka. Czasem rozśmieszy, ale w końcu zawsze zniecierpliwi mężczyznę. W młodym wieku są niewysłowną serc

(*) Złodzieje swoje drobniejsze potrzeby opędzają kosztem gawronów, najpospolitszy sposób jest następujący:

Złodziéj niby to nie naumyślnie tłucze babie garnczek mléka; baba wrzeszczy, lecą tłumem ze wszystkich stron gawrony, przysłuchują się wszczętéj kłótni daleko pilniéj aniżeli wykładanym niegdyś w szkołach naukom, gapią się nad kierunkiem strugi rozlanego mléka, — tymczasem giną ich chustki od nosa, tabakierki, zegarki, a czasem i sakiewki lub pugilaresy. Albo: namówiony łotr pada na ulicy i udaje pijanego, — w mgnieniu oka obstępuje go do koła stu gawronów; czeladź złodziejska nie próżnuje. Przy wywieszonych na sprzedaż rycinach, przy oknach bižuteryami napełnionych, jest snów zwykła, nigdy nie próżna stójka gawronów i od nich nieodstępnych złodziejów.

wszystkich babuń i dziaduniów pociechą i nadzieją; u nich się téż zazwyczaj wychowują. Stara sroka jest zawsze nieznośną.

Papugi.

Z tego samego gniazda, co sroki, papuga powtarza bez wyboru wszystko co słyszała, ale się nie wdaje w żadne rozprawy. Kto żąda poznać tajemnice jakiéj rodziny, niechaj się zaprzyjaźni z papugą, a z pewnością w kilka godzin wszystko będzie wiedział, potrzebne i niepotrzebne szczegóły, drobiazgowe, ważne i najważniejsze wypadki. Papugi od urodzenia wiecznie chorują na świerzbienie języka, i dla tego ciągle nim w ustach melą, i to téż jest ich najpewniejszą poznaką. — Wszystkie pomiędzy ludźmi nieporozumienia pochodzą z winy papug, a i wielkie nieszczęścia nie raz na ich ciążą sumieniu.

I sroki i papugi są w plotkarstwie mistrzyniami.

SZEREG ÓSMY.

MARMUREK, LIS, PIES I PIES Z OGONEM.

Marmurek.

Marmurki krążą po całym świecie, jednakże wielkie miasta są ich najulubieńszém siedliskiem. Każdego rodzaju *śmietanka* jest dla nich najmilszym przysmakiem, i do niéj nigdy nie ugaszone czują pragnienie. Marmurek ma zwykle niewinne i skromne ułożenie, jest łagodny, rozsądny, dobrowolny, uprzejmy, słodki, manifestuje się poczciwością, ale bez przysiąg i zaklęć, bo po większéj części przekonywa rozumowaną prawdą, — niemniéj przecież obok téj prawdy, przy każdym interesie tak umié rożen obracać, że dla niego najlepsza cząstka pieczeni przypadnie. Marmurek bezpośredniém oszustwem i niezgrabném kłam-

stwem pogardza, natomiast zyski wyrafinowane, w niczém kodeksu Napoleona nie obrażające, mądrością być mieni. Jeżeli Marmurkowi zrobisz zarzut, że w jego czynnościach jest brak uczuć obywatelskich, odpowié: że jest ojcem licznéj rodziny, że działa zgodnie z *rozumem* (?!), że w niczém sumienia nie obraził, — nakoniec w nagłéj potrzebie Bogiem się zaświadczy i ciężko westchnie. Marmurki w społeczeństwie nie są arystokratami, niemniéj przeto demokratów pilnie się strzegą; żadnych poświęceń nieznają, dobrze czynią wtenczas tylko, gdy tego ich własny interes lub konieczność wymaga. Marmurek nikogo nie obrazi ani rozgniéwa, ale także żadnego serca nie rozpłoni; wielki posag przenosi nad wszystkie wdzięki niewieście; jest mężem znośnym ale nie uszczęśliwiającym; dzieci swoje z najdrobniejszéj młodości sposobi na spekulantów, bo w oczach starego marmurka przebiegły spekulant jest *najwyższą* rozumu ludzkiego potęgą!

Lis

Równie jak marmurek miasto nad wieś przenosi. W powiérzchownych oznakach lis mało się różni od marmurka, pilnie przecież badając, znajdziesz, że jego spojrzenie zawsze jest chytre, a uśmiéch w jednéj godzinie rozmaite przybiéra odcienia i zmiany. We wszystkich życia stosunkach, lis zawsze i wszędzie najusilniéj się stara o zaufanie, aby z tego zaufania mógł korzyść i zysk dla siebie osiągnąć. Lis potakuje głupcom, chwali każdego, ludzi rozumnych unika, lęka się przenikliwości kobiécéj, *gąski* za najsmaczniejszą przekąskę uważa, czepia się bogatych, od ubogich stroni; w charakterze jego jest wiele podłości, często się w psa zamienia.

Pies.

Pies ma wszystkie niecne przymioty lisa, z tą różnicą, że lis stara się o dobre imię i ostrożny jest w wyborze środków, pies na nic nie zważa byleby zyskowną zdobycz pochwycił; — lis zdradzi zaufanie, pies i rodzonego sprzeda brata; lis chytrością zdobywa, pies z całą bezczelnością kradnie otwarcie; lis na woskowanych lubi się ślizgać posadzkach, pies przez błoto, przez najobrzydliwsze kloaki wciska się po osiągnienie zamiaru.

Pies na cudzém nieszczęściu swoje szczęście buduje.

Smutną nakoniec jest ta prawda, że gdy w czystym rodzie zwiérząt pies, obok wielu nikczemnych własności, posiada niezaprzeczenie i chwalebne przymioty, jako to: wierne przywiązanie do swojego chlebo-dawcy, pilność w strzeżeniu domu lub owiec, i chętną pracowitość w usługach myśliwskich, — w rodzie ludzi-zwiérząt, człowiek-pies *żadnemi, zgoła żadnemi* zaletami poszczycić się nie może.

Pies z ogonem (*).

Wszystko co na ziemi hańbi i poniża, człowiek-pies z ogonem w sobie połączył. Religią, filozofią, cnotę, honor i miłość poczytuje za urojenia głupców. Łzy ludzkie to jego napój; jęk rozpaczy to harmonia jego duszy!.

Psa z ogonem, poznasz łatwo po wiecznie ponurém i jakoby zakrwawioném spojrzeniu, — jest to ostrzegający odcień wrzącego w jego piersi piekła. Twierdzą, że kruki niechcą pożerać ścierwa psów z ogonami, uważając je za zbyt podłe!..

(*) Różnica pomiędzy psami z ogonem a psem bez ogona, tylko u ludzi-zwiérząt istnieje.



O PRAWIE ZAŁOGI W POLSCE

PRZEZ

J. H. S. Rzesińskiego.

W wiekach średnich prawo zwyczajowe urządzało wszystkie stosunki społeczeńskie. Wywięzując się z codziennie nastręczających się potrzeb i z obyczajowości, jaką każdy naród według politycznych przybierał względów, nie doszło ono i nie mogło na raz jeden dojść do tego stopnia doskonałości, jaką posiadały ustawy narodów, które przebiegłszy całą koléj rozwijania się swojego, do historycznego w dziejach świata wybiły się znaczenia. Prawo rzymskie, owoc wytrawionego i doświadczeniem wspartego rozumu, było obcém dla tworzących się w samym środku Europy i na widownią świata występujących państw i ludów. Prawo to przeciągało wprawdzie wegetacyjne życie na zachodzie, ale w środku Europy zwyczaj tylko, pielęgnowany pomiędzy dzikiemi puszczami i nierozwidnionemi lasami, wzrastał i był źródłem prawa odmiennego i wręcz w zasadach swoich prawu rzymskiemu przeciwnego. Zwyczaj ten, jako prawo wieków średnich uważany, byłby zniknął bez śladu, gdyby zbiory ustaw Ripuarskich, Salickich, Bawarskich i t. d. nie przechowały je były i od ogólnéj nie ocaliły zagłady. Rozpatrując się w tych średniowiekowych pomnikach europejskiego prawodawstwa łatwo dostrzedz, że wszystkie miały na celu głównie zapewnienie praw osobistych, a o rzeczowych tyle tylko napomykały, ile tego nieodzowna styczność z osobami wymagała; bo rozwinięcie i ustalenie pojęcia prawa rze-

czowego nalеży do wyższego rozjaśnienia wiedzy, a tém samém wznioślejszego oświécenia i kultury, tak jak nauka o skargach i cały przewód sądowy jest zamknięciem i szczytem umiejętności i życia prawa.

Społeczność jak z jednéj strony nie jest dziełem woli pojedynczych osób, ani postanowienia mnóstwa ludzi, ale się opiéra na jestestwie natury człowieka, tak z drugiéj utrzymuje się i silniéj spaja niedołężnością i potrzebami, które tylko w rozliczności wzajemnych stosunków zaspokojonemi być mogą. Z stosunków tych rodzą się prawa i powinności, które w wykształconym systemacie prawoznawstwa zobowiązaniami się zowią. W piérwotnym stanie narodów stosunki społeczne są proste a dopełnienie zaciągnionych zobowiązań żadnych nie doznaje trudności: słowo, podanie ręki, lub wreszcie inna oznaka, wystarczają do osiągnienia pewności; późniéj przybywają świadkowie, wreszcie pismo wchodzi w użycie, ale i to wkrótce staje się mdłą rękojmią, jeśli do dobrowolnego uiszczenia zaciągnionego zobowiązania sama sumienność nie nakłoni. Niepewność ta w dotrzymaniu zobowiązania dała początek wielu postanowieniom i rozporządzeniom prawnym, a do rzędu licznych środków zapewnienia wierzyciela względem zapłacenia należytości przez dłużnika zaciągnionéj, jakie prawodawstwa wieków średnich poddawały, policzyć potrzeba głównie tak zwane prawo załogi czyli leżenia (das Einlager — jus obstagii — obstagium). Prawo to zasadzało się głównie na tém: iż dłużnik albo ręczyciel, albo obadwaj zarazem przyrzekali, w razie nie uiszczenia zobowiązania na oznaczonym terminie, udać się w pewne umówione miejsce i dopóty w niém zostawać, dopokąd zobowiązaniu zadosyć się nie stanie.

Poddawanie się dłużnika i ręczyciela prawu załogi sięga w Niemczech odległéj starożytności, a lubo niepodobieństwem jest oznaczyć czas jego powstania, przecież na początku wieku XIII było ono już w użyciu, bo tego dyplomata ówczesne i wzmianka w prawie saskiém (Sachsenspiegel II 2) o niém uczyniona dowodzą. W wieku XIV i XV zwyczaj ten tak się rozpowszechnił, iż nie było żadnéj ważniejszéj umowy, któraby zastrzeżenia tego w sobie nie mieściła.

Nie mamy dodatnego dowodu na to, aby przed ogłoszeniem statutu Wiślickiego prawo załogi znajomém było w Polsce, bo dyplomata z przed Kazimiérzowskich czasów są zbyt rzadkie i w niewielkiéj doszły nas liczbie. Najdawniejszy jéj ślad napotykamy w Chron. Princ. Poloniae u Stenzla Scriptt. rer. Sil. T. I, str. 131, pod rokiem 1331, gdzie kronikarz wspominając o rozrzutności i marnotrawstwie Bolesława III książęcia na Brzegu dodaje: że dwaj synowie jego Wacław i Ludwik wysiadywali załogę w Wrocławiu. Oto są jego słowa:

Nec tamen a prodigalitate sua destitit Boleslaus, quin et plus expenderet quam haberet, nam omnes municiones suas involvit obligationibus et debitis oneravit. Legnicz enim obligaverat pro octo millibus marcarum, Haynaw pro octo millibus marcarum, Aureum montem (Goldberg) vero pro tribus millibus marcarum nonnullis civibus Wratislaviensibus, jam pro pannis, jam pro equis, jamque pro aliis rebus super dampnis apud eos receptis obligaverat, insuper filios suos Wenceslaum pariter et Ludovicum duces, in Wratislavia obstagium pro magna summa pecunie observantes, quos quidem filios ex domina Margaretha predicta, filia regis Bohemie, generavit et ad tantam pervenit inopiam, quod quo se diverteret, ignoraret.

Ujemny atoli dowód znajduje się w samym statucie Wiślickim, w którym w art. CXLV. *de obligationibus* następne czytamy wyrazy:

Quia ex facilitate obligationis ad magna damna homines plerumque deveniunt, jure tenendum est: quod si quis fideiussit pro aliquo suo amico pro certa pecuniae quantitate alicui civi, vel alteri cuicunque, cujuscunque status vel conditionis excitat, illo tunc non solvente, in termino adveniente et statuto, fidejussor non debet propter hoc ad hospitium in obstagium subintrare, aut aliqua damna facere non solventis in destructionem. Sed si est parvum debitum, detur ei pignus et distrahatur, si autem magnum, possessio debitoris pro valore debiti per fidejussorem apprehendatur tradaturque illi, cui debitum dare tenetur. (Ob. J. W. Bandtkie Jus polonicum Varsoviae 1831 4to p. 120).

Tłumacze statutu wiślickiego przełożyli to w ten sposób; a mianowicie Stanisław z Wocieszyna:

„Ysze sz lacznosczy zapysanya alybo zastawy na wyelge skody ludze przychodzą szprawnye dzyrzano ma bycz ysz gdy ktho obrączy za przyaczela swego pevną pyenyedzy summą lubo wyelgoscz do nyekthorego myesczanyna alybo do gynego kogokole ktore te stadla alybo czczy bądze tego nyezaplaczacz na roku przyslem rąkoymya tego dla nyema do gospody w zalogą wyechacz alybo które skody czynycz nyezaplaczonemu veskazą, ale gest ly mali dlug ma mu dan bycz zaklath y przedan bącz; paknąly wyelgy gest dlug thedy gymyenye dlusznykowo sthoyącze za dlug a w wasznosczy dlugu ma bycz przyątha przez onego rąkoymyą y dano themu komu dlug dacz vynowath.“

Tłumacz bezimienny z r. 1503.

„Zastawy często liud przychodzą ku szkodzie y ku ubóstwu, przeto aczby ktho ręczyl za przyiacziela swego pieniądze albo czokolwiek. Gdyby then niezaplaczil na czas ulożony alie rękoymia ząn zaplaczil, thedy rękoimie nima ni iedny skody uczynicz, temu za kogo ręczy ani w gospodę iechacz traczicz na potepę i na skodę iego.

„Alie iestli maly dług ma bycz y będzie dan zaklad y „chowan az do czasu, az będzie wielki dług, thedy imie„nie dłuznikowo ma bycz dano rękoymi tako długo az ie „wykupi.“

Wreszcie tłumacz z piérwszéj połowy XVI wieku:

„Ize z latwiosczi zawiązania ku wielkim skodąm też „ludzie przychodzą, prawem ma bycz dzierżano, iże iesli „niektho ręczył ná niektorego swego przyaczieła, o pewne „pieniądze niektóremu mieszczaninowi abo innemu komu„kolwiek któregokolwiek stanu albo połozenia by był, on „gdyby niezapłaczył na roku przyslem ustanowionem rę„koimia nima dlia tego do gospody nalieżą vchodzicz abo „niektórych skod czynicz. niezapłaczonemu na skazę ale „iesli iest mały dług ma iemu bycz dana ciąża a roztar„gniona, ieśli zaiste wielkie dzierżenie dłuznikowo podlie „wielkosczi dlugu przez rękoimiego ma bycz dosiągniono, „y wydano onemu komu dług dacz był powinien.“ (Księgi ustaw Polsk. i Mazow. Wilno 1824 4to str. 90).

Rozporządzenie to wzbraniające ręczycielowi udawania się do gospody i tracenia na skazę i potępę dłużnika, dowodzi aż nadto: że prawo załogi było w użyciu w Polsce i że tak mieszczanie jak i szlachta umowy między sobą zawiérane tym rodzajem zastrzeżenia wzmacniać się starali.

Jak w Niemczech niepewnym jest początek zaprowadzenia załogi, tak i w Polsce co do powstania jego gruba panuje pomroka. Ale gdzie zbywa na zupełnych dowodach, tam domysł przynajmniéj do pewności doprowadzony być może. Polska z jedno-szczepnego złożona pokolenia musiała mieć jeden sposób widzenia rzeczy, jedne potrzeby i jednakie cele. Brak różności co do wewnętrznych jéj żywiołów rodził jednostajność prawa, które jakby czyste

i niczém nie zmącone źródło odbijało w pierwiastkowych wiekach lice całego narodu. Naród przy kolebce dziejów swoich stacza podobnie jak człowiek walkę z przedsobnym światem i jednocześnie ducha i siły ciała swojego rozwija. Ztąd duch powstającego narodu objawia się w postaci wojny; ztąd w Polsce, równie jak gdzie indziéj, piérwsze historyi karty zapełnione są walkami, przy których opisie nikną wszystkie wspomnienia o tworzeniu się rodzinnych instytucyi. — Świetność oręża połyskującego wśród pożaru gorejących stolic i zatykającego żelazne słupy, jako graniczniki ustalonego państwa, ieśli z jednéj strony święciła wcielenie ducha i szérzyła niepożytą sławę, to z drugiéj wywołany odcisk i zapuszczane aż pod mury Krakowa tatarskie zagony, wyludniały ziemię i smutny zniszczenia przedstawiały widok. Potrzeba obrony zewnętrznéj jednoczyła na ostatnich krańcach orężne krajowców zastępy, ale wewnątrz kraju obcy przychodnie dźwigać musieli upadające rolnictwo i niedostępne rozwidniać lasy. Osadzani na tronie polskim piastowie szląskiéj dzielnicy, nie pomału sąsiednim przychylni Niemcom, nadawali to szczegółowe to ogólne przywileje i wyłączenia od praw polskich dalekim wędrowcom; i w krótkim przeciągu czasu ziemia i prawo polskie podobne się stały do roztrąconego w kawałki zwierciadła, którego każdy złomek odrębną odbijał postać a całość jéj paczył i wykrzywiał w śmieszne dziwołągi. W okresie bowiem czasu od Bolesława Wstydliwego do Władysława Łokietka zjawiły się nieznane dotąd nazwiska prawa niemieckiego, szwedzkiego, saskiego, magdeburskiego, chełmińskiego, frankońskiego i t. d. i na obszerności małéj piędzi ziemi wszystkie nie mal na raz jeden i obok siebie obowięzywały. Rządniejsi i swobodniejsi pod tarczą nadanych im przywilejów i wyłączeń,

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W WILNIE:

Podróż do Prus, Saxonii i Czech odbyta w roku 1838—1839 przez Juliana Moszyńskiego, 2 tomy in 8vo, w drukarni M. Romma, nakład Rubena Rafałowicza.

Przewodnik do nieba wyborniejsze zawierający zdania ojców świętych kościoła i filozofów dawnych, ułożony przez kardynała Jana Bona, tłumaczony z języka łacińskiego przez K. S. S. D, 2 tomiki in 16mo, w drukarni M. Zymelowicza.

Śmierć i odrodzenie, opowiadanie psychologiczne, wydał Józef Przecławski in 8vo, nakład i druk T. Glücksberga.

Bigos hultajski. Bzdurstwa obyczajowe, przez Izasława Blepońskiego, in 8vo, nakład i druk T. Glücksberga.

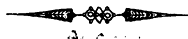
Rozmyślania ewangelii rozdzielone na wszystkie dni roku idąc za zgodnością czterech ewangelistów, wraz z wiadomością o życiu księdza Diukena przełożone na język polski przez J. S. tom I, i II., nakład i druk T. Glücksberga.

Oblubienica Messeńska, trajedya liryczna z chorami przełożył z Szyllera Ferd. Bron. Trętowski in 12mo, nakład i druk T. Glücksberga.

Słowa nieprzyjaciół Chrystusa przez Ks. J. Em. Veith kaznodzieję katedralnego kościoła Ś. Szczepana w Wiédniu tłumaczył z niemieckiego Ks. Stanisław Chołoniewski in 8vo, nakład i druk T. Glücksberga.

Ogrody północne, przez Józefa Strumiłłę, wydanie czwarte poprawne z dziesięcią tablicami litografowanemi, zawiérającemi 70 figur, plan i widok ogrodu angielskiego, 3 tomy in 8vo, nakładem R. Rafałowicza w drukarni M. Zymelowicza.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne.*



DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 5. Kraków dnia 1 Czerwca. 1844.

DO FILONA

PIEŚŃ FRANCISZKA KARPIŃSKIEGO.

(Zabytek niedrukowany z autografu).

Już Filonie ulubiony
Los mi cię nie obiecuje:
Widzę rozpacz z każdéj strony,
Wszystko szczęście moje truje.

Lecz ty znasz mój umysł stały;
Jeśli cię los mój poruszy,
Choć się łzy me będą lały,
Pamięć je twoja osuszy.

Ty w dalekiéj żyjesz stronie,
Mojéj rozpaczy nie czujesz:
Może już na innéj łonie
Wieczną stałość obiecujesz.

Filonie! lękaj się kary,
    Byś nie był wzajem wzgardzony;
Nie wiesz, jak złamanie wiary
    Czyni żal nieutulony.

Tyś nie kochał nigdy siła,
    Ty nie znasz, co moc stałości;
Choć mówiłeś, żem ci miła,
    Dalékiś był od miłości.

Jam ci wszystkie moje tchnienia
    Zawsze z chęcią poświęcała;
Te były moje życzenia,
    Bym cię szczęśliwym widziała.

Gdyś w odmienne zaszedł rady,
    Jeśli to twe szczęście czyni,
Nie lękaj się żadnéj zdrady,
    Serce moje cię nie wini.

Czas ci sam pokazać może,
    Że ja nie jestem zmieniona...
Ty najlepiéj wiesz, mój Boże!
    Jak dotąd kocham Filona!

Kochać będę zawsze stale,
    Nie zmieni mnie wzgarda jego —
Na nieba me wywrę żale,
    Żem nie stworzona dla niego.

O HUSSIE I HIERONIMIE Z PRAGI.

Uwagi nad niektóremi znakomitszemi dziejami trzeciéj epoki religii chrześciańskiéj, w wieku piętnastym kościoła przypadłemi; przez X. Józefa Bogucickiego, filozofii i teologii doktora, hist. kościel. w Szkole głównéj krakowskiéj professora, na posiedzéniu publiczném czytane.

Defendenda Religio est, non occidendo, sed monendo, non saevitia, sed patientia, non scelere, sed fide. Illa enim malorum sunt, haec bonorum.
Lactantius. Institutionum lib. V, c. 20.

Wiek piętnasty był płodny w znakomite i głośne wypadki, które szczególniejszym sposobem źródło swoje miały w złém lub dobrém użyciu religii, a tém samém bardzo z blizka dotykały spółeczność, któréj trwały pokój i pomyślność zawsze zależéć będzie od kierowania i poruszania téj najdzielniejszéj równie jak najmocniejszéj sprężyny. Słusznie wiek ten porównać można z owemi okropnemi wulkanami, które przez długi czas ukrywają w swém łonie zawarte ogniste i zapalające się materye. Te będąc ściśnione i w stanie ustawicznego burzenia się trzymane, tlące i żarzące pod popiołami w podziemnych lochach, muszą sobie zrobić wychód, muszą kiedyś wybuchnąć, rozerwać z hukiem powiérzchnią, a gwałtownèm i strasznèm wypadnieniem napełnić ziemię, na któréj mieszkamy, smutnemi widokami śmierci, obalin i pożarów.

Wszystkie podówczas nieszczęścia razem się złączyły na zasmucenie religii i spółeczności. Wielkie kościoła zachodniego rozerwanie, więcéj niż przez cztérdzieści lat

trwające, tak rozliczne i tak głębokie zadawało chrześcijańskiéj jedności rany, iż te ledwo potém na zborze konstancyeńskim zostały zagojone, przez złożenie trzech papiéżów z stolicy rzymskiéj.

Ubieganie się do najpiérwszego dostojeństwa w kościele przez drogi wcale różne od piérwiastkowych pasterzów trzody Chrystusowéj, fałszywa polityka panujących w rządzeniu swoich, a w nabywaniu obcych krajów, władza papiézka z granic swoich wymknięta, watykańskiemi piorunami ukoronowane przerażająca głowy i częstokroć całe zastraszająca państwa, przywłaszczająca sobie prawie uniwersalną monarchią, tak w świętych jako w cywilnych sprawach, na żadnych prawdziwych nauki chrześciańskiéj twierdzach nie ugruntowaną; ambicya, łakomstwo i zbytki ludzi na pilnowanie czci boskiéj i doskonałości ewangelicznéj poświęconych; te górujące występki przebrały już miarę i wszystkie chrześcijańskie przeciwko sobie oburzyły narody. Z tego zarażonego zdroju wyniknęły obficie, gruba niewiadomość, skażenie obyczajów, mnóstwo wszelkich bezprawiów, i tłum owych czarnych zbrodni, które znieważywszy tron i ołtarz, oboją władzę, któréj związek tak jest potrzebny korzyściom rodzaju ludzkiego i tak mocno od chrześcijańskiéj zalecony religii, na harc niebezpieczny wystawiły.— Dziwić się zatém nie można, że w owéj rozlanéj powszechnego zepsucia powodzi, wszędzie widziéć było porządek wywrócony, świetność hierarchii zaćmioną, powagę jéj zdeptaną, prawa kościelne najpożyteczniejsze od wiary i rozumu pochwalone, albo nieznane albo wzgardzone albo zuchwale gwałcone, nowe nastałe zwyczaje krzywdę dawnéj prostocie i chwalebnéj przykładności czyniąco, arbitralność wprowadzoną zamiast owych świętych przepisów, któremi się piérwsze kościoła rządziły wieki.

Widziała pod ówczas strapiona religia i pognębiona ludzkość, jak herezya duchem niespokojności i buntu podsycona, a do tego rozjątrzona srogim przeciwko sobie postępowania sposobem, najpiękniejsze Europy prowincye spustoszyła i z mieszkańców ogołociła, jak całe królestwa trwógą, zamieszaniem, strachem i wszelkiego rodzaju klęskami napełniła. Fanatyzm, ten to nieprzyjaciel ludzkości, dziki i najgorszy odrodek religii, łagodnéj i dobroczynnéj matki naszéj, ta piekielna poczwara pragnąca nieustannie krwi ludzkiéj, z ogniem i żelazem w ręku popełniła w wieku piętnastym takie okrucieństwa, na któreby się same barbarzyńskie, ani poloru ani słodyczy towarzystwa nieznające, wzdrygnęły narody. Widzieć było chrześcijan uzbrojonych w imię Boga, pokoju, zgody i miłości na zepsucie, zniszczenie, wytępienie i wymordowanie braci swoich. Ich niechęci, gniéwy i niesnaski nie tylko się nie ukoiły na widok tak niepowetowanych strat i nieszczęść, ale jeszcze się bardziéj do krwawych zapalały bojów, i do niegodnego chrześcijan, węzłem braterstwa złączonych, wzbudzały prześladowania.

Ten jest nigdy dosyć nieopłakany skutek fanatyzmu, obracającego w truciznę i w śmiertelny jad jedno z najlepszych i najpewniejszych lekarstw, które najwyższa Opatrzność raczyła użyczyć ludziom ku ich pocieszeniu w troskach i przeciwnościach doczesnego życia. Te są szkody, które spółeczność cierpi od ducha nietolerancyi tak niezgodnéj z chrześcijańską miłością, tak przeciwnéj wrodzonéj każdemu wolności sumienia.

Przygody Hussa, jego zdania przyjęte z tak gorącą chciwością, a rozruchy wszczęte przez jego naśladowców w Czechach i po części w Polsce, które są najznaczniejszemi a wraz najsmutniejszemi przygodami dziejów wieku

piętnastego, nauczą, jak trzeba w początkach zaraz tłumić nieumiarkowane zapędy ślepego fanatyzmu, jak potrzeba zostawić Bogu samemu sprawę wewnętrznego przekonania umysłów, odmiennie od nas co do wiary myślących, jak rządcy kościoła pewinni używać skromnie i pożytecznie, ku wsparciu ubogich i uszczęśliwieniu powszechności narodowéj, dóbr i bogactw od pobożnéj hojności sobie powierzonych, żeby uniknęli pocisków zazdrości, szemrzącéj często sprawiedliwie przeciwko ich dumie, i gorszącéj okazałości, która się zdaje urągać z publicznego ucisku i naśmiéwać z jęczącéj bez ratunku nędzy.

Jan Huss, tak nazwany podług zwyczaju owych czasów od miasteczka w Czechach będącego, gdzie ten głośny człowiek urodził się, odebrał ćwiczenia młodości swojéj co do nauk i obyczajów w szkole głównéj pragskiéj; tamże po odprawioném pilném i surowém doświadczeniu przyjęty do grona doktorów i nauczycielów, obranym był dziekanem teologów, a potém w roku 1409 rektorem téjże wysokiéj szkoły. Przy tych akademickich zaszczytach, sprawował on urząd plebana w Pradze przy kościele Betleem zwanym, z wielką swoją zaletą i z powszechném ludu zbudowaniem; był mu także powierzonym obowiązek spowiednika królowéj czeskiéj, żony Wacława.

W cztérnastym jeszcze wieku pokazały się liczne sekty, które gwałtownie biły przeciwko niesłusznym opłatom i wyniosłości dworu rzymskiego: nacierały one mocno na jawne duchowieństwa wady, a najżywiéj uderzały na nieokréśloną władzę papiéżów; nawet całego kościoła powadze w pismach, rozmowach i kazaniach swoich bez roztropnego względu na okoliczności uwłaczały. Nieprzyjaciele stolicy rzymskiéj, wyższego duchowieństwa i kościoła, nie byli to tylko fanatycy i entuzyastowie; ale wielu z zakonników,

wielu teologów piérwszego rzędu, wielu ludzi gruntownie uczonych, jako: Jan de Oliva, Marcel z Padwy, Wiklef doktor głównéj szkoły oxfordzkiéj w Anglii, i ci wszyscy franciszkanie zbyteczną ostrością życia uwiedzeni i wyobrażeniem urojonéj swéj doskonałości zagrzani, którzy przeciwko Janowi XXII z wielą żółci i popędliwości utrzymywali, że prawdziwi synowie Ś. Franciszka żadnéj nie powinni posiadać rzeczy bądź ruchoméj bądź nieruchoméj, i że nawet tego chleba, którego codziennie używają, nie są właścicielami. Wyklęci od papiéża za nierozumny upór swój, poczytani za krnąbrnych heretyków, od inkwizycyi na stósy tylekrotnie skazani, wszędzie ścigani i prześladowani, usiłowali rozwalić zasady téj strasznéj potęgi, która się im tak okrutnym dała uczuć sposobem. Tych i innych sektarzów pisma porozchodziły się wszędzie, osobliwie zaś Wiklefa aż do Czech przeszły.

Częścią jawne zgorszenia duchownych nazbyt podówczas bogatych a wielu z biskupów i opatów tytułem książąt i jedynowładzców ozdobionych niecne, dumne i plamiące charakter kapłański postępki, częścią nieporządna chęć wsławienia się i dania powodu do mówienia o sobie, przywiodła wielu tłumaczów prawd i wyroków wiary Ś. do zbyt wolnego roztrząśnienia niektórych religii chrześcijańskiéj tajemnic, które już przez powód uszanowania winnego powadze kościoła, już przez wzgląd potężniejszego wędzidła na wstrzymanie burzliwych namiętności ludzkich, już przez szlachetny zamiar w silniejszém nakłonieniu serca do zdobywania się na cnoty chrześcijańskie najwyższego stopnia, już nareszcie dla dobra pokoju, powinny były zawsze zostawać utajone w swojéj świętéj zaciszy i pod nieprzejrzaném zakryte być obłokiem. Wiklef jeden z członków akademii oxfordzkiéj z największą nie-

powściągliwością i z zuchwałą śmiałością piérwszy w wieku czternastym odważył się zedrzéć owę świętą i głęboką zasłonę, i usiłował zniweczyć wszystkie główniejsze zasady religii katolickiéj. Między innemi chciał ten śmiały dogmatyk znieść spowiedź, wprowadzoną, jak on sądził, późniejszemi wiekami do zachodniego kościoła, odpusty, hierarchią panującą samowładnie nad duszami gminu a od piérwiastkowéj prostoty i pokory daleko zboczoną. Słowem, czego waldyńczykowie we dwunastym i trzynastym wieku nauczali potajemnie, to Wiklef głosił jawnie. Jego nauka mało się różni od téj, którą protestanci wieku szesnastego z taką popiérali przewagą, a którą nawet w poprzedzających czasach spiknione przeciwko kościołowi rzymskiemu towarzystwa wyznawały już otwarcie już skrycie, dla bojaźni inkwizycyi Ś. srogo mszczącéj się przez katusze i stosy zapalone dla śmiało mówiących.

Te i tym podobne były teologiczne Wiklefa mniemania, które mniéj doznały opieki i nie tak rychłego przyjęcia aniżeli jego polityczne maksymy, w których sobie poczęto mocno smakować; bo ludzie na ostatek wierzyć będą wszystkiemu, byleby ich ambicya, możność przewodzenia nad sobie równemi, sposoby dobrego bytu zabezpieczone były. Wiklefa kazania i pisma krążyły po Europie, gdy Urban VI i Klemens VII swojemi dumnemi przedsięwzięciami i nie ukróconą żądzą panowania na Piotrowéj stolicy mieszali publiczną spokojność, pomnażali niezgody i rosterki w kościele, zbierali mocnych stronników do popierania piórem i orężem swoich niesłusznych zamysłów, wyklinali się wzajemnie, ogłaszali święte wojny przeciwko chrześcijańskim mocarstwom, rozdwojonym w posłuszeństwie, które prawowierni winni oświadczać prawdziwym namiestnikom Chrystusa. W takowém za-

kłóceniu sądził Wiklef, iż Anglia powinna była wykonać na zawsze, co potém w wieku piętnastym uczyniła Francya, to jest żadnego za papiéża nie uznać z tych, którzy bez powszechnego zezwolenia kościoła najwyższą tę sobie przywłaszczali godność. Zapatrując się zaś na bogactwa duchownych, nieprzyzwoite onych używanie i środki, któremi ich nabyli, utrzymywał, że to jest wbrew ewangielii, ażeby ministrowie religii ziemskie posiadali dobra; że władza krajowa dla słusznych przyczyn może one im odebrać; że raczéj powinna je obrócić na potrzeby społeczności, niżeli nowemi lud obciążać podatkami, i że nakoniec potrzeba duchowieństwo przyprowadzić do piérwiastkowego ubóstwa i życia apostolskiego. Te i inne tego rodzaju zdania sprawiły w narodzie tak mocne uczucie, że niższa izba parlamentu często przekładała królowi, ażeby odjąć duchowieństwu dobra. Wiele nawet z znakomitszych osób Wielkiéj Brytanii sprawiedliwie będąc nieukontentowane z Rzymu i widząc, że papiéże postępowali sobie z Anglią, jak z zawojowaną od rzymskich biskupów prowincyą, radzili wieczne odłączenie się od rzymskiego kościoła, co potém pod Henrykiem VIII nieszczęśliwym dopełniło się losem, a co natenczas, gdy religia katolicka w sercu dobrych przemagała jeszcze Anglików, mocnych znalazło przeciwników, którzy sądzili za rzecz potrzebną zachować synowską podległość ku świętéj stolicy.

Zważając znowu Wiklef zdrożności i obmierzłe występki w społeczeństwach zakonnych zagnieżdżone, twierdził bardzo lekkomyślnie i fałszywie, że człowiek przyjmujący stan zakonny staje się mniéj sposobnym do zachowania przykazań boskich, że czyni się niepożytecznym społeczeństwu ludzkiemu, że nawet przestaje być chrześcijaninem. Szalone zaś bluźnierstwo tak dalece go uniosło, iż śmiał

powiedzieć, że święci fundatorowie zgrzészyli ustanawiając i przepisując takowe życia prawidło. Tak obłąkany jego umysł, nie wiedząc gdzie się zastanowić, postąpił aż do wstrząśnienia samychże fundamentów, których się dotknąć niegodziło.

Dzieła Wiklefa, choć ciemnemi, obelżywemi i grubemi, podług smaku wieku, napełnione wyrazami, bez związku w myślach, bez porządku w wywodach, bez kształtu i jasności w wykładach, rozeszły się po świecie chrześcijańskim, przez samę śmiałość, którą wzniecały w umysłach z głębokiego pod ówczas letargu obudzonych, już treść sporu, już odwaga autora, którego przytém nienaganne obyczaje i przykładne życie nie małéj dodawały ważności jego mniemaniom o religii i téjże kapłanach. Przeniosły się te zdania do Czech, kraju nie zewszystkiém podówczas polerowanego, który od najgrubszéj prostoty poczynał przechodzić do pewnego rodzaju umiejętności daleko niebezpieczniejszéj, niż sama czysta niewiadomość, to jest do niedobrze wytrawionéj jeszcze erudycyi i ciemnéj subtelności ćczego scholastycyzmu. Rzym jednak nigdy się nie spodziewał, żeby piérwsze ciosy, które ogromnéj jego potędze, wydobyte z więzów ciemności, błędu, zabobonu i dzikości nauki zadały, miały kiedy pochodzić z kraju, który on przez długi czas nazywał grubym i barbarzyńskim.

Jan Huss właśnie w owę porę odebrał niektóre dzieła Wiklefa teologa oxfordzkiego. Odrzucał on statecznie jego zdania, ile się sprzeciwiały powszechnéj kościoła rzymskiego wierze; wszakże przyjął wszystko, co tylko żółć tego anglika rozlała była w swoich pismach przeciwko zgorszeniom papiéżów i biskupów, przeciwko zastarzałemu zwyczajowi exkomuniki, rzucanéj z wielką zapalczywością,

częstokroć z pobudek bardzo błahych, nakoniec przeciwko całéj władzy kościelnéj, w któréj ani Wiklef ani Huss nie rozróżniali istotnych własności, słusznych praw i przyzwoitych prerogatyw od uzurpacyi, fałszu i obłudy. Tym sposobem pleban Betleemu zrobił sobie wielkich nieprzyjaciół z jednéj strony, ale téż z drugiéj pozyskał szczérych przyjaciół i gorliwych swojéj sprawy obrońców; sama nawet królowa, któréj rządził sumieniem, nie odmawiała mu swego wsparcia.

Jan Huss oskarżony przed papiéżem Janem XXIII, wezwany został do stawienia się przed jego sądem w Bolonii około roku 1411, co uczynił przez prokuratorów do tego umocowanych; gdy tymczasem, w ciągu prawnego przeciw niemu postępowania, zebrało się owe sławne koncylium konstancyeńskie, na którém kościół przywrócił sobie dawną moc sądzenia papiéżów, składania ich ze stolicy, stanowienia o zdaniach tyczących się wiary i obyczajów. Koncylium konstancyeńskie, za usilném naleganiem stanów chrześcijańskich, zgromadzone było końcem zaspokojenia wielkiego odszczepieństwa zachodniego, zapobieżenia złym zwyczajom, długim wieków przeciągiem wkorzenionym, zreformowania całego kościoła równie co do głowy, jako i członków, tę duchowną rzeczpospolitą składających. Nigdy nie było zboru liczniejszego i okazalszego nad ten. Jan XXIII papiéż od tegoż koncylium osądzony i złożony znajdował się na niém osobiście. Zygmunt cesarz żadnego prawie posiedzenia nie opuścił. Znajdowało się na téj sławnéj obradzie trzech patryarchów, dwudziestu trzech kardynałów, dwudziestu siedmiu arcybiskupów, stu sześciu biskupów z świeckiego duchowieństwa, a z zakonnnego trzydziestu trzech, opatów stu trzech, auditorów sacri palatii ośmnastu, innych papiézkich urzędników cztérdziestu

dwóch, doktorów teologii i obojga prawa trzystu cztérdziestu cztérech, spowiedników uprzywilejowanych siedmiudziesiąt trzech, pisarzów stu sześćdziesięciu sześciu, prokuratorów siedmiudziesiąt trzech, pedelów ze srebrnemi laskami pięćdziesiąt dwóch.

Ze stanu świeckiego, prócz Zygmunta cesarza osobiście z dworem swojem przytomnego, było książąt panujących dwudziestu ośmiu, hrabiów udzielnych siedmdziesiąt ośmiu, baronów imperii siedmdziesiąt sześciu, osób stanu rycérskiego sześćset, posłów pełnomocnych imieniem jednowładzców zasiadających dwudziestu ośmiu, delegowanych od rozmaitych biskupów, kościołów, akademii, miast wolnych i większych, prócz wielu pomniejszych, sześćdziesiąt sześciu.

O bogactwach, zbytku, przepychu i okazałości, o niezmiernéj konsumpcyi rzeczy do żywności potrzebnych, dopiéro opisanego tak licznego zjazdu, już ztąd każdy sądzić może, iż przyszło w czasie odprawiającego się koncylium do miasta Konstancyi cztérdziestu ośmiu złotników, trzystu pięćdziesiąt kupców, którzy wytworne roboty zbytkowi, próżności i pieszczocie służące przedawali; rzemieślników zaś i rękodzielników różnego kunsztu i rodzaju tysiąc siedmset dziewięćdziesięciu.

Władysław Jagiełło król polski, z przełożenia rady, wysłał na sobór konstancyeński legatów, mężów nauką, rostropnością, doświadczeniem, głęboką wiadomością zdrowéj polityki, rozsądném przywiązaniem ku religii, a miłością ludzkości zaleconych: Mikołaja Trąbę arcybiskupa gnieźnieńskiego, Jana Kropidła kujawskiego, Jakóba z Kordwanowa płockiego, Jędrzeja Gosławickiego mianowanego poznańskiego, biskupów, z stanu duchownego; Jana Tuliszkowskiego kasztelana kaliskiego, i Zawiszę Garbowskie-

go nazwanego Czarnym, przewybornego, jak mówi nasz dziejopis Kromer, człowieka, z stanu świeckiego.

Szkoła główna krakowska, jedna podówczas z najsławniejszych w Europie, wysłała na toż koncylium z grona swego pięciu doktorów: Piotra de Kalisz, Wilhelma Sulebri, Hincza de Roncaglia, Marcina kanonika krakowskiego, Pawła de Kalisz, za rządów Pawła de Vladimiria; którzy w gospodzie swojéj wystawili herby orła białego, od piérwszych założycielów narodu w zaszczycie koronie polskiéj dane. Wziętość, szacunek i powagę téjże szkoły głównéj ztąd ważyć można, że posłowie jéj mieli głos na soborze przed doktorami oxfordskiemi. Na tymże pamiętnym zborze wielką sobie sławę zjednał nasz akademik krakowski Mikołaj de Kozłów, który tę podróż do Konstancyi razem z posłami szkoły głównéj podjął, odbywszy wprzód chwalebnie urząd rektora *Universitatis* w roku 1410. Posiadał on przy gruntownéj nauce tak rzadki dar wymowy, iż gdy do ojców sobornych rzecz miał o potrzebie naprawy kościoła, odzyskania zerwanéj jedności, przywrócenia dobrych obyczajów, uprzątnienia występków i zgorszenia z stanu duchownego, wyciskał im łzy z oczu. On się przyłożył najwięcéj do tego, że ojcowie soborni potępili publicznie pismo uszczypliwe Jana Falkenberga dominikana, który mieszając się w zatargi króla Jagiełły z Krzyżakami, od nich przekupiony, czarną rozrzucił satyrę w czasie odbywającego się zboru, szarpiącą honor króla, ujmującą sławie narodu.

Tym czasem Jan Huss, którego nieszczęśliwy los i okropny koniec czułe dotąd obchodzi serca, zapozwany, a zupełną ufność w dobroci swéj sprawy pokładający, stawił się osobiście przed zborem konstancyjskim. Przy-

szedł on był do tego najwyższego w sprawach religii trybunału w towarzystwie kilku szlachty czeskiéj, swoich przyjaciół i wielu swoich uczniów jemu statecznie przywiązanych; a co jest istotna do wiedzenia, wprzód téj nie przedsięwziął podróży, pokąd nie otrzymał był od Zygmunta cesarza dostatecznego listu, zabezpieczającego mu publiczną wiarą jego wolność i jego osobę, w czasie trwającéj drogi, bawienia na miejscu i powrotu do ojczyzny. — Mimo tak uroczystego przyrzeczenia, ledwo co stanął w Konstancyi, zaraz go do ścisłego wsadzono więzienia i proces przeciwko niemu był formowany, w tymże samym czasie, kiedy roztrząsano sprawę Jana XXIII oskarżonego i przekonanego o sprosne występki i zbrodnie, aż nadto znieważające charakter najwyższego kapłana. Przestraszony widokiem oczywistéj swéj zguby ratował się ucieczką i uszedł z więzienia równie jako i papież, ale obadwa schwytani, w jednémże przez czas niejaki pod surową strażą byli trzymani więzieniu. Stanął Huss nakoniec pokilkakrotnie obciążony łańcuchami przed sądem zboru.

Zapytany sądownie, czyliby nauczał, że kościół powszechny zamyka w łonie swojém samych przeznaczonych, że odrzuceni nie są członkami tego kościoła, że władza polityczna ma moc obowiązywania duchownych do zachowywania prawa pospolitego i pełnienia powinności obywatelskiéj, że zły papież nie jest namiestnikiem Jezusa Chrystusa? Przyznał się wprawdzie Huss do téj nauki, ale takowe dawał tłumaczenia swoim wyrazom, które powinny były mu zjednać wyrozumiałość i łaskawość sędziów; wszakże chytrość nieprzyjaciół, poprzysiężonych na jego zgubę, jadowicie i obraźliwie wykładała jego myśli, zadawając mu pytania ku podchwyceniu ułożone i wykręcając przeciwko niemu niektóre słowa obojętne i źle zrozumiane.

Ojcowie soboru chcieli koniecznie, aby Huss swoje odwołał zdania; lecz on przeświadczony wewnętrznie, że są prawdziwe, nie chciał wyznać, iż zbłądził. Taki był duch zaciętości i uporu w tym człowieku, którego subtelności szkolne, wówczas powszechnie po piérwszych nawet Europy akademiach panujące, bardziéj jeszcze w swojéj zatwardziałości wzmocniły.

Zygmunt cesarz poruszony litością nad żałosnym Jana Hussa losem w te do niego mówi słowa: „*Co cię to kosztuje wyrzec się błędów, które ci fałszywie przypisano?* — *Choćbym się wszelkiego rodzaju błędów wyparł, mniemamż, czyliż idzie zatém, że rozum mój w nich zostawał?*— Inny umysł pozwoliłby się był zmiękczyć, umysł Hussa był niewzruszony, wolał raczéj spłonąć w ogniach, niżeli przystać na to, że zbłądził i oświadczyć swoję powolność wyrokom zboru.

Przedniejsze osoby z polskiego i czeskiego narodu tudzież posłowie akademii krakowskiéj, czego się można domyślić po duchu łagodności i tolerancyi, który był zawsze właściwém piętnem akademików naszych poprzedników, z wielką usilnością starali się ocalić Hussa przy życiu i wolności, ale daremne ich były prace i zabiegi. Świadczy o tym Andrzéj Węgierski w historyi kościołów słowiańskich *(lib. I, Hist. Slav. Reform.)*. Sam Huss zostawił potomności ten dowód przychylnego i litościwego serca panów polskich ku sobie, kiedy w jednym liście do przyjaciół swych, z więzienia konstancyeńskiego pisanym, obowięzuje ich, aby panom polskim podziękowali, iż dla oswobodzenia jego, jako nieustraszeni obrońcy prawdy boskiéj całemu się sprzeciwili zborowi. *(Obsecro vos, ut generosis Dominis Bohemis et Polonis gratias agatis propterea quod*

tanquam strenui defensores Dei veritatis opposuerunt se saepius toti illi Concilio pro liberatione mea).

Dziękuję także ja, imieniem religii i ludzkości, posłom narodowym wiekopomnéj pamięci godnym, równie jak i doktorom téj akademii, któréj mam honor być członkiem, że jeszcze w wieku piętnastym dali piękny przykład całéj Europie łagodności i politowania w cierpieniu błędów naszych braci, kiedy do uchylenia onych niemasz innych sposobów prócz tych, na których samo wspomnienie czułość człowieka a dopiéroż dobrotliwa miłość chrześcijańska wzdrygać się powinna.

Surowość zboru konstancyeńskiego była tak nieubłagana, jak uporczywość Hussa niepożyta i nieugięta; tylko że stateczna zaciętość ubiegania się do okropnéj śmierci miała coś w sobie heroicznego, wyrok zaś skazujący na ogień kapłana, poczytanego od wielkiéj części ludu i od wielu wyższego stanu światłych osób za cnotliwego, pobożnego, świętego i niewinnego, — był pełen okrucieństwa i srogości.

Sami nawet główni nieprzyjaciele Hussa oddali sprawiedliwość jego nieulęknionemu sercu i odwadze, z którą tak strasznéj poddał się śmierci. Przywiązany do słupa w obecności elektora palatina, któremu exekucya dekretu była zlecona, napominany jeszcze raz od niego, aby błędy swoje wyznał, odwołał, a tym sposobem przy życiu się zachował, tego uczynić niechciał. Oświadczył się przed niebem i ziemią z niewinnością i z szczérością swojego serca, wołając na głos do wszystkich, że umiéra ofiarą nienawiści, zazdrości i nieukojonéj zemsty swoich nieprzyjaciół; dołożył, że wieczna sprawiedliwość pomści się jego krzywdy, a wieszczym niejako natchniony duchem zdawał się przepowiedzieć, że w sto lat Bogu i jemu odpowiedzą

[illegible]to. *Post centum annos Deo et mihi respondebitis.* Nakoniec święte ku chwale boskiéj dotąd śpiéwał pieśni, dopokąd płomień głosu jego nie przydusił. Tak umierał ten heretyk, o którego śmierci bez wzruszenia mówić nie można. *(Dokończenie nastąpi).*



O PRAWIE ZAŁOGI W POLSCE.

(Dalszy ciąg).

Uczeni niemieccy byli przez długi przeciąg czasu zdania: iż poddawanie się prawu załogi miało miejsce jedynie przy zaciąganiu wierzytelności, bo piérwsze dyplomata, jakie im pod oczy podpadły, ten rodzaj tylko zobowiązania w sobie zawiérały. Za zwiększoną atoli ich liczbą chwiać się począł ten widok, a Erhardt (ob. H. A. Erhardt, Das Einlager — w piśmie: Zeitschrift für Archivkunde, Diplomatik und Geschichte. Herausg. von L. F. Höfer, H. A. Erhardt und Fr. L. B. von Medem. Hamburg bei Fr. Perthes 1834 T. I str. 259 i nast.) z nagromadzonych przez siebie dyplomatów dowiódł: że wszystkie niemal zobowiązania wzmacniano tym rodzajem zastrzeżenia. Ztąd téż to załogę napotykamy przy ewikcyi w razie pokonania prawem, przy zastawie, posagach, wypłatach dożywotnich, alimentach i t. d. W Polsce mogła się ona do wszystkich tych rozciągać przypadków, jednakże dotąd wyśledzone dyplomata do dwóch zaledwo zastósowanie znajdują.

Wacław Alexander Maciejowski w dziele wielkiego pomysłu, w historyi prawodawstw słowiańskich, ścigając myślą ogół przedmiotu, niemal barki jednego człowieka

przechodzącego, nie mógł zwrócić uwagi na nasuwającemu się tłumem szczegóły i nie rozwinął z całą dokładnością przytoczonego przez siebie ustępu Statutu Wiślickiego. W Tomie IV na str. 473 wspomnionego dzieła mówi on: „nie dbało o to prawo polskie. czyli dłużnik o większą „czy mniejszą summę prawo rzeczowe na własnym majątku „zabezpiecza wierzycielowi. Sam tylko statut Mazowiecki „(st. Maz. 414) trzymając się czeskiego prawa o leżeniu, „stanowi: że nie należy obciążać dóbr mało znaczącemi „zapisami. Tak niegdyś i u nas Statut Wielkopolski (co „przeszło w statut wiślicki st. K. p. 120), postanowił: że „o małą summę poręczyciela ku leżeniu wzywać się nie „godzi, (ad hospitium in obstagium subintrare; w gospodę jechać i tracić na potępę, mówi tłumacz u Lel. p. 91.) „Na tém kończę uwagi o prawie rzeczowém polskiém.“

Z słów tych przekonywamy się, że autor historyi prawodawstw słowiańskich, oparty na samych przepisach statutów Wielkopolskiego i Wiślickiego, pomylił się w swych twierdzeniach pod dwojakim względem: raz, że przypuszczał możność udawania się w załogę wtenczas gdy dług był wielki, a wyłączał ją gdy był mały; drugi raz, iż w rozporządzeniu Kazimierza nie uznał ogólnego przepisu wzbraniającego udawania się w załogę. Art. 145 st. Wiśl. zawiera w sobie dwa ustępy: pierwszy z nich jest rozporządzeniem znoszącém w ogólności załogę, bez względu na osoby jéj się poddające i ilość zaciągnionego długu (pro certa pecuniae quantitate alicui civi vel alteri cuiuscunque status vel conditionis existat); drugi wskazuje środki zaspokojenia długu i rozróżnia dwa przypadki: jeśli dług jest mały, nakazuje dać zastaw końcem sprzedania go; jeśli zaś jest wielkim, poleca dłużnikowi oddać posiadłość na zaspokojenie wierzyciela.

Ważniejszém atoli, do miejsca tego należącém zapytaniem jest: czyli z zaprowadzeniem statutu Wiślickiego załoga w Polsce ustała lub nie?

Zwyczaj silniejszym jest nie raz nad samo prawo, a wkorzeniony nie łatwo da się wycofać z stosunków spółecznych. Człowiek lgnący zawsze do tego, co niemal w potrzebę natury jego się zmieniło, nie prędko rozstaje się z ulubionėm sobie wyobrażeniem, a cóż dopiéro z zwyczajem, w którym rękojmi bezpieczeństwa swojego dostrzega. Ztąd obok ogłoszonych ustaw uchylających dawniejsze postanowienia, zwyczaj lub wcześniéjsze, jakkolwiek już wzbronione prawo, wiodą pokątne, że tak powiem, ale zarazem tak czerstwe życie, że nawet szydzą z ustaw świéżo ogłoszonych. Czas tylko i zmienione okolicznościami pojęcia tłumią je i na nieodzowną dopiéro wskazują zagładę.

Prawodawca Wiślicki zniósł załogę w r. 1347. Od dawna wrzały niechęci pomiędzy Polską a sąsiednią Litwą, a uporczywa wojna (ob. Długosz T. I. p. 1092 sq.) wyniszczyła skarbiec królewski. Mieszczanie Krakowscy słynni wówczas z swych dostatków i zamożności, zastępowali nie raz wyczerpnięte lub zatamowane źródła dochodów. Do nich więc udał się Kazimierz W. chcąc wypożyczyć tysiąc kóp groszy pragskich. Nie odbiegali rajcy krakowscy od życzeń królewskich, ale na pewność uiszczenia summy chcieli mieć ręczycieli, którzyby się wyraźnie prawu załogi poddali. Jakoż według dyplomatu w Krakowie w sobotę po Wniebowstąpieniu Pańskiém r. 1352 datowanego, Hirko Ymgram wojewoda krakowski, Ostaska kasztelan lubelski, Henryk kasztelan wiślicki, Jaśko kasztelan wojnicki, Andrzéj podkomorzy, Teasko Gelitko podczaszy, Polko z Kościelca, Zawisza komornik, Piotr nazwany Neorra, Grot syn kasztelana tarnowskie-

go, Grzegorz z Balic i Jakób z Dębna zaręczyli, iż gdyby król na dniu wtorkowym przed popielcem roku przyszłego nie zapłacił zaciągnionéj summy, oni ją uiścić obowiązani będą, a gdyby tego na tymże terminie nie dopełnili, przyrzekli udać się bez napomnienia i wezwania w niedzielę nazwaną *quadragesima*, w którą w kościele śpiewają *Invocavit*, do gospody sławetnego jakiego męża w Krakowie przez rajców miasta wskazać się mającéj, według sprawiedliwego i przyjętego obyczaju załogi, i dopóty w niéj zostawać, dopókąd summa tysiąc kóp groszy pragskich wraz z szkodami i wydatkami wynikłemi i wyniknąć mogącemi zapłaconą przez nich nie zostanie. Osnowa dyplomatu tego przekonywa, jak bezsilném było ustawodawstwo wiślickie i jak smutne i przykre położenie monarchy, który przyciśnięty potrzebą, sam ogłoszone przed pięciu laty rozporządzenie odwołać był zmuszony. Oto jest treść dyplomatu tego:

Nos Kazimirus dei gracia Rex Polonie. Recognoscimus tenore presencium quibus expedit universis discretis viris Consulibus civitatis Cracoviensis fidelibus nostris in Mille sexagenis grossorum pragensium usualis pecunie, pro quibus eosdem obligavimus ex iusto debito solvere nos teneri. Quam quidem pecuniam predictis Consulibus dare et solvere promittimus a fideiussione huiusmodi ipsos exsolvendo super Carnisprivium proxime nunc venturum harum nostrarum sub sigillo nostro munimine testimonio literarum: Nos Hirco Ymgramus Palatinus Cracoviensis, Ostaska Castellanus lublinensis, Henricus Castellanus Wyssliczensis, Jesco Castellanus Woyniczensis, Andreas subcamerarius, Teasco Gelitko subpincerna, Peleo de Koszelicz, Zevisch Camerarius, Petrus dictus Neorra, Grotht filius Castellani Tarnoviensis, Gregorius de Balicz ac Jacobus de Dabmno pro illustri principe domino nostro Kazimiro Rege predicto manu conjuncta fide sincera ac in solidum providentes omni doli scrupulo semoto prescriptam pecunie quantitatem Mille sexagenis grossorum si ipse dominus noster Rex non exsolverit quod absit termino in prefixo. Ex tunc universa promissa in solucione ipsius pecunie nostris pecuniis tenebimur adimplere. Memoratos Consules ab huiusmodi fideiussione indempniter ac inviolabiliter exsolvendo. Quod si negligentes fuerimus in prescripto termino Carnisprivii, quod deo dante non fiet, ex tunc confestim nulla eorum monicione preventa ac immoniti proxime sequente dominica Quadragesima qua in Ecclesia dei Cantatur Invocavit, hospicium viri honesti in Civi-

tate predicta Cracoviensi quodcunque nobis duxerint deputandum subintrare iusto solito moreque obstagii. Et ab eodem nullatenus exituri obstagio quin prius Capitalis pecunia videlicet Mille sexageni grossorum Pragensium cum dampnis et expensis accrescentibus ac evenientibus per nos plenarie fuerint persolute. Conformiter unum ex nobis ab altero nequiquam sequestrando nec peticiones aut mandata ipsius domini nostri Regis domine nostre Regine aut aliorum quorumcunque dominorum aut personarum nos aut quempiam nostrum de ipso obstagio poterint excusare nec terminum ultra prescriptum prorogare. Preterea si volente domino unus vel plures nostrum pendente solucionis termino de hoc medio tollentur protunc equivalens aut equivalentes persone prehabita promissa vice defunctorum debebunt per nostras provisiones dando operam cum superstitibus et vivis remanentibus rata grata et tenebuntur in singulis ut prescribitur articulis observare. Potissime eciam inseparatim ac indivisim sine dolo omnia promissa servare sub nostre conservacione fidei et honoris. In cuius Rei Testimonium et evidenciam pleniorem Sigilla nostra omnium predictorum presenti pagine sunt una cum sigillo prefati domini nostri Regis appensa. Actum Cracovie Sabbato post Ascensionem domini Anno ejusdem domini Millesimo Tricentesimo quinquagesimo secundo. *(Oryginał zachowany jest w Archiwum Senatu Rządzącego).* (Dokończenie nastąpi).



GRÓB W NOWYM-YORKU.

Gdybyś wziął martwy kamień, z którym igra dziecię,
I gdybyś z tym kamieniem obchodził po świecie,
A potém do ojczyzny wróciwszy z daleka
Ten sam kamień dla tegoż samego człowieka,
Co nim kiedyś jak dziecko igrał przy piastunie,
Dziś dla starca zmarłego dał pod wieko w trunie,
Gdyby z tego kamienia gorzka łza nie ciekła,
....kamień bez sądu rzuć prosto do piekła.

A. M.

I.

Fregata *Délivrence* dzisiaj daleką rozpocznie podróż; jasne promienie słońca ozłociły jéj maszty i żagle, niebo czyste, błękitne, żadną niezacienione chmurką, głębina morza spokojna, wszystko żegludze szczęśliwy przepowiada początek.

Przez ulice Hamburga tłumy ludzi zdążają do portu. U jednych wybladłe oblicza zwracają się z tęsknoty wyrazem ku stronie, którą na zawsze opuścić zamierzyli; inni

z nadziei spojrzeniem witają nawę, która ich do nowego ma przenieść świata. Ten uściskiem żałosnym żegna przyjaciela, którego już może nigdy nie zobaczy! Tamten z niemą rozpaczą, ze złorzeczeniem w sercu, rzuca starą ziemię, gdzie mu niegdyś lata dziecięce w lubéj swobodzie i nadziei ubiegły. Tam całe rodziny, jak gdyby uciekając przed niedolą i nędzą, szybkim dążą krokiem. Tutaj jeden samotny wędrowiec, na pozór obojętny i zimny, zdaje się, iż bez tęsknoty i żalu wstąpi na pokład, on nawet nie zwraca oczu ku rodzinnéj stronie, czyliż tam nic nie zostawił? *nic coby było łez godne?!*— Tak sądzą ci, co tylko przelotnie na niego spojrzeli.... Ach! on pożegnał na zawsze ziemię ojców swoich! ziemię świętą! ziemię zbyt drogich pamiątek! pamiątek, które w tajnikach serca zachowane nieugaszonym wrzały ogniem! I ta to właśnie płomienna boleść rozdartéj duszy nie dozwoliła mu, chociażby jednym rzutem oka spojrzyć poza siebie!..— Tam kilku młodzianów zwolna postępuje, co chwila oglądają się w stronę, gdzie poraz piérwszy światło dnia ujrzeli. Wzrok ich smutny, usta żalem ściśnione, tłumią westchnienia w młodéj piersi, połykają łzy niemęzkie; im także z udręczeniem serca przychodzi oderwać się od téj ziemi, na któréj się zrodzili. Tam czuła matka za niemi płacze, tam dobry ojciec zatęskni; tam pozostały siostry, tam bracia, a może dla niejednego z nich istota, w któréj oku przyszłość swojego szczęścia zgadywał...— Tutaj siwowłosy starzec, w lichém odzieniu, z goryczy wyrazem na wydatnych rysach, opiéra się na ręku młodéj dziewicy, która łzawe oczy zwraca ku zachodowi, bo tam pozostał drogi przedmiot jéj najpiérwszych uczuć!

I cóż jest powodem wyojczyzniania się tylu ludzi?— Dokąd oni dążą? i jakiż cel ich wędrówki?

Niedola, nędza i sroższe jeszcze nieszczęść koleje zniewalają ich do opuszczenia pięknéj Europy! miast jéj bogatych, jéj wiosek zamożnych, i w złote plony okwitych łanów. A uciekają do nowego świata do nie zwiedzanych jeszcze ludzką stopą lasów, do pól nieuprawnych, pomiędzy ludy nieuobyczajone!.. Przenoszą społeczeństwo wpółdzikich narodów nad wykształcone syny Europy! chaty z nieociosanych balów zbite, nad świetne salony miast naszych! bo tam ich wiedzie nadzieja swobody i szczęścia! Czyliż znajdą szukane dobro?

Zbliża się do brzegu morza kobiéta, młoda jeszcze, lecz cierpieniem znękana; blade i lube rysy zapełnił wyraz głębokiéj rzewności; na czole widać spokój duszy, ále w jéj spojrzeniu poznałbyś, że przechodzi niezasłużenie smutnego życia koleje. Słabe siły natężonym zwycięża pośpiechem: ona zmierza do celu najgorętszych życzeń serca, tam, gdzie ją wzywa powinność, a wiedzie najszlachetniejsze uczucie niewieście. — Jednę rękę oparła na ramieniu młodego mężczyzny, którego twarz dotkliwy osłonił smutek, drugą trzyma małą rączkę kilkoletniego chłopczyka, zwracającego wzrok ciekawy na wszystko, co go otacza.

Młodzieniec milczy, bo mu sroga boleść serce przytłacza; również i jego towarzyszka słowa wyrzec niezdolna, nadzieja i obawa przebiega jéj umysł.

—Mamo! mamo! czy to na tém wielkiém czółnie popłyniemy do tatki? Ach jak ja się cieszę, że do tatki jedziemy!.. Ale tatka mnie nie pozna, taki wówczas byłem maleńki, kiedy tatka odjeżdżał. Mamo! czyliż nas tatka pozna?

—Pozna mój Kaziu, o pozna!— głos jéj zadrżał z niewysłownego wzruszenia.

— Gdyby téż wujaszek z nami popłynął, dodał Kazio. Ach mamo! patrzno, jak to wujciowi markotno.

— O mój Józefie! — stłumiły się wyrazy w jéj piersi i tylko czule rękę brata ścisnęła.

— Jest nas tylko dwoje Maryo! i czemuż nas srogie przeznaczenie rozłącza? czemuż ciebie los nieubłagany na drugą półkulę ziemi przenosi?

— Taka jest wola nieba!

— Obyś tam, w nowym świecie, przynajmniéj dawne szczęście znalazła!

— Znajdę tam mojego Kazimiérza.

— Okropna obawa o ciebie, droga siostro, obawa, że i ty może doznasz niedostatku....

— Mienie, które z sobą unoszę, któreś ty tak szczodrą zwiększył ręką, zabezpieczy nam życia potrzeby. Kazimiérz nawykł do pracy, nawykł niestety! może do ciężkiéj pracy, a ja, czyliżbym i ja nie potrafiła na kawałek chleba zarobić?

— Pisuj mi często, Maryo, często pisuj! i donoś szczérze i otwarcie o położeniu waszém. Pamiętajcie, że w Europie pozostał wam brat, brat czule was kochający.

Józef oczy dłonią zasłonił; może go raziły promienie słońca? O nie, nie, on łzą zroszone zakrył powieki.

— Cztéry lata! cztéry już lata minęły, wyrzekła po chwili Marya, kiedy pożegnawczy uścisk Kazimiérza zmroził w łonie mojém wszystkie szczęśliwiące mnie uczucia!.. Cztéry lata jemu w niedoli, w niedostatku, w tułactwie i w gorzkiéj przeminęły tęsknocie, w tęsknocie za mną i za jego dziecięciem! za tém wszystkiem, co mu jest drogiém!

Rozgłośny huk działa na fregacie obił się o mury miasta i przebrzmiał w dalekiéj morza przestrzeni. Marya rzuciła się z płaczem w objęcie brata.... Któż nie doznał kiedy krwawéj boleści pożegnania!.. ostatniego bądź zdro-

wa.— O, w tym wyrazie mieści się nieraz wyrocznia tęsknoty na całe życie! niekiedy z tym wyrazem żegnamy szczęście nasze na zawsze!

—O moja siostro! niechaj cię Bóg prowadzi!

—Józefie!.. bracie mój!.. kochany mój bracie żegnam cię!

Marya chwiejącym krokiem wstąpiła na pokład.

Świadkiem tego rozdzierającego serce pożegnania był mężczyzna, który dotąd tak obojętnym i zimnym na wszystko się okazał; lekki rumieniec na ogorzałe występujący lica, błyśnienie oczu i ust zadrżenie dowiodły w tę chwilę, jak silnego doznał wzruszenia. Przystąpił do Maryi i Józefa, kilka w ich mowie wyrzekł wyrazów, byli rodakami! Kiedy się spotykamy w ziemi obcéj z tymi, co jednę z nami mają ojczyznę, zdaje nam się, że oddawna miłe nam oglądamy rysy, uścisk nieznanéj nam dotąd ręki nagle w bratnie zamienia się uściśnienie, pierś dziwne, w pół lube w pół smętne rozeprze uczucie, a w umyśle odnowią się cudną barwnością wszystkie drogie, ubóstwione pamiątki stron rodzinnych!

—Polecam ci siostrę moję, Konradzie, wyrzekł Józef żegnając współziomka.

—Będę jéj bratem, opiekunem, będę czuwał nad nią...

—Józefie!

—Maryo!... Kazio, mój mały kochany Kazio!

—Do widzenia wujaszku! my nie zadługo z tatką powrócimy, proszę pamiętać o moim koniku!

Fregata podniosła kotwicę. Marya upadła na kolana, wznosząc oczy i ręce ku niebu. Kazio białą chustką wujowi pożegnawcze przesyłał ukłony, który w niemym żalu długo, długo, dopóki oddal nie zamgliła widoku pięknéj *Délivrence* ścigał oczyma nawę, unoszącą dwie drogie sercu jego istoty w świat tak bardzo daleki i obcy.

II.

Obojętna na piękne i wspaniałe gmachy, które Nowy-York zdobią, mija Marya najpiękniejszy jego budynek *New-York-Eshange*, nie udarowawszy go i jednėm spojrzeniem; wysyła tęskne źrenice dalėj a dalėj, spieszy tak hyżo po szérokim chodniku pięknėj *Broadway*, jak gdyby ją powiéw wiatru unosił, i już sięga wzrokiem, w szeregu okazałych kamienic trzy mile (ang.) długiéj ulicy, domu, gdzie swojego Kazimiérza ma znaleźć. Nagle tchu jéj zabrakło, nogi drżą gwałtownie, kolana uginają się pod nią, im bliżéj chwili szczęścia, tém większa ogarnia ją trwoga. Lodowate zimno przebiega jéj żyły, zęby dzwonią jak od febry dreszczu, oczy bielmem zachodzą, wszystko w około niéj zdaje się krążyć; ściska rączkę dziecięcia swego, i bezsilnie opiéra się o mur ozdobionego gmachu... Przechodzący spojrzeli na biédną bladą kobiétę, lecz każden szybko dalėj dążył, gdzie go własny wołał interes.

— Mamo, pójdźmy! pójdźmy mamo! — Marya okiem przedziera przestrzeń dzielącą ją od mieszkania bogatego kupca, w którego kantorze Kazimiérz pracował, i znowu biegnie, moc moralna krzepi zwątlone siły, twarz jéj promienieje, oczy się iskrzą gorączkowo, sił ostatku dobywa, a przecież rzekłbyś, że stopa jéj nie dotyka poziomu.

— Pan Konrad powraca! zawołał Kazio.

Marya przystanęła, zdrętwiała. Konrad pobiegł był naprzód, ażeby Kazimiérza o przybyciu żony jego uprzedzić, i sam jeden powracał! Zbliża się zwolna, cała jego postać zwykle tak męska chwieje się i przerażenie oznacza, rysy zmienione, twarz grobowo-blada. Marya postąpić dalėj niezdolna, głos zamarł w niewieściéj piersi, ręce bezsilnie owisły, wzrok osłupiał, po chwili dopiéro wyrwały się z jéj łona wyrazy:

—Mój Kazimiérz!.. mój Kazimierz!.. nie żyje! utopiła wzrok badawczy w oku Konrada, ale Konrad milczy, pierś męska gwałtownie żalem się wzdęła, milczy, łza tylko w oku jego przemówiła.— Niestety! nieszczęśliwa odgadła prawdę, Kazimiérz uległ pod ciężarem niedoli, zgryzot i pracy, pośród obcych, w obcéj spoczął ziemi!

—Pani masz syna, wyrzekł nakoniec Konrad, dla niego powinnaś...

—Nie żyje!.. nie żyje!.. mój Kazimiérz! — i z przeraźliwym jękiem upadła na ziemię. Ach, był to zawrzask najokropniejszéj boleści rozdartego serca! boleści, któréj ogrom tylko, jedynie tylko kobiéta odczuć może.

III.

Cisza i spokój wieczorny zaległy okolice Nowego-Yorku. Blady księżyc srebrne roztoczył promienie; jeden z nich oświetlił świéżą mogiłę, która wśród pysznych grobowców skromnym tylko czerniła się krzyżem. Żelazne na nim umieszczono litery: napis nie w krajowéj mowie, a nazwisko zmarłego również obce i nieznane.— Oparta o znak Zbawiciela klęczy pochylona niewiasta, czarne ją kryją suknie; opodal chłopczyk ze złożonemi rączkami smutnym wzrokiem spogląda ku niebu, jak gdyby drogiego przedmiotu szukał w jego błękitach.

„Kazimiérzu! mój Kazimiérzu! wyrwało się z łona klęczącéj; przybyłam osłodzić cierpienia twoje! rzuciłam dom rodzinny, pożegnałam brata, i z uczuciem miłości i nadziei powierzyłam się bałwanom niezmierzonéj toni Oceanu, który dwa światy przedziela!.. Pragnęłam spocząć przy twojém sercu, podzielić z tobą trudy życia, znaleźć za srogie smutki nagrodę!.. i twój grób znalazłam! Ty śpisz mój luby, ty nie słyszysz odgłosu moich jęków,

ty nie widzisz łez twojego dziecięcia!.. Dwoje sierot klęczy przy mogile kryjącéj zwłoki twoje, dwoje sierot z daleka przybyłych!" Kazimiérzu! ja nie zadługo za tobą pospieszę, mój luby! połączymy się tam, gdzie nas już nic nie rozdzieli. Pospieszę do ciebie Kazimiérzu, znękana przeciwnościami losu, przytłoczona niezliczonemi zgryzoty!.. syna naszego, to drogie dziecię, po krótce dwojako osierocone, powierzę opiece brata: bo już i miłość matki nie zdoła wskrzesić ulatującego życia... Czuję zbliżenie się chwili ostatniego kresu, oby mi przynajmniéj siły do przetrwania podróży starczyły! Lecz wszakżeż Bóg jest litościwym i nie opuści biédnéj sieroty! Ja ufam świętéj jego opiece, a Józef uroczyście wywiąże się z poruczonego mu obowiązku. Kazimiérzu! tylko kilkochwilowém szczęściem zajaśniało nam życie, potém bolesne pożegnanie, potém cierpienia i tęskność bez kresu, a teraz twój grób!..— Nieszczęśliwa z przepełnionéj boleści, z okrzykiem rozpaczy, twarzą na mogiłę bezsilnie upadła.

—Mamo! mamo! zawołał płaczliwie Kazio — w tę chwilę wybiegł z poza pomnika okazałego mężczyzna, współziomek Maryi, i wyniósł zemgloną z cmentarza.

W kilkanaście dni późniéj okręt amerykański odpływał do Europy; suchém okiem, z śmiertelną raną w sercu żegna Marya ziemię, w któréj zostawia zwłoki Kazimiérza, z któréj uniosła tylko garść piasku z mogiły drogiego męża, i najboleśniejsze sieroctwo.

— Cóż posyłasz w strony rodzinne? zapytała ziomka, który w piérwszych chwilach jéj najwyższego nieszczęścia stał się dla niéj aniołem smutnéj pociechy.

— Tęsknotę, gorące modły i życzenia!— zamgliło się oko, i ręki skinieniem wysłał może ostatnie od siebie pożegnanie.

IV.

Gęste, ciemne obłoki zaległy cały niebokrąg, i cisnąc skupione powietrze na przestrzeń ulęknionego morza, hardy zmusiły żywioł do téj bezwładności, która najwściekléjszą zapowiada burzę. Zwolna błyskawice krzyżować się poczęły; w miejscu zwykłych bałwanów mąciły lekkie bryzgi czarne morza zwierciadło, grom przeciągłym, straszliwym łoskotem poprzedził piérwszy piorun, za nim drugi uderzył, dziesiąty, setny, a niebo rozwarło się już jednostajnym płomieniem. Szalony wicher wzleciał z chychotem szatańskim, i w jedném mgnieniu oka drobne bryzgi w trzypiętrowe zamienił bałwany, zdruzgotał maszty, porwał liny i okrętem pomiatał na wszystkie strony, aby go doszczętnie zdruzgotać.

Kiedy podróżni w śmiertelnym strachu z miłości życia, wrzaskiem rozpaczy zapełnili wszystkie kajuty, a do wszelkich niebezpieczeństw nawykli majtkowie, ostatnie wyczerpując siły, o ratunku zwątpili, i w poszmernéj modlitwie każden Bogu polecał swoję duszę; kiedy starzy żeglarze przy bratnich uściskach łzę pożegnania ronili, na pokładzie okrętu stała milcząca kobiéta, tuląc do matczynego łona małego chłopczyka. Jéj wyniszczona postać czyniła ją raczéj do pośmiertnéj aniżeli do żyjącéj istoty podobną. Pomimo, że oczy swoje błagalnie do zagniéwanego wznosi nieba, nie było w nich widać ani cienia trwogi i bojaźni o życie; ona błagała za tych, dla których życie tak wielką jeszcze wartość miało, że na zbliżenie się śmierci wydawali jęki rozpaczy. Téj milczącéj pośród niebezpieczeństw spokojnéj kobiéty nie przestraszy nawałnica morska; ona już okropniejszą burzę życia przetrwała.

„Ty razem zemną zginiesz, nie zostawię cię sierotą, nie poznasz świata i jego goryczy!“ Te były jedyne wyrazy, które w chwili największego niebezpieczeństwa do dziecięcia swojego wyrzekła.

Burza ustała, promienie słońca ćmy złowieszcze przedarły, ostatni ryk morza przeszumiał, olbrzymie bałwany zmalały, a wiatr łagodny igrał tylko z bielącemi się stértami piany, co długo jeszcze zmąconą pokrywała Oceanu powiérzchnię.

Dziękczynne modły unoszą się ku błękitom pogodnego nieba, i Marya się modli; patrzy na swojego syna, a jéj myśli przebiegają przestrzeń niezmierną, zwiedzają jéj kraj rodzinny! — „Tam spocznę w ziemi ojców moich!“ Luba rzewność owiała rysy, schyliła głowę. — „Ciebie oddam w opiekę bratu“ i łza rozczulenia spłynęła na czoło Kazia, który z miłością dziecięcą do jéj przytulił się łona.

V.

Na zielonêm wzgórzu bieli się dworek wśród wieńca drzew rozłożystych; w ogrodzie po czworobokach, trójkątach i kołach, świéżą obłożonych darniną, tysiące błyszczy kwiatów. Porządne gumna i dziedziniec trawą porosły okola parkan z nowych tarcic; główna brama stoi otworem. Z wieśniaczych chat, których słomiane kryty gościnnie z pośród gruszkowych drzew i topoli wyglądają, unoszą się dymy z murowanych kominów, a od jeziora, co swoją przezroczą powiérzchnią pogodne odbija niebo, wracają chłopcy z napojonemi końmi; śmiéch pusty i wesołe okrzyki towarzyszą im, mali jeźdzcy usiłują jeden drugiego prześcignąć. Uboczną bramą dziedzińca, otoczona chmurą kurzu, trzoda wełnistych owiec przechodzi, powracające z pola bydło głośnym rykiem wita schronię

swoję, gdy z sąsiedniéj wioski, z poza jeziora, rozlega się po zroszonéj łące odgłos dzwonów wieczornych.

Przed dworcem stoi Józef, twarz jego jaśnieje szczęściem, dopiéro co do domu powrócił, odwiedzał dzisiaj swoję narzeczoną, którą już za kilką tygodni zaślubi. Młody dzierżawca pilny i dbały, wydał rozporządzenie gospodarczę, gdzie jutro jęczmień siać mają, w którém miejscu rolę na rzepak sposobić, potém pobiegł do ogrodu, z zadowoleniem spojrzał na rozwite kwiaty i ładne krzewiny, na wyczyszczone chodniki, na drzewa piękny zapowiadające owoc; w myśli widział ulubioną swoję w tych miejscach... Lecz czemuż nagle wyraz tak smętny, jak ciemna chmura, gdy jasne pokryje słońce, zaległa młodzieńcze oblicze?.. O, bo żywa wyobraźnia chyżo go daléj a daléj uniosła, poza krańce ojczystéj ziemi, poza kończyny Europy, poza Atlantyk, do Ameryki!! — To widział szczęście i spokój Maryi i Kazimiérza, to znowu ujrzał tęskniących i smutnych, i ścisnęło się serce brata na wspomnienie: może ich już więcéj nie zobaczę!

Turkot zajeżdżającego przed dwór pojazdu, przerwał marzenie Józefa, pośpieszył na powitanie gościa.

Maryo! wrzasnął i przytulił na wpół zemdloną do łona. Maryo! siostro moja! — Jéj suknie żałobne kazały mu się smutnego domyślić wypadku.

Mój Kazio! kochany mój Kazio! — chłopczyk przyczepił się do szyi wuja.

Marya bezsilnie upadła na krzesło, chustką potarła zwiędłe rysy, przeraził się ich widokiem Józef, tak okropnie były zmienione.

— Moja siostro! wyrzekł tłumiąc w sobie żal gwałtowny: czemużeś mnie o twoim powrocie nie uprzedziła, byłbym po ciebie.....

— Pisałam z Hamburga..... Józefie! bracie mój! wróciłam, ażeby w ręce twoje złożyć skarb mój jedyny, ażeby opiece twojéj mojego syna powierzyć!.... Bądź mu ojcem, bądź ojcem sierocie!.... Ja was nie długo opuszczę, ostatnie siły stargane..... Pragnęłam raz tylko jeszcze ciebie oglądać, powitać niebo mojéj ojczyzny!

— O droga, ukochana siostro, nie wymawiaj tak bolesnych wyrazów!

Na trzeci dzień po swoim powrocie, Marya z niebiańskiém spojrzeniem w łagodnych rysach, z wyrazami poddania się woli Boga, błogosławiąc stygnącą dłonią swojego synka, uśmiéchając się do brata, przymknęła powieki; oddech jéj zwolniał, ręka obwisła. Józef się pochylił, ukochana siostra już nie żyła!.... Życie istotnéj cnoty niewieściéj, zrozumieniem i uczuciem wielkich powinności wiedzione, ze spokojnym skonem uleciało, jak tchnienie anioła.

Paulina z L. Wilkońska.

Sprostowanie pomyłek: W numerze 4 na str. 123 wiérsz 4 zamiast *excitat*, czytaj *existat*; na str. 125 wiérsz 5 od dołu zam. *szwedskiego* czyt. *szredskiego*.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W* ***Galicyi*** *przyjmują tylko księgarnie, w* ***Cesarst.*** *zaś* ***Rossyjskiém*** *i* ***Królestwie Polskiém*** *w Urzędach pocztowych prenumerować można.*



DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 6. Kraków dnia 15 Czerwca. 1844.

DO ALFREDA M***

Alfredzie! mniéj cię kochać, lub mniéj w życiu cenić,
Choćbyś chciał, już zapóźno serca nasze zmienić:
Jedném uczuciem tchnący, i losy jednémi
Przywiązani obadwa jesteśmy do ziemi.
Lecz gdy nas do klęsk tylu gonią troski nowe,
Kiedy widzę, jak duma w laurach niesie głowę,
Gdy fala żądz szalonych nawą zasług miota,
A dziwactwem fortuny nauki i cnota;
Daruj mi, że w niestałéj dni naszych kolei,
Któréj ty chcesz zaufać, ja nie mam nadziei.
Szczęśliwy! kto się w płochych marzeniach nie gubił,
I od losu mu dane ubóstwo polubił.
Jeźli w ustroń pokoju nie wniósł cierpień świata,
Nigdy zwodnéj nadziei nie dotknie go strata.
A choć kiedy złéj wróżbie, lub smutkom ulegnie,
Krok w krok niosąc zdrój pociech przyjaźń za nim biegnie,
Z nią w podział biorąc troski, cierpienia i zmiany,
W bólach znajduje rozkosz i pieści swe rany.
Nim więc błogie dla nauk powrócą nam czasy,
Śledźmy, w jakie z fortuną siły nieraz zapasy.

Mędrzec, duchem natchnienia w czasy upojony,
Blaskiem swoim ozdabiał pałace i trony;
W misterne stopiąc wieńce uczucia i słowa,
Z ust ognistym potokiem płynęła wymowa.
Dźwięk lutni blade cienie wywabiał z Erebu,
A lud w hołdzie bez granic ród jéj przyznał niebu.
Minął wiek Peryklesa i Augustów w Rzymie,
Kiedy tryumfem było wieszcza nosić imie.
Bohater służąc chwale, mimo ran i trudu,
Nad skarb świata przenosił śpiéw wdzięcznego ludu;
I choć gmach, który bronił, w gruzach wielkość kryje,
On jak czas nieśmiertelny po stu wiekach żyje.
Nagle olbrzym przesądu świat objął w ramiona,
I jak łódź w falach błędu słońce prawdy kona.
Drżało serce pod zbroją wolne od zepsucia,
Lecz na widok żelaza pordzawiały czucia.
Myśl chodziła w okowach, świat zbrodniami spłynął,
Dla nauk i wiek dumy i nadziei zginął.
W płomieniach namiętności tworzono widziadła,
Od nich prawda, jak maska od twarzy odpadła;
A widmo w jéj przybytkach skrwawionym bułatem,
Światła i geniuszu potrząsało kwiatem.
Wtedy mędrzec, z długiego rozumu uśpienia,
Na gruzach Irmensula wzniósł godło zbawienia.
Twarde się o tarcz jego kruszyły oszczepy,
Dzikie hordy przerzucił w Sabaryjskie stepy.
Niepomny tylu cierpień i trudów i straty,
Torował nową drogę jutrzence oświaty;
A utworom dowcipu dawną wróżąc dzielność,
Na grobie zmarłych ludów wyrył nieśmiertelność.
O jak z upadku nauk powstało zmian wiele!
Tlał świętéj iskry szczątek ukryty w popiele.

Z niéj duch prawdy, choć przesąd i gmin mu nie dały,
Po szczeblach myśli wdarł się do przybytków chwały.
Ztąd nie dziw, że obłuda hołdując ciemnocie,
Zrywa owoc rozkwitły talentom i cnocie.
Lub szydząc z poświęconych ręką nieba darów,
W dzikich się pasmo wieków przekształca Omarów (*).
Tasso, którego pieniom sam czas upaść nie da,
Gdy wzniosłym budził rymem zwycięztwa Gofreda,
Kiedy krwawego chrześcian dobijał się plonu,
Chcąc zatknąć sztandar chwały na górach Syonu;
Boski wieszcz, za bezsennych tyle dni i nocy,
Strącon w ostatnią nędzę hańby i przemocy.
Gdy go wdzięczność nagrody, los szczęścia pozbawił,
Wypchnięto go z szpitala, który sam wystawił.
Ten nawet, co się sprzysiągł z losem go pokłócić,
Utraconego dobra już nie mógł mu wrócić.
Kamoens umarł z nędzy, śród prac i zasługi,
Woglas sprzedał swe ciało chirurgom za długi.
Serce pomimowolnie zda się bluźnić Bogu,
Kiedy słodki Kassander kona na barłogu.
Z czyjąż czcią da się równać górnych myśli cena,
Bullera i Otwaja, Spensa i Drydena?
Anglia je powtarza i świat im się dziwi,
A oni w niedostatku żyli nieszczęśliwi!
Przebóg! na łonie nawet światłego narodu,
Naśladowca Homera, Milton umarł z głodu.
Ludzie na widok wieszcza z serca się wyzuli,
I na jego skon tęskny patrzeli nieczuli.

(*) Kalif Omar zdobywszy Egipt, a w nim nieoceniony księgozbiór Ptolemeuszów, zdając go na pastwę płomieni rzekł: spalcie te księgi! jeżeli zamykają rzeczy zgodne z koranem, są niepotrzebne, jeżeli co przeciwnego, są niebezpieczne.

Chwała wam wielkie naszych Zygmuntów imiona!
Wyście muzy wzgardzone tulili do łona.
Rozgrzane serca hartem odwagi i cnoty,
Na nowo tchnęły życie w zbłąkane sieroty (*).
Dziś po świetnéj przeszłości posępnie i głucho;
Jęk pogrobowéj pieśni tęschne razi ucho,
Na wieżach sławą brzmiących osiadł duch zniszczenia;
Wielkie serca zstąpiły między grobów cienia,
Ztrwożony wieszcz w samotne tuli się zacisze,
I spogląda na lutnią, którą wiatr kołysze...

Fr. Jakubowski.

O HUSSIE I HIERONIMIE Z PRAGI.

(Dokończenie).

Zbór konstancyeński potępiwszy i spaliwszy Hussa, szuka drugiéj ofiary w Hieronimie z Pragi ucznia jego. Był on wyższym od nauczyciela swojego w dowcipie i w wymowie. Niechcąc zaś odstąpić od zdań Hussa, ani powziętego z młodych lat ku niemu zaprzéć się przywiązania, był w kilka miesięcy na ogień od tegoż samego sądu skazany. Przy téj okropnéj scenie pokazał tenże sam niewzruszony statek umysłu, toż samo nieustraszone męstwo, tę samę wielkość duszy, co i jego nauczyciel. Zachwiał się on wprawdzie z początku i potępiał zdania Hussa, zastraszony groźbami najsurowszéj kary, która go czekała; ale widząc potém z jaką wspaniałomyśnością Huss

(*) Erazm Rotterdamczyk mawiał: „Polska jest ojczyzną tych wszystkich, co uczonymi być umieli."

na rozpalonym umiérał stosie, powstydził się téj słabości, a uczyniwszy publiczne odwołanie swojego przez bojaźń wymuszonego zeznania, na tymże placu i z podobną męką, na heroiczną zdobywszy się rezygnacyą, w płomieniach dokonał życia.

Poggio florentczyk sekretarz papiézki, jeden z największych literatów wieku piętnastego i z piérwszych odnowicielów nauk i dobrego smaku w Europie, przytomny sprawie i śmierci Hieronima praskiego, takie mu dał świadectwo w jednym dziwnie pięknym liście, najczystszą łaciną godną wieku Cycerona napisanym do Leonarda Aretina uczonego wielkiéj sławy w wieku piętnastym, który ponieważ pokazuje rozsądek ludzi oświéconych, cnotliwych i nieuprzedzonych o tym sławnym człowieku, którego najsmutniejsza dola jeszcze dotąd rozrzéwnia serca nasze, i że jest pełen dobitnych wyrazów co do mocy a razem dobrego smaku co do sposobu pisania, nie mógłem się oprzéć miłéj chęci przełożenia go na rodowity język i przywiedzenia na tém miejscu. On wystawia jaśnie przed oczy cały obraz tego tak tkliwego widoku i jednego z najsmutniejszych w dziejach religii chrześcijańskiéj wypadku.

„Gdy przez kilka dni (pisze Poggio) u wód ciepłych bawiłem, napisałem do Mikołaja mojego przyjaciela z samego miejsca list, który rozumiem czytać będziesz. Za moim późniéj do Konstancyi powrotem, w kilka dni zaczęto sądzić sprawę Hieronima, którego trzymają za kacerza i zaiste jawnego. O téj cię uwiadomić postanowiłem, już dla ważności rzeczy, już najwięcéj dla wymowy tego człowieka i jego nauki. Przyznam się, żem nikogo nie widział, któryby mówiąc za sobą, zwłaszcza, gdy sąd o głowę idzie, bardziéj zbliżył się do wymowy starożytnych krasomówców, których my tak wielce uwielbiamy.

Była to rzecz pełna podziwienia widzieć, jakiemi słowy, jak potężną wymową, jak gruntownemi wywodami, jak wypogodzonėm czołem, jak nieodmienną twarzą, jak pełną zacności postawą, z jaką ufnością odpowiadał przeciwnikom i nakoniec jak przeważnie rzecz całą zakończył. Słusznie ubolewać należy, iż tak wysoki dowcip, tak wyborny rozum, do myśli heretyckich się nakłonił; jeżeli jednak to prawda, co mu zadawają, bo nie jest rzecz moja o tém sądzić, przestaję na zdaniu mędrszych odemnie. Ani rozumiéj, żebym miał obyczajem krasnomówskim wszystkie pojedynczo sprawy téj wyliczać okoliczności, długa by to była i wielu dni robota. Niektórych tylko znaczniejszych dotknę rzeczy, z którychbyś mógł męża tego nauki doświadczyć. Gdy wiele dowodów przeciwko temu Hieronimowi przywiedziono, które go o kacerstwo obwiniały, i gdy to mniemanie coraz bardziéj się wzmagało, postanowiono, aby publicznie na każdy w szczególności odpowiadał zarzut. Stanąwszy zatém przed radą i odebrawszy rozkaz odpowiadania, długo się wymawiał, twierdząc: iż wprzód powinien rzecz swoję przełożyć, niżeli na potwarze nieprzyjaciół odpowiedziéć. Przeto prosił, aby go piérwéj za sobą mówiącego sędziowie wysłuchali, a potém roztrząsali wykroczenia, które mu zadawano. Lecz kiedy tak sprawiedliwéj odmówiono mu prośby, stanąwszy wpośród zgromadzenia: Przebóg, cóż to za niesprawiedliwość! mówi, że trzymając mnie trzysta cztérdzieści dni w rozmaitych więzieniach brudem i plugastwem okrytego, kajdanami ściśnionego, nędze i wszystkiego niedostatek ponoszącego, przeciwników i oszczérców moich zawszeście chętnie słuchali, mnie jednéj godziny darować niechcecie? Ztąd pochodzi, że gdyście im ucha waszego użyczali, łatwo w was wmówili, żem jest heretykiem, nieprzyjacielem

wiary, prześladowcą duchowieństwa, mnie zaś bronić się nie pozwalacie! I piérwéjście mnie osądzili u siebie za niezbożnego człowieka, niżeli, jakim jestem, poznać mogliście! Wszakże (jego to są jeszcze słowa) ludźmi jesteście nie bogami, śmiertelnymi nie wiecznie trwałymi; upaść, zbłądzić, zmamionymi, oszukanymi, zdradzonymi być możecie; świata nazywacie się pochodniami, ziemi przezornymi władzcami; usilnie powinniście się starać, abyście nic porywczo, nic lekkomyślnie nie uczynili, ani czego przeciwko sprawiedliwości nie popełnili. Ja zaś nikczemny człowiek jestem, o którego życie idzie, ani za sobą nie mówię, który śmiertelny jestem, lecz niegodną rzeczą mi się zdaje, ażeby mądrość tylu mężów co na mnie stanowiła przeciwko słuszności, boby to nie tak przez swój wewnętrzny skutek, jako przez dany zły przykład, strasznie zaszkodziło.

„Te i inne rzeczy ozdobnie mówiąc, gdy zgiełk i szemranie wielu mowę jego przerwało, uradzono, aby wprzód na błędy sobie zadane dał odpowiedź, a potém mówił to, co by mu się zdawało. Zaczém z wydatniejszego miejsca czytano z osobna punkta zaskarżenia. Zapytany, coby przeciw świadectwom złożonym miał powiedzieć, niepodobna do wierzenia jak rostropnie odpowiadał, jakiemi się bronił dowodami. Nie pokazywał po sobie, coby na zacnego nieprzystało człowieka; i jeżeli to o wyrokach wiary trzymał, co słowy wyznawał, nie tylko by nie można było znaleźć przeciwko niemu żadnéj sprawiedliwéj przyczyny śmierci, ale nawet i największego obrażenia przeciwko wierze: wszystkie zadania twierdził być fałszywe, wszystkie obwinienia od nieprzyjaciół swoich wymyślone. Gdy między innemi zarzutami przywiedziono: że jest uwłoczycielem stolicy apostolskiéj, szydercą z najwyższego rzymskiego biskupa, nieprzyjacielem kardynałów, prześladowcą prała-

tów i kapłanów, chrześcijańskiej religii obmowcę, powstawszy z żałosnym głosem i z wyciągnionemi rękami: Gdzież teraz się, mówi, obrócę ojcowie zgromadzeni? czyjegoż wzywać będę ratunku? kogo prosić? kogo zaklinać? was-żeli? ale prześladowcy moi umysły wasze ode mnie odrazili, kiedy mnie głoszą być nieprzyjacielem tych, pod których sąd podpadam. Bo tak u siebie zdradliwie ułożyli, że choćby powynajdowane przeciwko mnie przewinienia były małe i niedostateczne, wy jednak wyrokami waszemi niepochybnie uciśniecie wspólnego waszego nieprzyjaciela i oszczercę, za jakiego mnie ci najniegodziwszym udali sposobem. Jeżeli więc ich słowom wiarę dacie, już po mnie.

„Wielu dowcipnemi przymawiał żarcikami, wielu ostremi dotykał przycinkami, wielu pobudzał do śmiechu w tak smutnéj przygodzie w żart obracając ich łżenia. Pewnemu z dominikańskiego zakonu złośliwie usta przeciwko niemu otwierającemu rzekł: *milcz obłudniku!* drugiemu na sumienie swoje przysięgającemu: ta, powiedziały, najpewniejsza oszukiwania jest droga. Jednego z bezwstydniejszych swoich nieprzyjaciół nie inaczéj tylko psem albo osłem nazywał. Gdy zaś dla zarzutów wielości i ciężkości rozprawy rzecz w jednym dniu zakończyć się nie mogła, do trzeciego dnia odłożoną została. Którego gdy wszystkich zarzutów dowody przywiedziono, a potém wielą świadkami stwierdzano, wtenczas podniósłszy się: „*Jakoście* rzecze *nieprzyjaciół moich pilnie słuchali, tak trzeba, abyście mnie mówiącego nie uprzedzonym umysłem wysłuchali.*“ Otrzymawszy zatém, choć wielu z szemraniem się temu sprzeciwiało, pozwolenie mówienia, naprzód od Boga zacząwszy prosił, aby mu takiéj myśli i takiéj wymowy użyczył, któraby się na dobro i zbawienie duszy jego obróciła. „Wiem ja, mówił daléj, przezacne zgromadzenie! iż wielu

było wybornych mężów, którzy najsrożlywsze i najokrutniejsze męczeństwa wycierpieli za swoje cnoty, że od fałszywych zatłumieni świadków najniesprawiedliwsze odnieśli wyroki. Począwszy zaś od Sokratesa przytoczył, jak niesłusznie od swoich był potępiony współobywatelów, ani gdy miał sposobność uchodzić i oswobodzić się z więzów, użyć jéj nie chciał, ażeby dwom najprzykrzejszym dla ludzi rzeczom bojaźń i postrach odjął, to jest więzieniu i śmierci. Potém wspomniał Platona niewolą, Anaxagory i Zenona męki, wielu jeszcze starożytnych filozofów niesprawiedliwie na stracenie życia osądzonych, Rutiliusa zgubę, Boecyusza i tych, o których Boecyusz świadczy, niewinną śmierć wspomniał. Za tém do przykładów z żydowskich dziejów wziętych przeszedł. A naprzód mianował Mojżesza wybawiciela narodu i praw najgruntowniejszych stanowiciela, jak często był od swoich potwarzony, za zwodziciela i wzgardziciela ludu mianý, Józefa iż zazdrości od braci sprzedanego a dla obelgi ułożonéj na siebie od bezwstydnéj kobiéty do ciemnicy wtrąconego. Prócz tych przywiódł Izaiasza, Daniela i wszystkich prawie proroków, jako wzgardzicielów Boga, jako buntowników, za niesprawiedliwemi wyrokami straconych. Tu także przydał Zuzanny i wielu innych sąd, którzy będąc najcnotliwszymi ludźmi niesłusznie zginęli. Więc do Jana Chrzciciela, tudzież do Chrystusa prawodawcy naszego przystąpiwszy, powiedział, iż wszystkim wiadomo, jako przez fałszywych świadków i niegodziwym sądu wyrokiem byli potępieni. Nie opuścił Szczepana od zgromadzenia kapłanów ukamienowanego, apostołów zaś wszystkich na śmierć skazanych nie zaiste jako dobrych i cnotliwych, lecz jako wichrzycielów pokoju, zwodzicielów gminu, urągających Bogu i złych dzieł sprawców. Napomknął, jak jest nie-

godziwa, kiedy kapłan potępia niesprawiedliwie kapłana, a jak daleko jest haniebniejsza, gdy zgromadzenie duchownych tak srogi popełnia uczynek, co także przykładem dowiódł; kiedy zaś na tak niesłuszne potępienie powszechny zbór biskupów i nauczycielów religii zezwala, pokazał, że to jest ostatnim stopniem niesprawiedliwości. O tych rzeczach wymownie i z wielkiém wszystkich oczekiwaniem przegadywał się. A że wszystka sprawy wielkość na świadkach zależała, wielą przeto dowodami okazywał, iż owym świadkom żadnéj niepotrzeba dać wiary, ile że nie z miłości prawdy, lecz z natchnienia nienawiści, złości i zazdrości przeciwko niemu świadczą. Potém przyczyny niechęci tak dokładnie wyłuszczył, iż o mało nie przekonał. Tak były do prawdy podobne, iż gdyby nie szło o sprawę religii, nader szczupłą wiarę onym świadectwom dać się należało. Wzruszone były wszystkich umysły i do litości nakłonione; przydał bowiem, że sam dobrowolnie stawił się przed koncylium dla oczyszczenia siebie, opowiedział swoje życie i zabawy pełne publicznéj pracy, usługi i cnoty. Dołożył o zwyczaju dawnych najuczeńszych i najświątobliwszych mężów, że ich zdanie w rzeczach niektórych do wiary należących sprzeciwiały się wzajemnie, nie ku nadwerężeniu wyroków z nieba objawionych, lecz dla tém lepszego dochodzenia ich pewności i prawdy. Tak święci Augustyn i Hieronim różnili się między sobą i nie tylko odmienne mniemania lecz wcale niezgadzające się utrzymywali, bez żadnego podejrzenia o herezyą. Wszyscy oczekiwali, ażeby albo usprawiedliwił się odwołując zadane sobie winy, albo o błędów swoich darowanie prosił. Ale on, ani na to niechciał przystać, że zbłądził, ani fałszywych sobie przypisywanych występków odwołać. Za tém postąpił do oddania zalety Janowi

Hussowi na ogień skazanemu, nazywając go mężem dobrym, sprawiedliwym, świętym, i że na śmierć onę nie zasłużył. Co do siebie, oświadczył się być gotowym ponosić wszelką mękę umysłem mocnym i statecznym. Widzi, że musi ustąpić swoim nieprzyjaciołom, i świadkom tak bezwstydnie kłamiącym, którzy jednak kiedykolwiek Bogu, którego oszukać nie potrafią, sprawić się muszą z tego wszystkiego, co na zgubę jego powiedzieli. Wielki żal wszystkich przytomnych ogarnął. Wszyscy sobie życzyli człowieka tak wybornego ocalić, gdyby był myśl lepszą powziął. On zaś statecznie w przedsięwziętych zdaniach trwając, żądać śmierci zdawał się, a wychwalając jeszcze Jana Hussa powiedział, iż on nic przeciwko rozporządzeniom kościoła bożego nie nauczał, lecz tylko złe obyczaje duchownych naganiał, dumę, osobistość i wyniosłość, okazałe i światowe życie, rozwiozłość, zbyteczne zbiory, niepohamowaną panowania chciwość i rażącą oczy świeckich, pompę prałatów potępiał. Bo gdy dochody kościoła obracać należy na wspomożenie ubogich, na wypełnienie obowiązków chrześcijańskiéj gościnności, na utrzymanie ozdoby domu bożego, rzeczą nieprzyzwoitą zdawało się owemu cnotliwemu mężowi, że ten duchowny majątek łożony bywa na nierządy, biesiady, konie i psy, na strojne noszenia się i na inne rzeczy niegodne religii Jezusa Chrystusa. W tém zaś wielką moc dowcipu swojego pokazał Hieronim z Pragi, iż gdy jego mowa była często przez rozmaite wrzaski przerywana, i gdy był nagabany od niektórych, wyrazy jego opacznie nicujących, żadnemu z nich nie przepuścił a równo się na wszystkich mszcząc, albo do wstydzenia się albo do milczenia przymuszał. Za powstającym gwarem ucichnął, przytomny gmin kiedy niekiedy strofując; potém daléj mowę prowadził prosząc i zaklina-

jęć, aby mu mówić pozwolili, ile że go już ostatni raz słyszeć mieli. Będąc umysłu stałego i nieustraszonego nigdy się niezaląkł na powstający krzyk i łoskot; to zaś jest niepospolity jego pamięci dowodem, że jéj nie stracił, chociaż był trzysta czterdzieści dni zamknięty w podziemném, smrodliwém i ciemném więzieniu, na który nie ludzki obejścia się sposób sam utyskiwał, dając się z tém słyszéć, jako na człowieka wielkiego umysłu przystało: iż nie dla tego się żali, że tyle okrutnych niewinnie wycierpiał rzeczy, ale to go najwięcéj dotyka, że pojąć nie może tak nieubłaganéj przeciwko sobie srogości ludzi, widząc się wtrąconym do takiego miejsca, gdzie mu była odjęta sposobność nie tylko czytania i zdrowém powietrzem oddychania, ale nawet promieni słonecznych używania. Opuszczała tu owę frasobliwość duszy, która codziennie trapiła jego czułe serce, a która powinna była umysł jego zwątlić i władzy pamiętania pozbawić. Tak zbladłym, wynędzniałym i na siłach starganym będąc, tyle jednak najuczeńszych mężów za świadków swoich twierdzeń przywiódł, tyle kościoła nauczycielów na poparcie swojego mniemania przytoczył; coby nawet za rzecz podziwienia godną uchodziło, gdyby w najswobodniejszym czasie, przy najgłębszéj spokojności umysłu, tego rodzaju naukami się bawił. Głos jego przyjemny, otwarty, mile brzmiący, ożywiony jeszcze przystojnością układu krasomówcy, albo gniéw wyrażał, albo do miłosierdzia wzruszał, którego się jednak nie domagał ani dostąpić pragnął. Stanął owszem nieulękniony i serca nie stracił nie tylko gardząc śmiercią, ale jéj nawet żądając. Drugim właśnie Katonem mógłbyś go nazwać. O! mężu wiekopomnéj godny pamięci! Nie chwalę ja jeżeli co przeciw kościoła ustawom trzymał, ale wielbię naukę, obszerną rzeczy wiadomość, wymowę, cenię przyjemność

w wyrazach, subtelność w odpowiedziach; wszakże się obawiam, żeby te wszystkie dary nie były mu od natury na zgubę jego udzielone. Zostawiono mu potém przeciąg dwudniowy do odwołania. Wielu nader uczonych ludzi nawiedzali go, aby go do odstąpienia swego zdania nakłonić. Między innymi kardynał florencki, osobiście się z nim rozmówiwszy, na prostą zwrócić usiłował drogę. Lecz gdy uporczywie trwał w błędach, i wyrokiem zboru został potępiony i spalony, pogodném czołem i wesołą twarzą do kresu swego przystąpił. Nie zląkł się ognia, ni rodzaju męki, ni śmierci. Nigdy żaden ze stoików tak odważnym, tak statecznym, tak mężnym umysłem nie umierał, jak ten umiérać pragnął. Gdy na plac śmierci przyszedł, sam się z odzienia wyzuł; potém upadłszy na kolana, słup do którego był przywiązany, pocałował. Najprzód go mokremi powrozami z łańcuchem do słupa przykrępowano, wnet przygrubszemi drwami aż po piersi obłożono, i słomę podrzucono; skoro płomień się wznosił, począł śpiéwać jedno pienie na chwałę Boga, które dym i ogień ledwo przytłumił. To zaś jest największym dowodem wyższości jego umysłu nad najwyższe uczucie szarpiącego i rozdzierającego najdrobniejsze ciała cząsteczki bólu, iż gdy kat z tyłu, żeby nie widział, stós zapalić chciał: „Przystąp tu, rzekł, i przed mojemi oczyma ogień zapal; gdybym się go był lękał, nigdybym do tego miejsca, którego mógłem uniknąć, nie przyszedł.” Tym sposobem mąż nad mniemanie wielki i niestrwożony od ognia został pochłoniętym. Patrzałem na ten skon, i wszystkie z osobna sprawy widziałem. Gdyby się to było stało bez niewierności i uporu, zaiste filozofia śmierć takowego męża powinnaby nieśmiertelnemi wsławić pamiętnikami. Długom ci bardzo powieść opisał, mając upo-

czynek i żadną nie będąc zatrudniony pracą. Przecie czémś cię zabawić chciałem, i uwiadomić o czynach mało podobnych dziejom starożytnym. Bo ani ów Mucyusz Scewola tak statecznym umysłem nie poniósł przypałenie ręki swojéj, jak ten wycierpiał spalenie całego ciała. Ani Sokrates tak ochotnie truciznę wypił, jak ten na ogień poszedł, ale o tém dosyć. Darujesz słowom moim, jeżelim był przydłuższy; rzecz atoli obszerniejszego wyłożenia potrzebowała, wszakże niechciałem być zbytecznie wielomównym."

Ten jest list Poggio florentczyka, zaświadczający o charakterze, męstwie, przymiotach serca, rozumu i nieszczęśliwym losie Hieronima z Pragi. Człowiek, który tak czule, tak silnie, tak ozdobnie i tak przekonywającym mówił sposobem, człowiek, który tak stałym i nad wszystkie trwogi wyniesionym umysłem na śmierć okropną się odważył, nie był zapewne człowiekiem pospolitym. Ani Zygmunt cesarz, ani ojcowie zboru konstancyeńskiego, nie przewidzieli okropnych skutków wynikłych z okrutnéj kary Jana Hussa i Hieronima z Pragi. Popioły dwóch tych mężów, choć po bystrych szybko płynącego Renu nurtach były rozsypane, wznieciły straszny pożar i zapalczywą wojnę domową. Czechowie uczuli się być zelżywie obrażeni; przypisywali śmierć dwóch swoich rodaków nienasyconéj zemście tych, którzy się byli oddalili od szkoły głównéj paryskiéj. Cztérdzieści tysięcy ludzi stanęło pod orężem, gotowych wystawić się na wszystkie niebezpieczeństwa, żeby się tylko pomścić krzywdy Janowi Hussowi i Hieronimowi z Pragi i imieniowi czeskiemu wyrządzonéj. Wojsko to uzbrojone, było podobne dzikim zwiérzętom, które surowe wyroki zboru konstancyeńskiego rozjuszyły, okrutnemi i nieprzebłaganemi poczyniły. Serce się oburza

na samo wspomnienie srogich katowni i męczeństw z obojéj strony fanatyzmem i duchem zemsty podżegánéj wykonanych. Księża i zakonnicy przypłacili krwią swoją niemiłosierny wyrok śmierci, w Konstancyi na osobie Hussa i Hieronima z Pragi wypełniony. Stronnicy tych dwóch nieszczęśliwych ofiar starali się zbrojno utrzymywać ich naukę i zemścić się ich okropnéj straty.

Jan Zyska przyjmuje dowództwo hussytów, najzawziętszych nieprzyjaciół kościoła rzymskiego, i czyni największe usiłowania, aby korzystał ze słabości Wacława, z fanatyzmu Czechów, z niechęci ludu przeciwko duchowieństwu katolickiemu dla wzmocnienia swojéj strony i utorowania sobie drogi do władzy. Jeden kapłan znajdował się zawsze przy nim na czele wojska nosząc kielich w ręku dla oznaczenia, iż się domagali prawa używania świętości chrześcijańskiéj pod obiema przymiotami chleba i wina. Imie Zyska, które dano temu strasznemu wojownikowi, znaczy w języku słowackim *jednooki*, tak jak w starożytnym Rzymie Horacyusza bohatera nazwano Koklesem; z tego samego powodu wódz ten czeski stracił w jednéj potyczce oko, a potém w innéj bitwie postradał obadwa oczy. W takowym nawet przypadkowéj ślepoty stanie, umiał gromić nieprzyjaciół i być wodzem tak licznego wojska tyle razy pod swoją sprawą zwycięskiego. Wszystkim prawie siłom przeciwko sobie zjednoczonym Zyska się oparł, ścigał Zygmunta w własném państwie dziedzicznem, poraził jego wojsko i wjechał z tryumfem do Pragi. Gdy Zyska okrutnie wojuje i niezliczone zadaje klęski we wszystkich, gdzie tylko fanatycka jego tłuszcza przechodzi, okolicach, gdy jego zażarta partya roznosi po krajach czeskich łupieże, rabunki i pożogi, gdy oręż tego srogiego wojownika strumieniami krew toczy, najwyższą

Opatrzność w sądach swoich niedocieczona, ale zawsze sprawiedliwa, zrządza, że Zyska w biegu tylu popełnionych okrucieństw i morderstw, umiéra z zaraźliwéj choroby w pośród swojego obozu.

Bardzo jest wiadome ostatnie jego rozrządzenie, które umiérając zostawił względem ciała swojego. Chciał on, ażeby z jego skóry był zrobiony bęben, na któregoby sam przeraźliwy odgłos truchlały i upadały serca nieprzyjaciół. Ciało jego przeniesione było do Czaslau, miasta znacznego w Czechach, i tam pogrzebione w katedralnym kościele.

Potomność oświécona oddałaby sprawiedliwość temu dzielnemu i odważnemu wodzowi, wielbiłaby jego waleczność, a imie jego położyłaby w rzędzie wielkich ludzi; gdyby go był wściekły i zapamiętały fanatyzm nie uczynił srogim i okrutnym krwi ludzkiéj a zwłaszcza kapłańskiéj przelewcą. Uniesiony za granice przyrodzonéj słuszności od burzliwego ducha sekty, do któréj był mocno przywiązany, wywiérał nad tymi, którzy się w jego ręce dostali, ludzkość oburzające bezprawia, gwałty i morderstwa.

Zyska ogromny wojownik umarł, lecz fakcya jego żyła. Nie był to bowiem Zyska, ale fanatyzm, który tę zajadłą, upartą i swawolną kupę uformował, który ją nierozerwanemi związał ogniwami i który ją w nieugasnonéj jeszcze tylu krwi wylanéj potokami chęci pomszczenia się utrzymywał. Prokop nazwany Rasus, dla tego że w kapłańskim zostawał charakterze, doznanego męstwa wódz, który już stał się był okiem i prawą ręką Zyski, objął po nim dowództwo srogich zastępów. Natchnięty tymże samym duchem zapalczywości, fanatyzmu i zemsty, dokazywał podobnych jako Zyska okrucieństw, męcząc katolików a ogniem i mieczem wszystko pustosząc.

Frankonia, Misnia, Luzacya, Szląsko, Morawia, Austrya, Brandeburgia, orężem i pożarami w smutne zamienione pustynie, bądź przez hussytów napady, bądź przez święte od papieżów przeciwko tym sektarzom nakazane wojny, zatrzymały długoletnie ślady wszelkiego rodzaju nędzy i utrapienia. Tyle kościołów złupionych, tyle klasztorów z ziemią zrównanych, tyle miast, zamków i włości w perzynę obróconych, tyle kapłanów i zakonników wymordowanych, tyle niewinnych dzieci i wdów osieroconych; zgoła niewypowiedziane uciski, klęski, i szkody doznane przez niemieckie państwa i królestwo czeskie, tudzież przez część krajów polskich, gdzie hussytów niespokojny, ponury i zapalczywy za Władysława Jagiellona i po śmierci jego wtargnął fanatyzm, są okropne wypadki z fatalnego stosu w Konstancyi ku spaleniu Hussa i Hieronima z Pragi rozniéconego. W owych to popiołach nasienie tego złego było zawarte.

Obraz ten krótki ale wierny niezgody, buntów, rozruchów krajowych, zamieszek i najokropniejszych nieszczęść, którém odmienne w religii opinie w wieku piętnastym, a potém i w szesnastym, dały miejsce, jest dla świata razem nauką i zachętą do wzajemnego cierpienia, do łagodnego postępowania i ulegania sobie w zdaniach sumienia tyczących się zobopólnego; żeby uniknąć tak wielu smutnych przypadków, oddalić tak liczny tłum okropnych ztąd wynikających skutków i oszczędzić krew, którą popędliwe namiętności, pod pięknym na pozór płaszczykiem gorliwości religii, okrutna nietolerancya i szalony fanatyzm we wszystkich wiekach aż dotąd zwykły były oblewać ziemię tę nieszczęśliwą, mimo pełnych łaski pokoju i dobroci przepisów prawdziwéj Jezusa Chrystusa religii, która cała na sercu i duchu zależy.

O PRAWIE ZAŁOGI W POLSCE.

(Dokończenie).

Drugim dowodem trwającéj u nas załogi jest dyplomat z r. 1396, zachowany również w archiwum Senatu Rządzącego, datowany w Krakowie we czwartek wieczorem przed narodzeniem Najświętszéj Maryi Panny, a którym Świętobor książe szczeciński wyznał się dłużnym na na rzecz burmistrza i rajców miasta Krakowa summę sześćdziesiąt kóp groszy pragskich z obowiązkiem zapłacenia jéj na nadchodzące święta Wielkanocne. Ręczycielami należności i uiszczenia jéj na terminie byli: Hugo z Herforst, Henryk Wussow i Ekhard z Sydow. Godném uwagi w dyplomacie tym jest: iż miejscem wysiadywania załogi oznaczony został Wrocław i gospoda przez burmistrza i rajców krakowskich wskazać się mająca i że sam tylko Henryk Wussow i Ekhard z Sydów miał wjechać w załogę z cztérema końmi i sześciu pachołkami. Sam zaś dyplomat brzmi:

Wir Swantebur von gotis gnaden herczog czu Stettin et cet. Vorderlicher schuldeger und wir hugo von herforst heurich Wussow und Ekhard von Sydow desselben hern Swanteburs Burgen Bekennen allen den dy desen Brief seen adir horen lozen, das wir den ersamen mannen.. Burgermeister und Ratmann der Stat Cracow Sechczig schog pragischer grosschin Bemischer czal, sechczig grosschin vor iczlich schog czurechenen rechter und worer schult recht und redlichin schuldig seyn. Globinde bey guten trawen an arg mit geczampter hant ungeczundert und uns ieczlicher vor alles als seyne eygene schult, dy vorgenanten sechczig schog grosschin und czal vorgeschrebener, of Ostirn neste czukomende, den vorgenanten Burgmeister und Ratmannen der Stat Cracow gutlich und unvorczoginlich czubeczalen und ab wir des nicht teten, das got nicht engebe zo sullen alle schaden, dy, di vorgenanten Burgmeister und Ratmann czu Cracow, doroff czu Cristen adir czu Juden,

wy ofte das geschage teten, adir do von empfingen, uns eygen schaden seyn, dy globen wir ey yn guten trawen an arg mit dem houbtgelde, wenne se des langert nicht darben wellin gutlich czuvorrichten und ap wir leichte des nicht geschee, der vorgenante Burgermeister und Ratmanne czu Cracow manunge und schadentuunge nicht machten czo globen wir Henrich Wussow und Ekhard von Sydow vorgenante burgen mit enander und eyner vor den andern, yn dy Stat Brezlaw yn eyne herberge dy uns dy egenante Burgermeister und Ratmanne czu Cracow nennen werden, mit vier pferden und sechs knechten, yn czu reyten und darynne czu legin und an arg by guten frawen dor nicht uns czu komen, bis das denselben Burgermeister und Ratmannen der Stat Cracow dy vorgenannten sechczig schog grosschin und alle schaden dy doroff gegangen seyn gancz und gut mit der tat werden vorgulden, des czu grosser czicherheit und offimbaren geczugnisse sint unser Ingesigel mit wissenschaft an desen brif gehangen. Gegeben czu Cracow am dornstage am abunde der gebort der Achparn Juncfrawin Marie Noch Xpi geburd dreyczenhundert sechs und newnczig Jare. *(Dyplomat zaopatrzony jest czterema pieczęciami na pergaminie wiszącemi).*

Wiadomą jest z dziejów naszych rzeczą: że Ziemowit książe mazowiecki, ten sam, który się starał o rękę Jadwigi, dla tém pewniejszego otrzymania tronu zagrabił Kujawy roszcząc sobie różne pretensye do tego księstwa. Opanowawszy je najnieprawniéj pożaciągał znakomite od żydów krakowskich summy, które w roku 1385 wypłacić zobowiązał się. Nie mamy dyplomatów przekonywających nas o treści z obu stron zawartéj umowy, ale zakwitowanie z r. 1398 przez żydów krakowskich tak Władysławowi Jagielle, jak i Jadwidze zeznane zawiéra wyraźne ślady, że dla ich zapewnienia stawiał ręczycieli, a ręczyciele niepoddający się załodze byli prawie niewyobrażalni. Dwa te zakwitowania, stanowią oddzielne dokumenta i w małych tylko względach różnią się od siebie; dla tego postanowiliśmy zlać je w jeden zamieszczając pomiędzy

permittitur ratione dotalitii pro parte dicte Dne Elene ipsi Dno Wladislao Regi Polonie etc. assignate ad festum S. Joannis predictum per antedictum Dnum Joannem Ducem Oppavie et Rathibor non fuerint expedite, extunc quilibet nostrum immediate post festum S. Joannis Baptiste predictum, ad civitatem Cracoviam cum quatuor equis intrare debebimus ad obstagium ibidem faciendum et abinde nullatenus debebimus recedere sed in eodem morari obstagio tamdiu quousque promissa nostra eidem Dno Regi Polonie adimplete fuerint et littere Regis Bohemie predicte per eundem Dnum Ducem Ratiboriensem fuerint assignate. Harum quibus sigilla nostra presentibus appensa sunt testimonio litterarum. Data in Vilna Dnco die post octavas Epiphanie Dni Anno ejusdem MCCCCVII.

Czegoż nas dyplomat ten naucza? oto że Jan książe opawski i raciborski zobowiązał się Władysławowi Jagielle królowi polskiemu i Witowtowi W. X. lit. dostarczyć dowód z pisma Wacława króla czeskiego na to: że summę trzy tysiące grzywien szerokich groszy pragskich liczby i wagi polskiéj, rachując po cztérdzieści i ośm groszy na grzywnę, zapisaną jako przywianek na rzecz małżonki swéj Heleny, zabezpieczył na ziemiach, miastach i obwodach pszczyńskich i bieruńskich i takowy złożyć do rąk pomienionego Władysława Jagiełły i Witowta najdaléj na dzień Ś. Jana Chrzciciela; że w razie niedopełnienia przyrzeczenia tego Farka z Międzyrzecza starosta Pszczyński, Mirakó z Pstrążnéj, niewiadomego imienia z wielkiéj Rudy, Weynus z Reisenburga, Mikołaj z Szytynek i Zygmunt z niemieckiéj Wisły, byli ręczycielami księcia Jana Opawskiego i Raciborskiego, którzy zobowiązali się wjechać w załogę w mieście Krakowie z cztérema końmi i dopóty w niéj zostawać dopokąd wspomniony dowód piśmienny Wacława króla czeskiego nadesłanym nie zostanie.

Nakoniec Bartosz Paprocki w herbach rycerstwa polskiego na str. 188 pod klejnotem półkozic zostawił nam

ułomek, jak go nazywa, listu rękojemskiego, [illegible] Indyka z Jurkowa z roku 1441, według którego Mikołaj z Witowa sprzedał Władysławowi królowi polskiemu i węgierskiemu konia za sto czerwonych złotych, a tęn przypadającą należytość na dniu Ś. Jakóba apostoła wypłacić zobowiązał się. Na przypadek nieuiszczenia summy na umówionym terminie Indyk z Jurkowa ręczyciel królewski poddał się łajaniu i naganom Mikołaja z Witowa, wreszcie załodze aż do chwili zaspokojenia długu. Szkoda, że Paprocki nie zamieścił w całości tego listu, byłby on z inny strony przedmiot ten wyjaśnił a co najgorsza że go zbyt błędnie wydrukował, wszakże osnowa jego jest następna:

Ego Indicus de Jurkow fidejussi praesentibusque fideiubeo, pro serenissimo principe domino Dno Wladislao Dei gratia Hungariae, Croaciae, Poloniae rege etc. generoso Dno Nicolao de Witovv, pro centum florenis aureis puri auri et justi ponderis, ratione equi recepti, ad festum Sancti Jacobi Apostoli proximi, solvere et expedire, cum effectu, sine omni dolo et fraude, ita tali modo, quod si praefatus Dominus Rex praenominatam summam non curaret solvere, dictos centum florenos ad festum praefixum a tunc ego Indicus submitto me eidem Nicolao increpationibus et tractationibus litterarum applicationibus, vel huic qui praesentem litteram habuerit, cum sua bona voluntate, eandem facultatem habebit me admonendi et avisandi modo huiusmodi etc. etc. Si idem Nicolaus faciat sedem stare in loco arrestato, illic nullibi abeundum debeo quousque summam praefixam florenorum expariar et ob hoc quodcunque damnum habuerit praefatus Indicus (*powinno być* Nicolaus) hoc damnum non debet reputari ipsius, sed meum fideiussorium; insuper promitto ipsum Dominum Indicum (*powinno być* Nicolaum) nullo iure evadere, nec mandato Regis, nec litteris quibuscunque et si quidquam dixerim contra praedictas moniciones, agerem hoc contra honorem meum. In cuius testimonium sygillum meum appendo. Datum in Samaria feria tertia post dominicam Ramis Palmarum Anno Domini 1441.

[illegible] więc w lat prawie sto po statucie wiślickim napotykamy prawo zwyczajowe poddawania się załodze w Polsce. Kiedyż przeto ustała? nie wiadomo. Konstytucye sejmowe nie czynią żadnéj wzmianki o jéj zniesieniu; ustawać ona musiała powoli, aż wreszcie wyjść z zupełnego użycia i to tém więcéj, iż w Niemczech cesarskie policyjne rozporządzenie z r. 1548, inne cesarza Maxymiliana II z r. 1574, nakoniec postanowienie (Reichsabschied) z r. 1577 w Frankfurcie ogłoszone w tyt. XVII §. 10, wszystkie zobowiązania załogą obostrzone, za nieważne uznało.

WIELKI GOŚĆ W TATRACH.

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

Witajcie rodzinne Tatry,
W szkarłatnéj poranku gazie!
U stóp hymn grają wam wiatry,
A na wierzchołków oazie,
W błękicie niebios namiotu
Orzeł się wprawia do lotu...

W codziennem życiu, jak w systemacie optyki, odległość w szczególny powab ozdabia przedmioty, które dopokąd są tuż obok nas, niemal pod ręką naszą, zdają się nawet na bliższą uwagę nie zasługiwać. Jest to niby zgubiony brylant, którego prostoduszny chłopek w urojeniu, że to odłamek stłuczonéj szyby, podjąć nawet nie chciał, i wtenczas dopiéro niewiadomości swéj złorzeczyć zaczął, gdy klejnot znawczą źrenicą odkryty, za garść złota zamienionym został. My okiem tego chłopka spoglądaliśmy od wieków na naszą piękną przyrodę, na na-

sze olbrzymie Tatry. Nie jeden wyczerpał gorliwą swą ciekawością europejskie widoki, drapał się na szczyty Alpów, zwiedził Pireneje i Apeniny, i dopiero gdzieś nad Renem pierwszy raz posłyszał, że na progu rodzinnego jego kraju są piękne góry, zaledwo z nazwiska mu znane, które chociaż ogromem nie dorastają szwajcarskich szczytów, rozmaitością jednak kształtów, uroczą dzikością śniegiem pokrytego czoła, i różnowzorym kobiercem, natkanym kanwą niezliczonych roślin, kwitnących na lubieżnej ich piersi, nie powstydzą się stanąć obok Alpów. Nie ma temu jeszcze ani ćwierć wieku, jak dziewicze łono Tatrów nietknięte ciekawą wędrownika stopą służyło tylko śniegom za łoże, albo za gniazdo dzikim kozom, na których kiedy niekiedy łamał kark odważny strzelec. Oni sami, którym za granicą mówiono o piękności gór naszych, za przesadzone mieli te pochwały; zdawało im się, żeby to było to samo po Alpach zwiedzać Tatry, jak po włoskiej operze w stolicy podziwiać klasyczność wędrujących artystów, oklaskiwanych w czasie jarmarku w Rzeszowie. Badawczy dopiero umysł niemieckich geologów, którzy w coraz liczniejszych gronach zwiedzają w ciągu letnich miesięcy o sto mil odległe od siebie Karpaty, przetorował pierwszy, jak Hannibal, drogę do tych skał niedostępnych. Już coraz więcej i ziomków naszych z dalszych nawet okolic, a jeszcze liczniej z przyległych kąpiel, zbiera się i łączy z tłumami cudzoziemców, ażeby od nich zasięgnąć objaśnień względem skarbów, które ten łańcuch gór zawiera na łonie i w łonie. Każdy tu zresztą znajdzie pokarm dla swej wyobraźni i nie raz spostrzeżesz, jak ktoś na ułamku skały z teką pod pachą, z ołówkiem w ręku, przenosi na papier w zmniejszonych rysach cudotwórną postać natury, albo przelewa w melodyjne wy-

nasy nazwał swych uczuć, które razem z człowiekiem daleko wzniesione nad ziemię, wyższe są nad zmysłowość, nad ziemskość. Owdzie ujrzysz człowieka co krok chylącego się ku ziemi i ostrożnie zerwane listki w wielką składającego księgę, tamten zbiéra różno-wzorne kamienie, tamty znów palną bronią akustyczne robi doświadczenie, słowem przestrzeń tych gór, zda się być warsztatem rozmaitych rzemiosł. Ale przystąpmy do rzeczy.

Czwarta wybiła na skromnéj wieży farnego kościoła, stojącego wśród rynku miasteczka sąsiedniego Tatrom. Przychłódł cokolwiek skwar lipcowy i lud cisnący się tłumem po niedzielnicjszych nieszporach z świątyni, wyległ na rynku zajęty rozmową o coraz więcéj szerzącéj się pogłosce, jakoby znakomita jakaś osoba, pan wielki, miał wkrótce przejeżdżać do Tatrów. W tém rozległ się trzask biczów; duża poczwórna kareta, ciągniona ośmią góralskiemi końmi, i nieodstępny jéj towarzysz w tyle dążący trójkonny koczyk, stanęły na środku rynku. Wewnątrz obu pojazdów siedziało po dwie osoby. Tłumy ludu ścisnęły się natychmiast obok nieznanéj sobie karawany. Odgłos o przybyciu jakiegoś dostojnego gościa, jak iskra elektryczna przebiegł po całéj mieścinie; kto tylko żył, korzystając z sposobności napasienia wzroku przy świątecznym wypoczynku, biegł na oślep, aby jak najprędzéj dotrzéć do tak ważnego stanowiska. Na drzwiach karety błyszczące herby tém bardziéj mąciły domysły, bo w braku większéj heraldycznéj powagi, młody pisarz burmistrza, najświetlejsza w gronie tém głowa, uważał, iż, sądząc po koronie nad herbem, właściciel karety nie może być niczém więcéj jak hrabią. Ciekawość wytężyła wzrok swój sokoli. Tuzin głów i główek wgniotło się przez spuszczone z jednéj i drugiéj strony okna karety, a wszystkie

miały szeroko otwarte usta i oczy martwo wytrzeszczone, dopóki czarno ubrany służący nie przecisnął się z poza karety przez tłumy, dla otworzenia drzwi podróżnym. Po prawéj stronie siedział mężczyzna liczący lat trzydzieści i kilka, w niebieskiém jego oku malowała się łagodność z powagą, a z męzkich rysów przeglądał wyraz godności. Chociaż był tylko w podróżnéj bluzie, jednak jego powierzchowność i ruchy mające w sobie coś rozkazującego świadczyły, że był rangą wyższym od wiekiem starszego swego towarzysza, siedzącego obok po lewéj stronie. Lekko wyskoczył z karety i uchyliwszy kapelusza na znak powitania otaczającéj go gawiedzi, zapytał w niemieckim języku, czy w miasteczku nie ma wygodnéj gospody? Mało było wśród licznego tłumu filologów, a i ci, co rozumieli mowę pytającego, nie pojęli dźwięku wysłowienia, do którego ucho ich nie przywykło. Słowem, zapytanie zostało bez odpowiedzi. Chcąc być zrozumialszym, zapytał podróżny jaśniéj, czy tu co jeść nie dostanie?

„Gute, warme, Pariser Würstel,“ odezwał się z głębi tłumu głos krzykliwy, łokciem torującego sobie drogę kiełbasnika, który w oka mgnieniu wydobywszy rzędem na blaszanym talerzyku ułożone paryskie swoje specyały, podał je podróżnemu z niebardzo paryską gracyą. Ale głód tak jest dobrym kucharzem, że wśród lipcowego upału, gorące pieprzne kiełbaski nie najlichszą zapewne cudzoziemcowi zdały się być strawą, gdyż trzecią już brał do ręki, kiedy jakiś opasły czerwony jegomość, ulitowawszy się niedostatku podróżnego, zbliżył się z niskim ukłonem, zapraszając go na obiad, który jego serdeczna połowica postara się wyśmienicie przygotować. Śmierć i głód równa stany, ztąd zdawało się zbyteczném podró-

żnemu gościnnego gospodarza wypytywać o jego godność; poszedł więc za nim nie domyślając się nawet, że dziś będzie miał zaszczyt być przypuszczonym do stołu matadorów miasteczka, obywatela rzeźnika.

Już po dwugodzinném, blisko czekaniu, kurzyły się zastawy okrągłego stołu, przy którym na prostéj sosnowéj ławie rzędem cztéréj siedzieli podróżni. Smaczny, szafranem przyżółcony rosół, w którym jak czajki po Dnieprze liczne kołysały się kluski, tłusta sztuka mięsa z wybornym czosnkowym sosem i sążniste płaty rozbratlów, ugarnirowane gwiazdami z ziemniaków, stanowiły ozdobę piérwszego dania, po którém miała nastąpić niezrównana cykoryowa kawa. Zaledwo czynne cynowe łyżki zaczęły z głębokich talérzy czérpany kordyał przelewać do wygłodniałych żołądków, skrzypnęły chrapliwe zawiasy podwójów, i znany nam już heraldyk, młody pisarz burmistrza, wstąpił sążnistym krokiem do jadalnéj izby, któréj okna ćmiły się rojem zaglądających twarzy. Odkrząknąwszy po trzykroć zbliżył się rubasznie do najwyżéj siedzącego, z zapytaniem: „kto pan jesteś?“

„Podróżny.“

„Co pan tu zamyślasz robić“?

„Jeść.“

Lakoniczne te odpowiedzi obudziły w inkwizytorze uczucie obrażonéj dumy, silnym więc gestem i podniesionym głosem objawił chęć swoję ujrzenia passportu.

„W czasie obiadu nie zwykłem go pokazywać, odpowiedział wezwany, późniéj proszę się po to zgłosić.“

Gniew zabłysnął w chmurnym Heraldyka wzroku: „skutki swego uporu sam sobie pan przypiszesz“ rzekł prędko i wyszedł. Reszta obiadu przeszła wśród wesołych żartów o niebezpieczeństwie, w jakiém znajdował

się może pan hrabia, gdyż tak tytułowano mężczyznę w bluzie, jeżeli pan burmistrz raczy się rozgniewać za uchybienie swemu dostojeństwu. Po odjedzie, którego przepych sowicie został wynagrodzonym, czekać jeszcze trzeba było na dalszą przeprząż, wreszcie znać dano, że już wszystko gotowe, i pan hrabia ruszył z swoim orszakiem ku karecie, w którą zaledwie wsiadłszy, ujrzał się otoczonym czeredą policyjną miasteczka, z których jedni pochwycili konie za trenzle, inni ujęli ludzi służbowych, tamci znów strzegli jednych drzwi karety, bo u drugich opatrzony w godło swéj władzy, ogromną laskę, stanął pękaty burmistrz, i wtorując burzliwemu uniesieniu ruchem swéj laski, któréj końcami wywijał po przed nosem podróżnego w karecie, zawołał zasapanym głosem:

„Jakiém czołem śmiész mój panie uwłaczać władzy miejscowéj, memu sekretarzowi, który ma rozkaz ode mnie wszystkich podejrzanych zapytywać o dowody.“

„Dziękuję ci za grzeczność, rzekł z półuśmiechem podróżny, którego ta scena zdawała się bawić, jednak sądzę, że moja postać nie jest podejrzana.“

„Podejrzaną jest powiadam, bo Wepan taisz swoje nazwisko“...

„Ale nie taję mojéj osoby, kiedy wśród dnia staję z orszakiem w miasteczku.“

„I Waligórski jeździł wśród dnia karetami, a jednak po nocach rabował.“

Chwilę jeszcze drażnił się zacny więzień z panem burmistrzem, aż nareszcie skinąwszy na młodego mężczyznę w drugim pojeździe, odebrał od niego papiéry i wręczył je burmistrzowi, który czy to przez zbytek powagi, czy może nie będąc biegłym w czytaniu, oddał je swemu tak zwanemu sekretarzowi. Lecz ten rzuciwszy

okiem na pasport pobladł, zachwiały mu się łydki, szepnął coś do ucha swemu pryncypałowi, i jak żeby w skutek wybuchu piekielnéj machiny, burmistrz, sekretarz, zbiry, i cały tłum ciekawych w nogi!.... wołaj, przewołaj, nikt nie słyszy... popłoch ogólny, nagły... dla czego?.. nikt nie wié prócz burmistrza i sekretarza. W tém pojazdy ruszyły daléj. *(Dokończenie nastąpi).*

KRONIKA LITERACKA.

O prawnéj subrogacyi przez spłacenie wierzyciela wyższy stopień hypoteki mającego z art. 1251, ust. 1. (bez miejsca druku w 8ce str. 24).

Pod tym tytułem wyszło na widok publiczny z drukarni Stanisława Gieszkowskiego pismo jednego z najuczeńszych prawników naszych, które jakkolwiek nie obszerne przekonywa o należytém zgłębieniu przedmiotu i przyczyni się do ustalenia wahającego się dotąd wyrozumienia art. 1251 K. C. Autor rozebrał rzecz całą na następne kategorye: co jest subrogacya? komu służy możność subrogacyi i względnie kogo? jak długo służy ta możność? kiedy zaznaczenie w celu subrogacyi uskutecznione jest ważne? i jakie są skutki subrogacyi? i rozwiązał je z rzadką jasnością i gruntownością. Mimo teoretycznego stanowiska, jakiego się autor trzymać zamierzył, zbijanie i obalanie przeciwnych zdań i mniemań nadaje pismu temu cechę polemiczności. Sądzimy nawet, że to jest rękawica rzucona do walki, któréj przeciwnik, mimo przemilczenia go, podnieść niezawodnie nie omieszka.

Nabożeństwo do świętego Jana Nepomucena patrona dobréj sławy i świętego milczenia. Kraków nakł. i druk. St. Gieszkowskiego 1844. 8vo str. 61.

Znany z swéj nauki i wymowy kaznodziejskiéj JX. Alfons Skórkowski jest autorem wymienionego dziełka. Od str. 1 do 17 umieszczony jest żywot Ś. Jana z Nepomuk; następnie idzie przedmowa do odmawiających nabożeństwo, a od str. 21 do 61 Koronka

w dziesięciu modlitwach. Czystość języka i serdeczne wylanie się na modlitwę stanowią główną zaletę tego dziełka. Nie możemy się nawet wstrzymać od nieprzytoczenia ustępu z przemowy, bo ta nas najlepiéj z duchem i dążnością pisarza obezna: „Ze wszystkich władz ciała naszego, żadna nie jest prędsza do działania i żadna nie działa ustawiczniéj, nad organ mowy; żadna téż nie jest w tém działaniu obfitsza i rozmaitsza. Mową wysławiamy i błagamy Boga, i nią go bluźnimy; nią budujemy bliźniego i nią gorszymy; nią wyznajemy prawdę i nią dopuszczamy się kłamstwa; i t. d. O jakże to okropnie nadużywamy tego daru bożego! a to stąd pochodzi, że wypuszczamy z uwagi cel życia i dogadzamy sobie chwilowo, końca nie patrząc. Sp[illegible] zabawy obmawiamy drugich, albo potakujemy obmowie; pochlebną mową złém bliźniego utwierdzamy i stajemy się przeto winni grzéchu cudzego; układnemi słowy pokrywamy myśli i uczucie wręcz tym słowom przeciwne; dla podejścia i zdrady i przez niepohamowaną popędliwość języka dopuszczamy się bluźnierstwa, przekleństwa, przysięgi; rozpustném słowém niewinności stajemy się powodem do upadku i częstokroć w przybytek czysty, w którym sobie Bóg upodobał, wprowadzamy szatana; obudzamy żądze nieznane, ośmielamy wstydliwe i wiadomością złego zarażamy śmiertelnie świętą prostotę. Wyszydzamy rzeczy uszanowania godne, a ustawicznością i czczością rozmów naszych zapełniamy życie bezczynne“ i t. d.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W WARSZAWIE:

Pisma wierszem i prozą S. A. Rutkowskiego, część I. in 8vo; w drukarni Kaczanowskiego.

Małe tajemnice Warszawy, zarysy obyczajowe oryginalne przez K. R. Rusieckiego in 8vo, w drukarni Kaczanowskiego. Tom 1, 2.

Pocieszyciel strapionych i chorych, zbiór rozmyślań służących do wzniesienia duszy nad smutki i cierpienia tego życia przez Ks. Marcina de Norlieau z francuzkiego przełożone przez J. H. S.

z przemową przez Eleonorę Ziemięcką in 12mo, nakładem L. G. Glücksberga.

Rekrut (un tourlourou) romans obyczajowy K. P. de Kock, z francuzkiego 3 tomiki in 12mo, w drukarni J. Kaczanowskiego.

Niezapominajki. Noworocznik na rok 1844 wydany przez Karola Korwella ozdobiony pięciu rycinami i drzeworytami, in 8vo, w drukarni Strąbskiego. Rok szósty. Nakładem wydawcy.

Leon Leoni powieść Jerzego Sand (Dudevent) tłumaczył z francuzkiego Antoni F........ 2 tomy, w drukarni J. Wróblewskiego nakładem Fr. Sztejnbock.

Bohater naszych czasów M. Lermontowa, przełożył z rossyjskiego na język polski Teodor Köen, 2 tomy in 12mo, w drukarni J. Unger.

Wieczory zimowe. Zięć. Konduktor. z franc. Karola Bernard 2 tomiki in 16mo, nakładem wydawcy, w drukarni J. Dietrich.

Wieczory zimowe. Stuartowie, powieść w 3ch tomach, z francuzkiego Alexandra Dumas in 16mo, nakładem wydawcy, w drukarni J. Dietrich.

Nowa biblioteka romansów tegoczesnych autorów. Zawsze ten człowiek, romans Pawła de Kock 4 tomy in 12mo, w księgarni S. Orgelbranda w drukarni Gazety teatralnéj, wydawcy: J. D. Wagner i L. Sygietyński.

Polowanie na kochanków romans przez Karola Bernard, 2 tomy in 12mo, nakład S. Orgelbranda w drukarni Gazety teatralnéj.

Kazania na niedziele i święta całego roku do potrzeby i ducha czasu zastósowane przez Ks. Adama Józ. Kal. Szeleskiego z niemieckiego na polskie przerobione. Tom Iszy obejmujący połowę kazań niedzielnych. Tom IIgi obejmujący drugą połowę kazań niedzielnych, in 8vo, nakład G. L. Glücksberga, w drukarni J. Wróblewskiego.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłacona z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W* **Galicyi** *przyjmują tylko księgarnie, w* **Cesarst.** *zaś* **Rossyjskiém i Królestwie Polskiém** *w Urzędach pocztowych prenumerować można.*

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 7. Kraków dnia 1 Lipca. 1844.

WYOBRAŹNIA.

Od kolébki do mogiły
Towarzysz mi jasno-włosa!
Promienięca marzeń wiankiem;
Coś z błękitów ślicznym rankiem
Spłynęła mi i w niebiosa
Czarodziejskiéj pełna siły,
Wzniosła ducha — o! świéć w drodze
Życia mego; kiedy burza
Uczuć moich czoło schmurza,
Kiedy łza dzikiéj rozpaczy
Ślady wędrówki méj znaczy
W tobie pociechę znachodzę!

Córo niebios! twoje pieśnie
Wnet skołyszą mię w pogodę,
I wiośniane czucia młode
Zetrą rdzawe trosek pleśnie!

Czarodziejko! w twe objęcia
Padam z sércem niemowlęcia,
A ty sennych kształtów tkanką
Jakby wstęgą czarnoksięską
Opasujesz, i wnet męską
Czuję w sobie siłę, lecę
W kraj błękitów jasny, złoty,
Wzbijam się z pieśnią — kochanką!

Błogosławię te poloty,
Bo tam życie płonie święte,
Tam wszystko z niebios poczęte
Połyska niebios odblaskiem,
Lśni duszy świętym obrazkiem!
Miłość rozpromienia lica,
Miłość — nieba tajemnica!
Dla świata ducha mojego
Za mieszkankę wywołana,
Miłość czysta, nieskalana
Brudem ziemskich namiętności
Na mém łonie siostrą gości!
Miłość to bratnia, przeczysta
Miłość duchów wiekuista!

Wyobraźni! twoje cuda
Zmieniają mię w wielkoluda.
W sercu bije ludzkość cała,
Oko twórczym ogniem pała,
Pieśniami — gwiazdami świecę,
Słońce czucia w piersiach niecę,
Potężnym niesiony ruchem,
Promieniący bożym duchem,

W światy rozrzucam, w promienie,
Wieszcza wszech-twórcze natchnienie!

Córo niebios Jasno-włosa
Otulaj mię skrzydły twémi,
Błędnego tułacza ziemi
Nieś przez błękit, nieś w niebiosa!
Strój mię uroków równianką
Osładzaj me ziemskie bole;
Na tym wygnańczym padole
Towarzysz mi o! niebianko.

Franciszek Żygliński.



ZAŁOŻENIE W ROKU 1643

SZKOŁY WŁADYSŁAWSKO-NOWODWORSKIÉJ

W KRAKOWIE (*).

....W szczupłym obwodzie i w źle dobraném miejscu zawarta szkoła, z trudnością mieściła w sobie ciągle zwiększającą się liczbę uczniów, których jéj wziętość z dalekich stron zwabiała. Ale Uniwersytet, w czasie kiedy wielu możnych i biskupów po całéj Polsce dla Jezuitów okazałe gmachy wznosiło, ledwie własne potrzeby pokryć mogący szczupłemi dochodami, któremi go łaska królów Kazimiérza i Jagiełły, hojność kilku biskupów krakowskich, i życzliwość duchowieństwa świeckiego, a najwięcéj wdzięczność i przy-

(*) W roku zeszłym dnia 3 czerwca z okoliczności obchodu drugiego stulecia od założenia szkół, niegdyś Władysławsko-Nowodworskiemi a teraz liceum Ś. Anny zwanych, p. Józef Muczkowski professor i bibliotekarz Uniwersytetu Jagiel-

chylność własnych jego członków obdarzyła, boć samych fundacyj professorskich, Akademia 1,225,521 złp. przed rozbiorem kraju liczyła, mimo najszczérszéj chęci, nie mogła przy swém ubóstwie téj niedogodności usunąć: bo nie było za co nowy gmach wystawić. Kto wié jak długo w tak opłakanym stanie zostawałyby nowe szkoły, gdyby Opatrzność, która w najsmutniejszych kraju kolejach krakowskie naukowe zakłady swą potężną opieką zasłaniała i dotąd zasłania, nie była zesłała męża, co poświęciwszy majątek na wzniesienie tego tu wspaniałego dla muz ojczystych przybytku, zostawił w nim nieprzeżyty pomnik swéj dla Uniwersytetu wdzięczności, oraz szacunku dla nauk, które go wzniosły. Tym mężem był *Gabryel Prewancy* także *Przemankowskim* nazywany. Urodzony w Chełmży w Prusiech, a wychowany w szkole Jagiellońskiéj, gdzie w roku 1590 w grudniu stopień bakałarza był otrzymał, wnet swemi zaletami umysłu i przymiotami serca ściągnął na siebie króla Zygmunta III uwagę i pozyskał zaszczytne zaufanie, którego bynajmniéj nie zawiódł. Na nauczyciela dla kró-

lońskiego, na publiczném posiedzeniu Towarzystwa Naukowego odczytał wiadomość historyczną: *o początku, wzroście i kolejach*, jakie ta szkoła w upływie czasu przebiegła. Autor podzielił pismo swoje na dwa oddziały, z których piérwszy część historyczną, drugi zaś wewnętrzne urządzenie szkół aż do końca zeszłego wieku obejmuje. Redakcya Dwutygodnika uzyskawszy z téj wiadomości ustęp o założeniu szkoły Władysławsko-Nowodworskiéj, ogłasza go w piśmie swojém w przekonaniu, iż wielu z jego czytelników, co się w téj szkole kształcili, z ukontentowaniem odczyta te kilka stronnic, które w ich sercu obudzą błogie wspomnienia strawionéj tu młodości, oraz zwrócą ich uwagę na całe pismo, w Roczniku Towarzystwa naukowego krakowskiego wydać się mające, jako ważny do dziejów oświaty krajowéj przyczynek.

lewicza Władysława wybrany, tak chlubnie wywiępzywał się z wysokiego swego powołania, iż król Zygmunt w r. 1609, a w czwartym jego przy dworze bawienia, nie tylko go za zezwoleniem Stanów w poczet szlachty policzył, przezwiskiem Władysławskiego, od imienia ucznia Władysława, zaszczycił; ale nadto, dla większéj oznaki swéj wdzięczności królewskiéj, obdarzył klejnotem, jak dyplom wyraża, niejako z królewskiego utworzonym *(stemmata de nostris quodammodo derivata)*, nadając mu za herb w prawém polu tarczy skrzydła orła białego, w lewém zaś koronę królewską, oboje w polu czerwoném.

Władysławski edukacyą młodszych królewiczów: Jana Kazimiérza, Jana Alberta, Karola i Alexandra, późniéj zajęty, przez tę ważną posługę nowe względy pozyskawszy, tytułem sekretarza królewsk., daléj probostwém warsz., scholasteryą łęczycką, i nakoniec płocką i chełmińską kanonią został obdarzony. Atoli wśród tego powodzenia nigdy on nie spuszczał z pamięci, komu swe szczęście szczególniéj był winien; a pomny na owo Cycerona w mowie za Archiasem (rozd. 1) zdanie, że „od kogo to idzie, czém innych zbawiać a wielu służyć możemy, temu zaiste, ile jest w mocy naszéj, tyle ochrony i ratunku nieść potrzeba,“ ku Akademii krakowskiéj, jedynemu swych zaszczytów i powodzeń źródłu, tudzież ku téj tu szkole, jako jéj podwalinie, swe serce skłonił i życzenia obrócił. Jakoż, słyszano go do przyjaciół mawiającego: że nie gdzie indziéj tylko w akademii, szczególniéj zaś w tym tu gmachu, jego hojnością późniéj wzniesionym, swój dorobek, swoje imię, wszystko to, co własną pracą i wysługą z łaski królewskiéj był posiadł; słowem, jak się zwykł był wyrażać, całe swoje władysławstwo, tu złożyć i tu poświęcić gorąco pragnął.

Tą myślą zajęty, widząc, iż w niedogodném miejscu, bo w ostatniém i niezdrowém zakąciu miasta, a do tego przy samym ścieku jego nieczystości, poza bursą filozofów, budowla szkolna nie dość obszérności potrzebnéj mającą, była położona, na którą, jak mówi Marek Sobieski (*), nie tylko wejrzéć przykro było, ale nawet otaczające ją wyziewy i plugastwo, do czego się niemało w tym samym domu mieszkający przyczyniali, w przychodzących ckliwość wzbudzały, najbardziéj nad tém przemyśliwał, żeby te szkoły jak najprędzéj gdzie indziéj przenieść było można. Uczyniwszy zatém Uniwersytetowi ustnie ofiarę 30,000 złp., co według dzisiejszéj ceny około 90,000 wynosiło, w testamencie swoim w Chełmży dniem przed śmiercią, to jest 15go lipca 1631 roku napisanym usilnie o to upraszał króla, którego wykonawcą swéj ostatniéj woli mieć pragnął, żeby jego zamierzoną fundacyą w Akademii krakowskiéj do skutku przywiedziono, według życzenia, które Chawłosowi, kanonikowi warszawskiemu, tudzież prowincyałowi franciszkańskiemu był objawił. Nie przestając na dawniejszym darze, wspaniały dobroczyńca oświadczył w testamencie, żeby w razie potrzeby i coś więcéj do téj summy przydano. Śmierć króla Zygmunta IIIgo, który w rok po Władysławskim zstąpił do grobu, opóźniła spełnienie życzeń fundatora. A lubo ksiądz Jan Raciborski, dziekan warszawski, wykonawca ostatniéj Władysławskiego woli, już w. r. 1632 przysłał był Uniwersytetowi, według myśli fundatora uczyniony podział funduszów, zatwierdzenie atoli testamentu przez króla Władysława IVgo dopiéro w roku 1633 d. 6 maja nastąpiło. W tém zatwierdzeniu oświadczywszy król, iż sprawiedliwość i wdzięczność nakazuje mu, żeby się stało

(*) Oratio gratiarum actoria i t. d.

zadosyć woli tego, którego gdy żył, z powodu jego wielkiéj o swe wykształcenie troskliwości, jakby drugiego ojca wdzięczném sercem miłował, fundacyą dla Uniwersytetu do 50,000 złp. czyli do 150,000 złp. naszych pomnożył.

Z podziału funduszu przez Raciborskiego uczynionego procent 744 ówczesnych złotych polskich na powiększenie pensyi nauczycieli, na opał w szkołach i na ich odnawianie został przeznaczony.

Lubo już w r. 1634 przed d. 27 marca ksiądz kanonik Chawłos wezwał był uniwersytet, żeby się przeniesieniem szkół zająć zechciał; dla braku jednak dostatecznych funduszów dopiéro w r. 1636 około wzniesienia nowego gmachu myśleć zaczęto. W skutek wielokrotnych narad nakoniec d. 2go czerwca uchwalono, żeby leżące naprzeciwko kościoła ś. Anny i do kollegium większego przytykające dwa domki po zmarłym w r. 1618 akademiku Adamie Romerze, od rodzinnego miasta Stężyckim nazwanym, przez exekutorów jego testamentu kollegium większemu z pewnemi ciężarami przekazane, tudzież graniczącą z niemi kamienicę wraz z browarem jeszcze w r. 1577 od wdowy po Stanisławie Goły za 3,050 ówczesnych złotych a dzisiejszych przeszło 27,000 złp. kupioną, z stykającym się z nią browarem odstąpić na wybudowanie nowych szkół, pod tym atoli warunkiem, żeby ciężary do tych domów przywiązane prokurator uniwersytetu z funduszów Władysławskiego w przyszłości opłacał.

Skoro wszystkie przeszkody usunięte zostały, a przeznaczony na budowę kapitał, z dochodów fundacyi Władysławskiego zebrany, darem tysiąca złotych przez Jakóba Najmanowicza, profes. i kan. kat. krak., tudzież przez króla

Władysława ofiarowanemi, z żup wielickich 2500 złp. pomnożonym został, już w r. 1638 zaczęto wznosić gmach szkolny, którego budowa prowadzona pod nadzorem prokuratora uniwersytetu Zygmunta Gregorowicza ś. t. prof. ś. Floryana kanonika, przez murarza Jana Lajtnera z Kazimiérza, szczęśliwie w r. 1643 ukończoną została.

Dwieście lat ubiegło dnia wczorajszego od czasu, kiedy w tym tu gmachu po raz piérwszy zebrała się młodzież szkolna i dostojni nauk miłośnicy i opiekunowie. Była to wzniosła, w dziejach oświaty narodowéj wiekopomna chwila, kiedy w tém tu miejscu niegdyś ku czci Matki Chrystusowéj poświęconém (*) Krzysztof Sapelias Med. Dok. k. k. kr. przy odgłosie katedralnéj muzyki odśpiéwał mszą o Duchu świętym. Dwaj bracia biskupi Gębiccy, Piotr Krakowski i Jędrzéj Łucki, wielu senatorów, mnóstwo obywateli stanu rycerskiego, przełożeni wszystkich zgromadzeń zakonnych, doktorowie wydziałów, i nakoniec niezliczona młodzież szkolna, wszyscy łącznie wylaném sercem składali dzięki Wszechmocnemu, iż tak użyteczne dla nauk dzieło szczęśliwie dokonane zostało.

Po nabożeństwie Marek Sobieski, wojewodzic ruski, starosta jawornicki, w dziękczynnéj mowie do króla Władysława, jakby obecnego, obróconéj (**), wychwalał jego dla akademii życzliwość, tudzież opiekę dla nauk, któréj nowym dowodem był ten gmach, jego staraniem wzniesiony, i o przywiązaniu królewskiém do swego niegdyś

(*) Posiedzenia publiczne Towarzystwa naukowego z Uniw. Jagiell. połączonego odbywają się na amfiteatrze szkół Władysławsko-nowodworskich, gdzie przedtém od r. 1643 do r. 1786 *Oratorium* akademickie było umieszczone.

(**) Oratio gratiarum actoria etc. Crac. in off. Christoph. Schedelii 1643. 4.

nauczyciela przez święte wypełnienie ostatniéj jego woli najwymowniéj świadczący. Po Marku zabrał głos Jan, jego brat młodszy i dostojnym gościom dziękował wymownemi słowy, iż licznėm zebraniem się ten uroczysty obrząd uświetnić raczyli. Ta wzmianka imion dwóch najznakomitszych młodzieńców, jakże różne kojarzy z sobą wspomnienia! Kiedy bowiem z imieniem Marka myśl nasza mimowolnie przenosi się na batowskie pola, a serce nieujęta żałość ogarnia na widok, jak ten dnia 2go czerwca 1652 roku z kwiatem młodzieży polskiéj tamże gardło położył; to znowu nie bez szlachetnéj dumy przypominamy sobie, iż w téj tu szkole wychował się Jan III, oswobodziciel Wiédnia i obrońca chrześciaństwa.

Po téj uroczystości porannéj, która przez trzy godziny trwała, nastąpiło po południu przeprowadzenie klass. Tysiąc sto trzydzieści jeden uczniów téj szkoły, a między niemi mnóstwo synów najznakomitszych rodzin, jakoto: Denhoffów, Działyńskich, Kalinowskich, Koniecpolskich, Lanckorońskich, Ossolińskich, Sapiehów, książąt Wiszniowieckich, Zbarazskich, i t. p. (bo jeszcze w owych czasach guwernerów dla paniąt z zagranicy niesprowadzano, ale je swoi uczyli), wraz z profesorami i prowizorem Jakubem Witelliuszem, uszykowani w porządku klass, przed któremi niesiono obrazy ich patronów, ze ścian dawnéj szkoły pozdejmowane, z zapalonemi świécami, w uroczystéj processyi, odśpiéwując nabożne pienia, wolnym postępowało krokiem, przenosząc się do tego tu nowego nauk przybytku.



KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIÉJ,

I WYSTAWIENIU JÉJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

przez

Józefa Kremera.

Było to w roku — ale cóż nam po datach — dość na tém, iż było wieczorem, gdy wśród żniwa świat przyciśniony upałem dusznym dnia zaledwie oddychał pod ciężarem trudów pracy i skwaru letniego. Słońce właśnie tonąc na zachodzie, świéciło w oczy naturze spiekłém spojrzeniem, a w koło lasy, pola, krzewy, wioski i miasteczka, zalane powodzią modrawéj srężogi, kąpały się w niéj, niby w wrzącéj łaźni. Tak było światu duszno, ciężko i tęskno na piersiach, jak to bywa człowiekowi uczciwemu na twardéj pielgrzymce żywota jego. Wśród równiny znużonéj i wyssanéj z sił wychyla się pagór, niby jedna z północnych mogił naszych; na nim stało dwóch małych chłopców. Jeden z nich z zadumieniem popatrywał się w koleżkę swojego, który z rozrumienionem licem, wyniósłszy wysoko główkę rozczochraną, z rozwartém okiem, cóś mięta rękami i głośno przemawia; przemawia niby wierszami, i twarzą na poły drwiącą, na poły groźną, wskazuje na dwie wioski rozkładające się opodal od pagórka; na jednę ciska klątwę, a drugiéj śle błogosławieństwo i cześć. Pacholę to było jakieś nikłe, biédne, chude i blade; ale z oczów niby z okienek swoich, wyglądał na świat duch potężny, błyskawiczny, a duch ten właśnie co się zbudził, ocknął się, i piérwszy raz wejrzał w świat: bo żartobliwa klątwa owa, i błogosławieństwo dziecęce,

było piérwszém przebudzeniem przyszłego wieszcza, piérwszą olbrzymiego poety pieśnią. Nad głową małego pacholęcia, gdzieś wysoko na dalekiém niebie zawieszone lekkie obłoczki, schodziły się teraz wieńcem chwały, świecąc rubinowym ogniem zachodzącego słońca — i na ziemi już wzrastał mu cierń na koronę przyszłych boleści jego, wzrastała i żałobna i zawczesna cyprysowa gałązka. I jemu to będą dopiekać ziemskie skwary: i co jedno w życiu poety jest boleści, i żalu, i łez i cierpień, toć wszystko zleje się, niby w naczynie święte, w serce biédnego dziecka tego.

Gdy nieśmiertelny geniusz poezyi zatęskni sobie w niebiańskich pałacach swoich, już rad się podzielić tą nieśmiertelnością swoją z kimś z ubogich ziemi mieszkańców. Wtedy z cicha i lekko spuszcza się w nocnym obłoczku na nasz padoł śpiący, i wśród drzymiących dzieci jedno sobie za syna wypatruje; a gdy sobie już ulubieńca upodoba, kładzie mu gwiazdę na czole, i znów z cicha i lekko uchodzi do nieba swojego, wybrańcowi z oną gwiazdą nieśmiertelność zostawując, bo taki już nie umiéra nigdy, i żyje na wieki! Już tylko teraz lada chwilki potrzeba, by obudzić w młodych piersiach ukrytego wieszcza; ale ta chwilka kapryśna i dziwacka, i różne a różne przybiéra na się postacie. Jednemu wylatuje z kwiatu, z całą wonią wiosny; na drugiego ona woła wśród gwaru wojny, wśród łomotu i gromów bitwy; innemu znów zjawia się na dziewiczym majestacie śniéżnych turni tatrzańskich, lub alpejskich iglic; czasem znów ona chwila przemawia w szumie głuchym kniei, lub zagra mu w duszy organami morskich fali, lub psalmem uraganów; a niekiedy ona zapali duszę wieszcza chłodnym promykiem księżycowéj nocy, a częściéj jeszcze gorącém spojrzeniem ładnéj dziewczyny. A wiécie, zkąd na nasze pacholę właśnie teraz przyszła

ona ducha improwizacya, i to natchnienie jego? Skoro nie wiécie, pewny jestem, że i nie zgadniecie; ona nie zjawiła się ani we wiosny postaci, ani w dziwach olbrzymich natury, ani się zrodziła wśród pożóg i krwi wojen, ani ze spojrzenia księżyca, lub oczów pięknéj dziewczyny; ta chwilka uświęcająca go na wieszcza, wypłynęła mu, ot poprostu, z kwarty świéżego mléka. Krótka tego wszystkiego jest historya.

Obaj chłopcy mieli właśnie w ten dzień rekreacyą; rekreacya— a czy pamiętacie czarowne brzmienie tego słówka z dawnych lat?—a przy téj rekreacyi dzwoniło jeszcze kilka szelążków w mieszku, co za radość! Więc ich parło przechadzką gdzieś daleko w świat, by tam gdzieś daleko od szkoły, przehulać skarb swój na świéżém mleku. Chłopięta znękane upałem, znużone drogą, wycieńczone pragnieniem, wpadają bez tchu do jakiéjś wioski, ale tutaj niema ani mléka, ani gościnności. Nakładają ostatnich sił; by dobiédz wioski sąsiedzkiéj, i niechaj żyje ta wioska i ich zacne mieszkańce! tu serdeczności wiele, i mléka co niemiara. Pokrzepiwszy się, idą dzieci spoczywać na pagórek. Więc już znacie, zkąd na jednę wieś spadła klątwa, i zkąd błogosławieństo na drugą. I to były pierwiosnki poety, co miał kiedyś zaśpiéwać na podziw światu, i wszystkim ludom na pociechę i wesele.

I dużo upłynęło czasu i znów było głucho, ckliwie i parno na świecie; ale tą razą już na świecie moralnym ludziom jakoś tęskno na dusze padło. Świat cały był niby chory, jakoś się krzywił i nudził sobą, sam nie wiedział czego mu brak, i dla czego mu tak żałosno: ot, było mu tak, jako to bywa przed ciężką chorobą, lub burzą, lub wojną. Już na zachodzie piętrzyły się czarne kipiące chmu-

ry, i nad starą Francyą, jakby nad pałacem Baltazara, ręka opatrzna i nieubłagana historyi wypisała już zbliżający się rok 1789. A zrozumiał te tęsknoty świata, te jego boleści, nasz poeta, znany wam z onego pagóra i improwizacyi pieśni swojéj; zrozumiał on je, i dla tego mu w sercu coś bolało i płakało rzewnie. Lecz one pacholę urosło teraz w młodziana; patrzcież, jak go téż przystroili dziwnie: mundur naówczas księstwa wirtembergskiego, ścięty krojem pruskim Fryderyka Wgo, spina go ogromnemi guzami; kamizela szerokiemi połciami wywieszona z pod munduru; długie nogi od uda do kolan cienkie, ściśnięte, ale zato od kolan do pięty potwornéj grubości, wzdymają się w konwie, bo obłożone wypchanym białym kamaszem; szyja długa więzła w obróżę wązkim włósianym halsztukiem; po obu stronach głowy, trzy trąbki włosów zwite na wałkach gipsowych, z tyłu dębą staje gruby sążnisty harcap, a na samym szczycie głowy siedzi, niby ogromna ćma, maluchny trójgraniasty kapelusik. Nos jastrzębi zakrzywiony pod wydatnym kątem, brwi rude ku oczom skierowane, nadawały twarzy formę ptasią. Cała figura sztywna, nieruchawa, posuwała się po ziemi bocianim chodem (*). Był to pan lekarz pułkowy, Szyllar. Lecz gdy ten lekarz pułkowy tak niezgrabny, tak sztywny, przemówił, oczy jego siwe, głębokie, zaświéciły geniuszu płomieniem, brwi się ściągły silnie, usta się zwarły, a blade zapadłe lica zalała zorza wschodzącego ducha; wtedy wszyscy umilkli, korząc się pod czarów przewagą. Oddany w 14tym roku do szkoły synów wojskowych, uczył się naprzód teologii, potém medycyny, potém prawa, potém znów medycyny, i przy niéj na jakiś czas pozostał. Ciałem zamknięty w klauzurze szkolnéj, uczuciem owiał świat cały,

(*) Ob. co do życia Szyllera: Laube, Gesch. d. deut. Liter. T. III.

i jakby po dziedzictwo swoje, sięgał duchem do gwiazd niebiańskich, i niby wedle upodobania swojego zdejmował te gwiazdy z wiekuistego sklepu, strojąc niemi postaci swych uczuć i myśli: a co wielkie w naturze, co zacne i święte w człowieczeństwa sprawie, to miotało niby burzą w duszy jego. Więc przebaczmy téż młodzieńcowi temu zbyt rozkołysanych mysli, brak nie zupełnie jeszcze prawdziwego widoku na świat i treść jego. Nim trzęsły wichry i burze, a na dnie duszy paliło pragnienie, by wydał na jaw, co go tam w sercu bolało, by wystąpił czynem, a czynem u niego była pieśń, był dramat, zdawało się, iż wolą potężną wysadzi świat z piast swoich, że tchem rozwieje go w atomy, w powiewny pył.

Tak razu jednego, a miał w tedy lat 18, siedząc samotny w swéj ciasnéj izdebce, ujrzał oczyma swego ducha, postać ogromną; a rosła coraz wyżéj a wyżéj, aż dźwigła się olbrzymem. Ta postać był własny duch wieszcza; on się w niéj przejrzał, zdobył ją sobie. Niepohamowana siła w nim parła, uchwycił pióro, i wołając: „Napiszę ja książkę katowi na spalenie!“ napisał „*Zbójców.*“ W tych zbójcach osadził one widziadło swéj duszy, onego olbrzyma Karola Moor; wykarmił go boleścią i rozpaczą swéj duszy, uposażył całą nienawiścią, jaką pałał ku téj rzeczywistości skręconéj, która go w około obległa, a *Zbójcy* wydrukowane za pożyczone piéniądze, na szaréj grubéj bibule, padły na swiat niby grom klątwy!

Przeczuwał téż ten talent, władający wówczas krajem książe Karol wirtembergski. Sam będąc chowany w zasadach dawnéj konweniencyi, cenił wysoko dramaturgią klassyczną Francyi: więc téż nie dziw, że go raził majestat dziki, wulkaniczny, młodego geniuszu. Pragnął go tedy widzieć we formie zbliżającéj się klassykom fran-

cuzkim; ale téj formy nienawidził Szyller, i bez ogródki wstręt ten swój objawiał. Wołany do księcia, słuchał prawideł estetycznych, kończących się nareszcie tém poleceniem, by nic do druku nie podawał, póki księciu rękopismu do przejrzenia nie poda. Rumieniec obleciał twarz młodego mistrza, lecz schował się w sercu; książe dodał groźbę, iż gdy tego nie uczyni, pójdzie na fortecę! — i to była piérwsza lekcya estetyki, a drugiéj już nie było, bo wieczorkiem młodzieniec przysunął się do drugiego paliwody przyjaciela swojego, i szepnął mu do ucha: uciekajmy — i uciekli. Ten przyjaciel jego nazywał się Streicher, i był muzykusem; a mogli śmiało puścić się w świat, bo choć Szyller grosza nie posiadał, Streicher jednak zadzwonił mieszkiem, w którym brzękło do prawdy 23 reńskich. Pod obcém imieniem mieli się cichaczem wysunąć ze Stuttgardu. Szyller nazywał się Dr. Ritter, i dźwigał pod surdutem parę ogromnych pistoletów. Warta ich niepoznała. Za miastem czekała para szkapiąt z furą; na niéj kuferki z nutami, klekot klawikort Streichera, zawiniątko Szyllera, a w tém zawiniątku rękopism nowéj tragedyi „*Fiesko,*“ a w głowie u Szyllera „*Intryga i miłość.*“ Wszystkie te trzy sztuki razem z późniejszym „*Don Carlosem,*“ należą do piérwszéj epoki, i wspólną mają dążność.

Przybywszy do Manheimu, Streicher zebrał aktorów celniejszych tamtejszego teatru, którym Szyller miał czytać swojego Fiesko, i pod sąd im go oddać. Ale już po piérwszym akcie słuchacze się rozeszli, wołając, że to bezecna ramota; i nie dziw, Szyller źle deklamował, a ci panowie mając tylko uszy dla dźwięku tonów, a nie dla muzyki duchowéj poezyi, nie pojęli ani autora, ani dzieła jego. Wnet nadeszły listy grożące wydaniem naszym dwom towarzyszom biédy. Niebezpieczeństwo groziło; a

gdy one 23 reńskie już były na schyłku swoim, więc wybrali się pieszo. Streicher lekki, wesoły muzyk, ruszał dzielnie naprzód, ale Szyllera opuściły siły; wycieńczony, znużony do ostatniego, padł omdlały w jakimś lasku pod Frankfurtem. Upadł pod krzyżem swoim człowiek, który nie do samych Niemiec należy, ale jest wspólną własnością wszystkich narodów i wszystkich wieków, które po nim nastąpią; bo on téż całą ludzkość w piersiach chował, a serdeczną miłością objął świat cały.

Inną razą widzimy naszego wieszcza wśród mrozów zimy, passującego się ze śnieżnemi zaspami, bez środków podróży, bez płaszcza nawet, lub w komorze nędznéj karczmy, gdzie mu na przemian nieodstępny biédy jego towarzysz przygrywa myśli na klawikordzie, a Szyller mu za to przy kopciu kagańca odczytuje pieśni swoje. Niekiedy znów księgarz frymarczy z gienialnym człowiekiem o kilka talarów za arcydzieła jego. Gdy tamten z nich zysku piéniężnego szuka, wielki poeta walczy, by nie umarł z głodu i nędzy. Nie jeden długowłosy dandy mazgai się dziś z nudów po teatrach, a lorynetując dzieła, jak „*Dziewica orleańska*,“ ani przez główkę swoję przepuści, ile mąk przecierpieć, przeboleć musi człowiek jak Szyller, nim dzieła podobne z głębi ducha swojego wyważy.

Aleć tę walkę z rzeczywistym światem rozwinął zaród przyrodzony umysłu jego; ściśniony zewsząd bólami zewnętrznego widomego świata, uniósł się ponad niego, ściśniony od lat dziecinnych niewolnictwem brudném, rozpiął skrzydła, i uleciał na wysokości wiecznéj swobody i godności człowieka; duchem potężnym rzucił się w krainę nadziemskich myśli, w świat czystego rozumowania; cóż dziwnego, iż w nim wzrosła umysłu potęga, i że obrzydziwszy sobie zjawiska pojedyncze, zapuścił się w śledze-

nie prawd ogólnych, niezmiennych, słowem, że został filozofem-poetą. Ta główna cecha, niby świętą pieczęcią, odcisnęła się na całym jego żywocie, i we wszystkich dziełach jego, które tedy z tego jedynie stanowiska zrozumiane być winny.

Gdy wielki wieszcz na południowym zachodzie Niemiec tak ciernistą chodził życia ścieżką, na drugim końcu, bo w szarym Królewcu, w szarym domu, żył sobie najspokojniéj w świecie człowiek w szarym surducie, maluchny, wywiędły, szczuplutki, professor niemiecki, dziekan odwieczny królewieckich kawalerów, któremu się nigdy na ożenienie nie zbiérało, a o miłości i we śnie nie marzyło. Jakoż uczucie wszelkie, gniéw, namiętność, żal, nadzieja, smutek, były dla niego rzeczy bez wagi; odpędził je precz od siebie, niby muchy natrętne, przeszkadzające do myślenia. Nie zaznał nigdy ziemskiéj pokusy: jemu to trzeba było być Adamem w raju, a ręczę, iż żadna Ewa nie byłaby z nim wskórała, i byłoby nam teraz wszystkim jakoś inaczéj. Ale co się stało, to się już nie odstanie, nie ma o czém mówić. Nasz professor nie zaznał nigdy niepokoju, ani dbał o to, co nas innych biédaków porusza: bo to ciało on sobie uważał za futerał niepotrzebny, i byłby się zupełnie bez niego obszedł, gdyby było rzeczą słychaną, ażeby nie mając ciała, można pić kawę, pisać książki, i lekcye dawać; te trzy jedynie rzeczy łączyły go jeszcze ze ziemią. Codziennie widywali go uczciwi mieszkańcy Królewca, jak sobie biegał pod lipkami na przechadzkę, i wszyscy kłaniali mu się grzecznie, a on się též wszystkim ślicznie kłaniał; bo to była istotnie rzecz dziwna, iż nasz professor wojażer nieosobliwy, co to z Królewca póki życia nie wyjeżdżał, Gdańska nawet nie widział — a wiecie z jeografii, jak blisko z Królewca do Gdańska —

otóż tedy choć nigdzie nie był, nic nie widział, a przecież można było rozsądne słówko z nim pogadać. On jakoś wiedział wszystko, był bardzo uczony, bardzo mądry, a przytém tak żartobliwy, tak wesoły, zabawny, śmiejący się zawsze, pełen kônceptów, a facecyj już wiedział co niemiara. I wszystko byłoby było najpiękniéj, gdyby sobie raz nie był grubo zażartował z całego świata, a był to trochę koncept niegrzeczny. Bo wiécie, co on tam robił pod lipkami? niby on to myślał, i w tém nic złego; bo jakże nie myśléć, a jeszcze do tego professorowi filozofii; taki przecież myśli ex officio. Ale — ba, słuchajcie no: otóż gdy on professor szczuplutki i suchy, biegał pod lipkami królewieckiemi, rozbiérał w myśli wszystkie rzeczy i wszystkie mniemania ludzkie, gdy nad wszystkiém rozumował, więc w końcu przyszła mu jakaś ochotka, by téż sam rozum rozebrać, i rozebrał go jak w tygielku; a było to mu łatwo, bo jak wiécie, będąc duchem czystym, niemateryalnym, nic ziemskiego mu już nie przeszkadzało. Otóż, jak wziął myśli nasze puszczać przez alembik, jak zaczął po swojemu roztrząsać wszystko, co wiemy, i to czego nie wiemy, i to czego wiedziéć nie możemy, jak się zabrał dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć, tak mu wypadło na rezultat czyste zero; wypadło najjawniéj, że wszystkie mniemania ludzi nie mają wartości, że ludzie bawili się dotychczas szczéremi liczbonami, myśląc, że to dukaty, że byleby tym zdaniom i przekonaniom wejrzyć w głąb, toć się okaże, że to puste łupiny bez ziarna; dowiódł jak 2 razy 2 cztéry, że nasze przekonania, to szczére facecye i niedorzeczne koncepta. Tego wszystkiego dociekł on chudziutki professor, a skoro dociekł, siadł i napisał książkę: „Krytyka czystego rozumu, przez Immanuela Kanta, professora w uniwersytecie królewieckim.“

Bo tak się nazywał nasz facecyonista. Możecie sobie łatwo wystawić, ile to było rejwachu w świecie, co gwałtu. Dzieci, co wierzyły były w liczbony, zaczęły płakać, widząc że to nie dukaty; inne się cieszyły i klaskały w ręce dowiedziawszy się, że Bobo już nie stało za drzwiami; a najwięcéj było harmidru między filozofami ówczesnymi: bo ci o niczém złem nie myśląc, siedząc około stołu, budowali sobie domki z kart, a domki te wznosiły się coraz wyżéj, coraz piękniéj, aż tu zrazu obcesem w sam środek téj budowy wpada ona księga; rozleciały się na wszystkie strony i karty i głowy tych budowników; panowie filozofowie siedzieli jak wryci, oczy i usta trzymając rozwarte, kilku z nich w téj pozycyi wyniesiono nawet na cmentarz; słowem, dawna filozofia zbankrutowała na piękne, a nowa potężna, silna i bogata zabrała jéj miejsce. A one lipki nazywają się po dziś dzień „Dróżką filozofa," i tak są sławne, jak u nas Krzemionki po nieboszczyku Twardowskim. Tam, jak tu, podobno dziś straszy, i bardzo temu wierzę. Ale dajmy temu pokój. Wszak widzę, iż zaiste nie jeden z was potrząsa głową, pytając się, jak tutaj wszedł Immanuel Kant, gdy mówić obiecałem o Dziewicy Orleańskiéj. Wszedł najprostszą drogą: bo ducha Dziewicy Orleańskiéj nikt nie zrozumié, kto nie zrozumié ducha i stanowiska Szyllera, a Szyllera znów nikt z gruntu nie pojmie, gdy nie będzie wiedział o Kancie. Bo filozofia jego jest piérwiastkiem potężnym, żyjącym w sposobie zapatrywania się Szyllera, w jego stanowisku filozoficzném i poetyczném. On ją w siebie przyjął, w sobie daléj rozwinął, a w jego pieśniach żyje pogląd filozoficzny na świat. Jego figury drammatyczne, są to filozoficzne myśli odziane widomą szatą, i przystrojone całym urokiem nadziemskiéj poezyi.

Natura włożyła w ducha Szyllera zaród do filozofii; ten zaród więc przebudził się, tknięty ową rzeczywistością pełną cierpień, a rozwinął się pod wpływem filozofii Kanta.

Zapewne wielu z was było już w Wajmarze. Jest to jedno z tych miast, co to zawsze strojne jakby na święto, zawsze wyświéżone, obmyte czysto, ciche, i tak się lśniącemi szybami wesoło patrzy w świat, że aż miło, podobne do młodéj dziewczyny idącéj sobie w Niedzielę do kościoła, z kwiatkiem na głowie, a w ręku z książką do nabożeństwa i z chusteczką haftowaną — skromna, cicha, pobożna. Taki jest Wejmar, miasteczko — stolica. Pełno tam ładnych białych domków, a więcéj jeszcze ładnych ogródków: rzekłbyś nawet, że tam nie ogródki dla domów, ale domy niby altanki dla ogródków stawiane; więc będąc wśród samego miasta, myślisz, żeś na przedmieściu; pytasz ciągle o miasto, aż jeden z grzecznych mieszkańców poznawszy cudzoziemca, uchyli grzecznie kapelusza i zapewni, żeś w samiuteńkim środku miasta — a są to bardzo grzeczni ci obywatele wajmarscy. Otóż w tym Wajmarze jest rodzaj rynku, na tym rynku fontanna, a niedaleko od niéj dom nie pałacowaty, nie pyszny, ale tak sobie dom wygodny, domaszny. Przed tym tedy domem, stawało często mnóstwo ludzi mówiących różnemi językami, a zwłaszcza angielskim, i gawronili się w okno onego domu, w dach, we drzwi, w dym, co wychodził z komina. Bo téż ten dom był domem jego excelencyi a radcy tajnego a ministra stanu w. księstwa wajmarskiego. Jakto? i dla tego ci ichmoście tak lepili oczy w ten dom? Nie zupełnie dla tego, ale dla tego podobno, iż tą excelencyą, tym radzcą tajnym, tym ministrem, był — Göthe. Niektórzy z onych ciekawych doświadczając szczęścia, wstępowali w progi

jego mieszkania, ale połowę ich tylko przyjmowano, a z tych jedni byli grzecznie przyjęci, inni niegrzecznie. Bo téż można w części i Göthego wytłumaczyć. Kto jechał przez Niemcy, nawracał przez Wajmar; całe wędrówki narodów, niby migratio gentium, wydeptały mu schody, a zwłaszcza Angliki, co jak wiadomo całemu światu, niby stado żórawiów ciągną przez Europę. A prawda, iż gdy się Anglik uda, to perfekcya; ale John Bull zwyczajnego chowu pospolicie siebie i innych nudzi. I ja byłem w tym Wajmarze, a zważcie dobrze, byłem tam w latach studenckich, w tych latach, kiedy się wszystko na świecie udaje, i gwiazdy na niebie, niby muzykanty wiekuiste, przygrywają nam na to życia wiosennegó wesele; a przeczytawszy ze ś. p. Bandkiem Horatiusa, pomyślałem sobie: audaces fortuna juvat. Więc téż ta wizyta udała mi się bardzo szczęśliwie, i nad podziw byłem łaskawie przyjęty. Ale dajmy już tą razą pokój téj wizycie, może przy innéj sposobności opowiem ją wam. Wspomniałem wam tutaj o Göthem dla tego, by wam przypomnieć, iż on jest istotnie drugą połową Szyllera. Oni obaj tak są więcz odwrotni w swych kierunkach duchowych, tak wbrew sobie różni, iż się nawzajem uzupełniają, iż już trudno jednego z nich wspomnieć, by zarazem i drugi nie nasunął się pamięci, że jeden z nich przy drugim tylko zrozumianym być może. Naprzód nawet ich położenie w świecie było zupełnie różne: bo gdy Szyller passował się krwawo z rzeczywistością tak ciérpką i twardą, przeciwnie Göthe się w czépku rodził; bo świécił gieniuszu ogniem, z ciała piękny jak Apollo, i rodziców miał majętnych, brakowało mu tylko ptasiego mléka. Więc on téż kochał tę rzeczywistość; puścił tylko na nię światło nadziemskiéj poezyi, a ta rzeczywistość podniesiona do ideału, stanęła odziana

barwą eteryczną uwieńczona aureolą najwyższéj piękności. Szyller rozpoczął walkę na zabój ze światem; Göthe patrzał się na świat i na wszystkie na nim rzeczy, jak gdyby one jedynie dla niego były stworzone, by sobie mógł z nich wedle ochoty brać wzorki, by mu służyły za tło dla jego poezyi; dla tego burze życia i historyi były dla niego natrętne hałasy, wichrzące mu spokojność głęboką ducha jego. Gieniusz Göthego był zupełnie plastyczny; gdy gieniusz Szyllera był wewnętrzny, liryczny, i występował w pieśniach i postaciach drammatu.

Wyszedłszy od Göthego, udałem się za miasto. Było to na wiosnę. Słońce, co jak opatrzność świéci nad naturą, żegnając boleśnie ziemię, chowało się za kaplicę samotną, i z za niéj rozsyłało po niebie powódź swego światła. Owa kaplica była jakoby środkiem i ogniskiem tych promieni, i rysowała się silnie na dnie złocistém błękitnego sklepu, rzekłbyś, że to cyboryum święte, ofiarny kielich łączący niebo z ziemią. Człowiek, któremu także już słońce żywota ku zachodowi się miało, otworzył mi sklep pod kaplicą. Trzy tam obok siebie stały kamienne grobowce pełne powagi: jeden z nich jeszcze próżny, oczekiwał Göthego; środkowy miał już swojego mieszkańca, w. księcia wajmarskiego; w trzecim drzymał snem wiecznym na swym wianku laurowym i cierniowéj koronie, Krzysztof Frederyk Szyller, ur. 1759, umarł 1805 r., mając lat 46. Ś. p. w. książę lubił snać dobre towarzystwo, i po śmierci nie lada kogo do siebie zaprosił; oddając cześć wielkim wieszczom, uczcił tém samém i siebie.

Trzecią epokę w życiu Szyllera da się zamknąć w krótkich słowach. Świetność geniuszu przedarła się już przez wszystkie złowrogie potęgi, otaczające całe młodsze lata jego, więc ze wszech stron już odbiérał dowody wyso-

kiéj czci. W roku 1787 przybywa do Wajmaru, gdzie serdecznie i z poszanowaniem wita go Herder i Wieland; niezadługo otrzymał katedrę historyi w Jena, potém się ożenił z osobą mającą wiele miłości, wiele serdeczności, ale nic więcéj. Wszakże praca nieustanna, bezsenie, stargały siły Szyllera; wpadł w słabość piersiową. Za zarodem śmierci Szyller zachwyca jeszcze świat arcydziełami swojemi: *Wallenstein, Dziewica orleańska, Wilhelm Tell*, do téj złowrogiéj epoki należą. Zacny książę holsztyński naznaczył mu na 3 lata pensyą po tysiąc talarów rocznie, pod tym jedynym warunkiem, by nie pracował i oszczędzał zdrowia swojego. Nie tak dar, ile sposób szlachetny dania, rozrzewnił wieszcza. Różne uniwersytety zapraszają go, czyniąc ofiary znaczne. Ale książę wajmarski niczego nie szczędzi, by gienialnego człowieka u siebie zatrzymać. Cesarz Franciszek w roku 1802, na ówczas jeszcze cesarz niemiecki, posyła mu dyplom szlachectwa państwa. Roku 1804, król pruski czyni mu nadzwyczaj szczodre ofiarowanie, zapraszając do Berlina. Lecz to wszystko było daremne, bo w roku 1805 wieszcz skonał. Śmierć przerwała mu dokończenie dzieł wysokiéj wartości. Z nich jedno w dwójnasób nas obchodzi; jest to tragedya „Dymitr Samozwaniec.“ Sztuka otwiéra się sejmem w Krakowie; Zygmunt zasiadł na tronie śród senatu i izby poselskiéj. Ze scen napisanych przeczuwać można doskonałość, na którą się zanosiło w téj sztuce. Szyller z równém mistrzostwem maluje nam Szwajcarów jak i Hiszpanów, Francuzów jak i Anglików, Polaków jak i Niemców. Lecz nie w tém jeszcze szukajmy przyczyny, dla któréj Szyller jest podziwem wszystkich narodów. On potęgą czarującą przyciąga do siebie ludzi bez względu na ich pochodzenie rodzime, na ich płeć, wiek, położenie

towarzyskie. Niema zaiste poza granicą Niemiec poety niemieckiego tak powszechnie znanego, jak Szyller. Powodem téj jego potęgi, téj niesłychanéj wziętości, jest właśnie filozoficzność głęboka, spoczywająca na dnie jego dzieł. On wsparty na Kancie zdobywa sobie myśl ogólną, abstrakcyjną, a potém odziéwa ją w szatę przepyszną swojéj poezyi; u niego pomysł filozoficzny ubiéra się w poetyczny obraz. Gdy tak cała istota jego poezyi jest rozumowa, cóż dziwnego, iż bije w tętnie wszystkich ludzi różnych narodów: bo co z rozumu pochodzi, do rozumu trafia, a rozum jest wszędzie jeden i ten sam. Ztąd tak gwałtowna, piorunna potęga jego wiérszy; one brzmią jak rozkazania wiekuistéj prawdy, i mają urok jakby chóry Sofoklesowe. Ztąd téż jego pieśni, jak n. p. *„Dzwon, Pieśń do radości, Ideały i życie."* obejmują cały świat, cały żywot człowieka. Szyller chłopcem małym będąc zawołał: „Ojczyzną moją jest świat cały; gdzie ludzie, gdzie serce człowiecze tchnie, tam jest moja ojczyzna!" i te jego słowa się spełniły. Ztąd pełne wspaniałości są sentencye Szyllera, i liryczność w tragedyi świécąca, niby najdroższe klejnoty w dziełach jego. Dla tego téż ten ogólny, filozoficzny, głęboki pierwiastek w istocie Szyllera jest niezbędny do zrozumienia dzieł jego; ten to pierwiastek artysta sceniczny koniecznie znać powinien, uwidomić myśli wielkiego mistrza, jeżeli rzetelnie zasługuje na imię artysty. *(Dalszy ciąg nastąpi).*

[illegible] GOŚĆ W TATRACH.

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

(Dokończenie.)

Nad brzegiem morskiego oka, w którego niedojrzanéj głębi dotąd tajemnica leży, przypatrywała się grupa wędrowców, po szklannym jeziora przestworze ślizgającéj się łódce, w któréj kilka osób wracało z wycieczki od czarnego stawu. Łódka przybiła do kamienistego lądu, i obiedwie grupy, zapewne sobie znajome, powitały się nawzajem. Całe towarzystwo składało się z młodzieży męzkiéj, pustéj, wesołéj, [illegible] igraszkami umilającéj sobie chwile, tylko dwóch było towarzyszów, którzy pamiętali ostatni dziesiątek przeszłego stulecia. Jeden z nich był poetą, drugi gospodarzem w niewielkiéj włości, [illegible] sprzeczne usposobienia w ciągłéj zostawały walce.

„Po co mnie tu wyciągnąłeś Zygmuncie! rzekł do poety szronem okryty agronom, — cóż ja tu [illegible] sobliwego widzę? to sławne morskie oko, ot zwyczajnie jezioro, pełne wewnątrz kamieni, otoczone skałami, po których tylko mospanie nogi kaleczyć trzeba.“

„Ale czyż w umysł twój nie wsiąka jak w gąbkę [illegible] twórczości natury? czyż przed duszą twoją nie [illegible] się łańcuch, opasujący całą przyrodę [illegible] morskie oko! ileż w tém poezyj, jak tu jest uosobiony ogrom morza, które o sto mil od [illegible] jasne, czyste oko, umiejące jak dyplomat ukrywać wewnętrzną walkę swego łona!“

„Ale stój [illegible] mój Zygmuncie! powiedz mi [illegible] nie, jaka korzyść dla mnie z téj podróży; [illegible] ja [illegible] nauczę jak z [illegible] wyciągać więcéj alkoholu,

czy mi to dostarczy środków do wypasu bydła? ot zwyczajnie dzieciństwo! wszystko to skutek waszych książek; czegoś szukacie po niebie, a na ziemi nic nie możecie znaleźć; w żołądku głodno, a tu mospanie! trzeba czytać jakieś tam poezye, trzeba skupować dzieła! Ot jest temu ze dwa roki, jak będąc w mieście kupiłem sobie dzieło o wierszach jakiegoś Mickiewicza, przeczytałem raz, drugi, trzeci, przeczytali sąsiedzi, i cóż mi dziś z tego, nikt ani za połowę pieniędzy tego nie odkupi, ni mi to pokaże, który dziś dzień, albo jaka będzie pogoda. Ale nie do ciebie to mospanie o tém gadać, a po prawdzie mówiąc nie potrzebowałoby się dotąd cudzéj łaski."

Poczerwieniał poeta, nabrzękły mu policzki, i w oku zabłysnął ogień grożący burzą, któraby nieochybnie wybuchła, gdyby nie nagła zmiana sceny. Karawana złożona z ośmiokonnéj karety, i trzechkonnego koczyka, zatrzymała się przed domkiem, zbudowanym nad samym brzegiem morskiego oka. Wszystkich oczy zwróciły się w tę stronę, z któréj podróżni wysiadłszy z pojazdów dążyli połączyć się z ujrzaném towarzystwem. Lecz wśród téj krótkiéj drogi, podróżny znany nam pod tytułem hrabiego, spostrzegłszy stosy kamieni pokrytych barwą różową, i owioniony zapachem fiołków, zbliżył się do poety stojącego na czele grupy, zapytał go, czyliby mu nie raczył objaśnić tajemnicy nieznanych kamieni?

„Świat głazów, odpowiedział poeta, obchodzi teraz swą wiosnę. Prosty nasz ziemski fiołek byłby zbyt drobnym do napojenia wonią olbrzyma Tatrów."

Nie zadowolony bynajmniéj odpowiedzią, prosił jednak podróżny spotkane grono wędrowców, aby mógł z nimi razem dalszy gór przegląd odbywać. Podpłynęła natychmiast łódka, i podróżni puścili się bez wyjątku razem dla

zwiedzenia morskiego oka, które chociaż swą przestrzenią zajmuje siedmdziesiąt i kilka sążni, przykryte jednak skał ogromnych cieniem, traci na rzut oka pozór swojéj wielkości. Podróżny w bluzie, półciałem wychylony z łódki, wpatrywał się bez przestanku w czarną jeziora głębią, podczas gdy młode towarzystwo mało zważając na przybyłych, obrawszy sobie jednego z pośród siebie za cel swoich dowcipów, prześladowało go młodą jakąś panienką, o którą już od lat kilku bez skutku się stara...

„Nie tak to, jak wam się zdaje, rzekł prześladowany młodzieniec; ożenić się, to nie puhar wina spełnić, ja ją chcę poznać, chcę dokładnie wypróbować jéj przywiązanie do mnie...“

„A jednak mówią, odezwał się któryś, że cię Ema szalenie kocha.“

„I czemużby mnie kochać nie miała? — wszak jestem przystojny, o czém wiem doskonale, mam wieś własną, a i na rozumie mi nie brak, bo już się trzy lata staram o rękę Emy, a jeszcze jéj dwa razy jednego nie powiedziałem... Ale patrzcie no! ten cudzoziemiec chce, widzę ryby na wędkę łowić.“

Mniemany hrabia spuszczał w téj chwili na długim sznurze uczepioną wagę żelazną dla zbadania głębi jeziora, ale wymiar się nie udał, bo wprzód się długość sznura wyczerpała, zanim ciężar o dno uderzył. Zwinąwszy więc sznur, zapytał:

„Czy panowie, macie jakie podania o morskiém oku?“

„Te strony, rzekł poeta, są arką podań, ale do dziś dnia są one ukryte pomiędzy ludem, jak djament wśród bryły ziemi. Co się tycze morskiego oka, na dowód, że ma podziemną z morzem styczność, opowiadają, że w roku niewiem już którym, w czasie gwałtownéj burzy, roz-

bił się okręt na oceanie; strata wynikła z tego nieszczęścia była ogromną, kto uniósł życie, wrócił nędzarzem do domu. Nie wiem jakim wypadkiem kupiec, który miał wielki ładunek towarów na rozbitym okręcie, znalazł się w jakiś czas potém na Węgrach, w okolicy Tatrów. Wystaw sobie pan jego zdziwienie, kiedy ujrzał przyniesioną sobie na sprzedaż zatopioną przy rozbiciu w morzu szkatułkę z własném swojém nazwiskiem wyrytém na srebrnéj blaszce. Szkatułkę tę, jak dowody okazały, wydobyto z morskiego oka."

Wśród tego opowiadania młodsze towarzystwo bawiło się prześpiewywaniem zwrotek krajowych pieśni, i wystrzałami z ręcznéj broni, które odbijając się o skał załomy, tętnią kilkakrotném echem.

„Jak mi to przypomina, rzekł jeden z młodzieży, podróż wodną, którą robiłem w Saxonii...

„Pan byłeś w Saxonii?" zapytał ciekawie podróżny, na którego licu wybłysło błogie wrażenie, znajome temu tylko, kto zdala od kraju niespodziewanie spotkał przyjaciela.

„Tak jest, odpowiedział zapytany, i nie zapomnę nigdy tego pięknego kraju, gdzie sztuka z naturą przyjazną podały sobie rękę, gdzie cudna stolica tyle mieści w sobie skarbów pięknego umnictwa, gdzie wreszcie oświata szybkim skokiem wyprzedziła współzawodników, a teraz jeszcze koléj żelazna...."

„A dajże też pokój z tą koleją żelazną, odezwał się kolega gospodarz, to istna zguba kraju; nie daj Boże, abyśmy poszli w te ślady, to potém chyba sami będziemy zjadać siano i owies; a z resztą piękna rzecz, żeby się człowiek żywcem piekł jak kartofel, jak tam gdzieś we

Francyi się stało. Ludzie póki ludźmi niech jeżdżą końmi nie parą.“

„Pan zdajesz się być nieprzyjacielem pary.“

„Dla tego się též nie ożenił“ dodał poeta z cicha, z tryumfem trafnego dowcipu.

Wśród różnych rozmów, zwiedzili podróżni wyżynę czarnego stawu, z ciężkim trudem wdrapali się na szczyty sąsiednie pięciu stawom, spuścili się po pod śnieżną bramę kaskady, któréj spadek w miliony kropel rozmglony, zda się być przy świetle słońca tęczą promieni; już byli w przyległym lasku kozodrzewim, a wszędzie nieznajomy podróżny z wysileniem uwagi oglądał najdrobniejszy przedmiot; każdy kamyczek, każda roślina ściągała jego bacznosć, z rzadką zdolnością znawcy rozwijał teoryą nauk przyrodzonych, zadziwiał, porywał swoją wymową. Już słońce miało się ku zachodowi, a reszcie towarzystwa, mimo trudów i unużenia, czas razem przepędzony chwilą się być zdawał. I górnomyślny poeta, i prozaik, gospodarz i całe grono młodzieży przylgnęło sercem do nieznajomego, który swoją łagodną, niezrównaną słodyczą najexcentryczniejsze zdania bez uniesienia zbijał, który podróżnym zasobem krajowców, przypuszczony do ich uczty na szczycie gór, głód swój z wdzięcznością zasycał i pragnienie gasił. Słońce zapadło już za góry, kiedy nieznajomy jeszcze udzielał towarzyszom podróży swoich postrzeżeń; lecz doszli wreszcie do czekających pojazdów, gdzie dobywszy małéj książki prosił otaczających, aby mu raczyli powjedzieć swoje nazwiska, które przezornie zapisał, dodając, że jeżeli kogo traf do stolicy jego kraju przeniesie, miło mu będzie odwdzięczyć się doznaną gościnnością.

„I my, ozwało się kilka głosów, pragnęlibyśmy zaszczytu dowiedzenia się godności pana.“

„Co do mnie panowie! ja jestem geologiem, chemikiem, botanikiem, mineralogiem, a na ostatku kolegą waszéj podróży i — królem kraju sąsiedniego monarchii waszéj.“

Jak na komendę wszystkich głowy odkryły się i podziw odbił się na twarzach żegnających wielkiego gościa.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W WARSZAWIE:

Kobiéta miłość i małżeństwo pod względem moralnym, fizycznym i dyetetyczno-lekarskim; podług dzieł professorów Dra Buscha, Mesta, P. Roussel i innych ułożył B. Rosenblum, in 12mo, w drukarni J. Kaczanowskiego.

Objawione tajemnice i przepisy rozmaitych doświadczonych użytków w gospodarstwie wiejskiém, domowém, w sztukach rzemiosłach i t. d. z uwagą na wygodę i oszczędność w różnych potrzebach życia, in 8vo, nakładem S. H. Merzbacha.

Rozalia i Anusia czyli przeniesienie obowiązku nad miłość, powieść ze zdarzenia prawdziwego oryginalnie napisana p. Teklę z K. B..... in 12mo, w drukarni Chmielewskiego.

Dzieje Polski przez Mikołaja Pawliszczewa, in 8vo, w drukarni St. Strąbskiego, z obrazem chronograficznym i mappą Polski.

Wajdelotka czyli dolina Aleksoty, powieść z piérwszéj połowy trzynastego wieku, oparta na podaniach z kronik litewskich przez Józefinę O. 3 tomy in 12mo.

Praktyczne nawodnianie łąk wraz z planami do położenia kraju naszego zastósowane, z opisem i planem łąki sztucznie utworzonéj w dobrach Żarki gubernii Kieleckiéj, przez Wincentego Józefowicza, in 8vo, nakład G. L. Glücksberga w drukarni S. Strąbskiego.

Tajemnice Paryża przez Eugeniusza Sue przekład Fr. Chlewaskiego in 12mo, nakład G. L. Glücksberga.

Kalendarzyk polityczny na rok 1844 wydany przez Fr. Radziszewskiego, rok dwunasty, in 16mo, w drukarni przy ulicy Bednarskiéj Nro 2673 lit. a.

Stary mąż, komedya we cztérech aktach przez Józefa Korzeniowskiego in 12mo, wydanie Adama Zawadzkiego, nakład i druk Zawadzkiego.

Żydzi, komedya we cztérech aktach przez Józefa Korzeniowskiego, in 12mo, wydanie Adama Zawadzkiego, nakład i druk Zawadzkiego.

Historya polska przez Michała Balińskiego, in 8vo, nakład G. L. Glücksberga w drukarni S. Strąbskiego.

Rozmowy francuzkie ułożone przez Eugenią de Rochetin Bocquel, przełożone na język polski przez J. K. Skibińskiego, 3cia edycya poprawna i powiększona in 8vo, w drukarni Banku polskiego.

Nieśmiały kochanek przez K. P. de Kock, 4 tomiki in 16mo, nakładem wydawcy, w drukarni J. Dietricha.

Snopek nadwiślański z płodów piśmiennictwa krajowego zebrali Marcin Osoryja i Karol B. z Jarosławia z muzyką J. Elsnera i J. F. Dobrzyńskiego, drzeworytami W. Smokowskiego, in 8vo, nakładem wydawców, czcionkami St. Strąbskiego.

Lwia skóra przez Karola Bernard, tłumaczenie z francuskiego, in 12mo, w drukarni T. Wyszomierskiego.

Akta Babińskie, pismo nie peryodyczne i nie zbiorowe, wydawca J. J. Kraszewski. Książeczka druga in 12mo, nakład i druk Józefa Zawadzkiego.

Powieść składana. J. J. Kraszewski. John of Dycalp. wydanie A. Zawadzkiego, nakładem i drukiem J. Zawadzkiego.

Deklamator polski, wybór celniejszych utworów poetycznych literatury krajowéj zebrał, w uwagi tyczące się deklamacyi zaopatrzył, i do użytku młodzieży zastósował Fr. H. Lewestam. Oddział piérwszy in 12mo, nakład Fr. Spiessa i spółki.

Bolesna męka Zbawiciela świata, wedle rozmyślań A. K. Emmerich, przekład z francuskiego przez X. T. B. Zgr. Miss. in 8vo, W drukarni XX. Missyonarzy u Stego Krzyża.

Władysław, szkic historyczny polski z drugiéj połowy XVII wieku przez J. N. Czarnowskiego, in 12, 2 tomy, w drukarni J. Dietricha.

Prześladowca, szkic obyczajowy, przez Stanisława Bogusławskiego. 2 tomy in 8vo, w drukarni Strąbskiego. Nakład S. Orgelbranda.

Łucya Kalińska czyli cztery kuligi, powieść historyczno-obyczajowa z końca XVIII wieku. Napisał J. Bohdanowicz, 2 tomy in 12. Nakład B. J. Saltszteina, w Drukarni Strąbskiego.

Biblioteka Starożytna pisarzy polskich. Wydał K. Wł. Wójcicki. Tom 5ty in 8vo. Nakład S. Orgelbranda, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego.

Wizerunki społeczeństwa warszawskiego, szkice obyczajowe, skreślił Józef Symeon Bogucki, in 8vo. Nakładem autora, w drukarni pod firmą M. Chmielewskiego.

Abécédaire français d'après une nouvelle methode par. J. M. El...na Chez S. Orgelbrand. W drukarni J. Dietricha in 12vo.

Głupi Franek i nowy smętarz dwie powieści pogrobowe oryginalnie napisane przez E. L. wydanie pośmiertne. W drukarni J. Ungera, in 12mo.

Wspomnienia z czasów Napoleona. Mniemana śmierć Napoleona, albo zamach Maleta w r. 1812 przez Emila Marco de Saint-Hilaire in 12mo, nakład S. Orgelbranda, w drukarni S. Strąbskiego.

Małe tajemnice Warszawy, zarysy obyczajowe oryginalne, przez K. R. Rusieckiego Tom 4ty, w drukarni pod firmą Kaczanowskiego, in 12mo.

Matylda czyli pamiętniki młodéj kobiéty, przez Eugeniusza Sue, przełożyła z francuzkiego P...... S........, 2 tomy in 8vo majori, w drukarni przy ulicy Miodowéj.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W Galicyi przyjmują tylko księgarnie, w Cesarst. zaś Rossyjskiém i Królestwie Polskiém w Urzędach pocztowych prenumerować można.*

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 8. Kraków dnia 15 Lipca. 1844.

NA PRZESILENIE DNIA Z NOCĄ.

Duchu przeszłości, co tam trzymasz straż
Przy wielkiéj świata mogile,
Po co ty na mnie tyle smutku gnasz,
I po co rozpaczy tyle?

Duchu przeszłości, czemuś rzucił grób
A w mojém sercu się kładniesz?
Czy przyszedł ten czas, że dzieciątkiem w żłób
Wrócisz i światem zawładniesz?

Duchu przeszłości — czy przyszedł ten czas,
Że dopełniwszy prac wieku,
Żywo-obecny wstąpisz między nas,
Wcielony Boże-człowieku?

I całą mądrość wielu tysięcy lat
W jednem zestrzelisz ognisku,
I jedną chwilą staniesz się, i świat
Długiego zbawisz ucisku?

Duchu przeszłości — skrzydeł twoich szum
Słyszę od strony smętarzy,
I potępionych myśli i serc tłum
W koło mnie jęczy i gwarzy.

I białych cieniów srebrno-pióry wał
Na szarym niebios błękicie,
Po nad głowami tylu martwych ciał
Bój zaczął o śmierć lub życie.

O śmierć i życie ostatni wre bój,
Bój myśli w krainie ducha!
Słyszę w powietrzu mar brzęczących rój,
A ziemia niema i głucha.

A nad drzemiącym milionem głów,
I serc maluczkim zapałem,
Czas się dopełnia, wedle pisma słów —
A słowo stanie się ciałem!

R. W. Berwiński.



KRÓTKA WIADOMOŚĆ
O TOWARZYSTWACH RELIGIJNO-NAUKOWYCH
W ŻYDÓW (*).

przez

F. Trojańskiego.

W obecnym czasie, gdzie codziennie prawie, szczególniéj też w Anglii i Niemczech, coraz nowe kojarzą się Towarzystwa, mające na celu, to udoskonalenie lub rozszerzenie nauk i umiejętności, to ułatwienie przemysłu i handlu; to uwiecznienie pamięci w zapomnienie popadłych imion mężów, co nauką, wynalazkami, odwagą, męztwem i poświęceniem się, słowem, zamiłowaniem ludzkości, cnotą wytrwałą lub wzorowym przykładem dobrze się społeczeństwu zasłużyli; to wykorzenienie złych nałogów, a natomiast wskrzeszenie lub zaprowadzenie dobrych obyczajów; to dźwignienie zupełną zagubą grożących ruin i starożytnych zabytków i gmachów; to nakoniec, zmniejszenie cierpień saméj nawet nieodzownéj sprawiedliwości ofiar; wyszukiwanie środków i niesienie pomocy wiekiem i niemocą przyciśnionym, albo pod nieprzewidzianemi klęskami upadającym; nie od rzeczy może będzie powiedzieć cośkolwiek o istniejących Towarzystwach pomiędzy

(*) Co do materyałów, w tém co się samych Towarzystw dotyczy, te brane z dzieła: „The fundamental principles of Modern Judaism Investigatid, etc. By Moses Margoliouth of Trinity College, Dublin. London: B. Wertheim, 13. Paternoster-row; Evans and Ducker, Chester; W. Curry jun. and Co... Dublin 1843. Co zaś do reszty materyałów, te są w samym tekście powołane.

tym starodawnym narodem, licznie pomiędzy wszystkie inne narody na całéj prawie kuli ziemskiéj rozproszonym, rząd w rządzie, naród w narodzie prawie stanowiącym; chcę tu mówić o ludu Izraela.

Ale napróżno szukalibyśmy w dziejach judaizmu śladu stowarzyszeń, odpowiedni niektórym z dopiéro wymienionych towarzystw cel mających; od najdawniejszych albowiem czasów istniały tylko, i dotychczas istnieją pomiędzy izraelitami, jedynie związki dobroczynne i tak zwane religijno-naukowe, jako jedyne zabytki i oznaki ich życia duchowego. A lubo piérwsze, ze względu na ich z gorliwością i z zapałem przechowywany charakter narodowy, a zatém ze względu na ich wspólną pomiędzy sobą miłość, godne możeby były naśladowania od innych nawet narodów; ja wszakże zamierzyłem sobie w zwięzłym zakresie mówić tylko o drugich, t. j. o towarzystwach religijno-naukowych ludu Izraela.

Z pomiędzy podobnych towarzystw, jako najwięcéj się odznaczające, bezwątpienia na piérwsze zasługuję miejsce Towarzystwo Talmudowe, *Chewrach Schas* po hebrajsku figurycznie zwane (*).

Zadaniem tego towarzystwa jest zgłębianie i rozszerzanie nauki Talmudu. Na członków zaś onego zazwyczaj wybiéranymi bywają najpoważniejsi tylko i najbardziéj się odznaczający talmudyści piérwszéj klassy: a zatém pomiędzy ustawami tego zgromadzenia najpiérwsze zajmuje miejsce to zastrzeżenie, że członkiem jego ten tylko być może, kto da dowody, że nie tylko jest zdolny czytać

(*) Wyraz *Chewrach* znaczy wprawdzie *Towarzystwo*, ale *Schas* nieznaczy właściwie *Talmudu*, lecz liczbę zgłoskową 360 ważącą, jako liczbę stanowiącą ilość rozdziałów cały Talmud składających.

płynnie Talmud, ale nadto, że go biegle pojmuje i jest wstanie wskroś się przeniknąć duchem onego. Taki to dopiéro aspirant może być przez jednego z członków czynnych przedstawiony, obok niezachwianego zaręczenia, że charakter moralny kandydata jest bez żadnéj zmazy.

Takowy to nowo-przyjęty, obowiązany jest złożyć pewien pieniężny datek; poczém, przez trzy pierwsze lata uważany jest tylko za młodzieniaszka, czyli jak brzmi w języku hebrajskim *Szames*, t. j. ucznia czyli służebnika; albowiem przez ten czas nie ma w niczém stanowczego głosu, i jedynie, obok gruntowniéjszego ćwiczenia się w nauce Talmudu, jest jego powołaniem, zawiadamianie członków starszych o czasie i dniu mającego się zebrać nadzwyczajnego posiedzenia, zbieranie podpisów na rozmaitego rodzaju składki pieniężne i t. p.

Każdy z przyjętych członków, chociażby był najbogatszy i najuczeńszy, musi tych wszystkich przepisów do dopełnić; wszakże zgromadzenie posiada władzę ulżenia tych ustaw, gdyby aspirant był synem jednego z członków czynnych.

Po upłynieniu dopiéro lat trzech, takowy młodzieniaszek, złożywszy znowu pewny pieniężny datek i przepędziwszy dni kilka, na intencyą starszych członków zgromadzenia, w najściślejszéj od potraw i napojów wstrzemięźliwości, staje się już członkiem czynnym i innym we wszystkim równym.

Oprócz opłat wstępowych, po-trzecio-letnich i nadzwyczajnych, każdy jeszcze członek obowiązany jest opłacać roczne stałe składki, przeznaczone na utrzymanie zawisłych od towarzystwa szkółek, na zakupowanie potrzebnych ksiąg, na wspieranie niedostatnich a z gorliwością nauce Talmudu się poświęcających i t. p. Co się

zaś już właściwego zatrudnienia członków dotyczy, to się zasadza na następujących obowiązkach: a naprzód, co dziennie jeszcze przed innemi modłami, musi każdy odczytać koniecznie przynajmniéj jednę kartę Talmudu; po odbytém zaś zwyczajném w Synagodze nabożeństwie porannem, wszyscy już członkowie zbierają się do izby prac naukowych, zazwyczaj tuż przy synagodze się znajdującéj, i dla tego przyszkółkiem także, a po hebrajsku *Bet Hamedrasz* zwanéj; a to celem wspólnego już czytania Talmudu.

Do téj izby schodzą się członkowie, odziani pytlową oponą *tephilim* i przybrani w rzemienne oznaki na czole i ręce, *talith* po hebrajsku zwane; po niejakim czasie wspólnego czytania następują nad tém, co przeczytali, rozprawiania, wśród których starają się wytykać częstokroć najwyraźniéjsze sprzeczności, lub godzić bezzasadne twierdzenia, tamże napotykane. Objawiane w ówczas przez członków dowcipne zarzuty dowodzą niepospolitéj biegłości w ich rozumowaniach, i stają się zazwyczaj bardzo zajmującymi, tak dalece, iż rozprawiania podobne stają się namiętném upodobaniem członków, posuwającém niekiedy do najwyższego stopnia ich ambicyą w utrzymywaniu swoich opinii lub dzielném odpieraniu zarzutów swoich antagonistów. Jednakże, ponieważ wszyscy prawie członkowie są równéj naukowéj siły talmudycznéj, a zatém wszyscy prawie zdolni stawiać sobie nawzajem nieprzełamane na każdy zarzut rozumowania, przeto, aby uniknąć zbyt zaciętych, a niekiedy końca nawet nieobiecujących rozprawiań, zwłaszcza gdy w tak liczném zgromadzeniu, wielu naraz o jednéj i téjże saméj materyi, chociaż z innego wychodząc punktu widzenia rzeczy, chce stanowić; przeto przewodniczący im rabin ma prawo ostatecznego

dyskussyi rozstrzygnienia, mocą którego jedynie najburzliwsze sprzeczki i wrzawy w zgodę i ogólne milczenie zamienia.

Jeżeliby który z członków nie mógł być przytomny modłom porannym, a następnie nie miał uczestnictwa w czytaniu i rozprawianiu, tedy obowiązany jest przynajmniéj w domu odczytać przypadającą na ten dzień kartę Talmudu.

Talmud zaś ów składa się z 36 traktatów osobne miana noszących; po ukończeniu zatém każdego z nich, wszyscy bez wyjątku członkowie muszą się na zebraniu znajdować, ta albowiem chwila, jest chwilą powszechnéj uciechy, odznaczającéj się pożywaniem rozmaitego rodzaju ciast i konfektów przez członków dostarczonych, i wypróżnianiem flasz rozweselającymi napełnionych napojami, a to wszystko wśród oznak największéj radości. Jeśliby podobny dzień przypadł na dzień jakiego ścisłego postu, tedy takowy, przez wzgląd na wielkość dnia tego, zachowywany nie bywa, a przebiegli członkowie tak zazwyczaj rozkładają swe prace, iż koniec każdego traktatu musi koniecznie przypaść na dzień do wstrzemięźliwości przeznaczony.

Po odbytéj biesiadzie, przewodniczący rabin zabiera głos, i w zwięzłych wyrazach wskazuje słuchaczom, jakie szczególniéj pomysły i twierdzenia odczytanego traktatu spajają nierozerwanym węzłem następstw traktat nadchodzący?

Co siedm lat dopiéro kończy się zupełne wyczytanie Talmudu, po którém znowu uciecha i radość wśród pożywienia i napojów ma miejsce, chociażby podobnie jak wyżéj dzień ten spotkał się z dniem jak najostrzejszego postu; lecz na ten rodzaj bankietu już nie sami tylko

miejscowi zgromadzają się członkowie, ale i rabini sąsiedzkich miast licznie zapraszanymi bywają; którzy, lubo są członkami u siebie podobnego towarzystwa, gdy jednak wyczytanie ostateczne talmudu, nie jednocześnie w każdém miejscu przypada; nie zachodzi więc zazwyczaj żadna przeszkoda, do uczestnictwa w podobnych biesiadowaniach, podczas których nadto tym, którzy się ze sławą w przeciągu lat siedmiu trwających rozprawiań, czy to przez odkrycie jakiego nowego pomysłu, lub wytknięcie błędu, czy to przez trafne pogodzenie napotykanych sprzeczności odznaczyli, wielkie bywają wyświadczane oznaki zaszczytów i pochwał.

Towarzystwo to używa do swoich zaciekań tekstu babilońskiego nie zaś jerozolimskiego talmudu, dla tego, że ich odmienna nazwa, nie stanowi jedynie odmiennego miejsca wydania jednego i tegoż samego dzieła; ale że obadwa te utwory w drugiéj połowie, są płodem zupełnie odrębnych twórców: co się w krótkości da tak wyjaśnić. Po zburzeniu Jerozolimy i po okropnych klęskach, jakim był uległ naród żydowski w Alexandryi podczas II stulecia Ery naszéj, uczeni izraelici szukali schronienia, częścią w judzkiéj ziemi, częścią zaś nad brzegami Eufratu i Tygru. Pierwsi utworzyli szkołę w Jaunie, następnie do miasta Tyberias przeniesioną, któréj naczelnictwo i przewodnictwo z tytułem *Nasie* t. j. książęcia, zostawało ciągle w prostéj linii w osobach następców uczonego Rabina Hellela, owego to do tego stopnia sławnego antagonisty szkoły *Szamas*, że dotąd jeszcze pomiędzy naucznymi izraelitami istnieje przysłowie, „że dosyć ażeby szkoła Hillela nazwała co białém, aby szkoła Szamas twierdziła że to jest czarném.“ — Około zatém III stulecia t. j. około roku 230 ery naszéj, będący na ówczas książęciem,

czyli jak go jeszcze zwano *Hakodesz* t. j. świętym, Rabin Jehuda, zgromadził 170 uwag i zdań rozmaitych swoich uczonych poprzedników, i dodawszy do nich swoje, utworzył z nich jêdnę całość i nazwał tę księgę *Mischnah* t. j. *Zebranie* czyli *Kompilacya.* O cały zaś wiek późniéj uczeń jego Rabin Jochanan, podobnież naczelnik szkoły w Tyberias, zgromadziwszy znowu, ale już około 200 podobnych uwag i zdań nad poprzedniemi, rozmaitych uczonych, utworzył z nich drugą całość, nadając téj księdze nazwę *Gamara* t. j. dopełnienie pierwszéj, mające jéj zarazem służyć za objaśnienie; chociaż Mischnah tak jak wprzód istniała, była ze wszech miar przystępną dla ludzi zdrowém pojęciem obdarzonych, lecz że się przeciwnie Rabinowi Jochanan być zdało, przeto zkompilowaną przez siebie Gamarę z Mischną ziednoczył i ochrzcił tę parę mianem *Jeruszelma Talmud*, t. j. Talmud Jerozolimski.

Ci zaś uczeni Izraelici, którzy byli osiedli na brzegach Eufratu i Tygru, założyli podobnież w miastach do perskich na ów czas królów należących, t. j. w *Neherdzie*, *Pumpedycyi*, i *Surze*, trzy szkoły persko czyli babilońskie. Szkoły te nie przyjęły powyższych dopełnień Mischny przez Jochanana skompilowanych, a zatém w VI. stuleciu t. j. około roku 512 n. e. Doktorowie Rob-Ina i Rab-Aschi zajęli się odrębném zbieraniem różnych w téj mierze materyałów, którym w liczbie około 1300 wynoszącym i zjednoczonym, podnież *dopełnienia* czyli *Gamary* nadali miano; a przyłączywszy je do Mischny Jehuda, za zezwoleniem wszystkich w téj pracy udział mających, nazwali to *zjednoczenie* Babli Talmud t. j. Talmudem Babilońskim. I przyznać potrzeba, że na oznamionowanie podobnego dziwoląga nie mogli dobitniejszego obmyślić wyrazu; bo lubo w takim jak już sama Mischna jest błę-

dnikti, zdarzyłoby się przecież gdzie napotkać na jaki przedmiot zasługujący na uwagę, a czasem nawet i na prawdę nie bez wartości, w téj wszakże połączonéj ramocie więcéj znajdziesz zamieszania, a niżeli przy wznoszeniu wieży babilońskiéj miejsce mieć mogło: jest to bowiem, w ogólności biorąc, żadnym prawie rozumem niepojęta mięszanina, ekonomii politycznéj, etyki, astronomii, metafizyki, prawoznawstwa, różnych alegoryj, mistycyzmu i baśni, najbłahszéj i najpocieszniejszéj częstokroć natury, tak dalece, iż się spodziewać należy, że najprawowierniejszy nawet Talmudysta, byle zdrowego niepozbawiony rozsądku, pomimowolnie z nami zgodzić się musi, że Rab-Ina i Rab-Aschi najniedorzeczniejszy, a zatem najnieszczęśliwszy uczynili wybór, w zlepianiu téj swojéj ramoty, którą doprowadzili do obfitości, ogromem swym Talmud Jerozolimski znacznie przewyższającéj.

Ażeby dać choć małą próbę, co się w tych talmudycznych skarbach zawiera, z tysiąca podobnych powołamy jedynie to, cośmy zaraz w 1m np. Traktacie *Barachoth* t. j. *Błogosławieństwa* zwanym, uchwycili. I tak, pisze tam wielki kapłan Ismael, że wszedłszy raz do *Sanctum Sanctorum*, znalazł tam ukoronowanego Boga, który się modlił i prosił go (Ismaela) aby Mu (Bogu) udzielił swego błogosławieństwa; co téż Ismael dopełnił nie bez zastrzeżenia wszakże, ażeby za ten udział błogosławieństwa Bóg w szczególniejszą naród jego przyjął opiekę. W tymże traktacie, znajduje się opis odległości różnych członków pomiędzy sobą Stwórcy naszego, na dziesiątki tysięcy mil wyrachowany. W traktacie zaś *Baba mezia* to jest w średniéj księdze *Działań* czyli *Czynów*, opisana jest dysputa pomiędzy Rabinem Jozua i Eliazar, o tak zwanym *Piecu Węża*, czyli on może zawierać w sobie nieczy-

stości, lub nie? Dysputa ta, tak miała być zacięta ze strony Elijazara, że aż na potwierdzenie przekonywających dowodów Jozuego, głos z nieba dał się słyszeć, drzewo ś. Jańskiego chleba z jednego na drugie miejsce samodzielnie się przeniosło, rzeka tamże płynąca bieg swój odwróciła, sklepienia gmachu szklanego walić się poczęły. Ale Rabin Eliazar wszystkie podobne oznaki prawdziwości dowodów i cuda odpiéra, twierdząc w brew woli i mocy Boga, „że w dysputach ziemskich, w rzeczach raz ustanowionych, nie cudów ani z nieba głosów, ale słów przekonywających potrzeba, i że na to twierdzenie Elijazara, wszystkie te nad przyrodzone dzieła do pierwotnego już nie powróciły stanu, a nawet owo sklepienie, lubo co chwila zapadnieniem się zupełném grożące, do dziś dnia (?) w całości stoi. A gdy późniéj jeden z dysputujących napotkał proroka Eliasza i badał go, coby Bóg na ich dysputy powiedział? ten mu odrzekł, „Że P. Bóg był z nich bardzo zadowolony, wielce się radował, i uznał siebie za zwyciężonego.“ Daléj, znajduje się tam opis zatrudnień dziennych Stwórcy naszego, gdzie jest powiedziano, jakoby Bóg przez 3 godziny czytał ustawy rządzenia, 3 poświęcał nauce, 3 rządzeniu światem, 3 powiększaniu onego, a 3 ostatnie zabawiał się z ulubionym przez siebie Lewiatanem, który ma być tak wielką rybą, że w Raju wszyscy od stworzenia świata zrodzeni i do końca świata zrodzić się i umrzéć mający żydzi, na dowód największéj nagrody od Boga i łaski, dostaną z niej po kawałku do pożycia, a to im sprawi rozkosz nieokreśloną, i na wieki wieków trwającą. Jest tam mowa o księdze, z wykładem kabalistycznym pisma *Razial* zwanéj, którą Anioł miał przynieść i wręczyć jeszcze Adamowi w Raju, jest tam .... ale dosyć już i téj próbki, albowiem

sądzę, że powtarzaniem nawet podobnych niedorzeczności niepowinniśmy obrażać Stwórcy naszego.

Zanim wszakże przystąpimy do opisu dalszych Towarzystw, posłuchajmy choć na chwilę, wynurzanego żalu światłego Stanisława Hoga, niegdyś także czciciela Talmudu, jaki w dialogu *Eldad* i *Medad* napotykamy: „Świat, mówi on, nie może mieć rzetelnego pojęcia o wielkości duchowéj siły i potędze myśli, jakie zostały strwonione, zniszczone i pochłonione w bezdennéj odchłani talmudycznych sofizmatów i głeboko pomyślanych nonsensów: inaczéj łatwoby zdołał ocenić, że przez tyle wieków trwająca a niepowetowana utrata narodowego jeniuszu dzieci Izraela, zpowodowana jedynie przez zaciekanie się w utworzu i zgłębianiu talmudycznych bałamuctw, nierównie jest więcéj godna pożałowania, aniżeli zniszczenie wspaniałéj świątyni, padłéj łupém płomieni, albowiem gruzy i ułamki świadczyć na zawsze będą o jéj niegdyś istnieniu, wtedy, gdy jeźli oni nieprzestaną zatapiać się w talmudycznych sofizmatach, wyczerpnąwszy do ostatka już w przewrotny rozum zamieniające się ich siły duchowe, nie znajdą ani jednego pomiędzy sobą tyle przynajmniéj posiadającego zdrowego rozsądku, aby gdy przyjdzie kiedyś błoga dla nich upamiętania się chwila, mógł im dać poznać wielkość ich zapamiętałości i straty, i opłakiwać z niemi dobrowolnie uronioną chwałę, którą Bóg był przeznaczył dla synów Izraela.

I daléj tak jeszcze żal swój rozwodzi: „O! gdybyśmy, mówi, mogli przejrzyć ten niezgłębiony potok ksiąg, owe to nieprzeliczone płody zespaczonego rozumu, wypełniające ową otchłań talmudem zwaną, i jego w tajni się ukrywającą córkę, *Kabałę*, która, lubo niewidoma i całkiem prawie światu nieznana, tajemniczą wszakże swą siłą najsamo-

władniéj rządzi całym żydowskim narodem; o! gdybyśmy się mogli zbliska przypatrzyć tym niemym pomnikom, owéj ogromnéj pracy i bezspoczynkowego wysilania dowcipu, ludzi zkąd inąd uposażonych od przyrody najświetniejszemi umysłu władzami, ludzi, których gdyby nieszczęsny talmud nie ujął był w swe sidła, staćby się byli mogli prawdziwém błogosławieństwem dla swego narodu; wtedy, gdy przez bałamutne swe zaciekanie się zronili na niczém swe siły, a budując, że tak powiem, z najwykwintniejszemi pomysłami, zamki na łodzie, roztrwonili wszystkie zapasy rozumu, zniszczyli nawet cały swój dzielny Um, przez pogrążenie go w niezgłębionych przepaściach łudzących umysłowych mamideł, nie mających najmniejszego cienia zasadniczéj prawdziwości, a następnie nie mogących mieć nigdy stałego istnienia; o! gdybyśmy, mówię, mogli ocenić te wszystkie bezużyteczne straty ich jeniuszu, wtedy dopiero śmiało przyznalibyśmy, że ani Grecy ani Rzymianie, ani Inkwizycya hiszpańska, ani w końcu świeży nieprzyjaciel z Damaszku, nigdy tak wielkiéj i dotkliwéj nie zdołali im wyrządzić szkody i krzywdy, jak te są, które im wyrządza nauka Talmudu, a która nie tylko jako nieużyteczna, ale owszem jako szkodliwą i niebezpieczna, pod żadnym względem nie może i niepowinna być uważana za przybytek i skarbnicę prawdziwéj wiary."

Po tym krótkim ustępie o powstaniu dwumianowych talmudów i o ich wewnętrznéj wartości, (*) wracając do

(*) Dziwić się zaiste potrzeba, że nawet tak bałamutne dzieło, pomimo swojego ogromu, znalazło sposobność zostania kilkanaście kroć razy w rękopisach odnowioném i tyleżkroć razy w tłoczniach wyciśnioném, a to nawet nie bez zbytku i kosztowności; czego niech nam będzie dowodem, wraz z innemi 16 wydaniami Babilońskiego talmudu, jedyny w swo-

zamierzonego przedmiotu, wypada nam mówić o drugim religino-naukowém towarzystwie, *Chewrah Mishna* to jest Towarzystwie Mishny. Zgromadzenie to, do którego niższéj nawet nauki osoby przypuszczonymi bywają, z przyczyny, jakośmy już wyżéj namienili, że Mishna sama przez się łatwiejszém jest do pojęcia i zrozumienia dziełem, niżeli obadwa talmudy, właśnie przez swoje dopełnienia i objaśnienia mniéj zrozumiałemi będące, co do ustaw swoich, jest prawie poprzedzającemu podobne, wyjąwszy wystawy i bankiety, które tu nierównie na mniejszą stopę mają miejsce; z resztą zaś ci z członków tego zebrania, którzy są zarazem talmudycznymi członkami (a de *facto* każdy talmudysta jest Mishnistą) ci mówią jako przewodniczący innym, nim się poranne rozpoczną modły, odczytują członkom li do Mishny należącym, przypadający na ten dzień rozdział. Odczytywanie to odbywa się w Bet Chemedroh czyli przyszkółku. Tutajto można codziennie widzieć przy dwóch ogromnych stołach, w *talith* i *tiphillim* przybranych licznie zgromadzonych członków dla czerpania wiadomości w téj księdze zawartych, do czego największą gorliwośc i chęć w nich spostrzedz można, tak dalece, że ubodzy i mniéj naukowi żydzi, na

im rodzaju egzemplarz, po naczelnym Rabinie pragskim Oppenheim, przez Oxfordzką bibliotekę imieniem Bodleja, nabyty. Egzemplarz ten jest wytłoczony na najcieńszym jak być może Pergaminie, i składa 24 tomy, w których pryncypalne miejsca odznaczają się najkosztowniejszemi co do wartości, a najpiękniejszemi co do wykonania, wyzłacaniami i malowidłami, tak dalece, że ieden ze znawców (a), który ten egzemplarz miał w ręku, nie waha się twierdzić, iż niejeden z bibliofilów Brytańskich, za posiadanie tego *Unicum*, ochoczoby 1000 dukatów wyliczył.

(a) F. Lebrecht's Oxforder Briefe im Dr. [illegible] Mag. f. d. Literatur des Auslandes.

ziemi się około uczeńszych sadowią i przysłuchują, aby przynajmniéj, podług ich przekonania, jakąśkolwiek odnieść mogli korzyść duchową.

Jeżli który z bogatych umiéra, przeznacza zazwyczaj pewną pieniędzy ilość, celem wsparcia ubogich ale uczonych członków, z tém wyraźném zastrzeżeniem, ażeby każdego dnia przez cały przeciąg roku nie opuścili bez przeczytania jednego przynajmniej rozdziału Mishny; przez co zmarłemu mają być ulżone męki czyscowe, stósownie do upowszechnionego pomiędzy Izraelem mniemania, jakoby najsprawiedliwszy nawet człowiek musiał najmniéj 11 miesięcy przebyć w podobnych mękach czyscowych (*).

I to jest prawie wszystko, co o towarzystwie Mishny powiedzieć można było: następnie zaś przychodzi nam uczynić wzmiankę o 3. towarzystwie, *Ain Jacob Chebrah*, t. j. o towarzystwie *Oka Jakóba*, która to nazwa jest nadana księdze różnych *powieści* i *baśni* po hebrajsku *Agadoth* zwanych.

Tak jak innych stowarzyszeń, podobnie i tego główném jest zdaniem, czytanie i rozszerzanie podobnych powieści; pomiędzy któremi znajdują się jeszcze sam Talmud przewyższające bajki i dziwy, równie jak allegorye a nawet i nieprzyzwoite baśnie, tak dalece, że Misyonarz

(*) Inne jeszcze panuje przesądliwe mniemanie pomiędzy Izraelitami, które jest pobudką, aby ostatki dni życia swojego w Jerozolimie zakończyć; a tym przesądem jest tak zwany *Chibut Hakeber*, to jest wiara, iż każdy zmarły nie w Jerozolimie, natychmiast po swojém pogrzebaniu, porwany bywa przez duchy, które mu największe zadają męczarnie, trwające dopóty, aż póki wałęsając się po pod ziemią nie dostanie się do Jerozolimy, gdzie wszyscy na sąd ostateczny zgromadzonymi być mają.

P. Finn, w dziele swojém o żydach portugalskich *Sephardim*, zmuszony jest tę księgę nazwać zbiorem najszkodliwszych zdań i twierdzeń, jakie tylko kiedykolwiek istnieć mogły, na przyćmienie pojęcia ludzkiego, i podkopanie z gruntu zasad moralnych towarzyskiego człowieka; jedném słowem, mówi on „jest to księga, jeźli nieprzewyższająca to pewnie równa bałamuctwom w koranie zawartym a o jeden może tylko stopień niższa od Legend Hindu Braminów: bo lubo (ciągnie daléj w przenośni tenże P. Finn) zawiera może w sobie nieco złotych blaszek, które się tam wcisnęły, nieprzeparte szczątki czystego podania, stanowiąca jednakże ją całość, uważaną jedynie być może, jako sztaby najpodlejszego kruszcu, ukwaszonego najjadowitszemi chemicznemi kwasami“.

Znalazł się był wprawdzie z pomiędzy uczonych Izraelitów, jeszcze w XII stuleciu mąż, który pałał chęcią wykluczenia wszystkich trzech baśni z pomiędzy pism talmud składających, i gdyby był chciał mężnie stawić czoło oburzającym się przeciwko niemu rabinom, byłby w stanie zwycięzko wystąpić w téj materyi: a tym mężem był Mojżesz syn Maimona, jednym wyrazem *Maimonides*, a od uczonych Rabinów Rambam t. j. przez skrócenie Rabin-Mojżesz-Ben-Maimon zwany. Urodził się on w Kordowie z plemienia żydów Luzytańskich *Sephardim* miano noszących, którzy odrębną sektę pierwiastkowych dzieci Izraela stanowiąc, wprowadzonymi *Haszydami* całą Polskę zaludniającymi pogardzają, w związki z nimi wchodzić niechcą, i na tém największą swą chlubę zakładają, że wyszedłszy z judzkiéj ziemi jeszcze przed erą naszą, w niczém się do prześladowania Zbawiciela naszego i jego boskiéj nauki nie przyczynili. Ten tedy Maimonides przez filozofa arabskiego *Averroes* w nau-

kach wyzwolonych ćwiczony, w 20 już roku życia swojego, przez wielkie naukowe wiadomości, szczytną wymowę, i przez swoje pomysły równie nowe jak światłe, począł był wzbudzać podejrzenie i zawiść u swoich współwyznawców, a ztąd sądząc dłuższy swój pobyt w Hiszpanii za niezbyt bezpieczny i pewny, schronił się do Egiptu; gdzie jego obszerne wiadomości nie mogły ujść uwagi samego nowego władzcy Saladyna, który go wkrótce nadwornym doradcą, a dla jego podobnie niepospolitéj w medycynie biegłości, swoim przybocznym lecznikiem mianował. *(Dokończenie nastąpi.)*.

KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIÉJ,

I WYSTAWIENIU JÉJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM.

(Dalszy ciąg).

Wiemy dobrze, jak to na tym świecie zawsze bywało i bywa. Gdy biéda ciężko przyciśnie, gdy serce boleścią zapłacze, a nadzieje wszelkie wkoło wymrą; już [illegible] i myśl się zaciemni, i jasna rozumu przytomność wygaśnie. Człowiek wygląda cudów i nadprzyrodzonych wypadków, traci wiarę w bieg rozsądny świata, co to jednostajnie po staremu płynie biegiem swoim. Takie to czasy są porą natchnień i dziwów, jasnowidzenia i zachwyceń, a częściéj jeszcze epoką złéj wiary, szalbierstwa i fałszywych proroków najobrzydliwszego rodzaju. Wtedy, obok najzacniejszych poświęceń i myśli wysokich obejmujących sobą świat cały, popisuje się głupota, fanatyzm szalony i skręcenie mózgu. Tak téż raz było we Francyi. Panował tam Karol VII, król

wcale nieosobliwy. Nibyto rycérz, a tchórzył i nie dbał o kraj swój; niby poświęcenia pełny, a sam sobie nie ufał; przytém manierny, układny, łaskawy i grzeczny, a dawał się lada komu powodować. W czasie jakim spokojnym byłby sobie panował jako tako; lecz nie urósł do tego, by swym czasom tak twardym podołał. A żył on właśnie wtedy, gdy Anglika wzięła chętka do onéj tak pięknéj a błyszczącéj korony francuzkiéj. Wysłany tedy żelazny Talbot; ten ciężką rękawicę rzucił na ziemię Francyi, rozdartéj waśniami domowemi. Talbot zdobywał miasto za miastem, powiat za powiatem, a król francuzki romansował, cackał i pieścił się z sobą, wyprawiał festyny i uciechy dworskie, i miał życie jak w raju. Wodze jego, on Dunois, Verneuil, Lahire, byli to najpoczciwsi w świecie ludzie, dobrzy Francuzi, mieli chęci jak najlepsze a wiele męztwa; lecz głowy dość mierne, a nie tęgie naczelniki — więc téż w ich bojowaniu ani ładu ani składu nie było. Przemożni wassale tymczasem widząc, że Anglik kraj najeżdża, korzystali z téj klęski, ciągnąc z biédy ogólnéj pożytki dla siebie. Zwyczajnie — gdy się dom pali, nie braknie i złodziejów. Takimi wassalami, był książe Burgundyi i Bretanii. Ich interes był zupełnie czysty. Francya konała prawie, więc im już nic wcale dać nie mogła; Anglik zaś obiecywał im sute korzyści — rzecz jasna więc, iż im lepiéj było trzymać się jego niż własnego kraju. Gdzie Anglik postał, zaświéciły krwawe nocne łuny, a wsie zaległy mordy; kędy Anglik przeszedł, tam już było cicho, spokojnie, jak w grobie. Biédny tylko lud cierpiał i płakał wrzącemi łzami, a nie widząc z nikąd ratunku, wyglądał cudów i zbawienia z góry. A na płacze ludu, na tęsknoty i boleści jego, cud się stał, i zbawienie przyszło — a zrodziło się w chatce biednéj i pod szopą ubogą.

W wiosce Dom-Remy tuż pod Vaucouler, mieszkał poczciwy wieśniak Thibaut d'Arc, otoczony wiankiem dziatek — a była między niemi córka Joanna. W młodziuchném i czystém sercu gorzała, niby lampka w kapliczce samotnéj, pobożność i ufność w Bogu, a ku niebu zwracając się gorącą modlitwą swoją, błagała łaski jego, by się ulitował boleści, cierpień i sromoty ojczystéj ziemi. Na polach i gościńcach, po wsiach, karczmach, miasteczkach, pełno było utysku i skarg nad tym łzawym stanem Francyi. Joanna słuchała tych utysków i cierpień gorzkich; a te boleści całego ludu, te cierpienia, przybrały na się kształty święte i rzewne; przemawiały do niéj we widziadłach nocnych, szeptały tysiącem głosów nadprzyrodzonych. Joanna duchem cofnęła się ze świata w przybytki ciche serca swojego; zdało się, iż niby jakiś świat wyższy, nadziemski, otoczył ją swoją potęgą, i na oścież otworzył jéj tajnice swoje. Więc Joanna rzewnie się modląc, i marząc w nocach bezsennych, widziała niby Matkę Boga, onę Matkę wszech boleści i wszech pociechy świata, onę Matkę Zbawiciela, jak z nieba zstępowała, by ją na zbawicielkę ojczyzny przeznaczyć. Gdzie stanęła, kędy się ruszyła, już na nią jakieś głosy wołały, jakieś szeptały namowy; wizerunki Najświętszéj Panny spoglądały się na nią tak boleśnie, uroczysto, tak tęskno, że już jéj serce rozpływało się niewypowiedzianém, niezmierném jak morze, uczuciem. Wśród gaworów starych drzew, wśród ciszy lasu, wśród milczenia wieczornego łąk, słyszała niby śpiéwające chóry, co wołały, by spieszyła na pomoc swéj ziemi — już jéj wtedy ani pokoju znaleźć, ani zasnąć spokojnie.

W téj ciężkiéj potrzebie a natłoku cisnących się uczuć swoich, zwierzyła się wujowi, bo bała się ojca swojego. Wuj polecił ją rycérzowi Baudricourt, który niedaleko stał

z chorągwią swoją. Ale ten Baudricourt był to stary wiarus, a jeden z tych ludzi, których jak wiemy nie brakuje na świecie; co to nie widzi jak koniec pałasza, a w to uwięrzy w co rąbnie, a o potędze zaś wszechmocnéj ducha ani mu wspominaj, to facecye szczére. Otóż jemu uniesienie młodéj dziewczyny zdawało się być skutkiem jakiegoś obłąkania. Z początku ani jéj słuchać nie chciał; aby się jéj tylko pozbyć, przystał na jéj żądanie, i kazał odprowadzić do Chignon, kędy przebywał król. I tu znów trzeba było długo prosić się i czekać, nim Karol raczył przypuścić Joannę przed oblicze swoje. A nakoniec, by się zaś ludziom nie zdawało, że on tam w lada co uwierzy, chciał doświadczyć dziewicy ducha prorockiego; więc zrzuca z siebie oznaki królewskie, i staje wśród świetnego orszaku dworu swojego. Lecz Joanna zaledwie progi przeszła, już poznaje wśród tłumu króla, którego nigdy nie widziała, a co więcéj, odkrywa mu tajemnice, których nikt prócz niego nie znał. Nie potrzeba was zapewniać, iż podziwienie króla było niepospolite. Ale choć się tak bardzo dziwił, nie wierzył on jeszcze spełna; jako człek bardzo systematyczny, rad był mieć zapewnienie na piśmie i z pieczęcią, iż Joanna istotnie z nieba jemu na pomoc przysłana — z nim nie tak łatwa była sprawa. A jął się niezawodnego sposobu wynalezienia prawdy. Zwołuje bowiem biegłych w sztuce, bo najmędrszych, jakich tylko miał pod ręką doktorów wszystkich fakultetów, polecając im najusilniéj, by nie szczędzili swéj nauki, aby dociec prawdy, czyli Joanna jest istotnie od Boga natchnioną, i czyli się w saméj rzeczy jakichś cudów po niéj spodziéwać można. Widzimy tedy, iż to był kompletnie komitet kwalifikacyjny. Ci panowie, *zważywszy* z całemi przynależnemi formalnościami i z całą głębokością swoją, naprzód: iż Francja jest w niebezpieczeństwie, *zważywszy*

daléj, iż Joanna ma wszelkie cechy i znamiona okazujące niemylnie, iż ona cuda wykonać zdoła; *zważywszy* nakoniec to i owo, zakonkludowali, iż Joanna cuda istotnie zdziała, i wyratuje z ucisku i potrzeby ojczyznę swoję.

Nie mało się Karolowi VII na sercu ulżyło, otrzymawszy tak czarne na białém zapewnienie, iż Joanna cudów dokaże: boć tak sam się utwierdził we wierze. Więc już bez skrupułu oddaje 18-letniéj dziewczynie dowództwo nad wojskiem, posyła darem konia, zbroję i szyszak. Joanna opasuje się mieczem przyniesionym z kaplicy cudownéj, bierze w rękę chorągiew białą zasianą liliami: a na tym sztandarze był wymalowany Bóg-Ojciec ze światem w swéj prawicy, a pod nim stało wielkiemi literami: „Jezus, Marya!"

Joanna wojsko oczyszcza z hołoty płci obojéj przeszkadzającéj żołnierzom, zaprowadza ład i porządek w szeregach, i posyła do Anglików, rozkazując im złożyć natychmiast klucze twierdz i miast niesprawiedliwie Francyi zabranych. Anglicy drwią i śmieją się z podobnego rozkazu; ale im przecież było trochę markotno na sercu, i zdawało się, iż nocne strachy tchnęły na najezdzców, że nocne mary hulają po ich obozie, i przenikały mrowiem. Tymczasem do Francuzów wróciła otucha i nadzieja, z męstwem i miłością do kraju, a potęga duchowa wionęła na ich zastępy. Wichrem Joanna rzuca się na Anglików oblegających Orlean, i uwalnia go od wrogów, a tak spełniła piérwszą obietnicę swoję. Drugą było ukoronowanie króla w Reims, co nie było małą sprawą, bo Reims oddalone na mil 40, a drogi w tamtych stronach jeżyły się wojskiem nieprzyjacielskiém. Joanna ranna kilkakrotnie, miecie nieprzyjaciół popłochem przed sobą, aż dotarła do Reims. Wśród tryumfu ludu i płaczu, radości i muzyki, okrzyków i głosu wszystkich dzwonów, król wstępuje do staréj katedry; a w czasie

świętych obrzędów, Joanna z chorągwią w ręku stoi przy boku królewskim. Gdy się dokonała uroczystość, przemiar radości, burza uczuć, tak rozebrały Joannę, iż dziewica w swém szczęściu nie mogąc już sobie saméj podołać, rzuca się do nóg królowi, i zalewając się łzami, życzy szczęścia i błogosławieństwa nieba... Król łaskawie do niéj przemówiwszy udarował szlachectwem, nadając za herb Lilią.

Tutaj zapyta się z was może nie jeden, cóż to była w istocie ta cudowna Joanna? ona Dziewica Orleańska? jakąż ona mocą działała, i zkąd jéj to proroctwo przyszło? Albož ja wiem! Myślałbym jednak, iż to wszystko działo się może sposobem dość prostym; nastrojenie duchowe Joanny wzbudziło to zachwycenie i uniesienie najwyższe. Gdybyście zaś woleli przypisać te proroctwa i cuda Joanny nadzwyczajnéj przyczynie, wolno wam—możecie jéj sprawy przypisać jasnowidzeniu. Bo dziś magnetyzm w modzie, i jest chorobą czasu; zastąpił on wyrocznie delfickie i wróżby cygańskie, choć nie przeczę, że on ma prawdę w sobie, i z psychicznéj natury człowieka wytłumaczonym być może. Lecz choć jest rzeczą pewną, iż jasnowidzący wiele rzeczy wiedzą, o których się nam zwyczajnym ludziom nie śniło; toć jeszcze pewniéj, iż więcéj jest rzeczy, każdemu z nas przy zdrowych zmysłach będącemu wybornie znanych, o których znów somnabuliczni mimo jasnowidzenia swojego, wyobrażenia nie mają. Dla tego lepiéj ufać zdrowemu rozsądkowi i nauce nabytéj ofiarą żywota swojego, i gruntującéj się na pracy mozolnéj zeszłych wieków, niż zaufać jakiéj potędze podejrzanéj i z prawdy i z pochodzenia swojego. Co do mnie, ja czczę i czołem biję takim proroctwom, jakie Joanna czyniła; boć co prorokowała, to nie na wiatr, ale święcie ziściła—a do tego—bo

położyła głowę za te proroctwa swoje. Takie proroctwa rozumiem.

Jakoż obaczmy, co się z nią daléj stało. Ledwie Karol VII wyszedł z katedry z koroną na głowie, gdy jakieś lęki ścisnęły jéj serce, a smętne nieodgadnione przeczucia przeszły dreszczem młodą dziewczynę. Więc jéj tęschno za domem, za ojcem swoim i za tą wioską rodzinną; więc błaga króla, by jéj już wolno było wrócić do zaciszy domowéj. Ale król sam, ale Dunois, ale wszyscy nalegali prośbami, by dokończyła dzieła swojego. I usłuchała tych namów na nieszczęście swoje biédna Joanna. Przy oblężeniu twierdzy Compiegne, w czasie śmiałéj wycieczki, dziewica obskoczona od żołnierzy burgundzkich, wziętą została w niewolę, a to przez zdradę samych Francuzów zazdrosnych jéj sławie. Burgundczycy sprzedali ją za drogie pieniądze Anglikom, na wielką radość ich naczelnika księcia Bedford; bo ten tak się wypadkiem tym uradował, iż w staréj świątnicy Francyi, w onym Notre-Dame, wyprawił uroczyste *Te Deum*, dziękując Bogu, iż oswobodzicielka Francyi dostała się w ręce jéj nieprzyjaciół. Joanna dowiedziawszy się iż ma być Anglikom oddana, wyskakuje oknem z więzienia; ale zraniona, zemdlona, dostaje się znów w ręce wrogów, i oddana pod sąd. A warto wam wiedzieć, iż w onym sądzie po większéj części zasiadali Francuzi; składała się ta rada z 9ciu doktorów Sorbony, onéj staréj akademii paryzkiéj, a 35ciu opatów; prezydował arcybiskup Paryża Couchon. — O hańbo!

Trudną ci panowie mieli sprawę, bo Joannie należały się wieńce chwały, czci, a tu chcieli na przebój wskazać ją na śmierć. Lecz w takich razach [illegible] nie trudno. Nie mogąc jéj tedy potępić [illegible] oj-

tczyzny, zarzucają jéj, iż ona ze szatanem trzyma, i że jako czarownica zarobiła, by żywcem spaloną była. Gdy biédną dziewczynę, znękaną na duszy i ciele okropnością długiego więzienia i inkwizycyi, przyprowadzono na plac wykonania wyroku, gdy tuż, już stanęła przed stosem, gdy widziała na oczy przygotowania straszne, i katów, i płomienie i te ludu tłumy; wtedy pękło jéj wielkie, jéj odważne serce, do dna zachwiała się jéj moc, i zawołała, iż zrzeka się swoich błędów, byleby jéj życie darowano. Przyzwolono na to, zamieniając, niby to z wielkiéj łaski, karę śmierci na dożywotne więzienie o chlebie i wodzie i dając za warunek, aby nigdy więcéj sukien męzkich na siebie nie włożyła. I tak się stało. — Lecz nie tu koniec. Anglicy spać spokojnie nie mogli, póki wiedzieli, że ona złowroga czarownica żyje; a choć uwięziona, choć okuta łańcuchem, zdawała się im nadto jeszcze niebezpieczną — żałowali więc serdecznie, że jéj przepuścili. Jednego poranku tedy, gdy Joanna obudziwszy się szukała odzieży swéj, a znaleźć jéj nie mogła, ujrzała na jéj miejscu dawne swoje suknie męzkie. W téj chwili, cały szereg dawnych dni tak szczęśliwych, tak wielkich, przesunął się jéj przez duszę, niby obrazy latarni magicznéj, i tak jéj te wspomnienia zagrały w duszy, tak muzyką niebiańską do niéj przemówiły, iż już więcéj sama sobie oprzeć się nie mogąc, przywdziała tę lubą, tę kochaną odzież swoję; ale w tém nagle roztwiérają się drzwi — wpadają Anglicy i wołają, iż złamała przysięgę, że włożywszy suknie męzkie na siebie, na nowo sprzymierzyła się z piekłem. Zgadujecie więc bez trudności, iż zabranie jéj nocą odzieży i podłożenie na jéj miejsce sukni męzkich, było samołówką tylko. Już teraz nie było ratunku; aby jéj zaś tę śmierć jeszcze okropniejszą uczynić, wskazano

na wolny ogień (roku 1431); gwałtem przywleczono ją do stosu, ustroiwszy ją w czapkę, na której stało: „*za kacerstwo i czarodziejstwo*". Katy, żołnierze angielscy, zapłakali rzewnie na ten widok. Płomień ogarnął ciało Joanny — a duch jéj czysty i pełen niewinności niebiańskiéj, uniósł się do tronu Boga, który inaczéj ją osądził, i przyjął w swoje objęcie tę zacną i świętą córę swoję. Jéj sędziom na ziemi została zgryzota za żywota, a hańba po śmierci. Ale cóż czynił, spytacie się, ów Karol, któremu Joanna dała koronę i berło i państwo? nie czyniłże on żadnego kroku, by ją, zbawicielkę swoję, uratować? On nie miał najmniejszego do tego powodu, bo on już jéj nie potrzebował; miał on sobie już Francyą — drugiéj Francyi już mu Joanna dać nie mogła; prawda, że ona miała pewno zasługi, ale za to téż dostała jak wiecie onę Lilią, a zatém miała szczęście być spaloną jako szlachcianka — więc kwita. Nie bądźmy jednak niesprawiedliwemi — on nie zapomniał wcale o Joannie. Jakoż po 24 latach pamiętał jeszcze o tych jéj zasługach, więc kazał przejrzéć akta jéj sprawy, a gdy z nich okazało się, że wskazanie Joanny było haniebném morderstwem, więc raczył obwołać jéj niewinność, a nawet odprawić processyą na miejscu jéj stracenia, a tak łaskawie przywrócił jéj sławę, okazując jawnie, iż on odzyskanie tronu swojego nie był winien czarownicy mającéj konszakty z piekłem, ale niewinnéj czystéj dziewicy.

Trzysta lat atoli z górą przeminęło, gdy z pośród samych francuzów znalazł się pisarz, który sromotniejszą krzywdę wyrządził Joannie, niż ten Karol i te Angliki i ta Sorbona z tym swoim arcybiskupem Couchon; bo skaził i splugawił bezécnie świętą jéj pamięć, i najpoetyczniejszą kartę w historyi Francyi. Był to Voltaire. Ten

umaczawszy po swojemu ostre pióro w żółci, dowcipie i błocie, napisał poemat, w którym zwalał nawet jéj uczciwość niewieścią; więcéj już wam o tym poemacie nie powiem, bo nie radbym wam i sobie ubliżył. Ludwik XVIII godnie uczcił Joannę, założywszy we wiosce Dom-Remy instytut wychowania panien. Na środku dziedzińca zakładu tego tryska woda przezroczysta jak życie dziewicy, a obok stanęło jéj popiersie prześlicznie wyrobione, przypominające bez końca głupotę i złość ludzką, i poświęcenie i zacność bohatérki naszéj. I ten pomysł króla Ludwika był bardzo trafny i bardzo poczciwy, nie wystarczył atoli bynajmniéj, by naprawić krzywdę, któréj się ów poemat dopuścił. Aby grzechy poety zgładzić, trzeba drugiego poety — ten się znalazł wśród cudzoziemców. Z tego, com wam przeszłą razą o Szyllerze a dzisiaj o Joannie powiedział, odgadujecie, iż te dwa duchy ściśle się spokrewniły z sobą. Szyller gorejący tém, co wielkie i zacne, co tchnie swobodą i godnością człowieka, pokochał się w pamięci dziewicy, która wyzwoliła kraj swój; w jéj to życiu, tak czystém i jasném jak łza anielska, mógł się przejrzéć wieszcz jak Szyller, wystawił jéj tedy pomnik najkosztowniejszy w swéj *Dziewicy Orleańskiéj*. W dramacie tym dusza Joanny z Szyllerem zléwają się w spólną czarę niby dusze dwojga kochanków. Cóż tedy dziwnego, iż wszędzie, gdzie się na scenie zjawi, budzi odgłos współczucia we wszystkich sercach. Przeszedł on i po scenie naszego teatru, a o tém zjawieniu się jego u nas opowiem choć kilku słowami na raz przyszły. *(D. c. n.)*.

LUD NIEZNANY
CZYLI
MARYA SYBILLA MERJAN.

Kiedy jenerał szwedzki Roxander ogromny swój majątek roztrwonił, zostało mu tylko żyć w samotności, gdzie znalazł pociechę, wyjąwszy, iż niespokojnym był o los syna w kolebce, którego matka życiem swojém opłaciła. Powierzył go więc cioteczném babce Maryi Sybilli Merian, sławnéj z dokładności malowania przedmiotów historyi naturalnéj. Przybrana matka zajęła się najstaranniéj swym synem, cieszyła się z jego postępów; to ją tylko smuciło, że najmniejszego nie okazywał zamiłowania w motylach i owadach. Zachęcany do tego odpowiadał: „Tobie, matko, łatwo mówić o pięknościach natury, gdyż się jéj cudom w Surinam napatrzyłaś. Ja żyję tu z tobą w szkaradnych bagniskach, gdzie tylko glist, gąsienic i robaków jest pełno. Wierzę, iż są piękniejsze kraje, ale gdyby wszędzie tak było jak tu, tobyśmy mało o piękności wiedzieli, a nawet prawdę mówiąc, twój pędzel zdaje mi się pochlebiać naturze, a ja w niéj nic osobliwego nie widzę."

Marya Sybilla zamilkła, wiedząc dobrze, iż przesądy zwolna tylko wykorzenić się dają. Inną więc razą tak do niego mówiła: „Znam ja bardzo dobrze pewien lud nieznany, który ci wierniéj i dokładniéj opiszę nad wszystkie

kosmografie pra-pradziada twojego *Teodora Bry*; bo co on tylko malowane, to ja widziałam w naturze.“

„Wystaw sobie naprzód, że w tym narodzie osoba zupełnie dorosłą na świat przychodzi, i nie zna, co jest niemoc dzieciństwa ani dolegliwa starość. Każda przychodzi odziana nie piórami jak ptaki, nie wełną jak owce, ale w szatach aksamitnych, jak w todze senatorskiéj albo błyszczącéj zbroi rycerskiéj. Suknie niektórych tak są delikatne, tak pięknie cieniowane farbami, iżby igła czarodziejek nic podobnego dokazać nie mogła. Są między niemi mające strój wspanialszy od korali, kamieni i złota; są inne, na których się to całe bogactwo połącza w robocie *massive* nie podobnéj do opisania. Innych zbytek daléj się jeszcze posuwa. Po tém wszystkiém ledwo ci wspomnę o kitach piór, które na ich głowach wiewają.“

„Dotąd zapewne jest to opis samego książęcia tych ludów?“ przerwał Gustaw.

„Możem się niedobrze wyraziła, mówiła daléj Marya. Są między niemi stany podlejsze, których ubiór acz pełen smaku mniéj jest okazały; ale gdy wszystko saméj naturze są winni, można te ozdoby w najniższéj klassie spotykać. Widziałam między niemi cieśli w purpurowych odzieniach i czarno-aksamitnych płaszczach; murarzów w sukniach jedwabnych, jak niegdyś w Szwecyi burmistrze nosili. Ale to wszystko jest najmniejsza strona ich zalet. Gdy i oni wielu mają nieprzyjaciół, przeto Opatrzność tak je bronią uposażyła, że każdy ma swoją zbrojownią na sobie. Kto téj zbroi nie widział, ledwie o niéj

może mieć wyobrażenie. Są tam hełmy, kirysy, tarcze, pałasze, haki, widły i t. p. Inne mają sok palący, który wszystko, na co padnie pożéra i niszczy; inne znów opatrzone są jadem, chociaż w ogóle więcéj mają milszych nad róże wonności, które najlotniejsi w około roznoszą. Najpowszechniejszą ich obroną są ostre i mocne cęgi. Są niektóre mające odzież całą najeżoną kolcami. Inne przechodzą się osłonione trzema długiemi i mocnemi łancami, które tak są nieodczepne jak macedońska phalanga. Znają nawet broń palną i to dawniéj niż my, z tą tylko różnicą, że obyczajem Partów używają jéj tylko w odwodzie. Widziałam obroty tych strzelców, a nawet walną ich bitwę, i uważałam, że jeden z nich w pół minuty więcéj niż 30 razy wystrzelił. Gdy zapewne dla braku ładunków strzelać poprzestał, powierzył skrzydłom swe życie i uciekł.“

„Więc kochana mamo! przerwał Gustaw znowu, ten lud ma skrzydła?“

„Zapomniałam ci o tém powiedzieć, rzekła matka; mają skrzydła jak ptaki a jeszcze inne nawet korzyści. W razie napadu mocniejszego unoszą się w powietrze. Ale gdy tam nieprzyjaciel dosięgnąć ich może, w tedy to lotne szwadrony zwijają niepożyteczne już skrzydła pod swoje pancerze i rzucają się do wody. Tu formują małą flotę, bo między pakunkami, które z sobą noszą, mają małe łódki, na których lotem piorunu pływają, — tak morscy owi żołnierze wszędzie się przeciskają w ściśnionych

szeregach, wznosząc do góry miecze, które natura do ich piersi przytwierdziła.“

„To wszystko dziwne są rzeczy, rzekł Gustaw. Ale czyż obok tego mają ci ludzie jakie doskonałości? Czy ich organa są tak wyborne jak nasze?“

„Porównanie — odpowiedziała Marya — byłoby dla nas upokarzające. Powiem ci tylko o ich oczach, które mocna, gęsta, a jednak przezroczysta błona rogowa przeciw wszelkim wypadkom zasłania, a co szczególniejsza, iż ich niczém tu ranić nie można. Są bowiem pospolicie na bokach umieszczane, wystarczające tak, że cały widnokrąg przeglądać mogą.“

Ich źrenica złożona w największéj części z małych płaszczyzn, widzi przedmioty w niezliczonéj ilości rozchodzących się promieni, z których każdy czynić może wrażenie. Ciekawy zapewne jesteś, czy także są przemyślni, czy jak my płody natury obrabiać umieją? I tu nowe dziwy usłyszysz. Cóż ci powiedzieć o ich dziwnych budowach? o ich twierdzach, niezliczonych źródłach sztuki wojennéj, o ich narzędziach myśliwstwa i rybołostwa? Niepodobna ci określić doskonałości ich narzędzi, delikatności tkanek, osobliwie zaś ozdób w najdrobniejszych robotkach. Aby to poznać, trzeba żyć pomiędzy nimi.“

Tu Gustaw zrobił minę człowieka wybierającego się w daleką podróż i rzekł: „muszę ich poznać.“

„Ale gdzież mieszka ten lud nadzwyczajny? Czy daleko za Surinam?“

„Jeśli chcesz przejść się cokolwiek, to odwiedzimy ich jutro rano, rzekła Sybilla. Znajdziesz ich na wsi, gdzie mieszkamy, nad strumykiem, na łące, w powietrzu, którém oddychasz.“

„Mieszkają oni w kielichach kwiatów, w kroplach rosy drżących na listku róży, roją się po piasku, warczą na murawie i tańczą w słońca promieniach. Teraz się domyślisz, żem o owadach mówiła.“

Mały Gustaw przygryzł niecó wargi z zawstydzenia, ale niechciał mówić nieprawdy.

Nazajutrz rano udał się z babką w podróż do opisanego lądu; a całą bronią z pakunkiem, które wziął z sobą, była siatka.

Odtąd zasmakował w odkryciach i mówił, że codzień więcéj go zajmują, bawią i uczą; a gdy dobrą swą matkę 1717 roku utracił, czuł, iż nie mógłby się niczém pocieszyć, gdyby się nie był zaznajomił z tym ludem, który potém tyle go zajmował i cieszył. Gustaw Roxander doszedł późnego wieku, był uczonym, co mało znaczy, był sławnym, co także nie więcéj warto; był czynnym, rozsądnym, dobrym, bo miłość natury podnosi rozum, utwierdza dobre skłonności i nadaje pokój duszy, jedyne szczęście na ziemi.

Józef z Krakowa.



OGŁOSZENIE PRZEDPŁATY

NA

RAMOTY I RAMOTKI LITERACKIE.

Gdy moje Ramoty i Ramotki literackie, częścią po 9ciu pismach miejscowych i zamiejscowych rozsiane, większą częścią dotąd w mojéj tece więzione, rozczulającą do mnie zaniosły prośbę, abym im dozwolił zespólić się w jedno rodzinne koło, przyczém starsze poprawność przyrzekły; postanowiłem je przeto uporządkować w 6 tomów: z których dwa pierwsze wyraźnemi czcionkami i na jasnym papierze, z wałną przedmową, z 2ma głosami do Szanownych Czytelników, z odezwą do JmćPanów Krytyków, ze spisem rzeczy, z drzeworytami główniejszych zdarzeń i z miłą niespodzianką na miedzi schwyconą, pojawią się *bezzawodnie* w miesiącu Grudniu bieżącego roku, *na gwiazdkę dla osób pełnoletnich*. Każdy tom obejmie 12scie arkuszy, bez wielkich odstępów, bez rozrzutności papierem, nie w modném ale w sumienném wydaniu. Dwa piérwsze tomy kosztować będą w księgarniach złp. 18; kto zaś w przyzwoitym czasie złoży przedpłatę, którą upoważnieni życzliwcy zbierać raczą, otrzyma w niezaprzeczonym zysku zł. 4 gr. 20, to jest, zapłaci tylko złp. 13 gr. 10. Wykaz omyłek druku dołączonym zostanie bezpłatnie. Okładka będzie z cienkiego papieru koloru *czekoladowego* z ozdobami w stylu gotyckim; a gdyby kto zażądał okładki koloru *papuziego* z ozdobami à la rokoko, dopłaci osobno za każdy exemplarz po gr. 15, już nie dla Wydawcy, ale na korzyść moralnie zaniedbanych dzieci. W Krakowie prenumerować można w Nowéj Księgarni u Józefa Cypcera.

Warszawa 10 Czerwca 1844 r.

An. Wi. Ch. Fil.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W* ***Cesarstwie Rossyjskiém***, *w* ***Królestwie Polskiém***, *w* ***Królestwie Pruskiém*** *i* ***W. X. Poznańskiém*** *w Urzędach pocztowych prenumerować można. W* ***Galicyi*** *zaś tylko księgarnie przedpłatę przyjmują.*

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 9. KRAKÓW dnia 1 Sierpnia. 1844.

ROZŚWIT PIEŚNI.

Patrz na śliczny rumieniec, jak zorzy rozświtem
  Wbiega na mleczne lica dzieciny!
Patrz na ten uśmiech święty, on duszy błękitem,
  On z aniołów zbiegł dziedziny,
Taki wiośniany, rajski! — śni — on śni o raju,
  O gwiazdach, o kwieciu, o maju!
O jasnych skrzydłach anielskich druhów,
  O dawnym świecie, z którego wypłynął,
On śni o świecie duchów!
Ten uśmiech z nieba poczęty,
Z swego przedświata — jak święty,
Żywy obraz anielstwa na licach rozwinął!

A choć zmrużone promienne źrenice,
Białą powiek obsłonką, jak jasnym obłoczkiem,
Skryły przed okiem widzą cudów tajemnicę,
  Co przed dzieciny lśni oczkiem;

Taki pokój w nich, taka złoci się pogoda!
Bo tam duszyczka przegląda do braci,
Siostrzyca młoda,
A w koło niéj drży wianek skrzydlatych postaci!

O kto się wpatrzył w to boskie natchnienie,
W pączek uśmiechu zwinięte!
O kto się wpatrzył w dziecka przebudzenie,
W łzy perełkami na twarz rozpryśnięte,
Odgadnie rozświt pieśni w śnie wieszczéj dzieciny!
To braciszki — anioły zbiegły w odwiedziny,
I z duszyczką — siostrzycą bawiły się społem,
Jak dawniéj w niebie, gdy była aniołem!

A ten płacz nagły, ten wykrzyk boleści,
To posłannik cierpienia, dolę ziemian wieści.
A jeszcze kiedy z nagła, w strudzonym oddechu,
W wyciągnionych rączętach, zda się, że pacholę
Dopatrzyło w odlocie aniołków uśmiéchu,
I chciałoby się pieścić, na płaczów padołe
Chciałoby się uczepić u skrzydełek jasnych,
I z braciszkami wzlecićć z tych padołów ciasnych!

Patrz w téj chwili, jak boleść chmurami osłania
Przeczyste dzieciny skronie,
Jak pochyliło główkę, co marzeniem płonie;
To rozświt pieśni, ziemia omgliła z posłania,
Wieszczéj pieśni, co piérwszą lśni gwiazdą zarania!

Błogosławionaś chwilo sennéj aniołów rozmowy,
W twém przeczystém objęciu wzrasta światek nowy,
Opromieniony blaskiem zorzy porankowéj!
Z twoich obrazów sennych jakieżto odblaski
  Na świat się cały rozleją,
Jakże go opromienią stubarwną nadzieją,
Jakże cudnemi zalśnią przed duchem obrazki,
  Przed wieszczym duchem młodziana!
On niemi, jakby wstęgą pojednawczéj tęczy,
  Cały swój żywot przyszły uwdzięczy,
Błogosławionaś chwilo aniołów zarana!

I wieszcz wbiegł w kwietne łąki, na rodzinne błonie,
Z tą chwilą promienistą, z tą pogodą czoła,
I wpatrzył się w błękity oczyma anioła,
I wpadł w święte dumania! a pieśni skrzydlate
  Ubrał w słoneczną anielstwa szatę,
A słońce natchnień oświéca mu skronie!
A każdy dźwięk to piérwszéj pieśni żywe głoski,
Którą mu u kolébki w jeden hymn natchnienia
  Śpiewał poezyi posłannik boski,
  Aniół wieszczéj muzyki!
  . . . . . W nieba śle swe pienia!

A choć łza ziemskiéj doli błękit mu zasłoni,
Choć przed łzawą źrenicą, jak krepą całunną
Osłonięta, zda mu się ziemia wielką trunną,
On po niebie schmurzoném gwiazd przewodnich goni!
I wnet blaskiem zachwytu płoną mu źrenice,
A niebo mu posyła grom i błyskawice;

Do wtóru pieśniom! łza ściekłaby z źrenicy,
A na obliczu spłonie ogień błyskawicy;
I znowu jasny błękit w duszy się roztoczy,
A pierś odgrzmiewa niebu grom pieśni proroczéj.

O bracia moi! pieśniom przy rozświcie
Bóg z aniołami błogosławił skrycie!

Franciszek Żygliński.

KRÓTKA WIADOMOŚĆ

O TOWARZYSTWACH RELIGIJNO-NAUKOWYCH U ŻYDÓW.

(Dokończenie).

Tam to nasz uczony Mojżesz, pracując przez lat dziesięć nad rozmaitego rodzaju naukowemi i religijnemi dziełami, lubo nauczony tém, co go do uchodzenia z Hiszpanii przynagliło, nie dopełnił wprost swego powołania, w oczyszczeniu talmudu z jego niedorzeczności, nie zostawił wszakże swoich współwyznawców w zupełnéj w téj mierze ciemności; albowiem jasno wynurzył swoje zdanie (w tém przynajmniéj, co się dotyczy księgi *Agadoth*, a późniéj i *Gamary)*, a to w dziele swojém *Moreh Nabohim*, t. j. *przewodniku dla błądzących*, w tém właśnie miejscu gdzie się usprawiedliwia, dla czego dotąd nie wystąpił jak należy przeciw tym wszystkim baśniom, w następujący wyrażając się sposób: „Jeżeli podobne powieści i zdania czytać będą z przewróconym mózgiem Rabini i inni tak zwani nauczni, to ci nie potrzebują przestróg i dowodów

o niedorzeczności onych; bo dla nierozsądnego wszystko jest dobrém, albowiem łatwowierność jest cechą jego rozumu. Jeżeli zaś prawdziwie rozsądny człowiek czytać będzie te ramoty, dwie dla niego drogi otwartemi będą do ich ocenienia, t. j. albo je uważać będzie w literalném ich znaczeniu, a znalazłszy je niedorzecznemi odda im zasłużoną wartość, nazwawszy je nonsensem, alboli téż wcale na nie uważać nie będzie, a takiém postępowaniem nie obrazi bynajmniéj zasad prawdziwéj wiary. Pisząc zaś do swego przyjaciela Rabina Józefa, w tém co się dotyczy Gamary tak go napomina: „Strzeż się trwonić drogiego czasu nad ślęczeniem nad Gamarą, już ja bowiem dosyć się nad nią naślepiłem; ale ach! jakże zbyt mało za moj utracony czas odniosłem korzyści.“

Nie dziw więc po tém, cośmy powiedzieli, że w swoim czasie dzieła jego przez zwierzchników talmudowi hołdujących na płomienie wskazywanemi bywały; ale to rzecz nie do pojęcia, że tenże sam uczony, za najgorliwszego jakoby obrońcę Gamary jest udawany, wtedy, gdy talmud jak najwyraźniéj opiewa: „że wszyscy, którzy pogardzają lub lekce ważą Gamarę i Agadoth, tak jak to niegdyś oprócz Majmonidesa uczynili byli Rabini Zadok i Baithos, są zapierającymi się Zakonu; a jako tacy, ze względu na wielkość ich ułomności w téj mierze, a ztąd ogromnego grzéchu, niechaj będą przeklęci i potępieni na wieki wieków!“

Po tém wszystkiém, cośmy dotąd o talmudycznych księgach, a szczególniéj o Agadoth przywiedli, smutno jest patrzéć na tłumy izraelskich starców otaczających stoły po przyszkółkach, i z największém zajęciem się i gorliwością ślęczących nad tąż księgą, w tém przekonaniu, że tylko tym sposobem najprzyjemniéj Stwórcy swojemu są

w stanie się przypodobać. I w tym to zamiarze członkowie towarzystwa *Ain Jakób*, a szczególniéj téż starcy nie czujący się już na siłach, aby wydołać młodym dowcipom, których objęcia rzeczy są jeszcze w saméj potędze zdolności rozumowania nad zawiłościami całego talmudu, obowiązani są zbierać się około 2giéj z południa na czytanie owéj Agadoth, jako przystępniejszéj dla swego łatwego stylu, a jeszcze łatwiejszego języka, w którym jest napisana. Wielka wszelako liczba rzemieślników i mniejszych handlarzy i téj nawet choć łatwéj do wyczytania, ale bałamutnéj do zrozumienia księgi, nie jest w stanie wysylabizować; ci zatém, dla dostąpienia zasługi i odniesienia mniemanego przez nich pożytku, najmują młodych szkólników, aby im onę wyczytywali i wykładali.

Co do reszty Ustaw, w przyjmowaniu członków, składaniu opłat i rozweselaniu się, te, lubo jeszcze w niższym od obudwu poprzedzających odbywają się stopniu, z wielu wszakże względów są tak do siebie podobne, że wyliczając one, byłoby prawie toż samo, co powtarzać piérwsze: wprost zatém do czwartego z porządku przystępujemy towarzystwa, tak zwanego *Chewrah Mikra* t. j. towarzystwa pisma ś. czyli biblii, ale biblii zarzuconéj komentarzami rozmaitych rabinów.

Zadaniem tego zgromadzenia, jak to już samo jego miano wskazuje, jest codzienne odczytywanie pisma ś. — Czas do tego przeznaczony jest, przed rozpoczęciem wieczornych modłów. Czytaniu zazwyczaj przewodniczy jeden z najświetlejszych uczonych członków; odczytuje on przeznaczony na ten koniec rozdział, głośno, powoli i dobitnie, a wszyscy zebrani słuchają z najgłębszą uwagą i przyzwoitością. Podczas tego czytania nie wolno rozprawiać nad tém, co się usłyszało, ale jedynie słuchać

w milczeniu i spokojności; gdyby wszakże który ze słuchających znalazł powód do zapytania, czyni to z największą skromnością i nieśmiałością; za odpowiedź zaś na podobne pytanie, przewodniczący używa zazwyczaj nie swoich pomysłów, ale komentarzy rabinów *Raschi* czyli *Jarchi, Aben-Ezra, Abarbanela, Mezudotha* i t. p. Za odczytaniem powołanego komentarza, zazwyczaj nowe nie następują pytania, wszyscy bowiem członkowie tego towarzystwa, bez żadnego zaprzeczenia, posiadają głębokie wiadomości biblijne, chociaż wzwyż wspomnianemi komentarzami zabałamucone.

Tyle tylko powiedzieć możemy o tém zgromadzeniu, po którém następuje piąte, znane pod nazwą *Chewrah Torah* t. j. Towarzystwo Zakonów czyli Ustaw, zawartych w pięciu księgach Mojżesza. Przedmiotem zatém tego zebrania jest nauka *Pentateuch*, ale znowu ze wszystkiemi kabalistycznemi komentarzami, jakiemi są szczególniéj poczynione przez rabinów *Zohara, Medrasza, Yalkuta, Alschihi* i t. p. Członków tego Towarzystwa składają po największéj części rozmaitego rodzaju rękodzielnicy, którzy będąc cały tydzień zajęci pracą lub dozorem nad nią, zaledwie w dnie świąteczne mogą rozporządzić czasem potrzebnym na udanie się do przyszkółka, dla dopełnienia obowiązków odrębnych od zwyczajnych modłów. Co sobota zatém przed wieczorem, dla takich jedynie członków czytanemi bywają księgi Mojżesza przez jednego z uczeńszych tak głośno, aby wszyscy przytomni usłyszéć mogli, i z tak pojętnemi objaśnieniami, aby najmniéj nawet usposobieni zrozumieć byli w stanie.

Zgromadzenie to przedstawia prawdziwie godny podziwiania obraz, szczególniéj też w polskich prowincyach; widzieć albowiem tam można 10—12 ogromnych stołów

otoczonych ludźmi, o których w gruncie wątpić nie można, że z rzetelnéj gorliwości ku Bogu tam się zgromadzają: ubolewać tylko potrzeba, że na zaspokojenie swego duchownego pragnienia w tak zamąconém źródle czerpać muszą napoje. Jakkolwiek bądź, gdyby podczas wzmiankowanego zebrania wszedł tam kto z najbardziéj uprzedzonych innowierców, zostałby wskróś przejęty uczuciem niejakiegoś poważania dla tak szczérze gorliwéj pobożności, tak dalece, że zapomniawszy, gdzie się znajduje, uczułby może w sobie niejakiś pociąg do tego nieszczęsnego i wzgardzonego narodu, i zamieniłby pewnie uprzedzenie swoje na pewny rodzaj przychylności; a te różnorodne uczucia zrodziłyby w duszy jego życzenie, aby w podobnym sposobie religijnéj gorliwości i jego współwyznawcy, nie tylko im wyrównać, ale nawet przewyższyć usiłowali i zdołali.

Towarzystwo to ze solenném odznaczeniem obchodzi swoję roczną uroczystość, 17go dnia miesiąca *Adar*, który przypada na końcu naszego Lutego, albo na początku Marca: upowszechnione albowiem jest mniemanie, że w tym dniu Mojżesz dni swoje zakończył: w upłynionym wszakże roku, ponieważ dwa były miesiące tego nazwiska, przeto dzień 17 *Adar*, raz był przypadł na dzień 7 naszego Lutego, a drugi raz na dzień 9 Marca.

Kończąc ten krótki rys stowarzyszeń dzieci Izraela, to jeszcze mi dodać wypada, że się często zdarza, iż jeden i tenże sam członek bywa zarazem członkiem wszystkich tu przywiedzionych Towarzystw: ale inaczéj rzecz się ma co do członków towarzystwa, o jakiém mi jeszcze wspomnieć wypada; w niém bowiem dalekim jest przesąd i uprzedzenie, aby podobnie różno-rodnego typu ludzie przystęp do niego mieć mogli; chcę zaś tu mówić

o stowarzyszeniu się młodych, z postępem ogólnéj oświaty idących izraelitów.

Od czasu, jak pomiędzy chrześcianami zaczęły powstawać towarzystwa tak zwane biblijne, a szczególniéj téż jak towarzystwo londyńskie zaczęło wydawać mnóstwo dzieł w duchu biblijnym pisanych, i samo nawet pismo ś. starego i nowego przymierza, a to w różnych językach, ale téż i od wszystkich talmudycznych komentarzy oczyszczone, i one pomiędzy żydostwém upowszechniać; zdarzą się bardzo często, zwłaszcza téż u nas, po większych miastach, tak licznie przez lud Izraela zamieszkałych, napotykać na istniejące, i coraz gęściéj istnieć poczynające, jednoczenia się z tak usposobionych młodych izraelitów złożone, pod nazwą *Chewrah Tanah*, t. j. towarzystwo, którego zajęciem się jest wspólne czytanie saméj biblii, ale biblii czystéj, wolnéj od wszystkich rabińskich komentarzy. Na ten więc koniec starają się oni mieć osobny lokal, bo zwyczajny Bet Chamedrah, czyli przyszkółek, z przyczyny zapamiętałych talmudystów nie byłby dla nich dość spokojnym a może i bezpiecznym przytułkiem: czasem nawet, zwłaszcza w dni pogodne, dla téj większéj swobody, wychodząc z różnych punktów miasta, w zamiarze niby zwyczajnéj przechadzki, zbierają się na umówione ustronia, i tam pod czystym niebios błękitem chwalebnego swego dopełniają zamiaru, w zgłębianiu czystych prawd, w téj skarbnicy pisma ś. zawartych. Młodzieńcy bowiem to zgromadzenie składający, w tém co się dotyczy wyroczni Rabinów po pismach talmudycznych zamieszczonych, bez wyjątku są zupełnymi skeptykami; i dla tego godłowém pomiędzy nimi jest hasłem: „Precz z rabinizmem, précz z Talmudami,“ a natomiast: „*Reforma*“

czyli raczéj „przywrócenie zakonu, opartego jedynie na samych tylko wyroczniach prawego Boga.“

Chwała dla XIXgo wieku, że podobne ze szczepu Izraela począł wydawać latorośle! Chwała dla tych młodzieńców, którzy się nie wzdrygają czerpać rzeczywistéj korzyści z prawdziwéj i do postępu czasu zastosowanéj oświaty! Oby tylko wytrwale i coraz śmieléj w swoich usiłowaniach postępowali. Może bowiem im jest przekazane posłannictwo tego pojednawczego przekonania: *Że wyrocznie prawego Boga, w starym zamieszczone zakonie są jedném i témże samém boskości ogniwem połączone z objawioną wiarą, nowe stanowiącą przymierze* (*).

KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIÉJ,

I WYSTAWIENIU JÉJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

(Dalszy ciąg).

Jeżeli tedy dwie te jasne gwiazdy zeszły się z sobą — bo pamięć świetna onéj dziewicy i duch Szyllera — już téż nic dziwnego, iż u nas jak wszędzie, wyroiły się tłumy widzów, by ujrzéć zacną treść taką, ujętą w najszlachetniejszą formę, a cóż dopiéro, gdy u spodu afisza święciło się imię Gropiusa, onego czarodziejskiego dekoratora teatrów. Boć nam się już dawno stęskniło, by się prze-

(*) Temu to zgromadzeniu Margoliouth, nasz ziomek i twórca powołanego przez nas na początku téj rozprawy dzieła, *o stanie obecnym Judaismu*, winien swoje nawrócenie, którego z tak chwalebną gorliwością używa ku jedynemu dobru swoich przyszłych braci.

cież kiedy doczekać sceny podobnéj do teatrów reszty cywilizowanego świata, a trudnoby téż było ludzką mową wypowiedzieć, cośmy przeszli w dawnych latach z tym teatrem naszym. Szczęśliwi, trzykroć szczęśliwi wy wszyscy, coście nie zaznali tych biéd naszych. Dość wam powiedzieć, iż, lubo dzisiaj przyjął już nas w siebie gmach chędogi i obszerny; toć jeszcze tkwi w naszéj myśli, jakby złowrogi strzygoń jaki, on budynek obrzydliwéj pamięci z ulicy Śto Jańskiéj, co to zimą mroził, latem dusił, a przez cały rok tak był ohydny i bezeceny, iż nam się po dziś dzień jeszcze przyśnić w nocy może, strasząc swoim kształtem, do olbrzymiéj spluwaczki podobnym. Ot przebyliśmy to wszystko, jak się przebywa choroba jaka, jak się wiele rzeczy na świecie przebywa. Teraz wszystko jakoś inaczéj. Nie na żarty nawet, jak wam powiadam, zawitał do nas Gropius, on Gropius, którego panorama znane daleko jak świat széroki i długi, on czarnoksiężnik, co to raz postawi was na szczycie jakiéjś wieży klasztornéj w Palermo, to was przeniesie na statek wielorybi wśród lodowców lśniących i błyszczących biegunowych mórz, to znów posadzi obok gryzetki przy okienku omnibusu paryzkiego, albo inną razą stanie z wami na ganku szwajcarskiego domu, otoczywszy go cudami wiekuistéj twierdzy Alpów; a to wszystko tą szczerą, żywą prawdą, że się zrazu trudno pochwytać, w głowie się coś skręci, aż nareszcie przysiągłbyś, iż rzeczywistość bajką, ale że to co widzisz, to jedynie prawdą. Dopiéro przyszedłszy do domu, gniéwasz się, i słusznie się gniéwasz, bo któż chętnie dałby tak drwić z siebie. Ten tedy Gropius, stworzył nam już kilka dekoracyi. Zawsze z nowém upodobaniem patrzym na te dziwy pęzla jego, czyli nam się pola, góry, skały, w cudnéj perspektywie rozłożą, czyli

się na scenie las stuletnim dębem zakołysze, czyli nas świetlica pradziadowa gotyckim łukiem obejmie, zawsze wszystko tak jest pełne poezyi, tak prawdy pełne, żebyś rad do syta się napatrzyć. Inne dekoracye są znów tak sprawione, iż koło gropiusowych się wcale ostać mogą. A dekoracyom odpowiedny jest i narząd i sprzęty i stroje. Bo te szaty tak świéże, tak sute i bogate, tak się migocą atłasem i aksamitem, a tak się lśnią haftem złotym i srébrnym i litym galonem, że już czasami i zapominasz, żeś w owdowiałéj i zubożałéj stolicy krakowskiéj, ale ci się zamarzy, żeś na dworcu francuzkiego króla, lub na którego z Jagiellonów starych. I zaiste, co do uposażenia zewnętrznego sceny, ma dzisiejszy entreprener wielkie swoje zasługi, i z całém téż sercem przyznajemy mu te zalety. Jemuśmy winni, że już po nim nie lada kto, i z nie lada czém przed oczy nam wystąpi — ba, sam entreprener już nie może ustać na zaczętéj drodze: więc się słusznie spodziewać można coraz to nowych dekoracyi, coraz to piękniejszych strojów, a zwłaszcza do czasu i miejsca zastósowanych. Miał p. Chełchowski swoje zasługi, ma je i entreprener dzisiejszy. I o tém téż warto wspomniéć, iż i orkiestra pod zacnym przewodnikiem swoim p. Giermaszem wiele, niezmiernie wiele, zyskała.

Otóż tyle o saméj przyprawie. Przecież choć dekoracye, stroje, nie są furdą w teatrze, toć one dopiéro są ramkami. Nam o rzecz chodzi; my już nie dziećmi jesteśmy, nie łakniem więcéj złotych jabłuszek, dawno porzuciliśmy jasełka i szopki, ani téż więcéj nie bawimy się w żołnierze; więc nie zadawalnia nas sam widok czubiących się rycérzy o papiérowych wyzierach i płóciennych zbrojach, ani nas już nie przekupią udane stare wiarusy Napoleońskie, maszerujące łoskotnie po scenie, jak nie-

gdyś piorunnym pochodem grzmiał przez świat, że aż odgłos ich kroku skamieniał w historyi. Nam, jak powiadam, o rzecz chodzi, pragniemy wyboru sztuk i gry dobréj, choćby nie mistrzowskiéj.

Wszak Czytelnik krakowskiego Dwutygodnika przebaczy, że się tutaj na chwilkę zatrzymam, i choć dwa słówka w téj sprawie rzeknę; obiecuję atoli, iż tą razą jeszcze nie myślę rzeczy wyczerpnąć — o, dotknę się jéj z ledziuchna, delikatnie, zwyczajnie jak się to dotknąć wypada miejsca, co boli.

Otóż najprzód, repertoryum jest lub było dotychczas tego rodzaju, iż bardzo wiele do życzenia pozostawia — albowiem, to wywlekano z pod staréj rupieci tandetowéj sztuki, które dawno poszły w zapomnienie, to znów wynoszono na scenę nowe, co się umarłe zrodziły, a tak potworne, iż każdy z widzów serdecznie sobie mógł winszować, iż nie jest ojcem takiéj ramoty; albo znów zjawiły się inne, co niby pod ozdobną mową i zmyśloną serdecznością chowały przegniły cynizm moralny. Zdaje się, iż nie można nadto często przypominać onych ważnych skutków rodzących się ze sztuk wyboru, a zwłaszcza pod względem obyczajów; bo strach pomyśléć, ile u nas jadu wsiąknąć może w nieopatrzne serce, z tych zwłaszcza ramot, które pisane dla publiczności innych krajów, mających inne obyczaje, inne socyalne wychowanie. Tam te piśmidła skażonych i brudnych obyczajów mniéj są zgubne, bo razem z niemi na gruncie wzrosły wyobrażenia i treść w życiu równoważące i znoszące ich wpływy; ale rzucone wśród nas, gdzie i stanowisko umysłowe inne, inne tradycye, inna przeszłość, inny obyczaj, całe pojęcie inne, gdzie zatém nie ma uzbrojenia przeciw zepsuciu, co nam nie wiedziéć zkąd spada, więc téż wpływ jego toczy

rakiem choć nieznacznie, wsiąka milczkiem w stósunki społeczne. Pod tym względem nie czynimy wprawdzie zarzutu przedsiębiorcy naszemu, radzibyśmy jedynie wyjawić serdeczne pragnienie, byśmy w przyszłości nie widzieli nigdy skalanéj sceny naszéj podobnemi płodami złéj poezyi. Ale strona uczciwego obyczaju nie jest jedyną, która w dramaturgii na baczenie zasługuje. Jakoż mniemam, iż nie potrzeba tutaj rozwodzić się széroko nad ważném powołaniem sceny, by okazać, ile dobrego i ile złego pod każym względem, jest w rękach przedsiębiorców tych instytucyi. A jeżeli już o każdém stanowisku, które człowiek zajmuje w społeczności ludzkiéj powiedzieć można, iż stanowisko to z człowiekiem się podnosi i z nim razem upada, i że od godności, z jaką kto wypełnia powołanie swoje, zawisła i godność powołania tego; toć już z największém prawem to wyrzec wypada o przedsiębiorstwie teatrów. Wedle ducha przedsiębiorstwo sceny może być albo pomocnicą i opiekuną tego wszystkiego co jest zacném i wysokiém, albo téż będzie li spekulacyą pieniężną, mającą zysk jedynie na oku, bez względu, z jaką stratą duchową ogółu on do kassy płynie. Wszak niewymagamy bynajmniéj, ani możemy wymagać, aby którykolwiek przedsiębiorca poświęcał korzyści swoje dla dobra ogółu, bo poświęcenie takowe jedynie rząd czynić może ale nie prywatny. Mamy atoli to przekonanie, iż prawda stoi na połączeniu korzyści przedsiębiorcy z dobrem publiczności, i że się znajdą sztuki, a takich pewnie nie mała liczba, które będą miały prawdziwą wartość artystyczną, a zarazem ściągną rzęsistą publiczność do teatru. I nikt temu nie zaprzeczy, iż jak publiczność ze smakiem i ukształceniem uzacnia, podnosi i wychowuje sobie scenę, tak też scena mająca treść w sobie, wychowuje sobie i ukszta-

chętnia smak publiczności. Przyznajemy chętnie, iż przedsiębiorcy teraźniejszemu i swobody i czasu brakło, by mógł godnie uposażyć repertoryum swoje; przyznajemy mu pod tym względem i tę zaletę, iż wiele wyborowych sztuk, zwłaszcza polskich, na scenę naszą wprowadził, przecież niemniéj mamy prawo żądać, by liczne niedostatki pod tym względem uzupełnił, a lichoty, a one śmieci literackie precz powyrzucał. Tyle na teraz o repertoryum teatru naszego.

Jak zaś łatwo będzie, wedle zdania mojego, sprostować słabe strony repertoryum, tak nierówniéj twardsza sprawa ze samém wykonaniem artystyczném, to jest ze samą grą artystów naszych — a warto choćby na chwilę tutaj się zastanowić. Wszak i pod tym względem możnaby uczynić przedsiębiorcy niejakie zarzuty: bo jak z jednéj strony nie zaprzeczamy mu usilności i dobréj woli, tak z drugiéj przeminąć nie można, iż usilność jego nie zawsze wydała oczekiwane owoce. Jakoż obejmując scenę naszą, zbiérał (co do aktorów) wszystkie osoby, które się tylko nawinęły, co zapewne jest wprawdzie dowodem, że nie szczędził kosztów pieniężnych, by z czasem przyjść do wyboru osób dobranych. Przecież publiczność dotychczas nie odniosła ztąd korzyści w porównaniu dawniejszéj entrepryzy; bo za p. Chełchowskiego przedsiębiorstwa mieliśmy wszystkie te osoby, co się teraz na scenie odznaczają, a nie mieliśmy tych osób, które albo do średnich albo nie rozwiniętych jeszcze talentów należą: a tak, gdy dawniéj za każdą reprezentacyą znalazło się dwóch, trzech, cztérech z ulubionych przez publiczność artystów, tymczasem dziś rzadziéj się oni zjawiają, dla wielkiéj liczby osób składających grono aktorów naszych. Pan Meciszewski, książką swoją napisaną o krakowskim Teatrze, dowiódł

niepospolitéj znajomości rzeczy i właściwéj sobie intelligencyi; wszak w tém dziełku rozdał może zawcześnie wiele wieńców i bukietów między artystów, któreby może dziś nie wszystkie odświéżyć zechciał; ale co więcéj, w tém samém dziełku swojém nie wsparł się na zasadach sztuki, lecz sądząc wedle własnego że tak powiem uczucia, własnego instynktu, mógł wpłynąć niekorzystnie na niektórych artystów sceny naszéj tak dalece, iż i oni zarówno znów o swéj grze jak o sztuce w ogólności, wedle własnego uczucia swojego i instynktu sądzić mogą, mniéj pytając o prawidła prawdziwéj sztuki. Nakoniec rozumiem, iż p. Meciszewski zgodzi się zapewnie na to, iż mniéj szczęśliwy wybór sztuk, który się wydarzał w zimie przeszłéj, działać może bardzo szkodliwie na rozwijanie się zdolności drammatycznych; bo cóż łatwiejszego, jak spaczenie się talentu na złéj roli, i jakiém prawem możnaby się spodziéwać, iż młody artysta nauczy się np. konsekwentnie przeprowadzić grę swoję od początku do końca, jeżeli autor téj sztuki sam nie dotrzymał konsekwencyi charakterów swoich? Z tego wszystkiego wywięzuję się naturalnie życzenie nasze, by p. Meciszewski użył i zdolności i wiadomości swoich, które nam już objawił, by z całą energią wpłynął na udoskonalenie gry, zwłaszcza za pomocą prób generalnych, i prosimy, by nam wierzyć zechciał, iż z dwojga jedno obierając, przenosimy grę ukończoną i wydoskonaloną nad piękne dekoracye i bogate stroje. Mamy atoli pewną nadzieję, iż przedsiębiorca nasz, jedno z drugiém połączyć zdoła; bo zważywszy bezstronnie, jak wiele, jak niezmiernie wiele dokazał w tak krótkim czasie, już téż bez przesady mówić można, iż za jego przewodnictwem nieochybnie teatr krakowski stanie się piérwszą z doskonałości sceną polską. Więc téż niechaj uważa

zarzuty tu uczynione, jako pochodzące istotnie z uznania jego użyteczności i szczęśliwych skutków jego stanu; boć sama krytyka tam jedynie może mieć miejsce, gdzie przedmiot sam zostaje już w pewnym stósunku do doskonałości a zatém i do krytyki saméj. Milczenie krytyki jest tak pogardzeniem przedmiotu, jak chwalba niezasłużona wypływa z ubliżającéj istotnie litości.

Co się tu mówiło o samym przedsiębiorcy, stósuje się także i do samych artystów sceny naszéj; a lubo w szczególności wiele niedostatków wytknąćby można, przecież w powszechności mówiąc, ogół zasługuje na pochwałę, zwłaszcza, iż się odznacza niezmordowaniem, mającém źródło swoje zapewne w dobréj woli i w chęci wydoskonalenia się dalszego. Wszak już i pod tym względem czas nadszedł, by i u nas grę artystów drammatycznych zważyć na szalach sprawiedliwéj i bezstronnéj krytyki. Wszak pochwały niezasłużone artystów swoich dla tego, iż są swojscy, zawiérałyby w sobie to wyznanie ciche, jakoby tu potrzeba pobłażać, i jakoby ci swojscy artyści nie zdołali stanąć na stopniu, na którymby sobie zarobić mogli pochwały zasłużone. Takie pochwały tedy nie byłyby pochwałami, ale naganą i uczynkiem miłosiernym, jałmużną, jaką się daje żebrakom. Jeżeli malarze nasi, muzycy, wytrzymać zdołają krytykę Europy, nie wiedziéć dla czegoby i artyści drammatyczni nasi nie zdołali zasłużyć sobie na równą choć surową krytykę. Ta krytyka choćby ganiła, jest istotnie pochwałą, bo dowodzi stanowiska, z jakiego ona się na artystów zapatruje, i czego po ich zdolnościach wymaga. Dla tego niechaj się artyści drammatyczni nie uwodzą oklaskami, jakiemi niekiedy ich grę obsypuje publiczność nasza, niechaj nie rozumieją, iż te oklaski są krytyką rzetelną, bo nie rzadko wcale, tylko

mała cząstka tych oklasków idzie na karb i zasługę artysty drammatycznego. Jakoż połowa jedna tych oklasków należy się autorowi sztuki, co geniuszem swoim, uczuciem, myślą porywa słuchaczy, i odbija się echem wszechmocném we wszystkich sercach; te oznaki uwielbienia należą się Schakespearowi, Wiktorowi Hugo, Schillerowi, Fredrze: dla tego oklaski takowe mogą się przydarzyć i najmierniejszemu aktorowi, a gdyby on je chciał sobie przypisać, jużby się stał podobny do onéj myszki w bajce, co to siedząc na ółtarzu, sobie przypisywała dymy wonne kadzideł. Zostaje tedy druga połowa oklasków, ale i te nie należą jeszcze w całości do artysty, bo z nich wielka część dana bywa, jak to u nas się często dzieje, ot po prostu z dobrego serca i niby na kredyt; drobna tedy pozostałość tych oklasków należy się dopiéro artyście drammatycznemu. Tak bywa najczęściéj, choć znów nie zawsze. Widzimy tedy, iż artysta albo przynajmniéj człowiek chcący kiedyś być artystą, pragnąć powinien krytyki niepobłażającéj. Lecz tu jawnie się rodzi pytanie, czyli téż każda znowu krytyka jest wiary godna? czyli, ktokolwiek powié o sobie, iż jest sędzią i znawcą, ma prawo sądzenia mozolnych, a czasem bardzo twardych usiłowań obcych? Zaiste — nie. Więc jakaż krytyka zasługuje prawdziwie na to imię, i komuż téż istotnie artysta wierzyć powinien? Pytanie to rozwięzuje się prostym sposobem jak myślę, i mniemam, iż bez pochyby wszyscy się na zdanie nasze zgodzić zdołają.

Któż zaprzeczy, iż powinien być najściślejszy związek między sądem a rzeczą sądzoną. Jeżeli tedy wiemy, co stanowi istotę przedmiotu osądzonego, będziemy także wiedzieli, co stanowi sąd o niéj. Wszakoż wszystkie sztuki piękne, a zatém i sztuka sceniczna składają się z dwóch

pierwiastków: bo *najprzód* trzeba mieć zdolności przyrodzone; rodzić się artystą, a zatém mieć instynkt i uczucie piękności, którego nikt pracą ani naukami nie nabywa, ale z którém się rodzić trzeba; *powtóre*, wypada mieć ukształcenie stósowne, a z tém ukształceniem znów nikt się nie rodzi, ale się go nabywa pracą i nauką. Otóż mamy dwa konieczne pierwiastki każdego mistrza w sztuce pięknéj: zdolności i powołanie z natury, czyli uczucie piękności z jednéj strony, a naukę, pracę, wykształcenie artystyczne, czyli teoryą i zasady z drugiéj strony. Czyli sobie można pomyśléć malarza, rzeźbiarza, muzyka, architekta lub poetę, coby zdolność posiadał, ale téj zdolności nie wyrobił pracą i teoryą i nauką, albo téż któryby pracował, kształcił się, nie mając od natury daru? Nie, zaiste — jedno i drugie jest warunkiem koniecznym, aby być artystą. Jeżeli zaś te są dwa warunki każdéj sztuki pięknéj, więc téż jasno widzimy, iż zarówno i krytyka sztuki pięknéj z dwóch podobnych pierwiastków składać się powinna. Krytyk powinien mieć i z natury usposobienie, to jest mieć instynkt piękności, aby czuć, co w szczegółach jest doskonałe, a przytém mieć ukształcenie potemu, to jest znać teoryą sztuki, któréj krytykiem się staje. Jeżeli te zasady służą sztuce w ogólności, to jest wszystkim sztukom pięknym, więc téż służą i sztuce drammatycznéj, i jéj krytyce. I tutaj krytyk łączyć winien talent przyrodzony z ukształceniem, znajomością zasad i teoryi; bo taki krytyk uczuje, co jest dobre i doskonałe w grze artysty drammatycznego, a zarazem téż z teoryi i z zasad udowodnić zdoła sprawiedliwość sądu swojego. Krytyk nie tylko winien odwołać się do uczucia swojego, ale winien udowodnić z teoryi, iż jego uczucia są trafne, winien się oprzéć na zasadach. Innéj

krytyce artysta wiary dać nie powinien. Ale jeżeli z jednéj strony widzimy, na jaką krytykę zasługuje artysta, i do jakiéj on ma prawo, i do jakiéj przywiązywać ma wartość, tak z drugiéj strony równie słusznie zapytać się godzi, na jakiego to artystę krytyka taka prawdziwa wzgląd mieć może, i jaki to artysta zasługuje, aby miał taką krytykę prawdziwą. Rzecz jawna, iż jeżeli artysta prawdziwy tę krytykę za istotną krytykę uważa, która łączy w sobie od natury dane uczucie z teoryą, pracą nabytą; tak téż nawzajem taka krytyka tego tylko artystę będzie uważać za godnego siebie, który jest artystą prawdziwym, to jest tego, który także łączy w sobie uczucie, to jest talent przyrodzony z teoryą ogólną, i wykształceniem artystyczném. Aktor tedy, który tylko uczuciem i instynktem się rządzi, a nie opiéra się na teoryi i nauce swéj sztuki, zasługuje tylko na krytykę, która się również wspiéra na uczuciu, na instynkcie, a nie na teoryi sztuki. Taki wrzkomy artysta nie ma bynajmniej prawa wymagać, aby mu krytyka udowodniała z teoryi i zasad swych sądów; bo on sam nie opiéra się na teoryi i zasadach, ani téż z teoryi i zasad usprawiedliwić i udowodnić nie zdoła swéj gry. Kto z uczucia, z instynktu oddaje rolę swoję, daremnie się będzie odwoływał do siebie samego, mówiąc, że on czuje, iż tak a nie inaczéj rola ta wykonaną być winna; krytyk i z nim cała publiczność ma prawo odpowiedziéć, iż ona przeciwnie od artysty czuje, i że czuje, że téj roli wręcz przeciwna gra się należy. Niechaj się artysta sceniczny wspiéra nie tylko na uczuciu swojém, ale na teoryi i na zasadach; wtedy téż nie tylko wedle uczucia, ale téż wedle zasad sądzonym będzie. Jeżeli się zaś zdarza, iż aktorów grających wedle instynktu i uczucia własnego spotka krytyka utwierdzona na nauce i teoryi sztuki, toć by tylko okazywała, iż w tym

razie krytyka znajduje się na wyższém stanowisku niż samo wykonanie artystyczne.

Uważmy, iż téż świat postępował sobie zupełnie zgodnie z prawdami tu wyłożonemi. Póki rozumiano, iż aktor obejść się może bez nauki i teoryi, póty téż trwały uprzedzenia społeczne przeciw całemu stanowi temu; lecz od czasu gdy poznano, iż do sztuki scenicznéj, tak jak do każdéj innéj sztuki, potrzeba nie tylko daru naturalnego ale i nauki i ukształcenia, od tego też czasu sztukę sceniczną nazwano istotnie sztuką, a aktorom jako wykonawcom sztuki téj przyznano godność artystów, a przyznano im ją w nowych czasach, co dowodzi oświaty i cywilizacyi wieku naszego. Z tego wszystkiego okazuje się, iż kto zechce być artystą prawdziwym, nie pustym uzurpatorem tego imienia, przedewszystkiém uczyć się winien, i nabrać tego ukształcenia umysłowego, które stanowią treść i wagę każdego człowieka, a wtedy się dopiéro spodziewać można, iż nabierze jasnego pojęcia swéj sztuki i godności jéj. Bez pracy niczego się w świecie nie osięga, a najmniej imienia artysty; a mniemanie, iż saméj sztuce teatralnéj można poświęcić się bez poprzedniczego przygotowania, bez nauki, byłoby ubliżyć sztuce swojéj i odebrać jéj właśnie cechę czyniącą ją sztuką: a gdyby sam artysta sceniczny rozumiał, iż mu nie potrzebna praca umiejętna i nauka, jużby poniewierał sztuką swoją, a zatém i sobą samym, bo jeżeli artyści by tak lekce ważyli sztukę, pytam się, któż ją szanować będzie? Pytam się, cóżby to była za sztuka, gdyby przystępującemu do niéj wolno było nie mieć żadnych nauk, żadnego ukształcenia? Więc aby być dobrym mularzem, cieślą, kamieniarzem, potrzeba mieć wyobrażenie o zasadach jeometryi, mechaniki i innych podobnych naukach i uczyć się tych

rzemiosł dobrze i pilnie, myśleć nad niemi i wiele wzorów dobrych widzieć; lecz aby być artystą, aby stanąć w tak zaszczytnym stopniu w towarzystwie, można poniewierać tém, co umysł człowieka kształci, co mu dodaje treści i głębi? A co więcéj, czyli się tu można obejść bez wzorów, a nadewszystko bez teoryi i zasad swéj sztuki?

Jaka zaś jest ta teorya, na czém stoi ta architektonika sztuki dramatycznéj, jakie są te zasady, o tém wszystkiém niepodobna rozprawiać dostatecznie w artykule pojedynczym; jest to treść mogąca napełnić kilka tomów. Jakoż inne literatury są już dość uposażone w dzieła téj osnowy, a tak zabrały się od niejakiego czasu do uprawienia jéj, iż ona, co niegdyś odłogiem spoczywała, stała się dziś gałązką jednéj z umiejętności filozofii, to estetyki. W naszéj literaturze pod tym względem prawie powszechne panuje milczenie; a ta okoliczność właśnie tak utrudnia u nas powołanie krytyka, bo nie ma się do czego odwołać, bo zasady ogólne nie weszły jeszcze w świadomość ogólną publiczności: krytyk przy każdym sądzie swoim o grze jakowéj, byłby obowiązanym rozwinąć teoryą zasad, na których stanął. A nadto wypadałoby mu przed każdą krytyką rozwinąć myśl sztuki granéj, wyświécić ducha jéj autora, rozebrać jéj treść i wartość poetycką.

Jeżeli jednak twierdzę, iż bez nauki właściwéj i teoryi nie ma artysty; toć już tém bynajmniéj nie powiadam, iż cała ta nauka i teorya w księgach spoczywać może: owszem, nie ma wątpliwości, iż jeżeli artysta i ze siebie samego nie rozwinie własnéj refleksyi, i jeżeli się nie zapatrzy na żywe wzory swéj sztuki, cała umiejętność w księgach zamknięta będzie martwą, i bynajmniéj nie wyda plonu; będzie ona pustą abstrakcyą. *(Dalszy ciąg nastąpi).*



przez

Fr. Wiesiołowskiego.

Niech djabli porwą te przemierzłe miasta,— mówił p. Piotr w traktyerni pod Dębem, ocierając czoło z potu i dzwoniąc w szklankę na kelnera, by mu podał wódki, a potém zupę i t. d. Kilku przy stole siedzących pana Piotra znajomych jęło go witać i wypytywać o przyczynę tak złego humoru.

— Ktoby tu był lepszy, zapytaj moich nóg i kieszeni, trzy dni bruk zbijam jak opętany, trzy dni sypię cwancygierami na wszystkie strony i nie mam miastu złorzeczyć! — O, już to prawda, rzekł p. Jan, tylko się pokaż w mieście, aż strach co zaraz wydatków: — adwokatowi płać, w sklepie płać, w oberży drą, niech pan Bóg broni! najgorsze jednak te kobiece sprawunki; człowiek się na tém nie zna, wszystko przepłaca, i najczęściéj jeszcze burę weźmie, że źle kupił. Postanowiłem sobie już raz w sekrecie wyjeżdżać z domu, by uniknąć tych nieznośnych poleceń; ale gdzie tam, zaraz zwąchają i zawsze im czegoś brakuje, to jakiegoś tuliku, to bucików, to tam jakiego terefere na szlafroczek, dosyć że kilkadziesiąt reńskich jak wymiótł z kieszeni. — Ej co tam, to wszystko nic, przeczytajno moję konotatkę, spis dłuższy jak ten oto na stole, a jednak wszystko trzeba uskutecznić, bo inaczéj ani pokaż się w domu; — i dobywszy zapisaną ćwiartkę papiéru p. Piotr, podał ją Janowi do przeczytania głośno: 1) U krawca zapytać, na kiedy będzie gotowy szlafroczek materyalny, co mu przesłałam przez faktora; jeżeli sznurów zamało, dobrać jedwabiu i dać szmuklerzowi do roboty, tylko

téż jedwab według próbki. 2) Pończoch ażurowych par dwanaście, tylko téż proszę cię nie jednakowych, ale każda inna, najlepiéj dla pewności wziąść je w dwunastu sklepach. 3) Wstążek u Warszawskiéj takich jak brała u niéj pani M. 4), 5) i 6) zapisane było różnemi drobiazgami, nareszcie 7) guwernera do dzieci, bo wielka z nimi bieda, tylko biegają, swawolą, a uczyć się niechcą; z drugiéj strony papiéru wypisane były interessa jegomości, być u adwokata P., pomówić z referentem B., zrobić podanie C. i t. d. i t. d. — A co Janie, nie trzeba tu trzech głów miasto jednéj, by temu wszystkiemu podołać? a przecież wszystko już ułatwione i za godzinę wyjeżdżam.

— Jak to, i guwernera już masz? zapytał Henryk.

— Ba! to téż za tém nachodziłem się najwięcéj, gdzieś po piętrach, po strychach, i ledwo ledwo znalazłem. Gdzie to teraz panie, ani weź którego, zaraz 500, 600 reńskich pensyi, a do tego wymysłów, kaprysów, co nie miara; naprzykład, ten co się oddalił, — płaciłem 600 fl. m. c. dogadzałem jak mógłem, osobne stancye, służących i t. d. za to myślałem, że przecież prócz téj nauki chłopców będę miał jakową pomoc w domu. Nie raz wypadnie czy co napisać, czy dojrzéć w gospodarstwie, czy wyjechać gdzie za interesem, myślę sobie, dobrze będzie posłużyć się kim; gdzie tam! skończyły się lekcye, on daléj do książki zasiada, a chłopcom każe się bawić przy sobie jak na uwięzi, albo gdy chłopcy u matki, on do fortepianu i nuż dukać jakieś tam rullady, passaże, exercycye, aż uszy bolały. A dopókiż téj nauki! ja przecież płacę za to, żeby umiał, a nie za to, żeby się sam uczył; mówię raz, drugi, delikatnie, gdy nie pomogło wziąłem się ostrzéj do panicza, aż tu ztąd fochy, dąsy, dziękuje za miejsce, wyjeżdża,

bywajże mi zdrów mój panie! przecież za pieniądze dostanę téj łaski.

— Nie tak to łatwo, jak sądzisz, zwłaszcza o człowieka zdolnego, jakim był twój; szkoda wielka, że się go pozbyłeś.

— A to dobre, mój Henryku! żebym ja téż za taką ogromną zapłatę nie mógł żądać choć czasem wyręczenia, pomocy; człowiek młody powinien przecież sam brać się do czego, ale to u tych panów nic w głowie tylko po powietrzu latać, jakieś niewczesne teorye wymyślać, słowem próżnować. Gdzież, kiedy to powiadam ci, nawet dla zabawy nigdyś go nie poruszył: mam konie wierzchowe, mam psy i strzelby, żeby téż kiedy przyszła mu ochota przejechać się konno albo wyjść w pole; wyprowadzają konia i ten ani spojrzy, ani się przysunie; wziąłem go raz prawie gwałtem na polowanie, psy gonią aż głucho po lesie, ten postawił strzelbę i czyta gazetę. Niechże cię kaci porwą, myślę sobie, to nie polska krew w tych ludziach.

— Mylisz się, kochany Piotrze czyniąc mu podobne zarzuty; potrzebne są prace fizyczne, dobre są rozrywki, ale człowiek oddany kształceniu młodzieży, powinien nadewszystko ćwiczyć się sam umysłową pracą; mało jest takich, coby oddani jednéj, nie czynili uszczérbku drugiéj.

— Już ja tam dziękuję, żeby mój Włodzio albo Staś wyszedł na takiego belfera; chłopcy jak iskra, za koniem, za bronią aż drżą, a tu robią z nich bakałarzów. Przecież i ja byłem młody, uczyłem się także, a nie było to tak nudnie tak pedantycznie jak teraz; guwerner nie raz i skurę wyłatał, ale za co? za figle, za psoty, nie za książkę pewnie, bo gdzie téż to chłopcu w tym wieku być literatem. I na cóż się to przyda? czy

to którem z nich ma być księdzem czy professorem? dziad, był dobrym obywatelem, sąsiadem, gospodarzem, więcéj nie potrzeba, i ja téż więcéj mieć nie chcę.

— To bardzo dobrze, rzekł Henryk, jednak pamiętaj, że i twe chłopcy będą mieć kiedyś swoję wolę, i oni będą chcieli, a może właśnie zechcą być czém innémi, jak ty zamierzasz; wtedy zapóźno im będzie odzyskać czas utracony, a miasto wdzięczności za odebrane wychowanie, skończy się na niezadowolnieniu z siebie, na żalu do rodziców i wiecznych wyrzutach, których nic zatrzéć, nic wynagrodzić nie zdoła. Częstokroć wprawdzie wszelkie starania, wszelkie zabiegi nie odpowiedzą oczekiwaniu rodziców, ale nie zważając na to winni oni pełnić swój obowiązek. Młodzieniec do lat 18tu lub 20tu jest tylko planem, tylko projektem na człowieka; co umysł młody wsiąknął w siebie, częstokroć późniéj dopiéro się rozwija. Okropna jest, gdy wtedy obudzą się w nim zdolności, obudzą się chęci, a nie ma materyałów. Natenczas puści on się w świat jako rzemieślnik bez narzędzia, jako lampa bez światła, jak okręt bez steru; niesmak, upokorzenie codzienne, brak zaufania w tych, co zmarnowali im zdolności i młodzieńcze siły, nie dając pomocy do ich rozwinięcia, czarną niewiarą pokryje najlepsze nawet dawane im rady i przestrogi, a własnym puściwszy się torem, gorące swe żądze, burzliwe namiętności skierują oni może na złe, szkodliwe sobie i drugim.

— No już zobaczysz, że tak źle nie będzie, uśmiechnął się p. Piotr; dobiorę ja sobie nauczyciela, jakiego mieć pragnę. Ten, co dzisiaj go przyjąłem, bardzo mi się podoba, chłopiec oczytany, jak mi jął prawić, ażem osłupiał; to mi to nauka, kiedy ją znać przecie. Tamten zaś nigdy nic nie mówił, chyba z dziećmi albo z podobnym sobie nudziarzem. I tak p. Eugeniusz skoro się zjawił, to to do-

piéro mój pan jakby się urodził, dopiéro to daléj z nim rozprawiać, dysputować, kłócić się, choć nie było o co; ten powié czarne, ów białe, i nuż dowodzić, przytaczać jakieś tam szpargały, nie raz ażem chrapnął tak mnie unudzili. Ze mną sam na sam nigdyś go nie usłyszał, deszcz, pogoda, zielono w ogrodzie, kwitnie tam jakowa roślina; oto cała rozmowa; zresztą chodził zadumany jak rabin marmorajne, co to mówił mi raz żyd na popasie, kiedym zapytał, dla czego dwóch naprzeciw siebie siedzących siwych żydów nic do siebie nie mówiło: „Nu, na co oni mają mówić, kiedy jeden wié, co drugi myśli.“ Djabeł mi tam z takiego rozumu, gdzie niema praktycznego; rozsądek zdrowy, rozum naturalny, o to mi dawaj, to potrzebne w życiu, z tém to znajdzie się i pociecha w smutku i umiarkowanie w szczęściu i rada w potrzebie; ci zaś panowie dopóty tylko mądrzy, póki z książką w ręku, a niech no któremu za pozwoleniem urwie się guzik od surduta, już przepadł, już nie poradzi sobie; do tego państwo w głowie, fumy, ani pomyślić, że się służy i nie jest równym temu, co płaci.

— Jeżeli tak, jeżeli chcesz mieć sługę za guwernera, wybacz mi, ale mieć go nigdy nie będziesz.

— A to czemu, czyż guwerner nie służy, nie bierze płacy tak jak inny?

— Jeżeliby przyszło tylko na cwancygiery wartość ludzi redukować, dobrze mówisz, masz słuszność niezaprzeczoną; służyć jednak a służyć jest wielka różnica. Człowiek, jako istota moralna i materyalna dwojakie ma przeznaczenie, dwojakie ma on wypełnić obowiązki: jedne dążą do utrzymania jego bytu fizycznego, drugie do wykształcenia moralnego. Dokładne wykonanie piérwszych czyni go tylko rozumném zwiérzęciem, gdy tém czasem drugich wy-

pełnienie wznosi go do godności rozumnéj istoty. Ludzie wyłącznie fizycznéj oddani pracy, która im wiele zajmuje czasu, nie mają sposobności kształcić się umysłowo; wartość ich moralna zasadza się ledwo na dokładném pełnieniu podjętych obowiązków i na życiu cnotliwém, tego bowiem prawidła bez nauki, bez natężenia każden znajdzie w swém sercu wyryte. Wykształcenie zaś umysłowe, wiedza oparta na długoletnim zbiorze cudzych doświadczeń i wiadomości, wymaga wyłącznego oddania się umysłowéj pracy; przez nią to człowiek podnosi godność swoję, przychodzi do poznania siebie samego i drugich, rozróżnia prawdę od błędu, złe od dobrego, a zbadawszy przeszłość, zgłębiwszy przyszłość, w krainie myśli owoc urwany podaje spragnionemu bratu w zamian za pracę. Bóg dozwolił moralném ćwiczeniem stawać się jemu podobnym, a ty dziwisz się Piotrze, że guwerner twój chce się zrównać tobie.

— Ba! ba! panie Henryku, odezwał się z boku pan Grzegórz, wszystko co mówisz jest bardzo piękne; niezaprzeczenie ludzie nauki, ludzie myślący powinni być lepiéj uważani jak najemny wyrobnik bez wychowania i oświaty, cóż kiedy najczęściéj dzieją się z tém nadużycia, jak ci tu tysiączne przytoczę przykłady; exaltowane twoje wyobrażenia nie dadzą się użyć w praktyce, bo z ludźmi nie da się postępować według różowych teoryi.

— Kilka razy już z ust twoich, Grzegorzu! słyszę zarzut exaltacyi, owéj choroby umysłu, owéj grzecznie przezwanéj waryacyi, dążącéj wszędzie do przesadnéj ostateczności, bez względu na zdrowy rozsądek; ale wierzaj mi, jeśli ja przesadnie bujam po powietrzu, ty znów przesadnie brniesz w rzeczywistości. Są rzeczy, których niepodobna pociągnąć z sobą w odmęt codziennego życia; są uczucia, myśli, są prawdy

wieczne, które nie bacząc osób ni wyjątków, niezmiennie przyświecają ludzkości jak gwiazdy stałe wpośród migocących świateł niebieskich. — Co powiedziałem o guwernerach, tyczyło się ogółu, nie wchodząc w szczegół; wiem, że są wyjątki.

— Ja ci tu tylko jeden przytoczę, przerwał p. Grzegórz: wiesz dobrze, co miał mój sąsiad p. Walenty z takim paniczem; pieścił, psuł, uważał za przyjaciela domu, cóż ztąd wynikło, oto paniczowi rogi rosły, począł w szlafroku z fajeczką do pokoju jejmości przychodzić, aż nareszcie ledwo że i samemu panu rogów nie przyprawił, szczęściem, że trafił na osobę tak godną jak jest pani Marya, i zaraz wyforowali z domu szałaputę.

— O takich ja tu nie mówię, rzekł Henryk. Człowiek nie umiejący zachować się przyzwoicie, nie umiejący szanować praw gościnności, nie dla tego że służy, ale dla tego że nie godzien szacunku, nie powinien być za przyjaciela uważany; potrzeba téż umieć zrobić wybór, trzeba znać się na ludziach, i nie w konotatce pomiędzy sprawunki, nie w regestrze przychodu i rozchodu pieniędzy, ale w sercu rodzicielskiém zapisać obowiązek starania się o nauczyciela rozumu, o kształciciela serca dzieci, owego to skarbu powierzonego nam przez stwórcę do przechowania owéj ziemskiéj nieśmiertelności naszéj, przez którą byt nasz przedłużamy do potomności.

— Widzę, rzekł p. Piotr, mnie tu dajesz przycinek, ale nie taję się z tém, tak jestem znudzony i zniechęcony do tych panów, że gdyby nie żona moja, co mi ciągle głowę kłopoci, już bym się wolał obejść bez żadnego.

— Nie masz się z czém chwalić, dziwię się nawet, iż przyznajesz się do tego.

— Lecz wracając do rzeczy, któż był ów panicz? jak go zowie pan Grzegórz. Znałem go doskonale, bez żadnych gruntownych wiadomości, bez żadnego charakteru; ułożenie salonowe, niewczesna duma i zarozumienie, gładkie wysłowienie się, oto wszystko co posiadał. Oddany próżności i zabawom, obowiązek swój pełnił bez zamiłowania, bez powołania, li tylko jako zyskowne rzemiosło; dziećmi nie zajęty nigdy, oprócz lekcyi, zbywszy je jak można najprędzéj, wystrojony i wypomadowany myślał tylko o zabawach; chłopcy téż zostawieni sami sobie nie tracili czasu, przesiadywali w stajniach, jeździli konno po folwarkach, palili fajki i t. d. i t. d. — Taki człowiek choćby nawet posiadał wiadomości i talenta, nie zdolny jest być guwernerem i ledwo można nazwać go nauczycielem; *gouverner* bowiem po francuzku, znaczy rządzić, to jest rozrządzać dziećmi w każdéj dnia porze, tak jak późniéj, gdy te nieświadome istoty przyjdą do poznania, będzie niemi rządził własny rozum i doświadczenie: dla tego guwerner powinien być nieodstępnym, obcować z dziećmi ciągle, uważać na ich postępki, mowy, wyrażenia, wpływać na młode dusze własnemi przykłady, rozwijać młode umysły rozumną rozmową.

— O, dziękuję ci za to, powiedział p. Jan, sam miałem takiego guwernera w młodości, ten nigdy nie odstępował mnie, czyli raczéj nie dał się odstąpić; ale téż za to gdzie on to i ja, on do kawiarni, ja za nim, on do cukierni, ja za nim, słowem wszędzie mu towarzyszyłem i wierzaj mi nie wiele się zbudowałem.

— Dajmy już temu pokój, zniecierpliwiony rzekł Henryk, widzę nie rozumiemy się i nie zrozumiemy nigdy; powtarzam tylko, co już raz wyrzekłem, że nie wchodząc w szczegół, nie biorąc na cel pojedynczych osób, co powiedziałem, ty-

czyło się ogółu, gdyby bowiem każdą prawdę, każdą zasadę przyszło stósować, rozbierać na cząstki, wszelkie ustawy społeczeńskie, wszelkie nawet prawa polityczne rozdrobniałyby na nic nie znaczące atomy i w niczém nie byłoby zasady. — Dla tego też, co mówiłem, nie stosuję do ludzi niegodnych, zepsutych i krzywo rzeczy widzących, ale do tych, co zdolni pojąć powołanie swoje, przejęci jego wielkością, pojmując piękność jego, zyski pieniężne, utrzymanie bytu swego materyalnego za rzecz podrzędną uważając, duszą i ciałem poświęcili się kształceniu małoletnich przyszłych pokoleń. — Ci ludzie godni są czci i uwielbienia, oni stoją na równi z najzacniejszymi obywatelami kraju.

— Kellner! podać mi rachunek! zawołał p. Piotr — godzina późna a do domu daleko.



DONIESIENIE LITERACKIE.

Nakładem Józefa Cypcera wyjdzie nie zadługo dziełko pod tytułem: Lesława Łukaszewicza Rys Dziejów Piśmiennictwa Polskiego poprawił, uzupełnił i do ostatnich czasów doprowadził Waleryan Kalinka. Wydanie trzecie.

W tym krótkim przeglądzie ojczystéj literatury umieszczeni będą wszyscy znakomitsi Autorowie po polsku piszący. Tak prędkie wyczerpnięcie dwóch poprzednich wydań (co u nas rzadkim jest pojawem) jak i zaprowadzenie po szkołach jako elementarnéj książki najlepszym jest dowodem użyteczności takowego dziełka. Te okoliczności, jako też znaczny postęp i odmiana piśmiennictwa w ostatnich latach zmusiły wydawcę do obmyślania trzeciéj edycyi.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁA WYSZŁE W WARSZAWIE:

Opis Marienbadu ułożony ze względu na potrzebę osób tam się udających, z dodaniem wiadomości o zachowaniu się przy używaniu wszystkich wód mineralnych, tak naturalnych jak sztucznych, podług dzieł J. Ad. Frankl in 12mo. W drukarni Dietricha w komisie P. Sennewalda.

Wspomnienia Rzymu dzieło M. B. Poujoulat, przekład Zenonima Ancyporowicza in 8vo nakład S. Orgelbranda. W drukar. pod firmą M. Chmielewskiego.

Kain rozbojnik Morski powieść w trzech tomach z francuzkiego (oryginał angielski Marryata) in 12mo, nakład wydawcy. W drukarni J. Dietricha.

Rys historyi nowożytnéj napisał Michelet. Dzieło przyjęte przez Radę Królewską Uniwersytetu i przepisane do wykładu historyi nowożytnéj w kolegiach królewskich i instytutowych wychowania publicznego przełożył Oskar Stanisławski, in 8vo Warszawa nakładem Redakcyi Gazety Warszawskiéj.

Ukrainki z Nutaju Tymka Padury in 8vo u Hustawa Ł. Hliksberha, w drukarni S. Strąbskiego.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W* ***Cesarstwie Rossyjskiém****, w* ***Królestwie Polskiém****, w* ***Królestwie Pruskiém*** *i* ***W. X. Poznańskiém*** *w Urzędach pocztowych prenumerować można. W* ***Galicyi*** *zaś tylko księgarnie przedpłatę przyjmują.*

DWUTYGODNIK
LITERACKI.

N. 10. Kraków dnia 15 Sierpnia. 1844.

MĘKI I KARY
W MIASTACH DAWNÉJ POLSKI.

Prawo dawne miast polskich, które Kazimiérz W. w 1356 roku wprowadził, zwane prawem magdeburskiém, *Speculum Saxonum*, stanowione było różnemi czasy, w mieście Magdeburgu, w części osobliwie cywilnéj, na zasadzie praw rzymskich, a w reszcie z prawa polskiego, saskiego i ustaw miejscowych; w Polsce przyłączono do nich niektóre urządzenia krajowe. Szlachta prawem tém sądzoną być nie mogła.

Prawo magdeburskie kryminalne, nad którém się tu obszerniéj zastanowimy, widoczne i nazbyt wyraźne piętno wieku swojego nosi. Srogie kary usprawiedliwionemi być mogły w owym czasie, gdy obyczaje narodów środkowéj Europy, chrystyanizmem jedynie nieco złagodzone, zostawały jeszcze w stanie dzikości wieków rycerskich, z zabytkami koczującego życia; a napady ludów ze wschodu niszcząc każdy zaród cywilizacyi i dostatki krajowe, rozrywały towarzyskie stosunki mieszkańców, którzy nie myśląc już o

wspólném szczęściu, zaspokojenia własnych jedynie potrzeb szukali. Potworzono zatém kary bardzo surowe, wiele też dzikich zaostrzeń przydały im wieki późniejsze, osobliwie w prześladowaniach błędnym fanatyzmu religijnego zapałem gorliwie kierowanych.

Przed wyliczeniem kar za przestępstwa i zbrodnie wspomnijmy wprzód o mękach czyli sądowych badaniach przy dochodzeniu winy.

Męki.

Na męki nikt nie mógł być danym bez pewnych i dostatecznych znaków czyli dowodów złoczyństwa jego. Dopiéro gdy i wtenczas obwiniony nic zeznać nie chciał, lub téż fałszywe okoliczności zeznawał, po poprzedniém obiciu miotłami męczono go: „wodą gorącą, octem, laniem wrzącego oleju w gardło, smarowaniem siarką, smołą gorejącą lub słoniną, głodem, pragnieniem wielkiém, przyłożeniem na pępek myszy, szerszeni albo jakich innych robaków jadowitych, nakrytych bańką, ażeby tak wyjść nie mogły, ciało cierpiącego dręcząc: jako téż gdy złoczyńcę ku ławie przywiążą, nogi jego słoną wodą namażą, potem kozę przywiodą, która rada sól jada, aby pięty onego złoczyńcy lizała: który ból powiadają być okrutny, bez obrażenia cielesnego“ ([1]). Wszakże były to więcéj wymysły kata lub nielitościwych Sędziów; podług zaś przepisów prawa męczono „ciągnieniem powrozami, *(tortury)*, gdy nago złoczyńca, na węższéj ławie niż ciało jest, bywa pod pachę przez piersi przewiązan, potém wielkie palce u nóg bywają związane, a powróz od nich około osi u koła okręcą, aby tak obracaniem koła ciało złoczyńce ku wypowiedzeniu prawdy było ciągnione. Nie-

([1]) Porządek sądów miejskich etc. Kraków 1630 stron. 217. Jodacus Domaderius w Księdze: De Praxi rerum criminalium.

którem téż pierwéj wszystkie włosy brzytwą ogolą dla opatrzenia, aby jakich kunsztownych pomocy we włosach nie miał, według czarnoksięstwa, albo czarów innych, za któremi więc żadnéj męki nie czują“ (²).

Za każdém objawieniem chęci zeznań folgowano cokolwiek, nie wspominając niczyjego nazwiska; trafiało się bowiem, iż męczona ofiara z bólu wywoływała w zeznaniach swoich nieznajome nawet osoby, zasłyszawszy tylko ich imię. Zapiérającego się po mękach męczono powtórnie, lżéj jednak, i jeżeli tą razą zaprzeczał, już raz trzeci męczonym być nie mógł. Żadne zeznania nie były ważne bez dobrowolnego w sądzie potwierdzenia na drugi dzień po męce. Syna męczono wprzódy niż ojca, żonę wprzód niż męża. Gdyby męczony nie przyznał się, ani urząd ani skarżący nie ponosili kary żadnéj za to, również nie wynagrodzono mu wynikłych ztąd krzywd lub szkód na zdrowiu i majątku, choćby się okazało że był niewinny, wyjąwszy gdyby przedsięwzięto mękę bez prawnych poszlaków. Wydatki na kata i oprawców ponosił urząd.

Wolni byli od mąk: doktorowie, rycérze, przełożeni, urzędnicy, starcy, kobiéty czasu brzemienności, i małoletni do czternastu lat; ostatnich smagano tylko rózgami pod pręgą. W badaniach jednak o występki przeciw krajowi lub monarsze nikogo nie wyłączano: „téż nie czyni nikogo wolnym od męki, wydanie a zdradziectwo ojczyzny swéj, poddanie miast, zamków nieprzyjaciołom, któżkolwiekby był takim“ (³).

Były częstokroć przykłady, iż złoczyńcy zadawali sobie wzajemnie i dobrowolnie męczarnie rozmaite, ażeby po pojmaniu snadniéj takowe znosząc, zbrodnie swoję zataić.

(²) Porządek sądów miejskich etc.
(³) Tamże.

Kary.

Zabójcę ojca, matki, syna, krewnego, zaszywano w skurę albo w wór razem z psem lub kunem, jaszczurką (4) albo małpą i topiono w rzece; za zabicie własnego dziecięcia karano utopieniem: „a piérwéj niżeli będzie utopioną, ma być w ogniu rozpalonemi kleszczami targana, według nauki a rady ludzi w prawie biegłych. Gdzie zaś podobne zabójstwa częściéj się wydarzają, tam białogłowa taka ma być według obyczaju żywo zakopana, a palem przebita“ (5). Za porzucenie dziecka, jeśliby umarło karano także śmiercią. Za zabójstwo rozmyślne, wplatano w koło, włócząc wprzód koniem po rynku. Zabójstwo z gniewu, uniesienia lub z zawziętości popełnione karano mieczem; zabójcę jakiéj znakomitéj osoby, pana swojego, krewnego lub przyjaciela, przed śmiercią targano jeszcze rozpalonemi kleszczami, lub téż włóczono końmi. Popełniający zabójstwo przygodnę, płacili *wargielt*, to jest wynagrodzenie pieniężne. Wargielt podług prawa magdeburgskiego wynosił złp. 20; lecz według zachowywanego w Polsce zwyczaju ludzie możniejsi w większych miastach płacili grzywien 30, w mniejszych miastach 15, a na wsi za zabicie kmiecia grzywien 10 (6). Za małoletnich, którzy do lat 14 śmiercią karani być nie mogli, płacił opiekun. Zabójca niewolnika (Turka, Tatara i t. p.) odpowiadał jego panu; jeśli zaś niewolnik co

(4) „Jaszczurka znaczy nieszczęśliwość rodziców, albowiem jaszczurka samiec gdy się z samicą schodzi głowę swą w jéj usta włoży, którą potém samica w sobie ugryzie. A jaszczurzęta gdy się mają wylęgnąć, wygryzają się z żywota samicy, tak, że i samica zdechnie (!!?).“ *Porządek sądów etc.* **234**.

(5) *Postępek wybrany z praw etc. Krakowskich 1629 str. 67.*

(6) *Artykuły praw Magdeburskich i Krakowskich 1565.*

zawinił, pan powinien go wydać osobie skrzywdzonéj, albo zań odpowiedzieć. Usiłowane zabójstwo karano tak, jako i dokonane, pomocnicy ponosili z głównémi sprawcami równą karę. Morderca ukryty przez lat 10, wolny był od śmierci, a po 20 latach ukrycia od wszelkiéj odpowiedzialności. Słudzy urzędowi uciekającego złoczyńcę mogli zabić; podobnież każdy w obronie własnéj, gdy mu gwałt niebezpieczeństwem życia zagroził, i tylko trzema świadkami wywieść się poźniéj należało. „Dzieci nakształt bestyî jakich rodzące się mają być zarazem zadławione“ *(Porządek etc.)*.

W napadnięciach przez wiele osób, tylko zadający ranę śmiertelną ponosił karę jako morderca.

Za podburzenia lub niechęcenie przeciw zwierzchności, bito u pręgierza miotłami, lub wyganiano z miasta. Gdy zaś kto w zbiegowiskach burzył publiczność, albo lżył urząd, chociażby ztąd żadna szkoda nie wynikła, karany bywał mieczem.

Złodziejów za kradzież wartości trzech złp. wieszano (Sp. Sax. L. 2, art. 3); za mniejszą zaś bito u pręgi. „Te złodzieje, którzy we dnie kradną, mieszki, wacki, kalety kryjomie rzeżą, za pierwszém krądziectwem, je na twarzy cechują; za wtórém obiedwie uszy urzynają; za trzeciém krzyż na czole wypalają żelazami, a za każdym razem je miotłami w pręgi biją; a za czwartém już ma być powrozem na szubienicy nacechowany, aby więcéj ludziom nieszkodził“ (7). „Zboża albo owce gdy kto w nocy z pola ukradnie, albo z sadu, albo z gumna, tedy ma być obwieszon, a zwłaszcza o zboże; a jeśliby we dnie kradł, tedy ma bydź ścięt“ (8).

(7) *Jus Municipale art. 38.*
(8) *Spec. Sax. L. 2. art. 39.*

Wspólnicy i pomocnicy kradzieży, ponosili tęż karę co i główny sprawca. (Jus. mun. L. 2, art. 13). „U kogo fałszywe kostki najdą, ma bydź karan jako złodziej ([9]); bo gracz jest jako zbójca, gdyby mógł inak mieć tego pieniądze, z którym gra, iżby je mógł ukraść albo wydrzeć, tedyby nie grał: ale iż tego nie może uczynić, grą tedy dostać usiłuje."

Podpalaczy karano podług prawa polskiego paleniem żywo; rabusia i zdrajcę wpleceniem w koło.

Za znieważenie panującéj religii karano na zdrowiu i na gardle; uważając przy tém wielkość winy, stan i osobę przestępcy. Podług statutu Władysława Jagiełły z roku 1424 heretycy mieli być mieczem karani, majątek zabrany na króla, a dzieci ich praw cywilnych na zawsze pozbawione. Prawo to atoli nigdy w zupełném nie było wykonaniu, owszem przez późniejszych monarchów niezawisłość opinii religijnych zaręczoną została; lubo zdarzyły się niekiedy nadużycia, w których gorliwość błędnego fanatyzmu skazywała różnowierców na stosy. Czarownicy bywali także paleni, czarownice zaś zwykle topiono. „Żyd gdyby chrześcianina na swoje sektę namawiał, będzie mieczem karan." *(Porządek etc. 51).*

Wina krzywoprzysięstwa dobrowolnego, albo tego, który z wiadomości krzywo przysięga jest, iż się staje beżecnym, i świadczyć nie może, a dla tego do żadnego dostojeństwa przypuszczon nie będzie: a jeśliby kapłan był w tém przekonan, straci kapłaństwo" ([10]).

Wielożeństwo pociągało za sobą karę śmierci; za gwałcenie cielesne niewiast oraz za cudzołostwo, kara

([9]) *Spec. Sax. L. 2 art. 6. Artykuły prawa Ed. V. p. 20 str. 99.*
([10]) *Speculum Saxonum* tłumaczenie **Szczerbicza** edy. Warszaw. r. 1646 str. 304.

miecza; atoli w dwóch ostatnich przypadkach, prawie zawsze tylko na kary pieniężne skazywano ([11]). Mąż zastawszy cudzołożnika na gorącym uczynku przy żonie swojéj, w niemożności pojmania go, mógł zabić. Krewnego, księdza albo mnicha, niewolno było ani posądzać, ani oskarżać o cudzołostwo ([12]).

„Grzészący lubieżnością cielesną przeciwko przyrodzeniu, mają na gardle być skazani, a według obyczaju ogniem spaleni, bez wszelkiego zmiłowania i łaski ([13]).“

Sprowadzający komu na użytek cielesnych rozkosz swoje żony, córki, lub znajome kobiéty, byli karani na czci, zdrowiu, a niekiedy i na gardle. (Postępek etc. str. 64). Trudniących się namowami, sprowadzeniem lub utrzymywaniem nierządnych kobiét, karano biciem miotłami u pręgierza, urzynaniem uszu, lub wygnaniem z miasta; niekiedy zaś pozbawieniem członków przyrodzonych.

Za fałszowanie monety (myncy), puszczenie takowéj w kurs, palono żywcem; zaś za bicie o mniéjszéj wadze lub obrzynanie, była kara śmierci, albo pieniężna. Fałszérze miar, wag, towarów bywali bici u pręgierza, potém wyganiano ich z miasta, wykraczający zaś częściéj tracili życie. — Fałszywi świadkowie, jako téż zarzucający czyn dobréj sławie szkodliwy, lub zbrodni, ponosili taką karę, na jaką był, lub być mógł skazanym ten, którego oni niewinnie oskarżyli.

Obrońca (prokurator), gdyby broniąc w sprawie kryminalnéj zdradził stronę, oprócz powrócenia szkód, był miotłami u pręgierza smagany, a potém wypędzony z mia-

([11]) *Porządek etc.* str. 229.
([12]) *Spec. Sax.* L. 1 art. 50.
([13]) *Postępek etc.* stron. 61.

sta, lub ziemi; „według wielości i występku a zasłużenia“ (Postępek etc. str. 61).

Pisarz, któryby niesłuszny zapis i t. p. sporządził, tracił rękę; za sfałszowanie zaś ksiąg miejskich palono przestępcę (Porządek etc. str. 26).

Kupcy, przekupnie lub rzemieślnicy, zmawiający się na podwyższenie cen, albo zmniejszenie wartości sprzedawalnéj, karani byli zabraniem majątku, za powtórne zaś występki wygnaniem.

Za proste skaleczenie obwiniony płacił pięć groszy i szeląg, za wyższe groszy 25 i szeląg; zaś za skrwawienie kogo w czasie dwuniedzielnego wielkiego sądu, gr. 40; za skaleczenie kalectwo pociągające, obrażonemu pół wargełtu (złp. 20) i dla sędziego szelągów 60; kobiéty płaciły wargielt połową mniejszy od męzkiego. Gdyby kto nie z przygody lecz umyślnie drugiego ranił, prócz zapłacenia kary, obowiązany był wynagrodzić koszta kuracyi, potrzeb domowych, i szkód z tego wynikających.

Za obelgi słowne płacił przestępca trzy grosze winy (kary) dla sędziego; obowiązanym był nadto skrzywdzonego w sądzie przeprosić, gdyby zaś niechciał, sadzono go w kunę, za szyje do kaźni, zkąd niemógł być wypuszczonym aż po przeproszeniu.

Rzemieślnik, którenby psa albo kota zabił, podług ustaw i zwyczajów cechowych, na zawsze tracił rzemiosło. (Tytuły etc. str. 264).

S ą d y.

Sąd składał się z wójta albo burmistrza, przysiężników to jest sędziów przysięgłych, któremi zwykle bywali rajcy, i z pisarza; należeli także do sądu obrońcy stron, prokuratorami zwani, chirurg albo barwierz, kat (14), ce-

(14) *Kat* persona nad złoczyńcą sprawiedliwość skutkiem okazu-

klerze i oprawcy; wszyscy przysięgli. Na sąd dzwoniono przed ratuszem; przed zaczęciem prezydujący brał do rąk laskę urzędową lub miecz dobyty; potém jeden z rajców czytał oskarżenie, a dodany z urzędu adwokat obronę, za co płaciła mu strona 4 grosze (15). Następnie po rozważeniu sprawy, jeśli zapadł wyrok śmierci, wójt łamał swoję laskę, albo kawałek rózgi i zaraz zawiadomiono skazanego, iż za trzy dni głowę położy.

Drugiego dnia bywał publicznie okazywany na rynku pod pręgierzem; na plac śmierci towarzyszyło mu dwóch księży.

Niewiasty w czasie swéj brzemienności osądzone, karanemi były dopiéro po rozwiązaniu.

Niemógł magistrat miejski sądzić szlachty jak tylko wspólnie ze starostą; w razie przestąpienia tego przepisu, burmistrza i jednego rajcę starosta karał mieczem (16).

Jeżeli więzień uciekł, a miał być na śmierć skazanym, sąd płacił temu który go oddał, cały wargelt; a pół wargeltu, jeżeli przestępstwo na areszt tylko zasługiwało.

Osób mających za sobą pewną rękojmią nie wolno było więzić bez zupełnego o ich zbrodni przekonania: „bo to już bywa lekkość nie mała, gdy ceklarze kogo obstąpią, a potém go niepoczciwie do więzienia prowadzą, gdzie więcéj drugiemu duszno bywa, gdy światła mało widzi, a bący koło niego latają, żaby skaczą, tako się więc niedobrze wyśpi, i w głowie dziwne mu się sny roją (17).

jąca: aczkolwiek imie prawie u wszystkich ludzi na sobie nienawistne niesie, dla tego że urząd jego zda się być leki, sprośny, okrutny, a krwawy, a wszakże uczynkiem swojem na sumieniu nic niegrzeszy (*Porządek etc. str. 46*).

(15) *Ustawa płacy u sądów etc. Kraków 1629.*

(16) *Statut Zygmunta Igo z r. 1520.*

„Ktoby z uczynionego przeciw niemu zaskarżenia, w ciągu roku i sześciu niedziel nie oczyścił się, stawał się już winnym przestępstwa tego. Dzieci skazanego mogły odzyskać zabrany na króla albo na dziedzica majątek, jeżeli w ciągu roku i sześciu niedziel udowodniły nienależenie do winy ojca. (S. p. Sak. L. art. 38).

Apellacya od wyroków sądu miejskiego szła do *prawa wyższego* na zamku krakowskim, stąd zaś do króla albo do kommissarzy sześciu miast uprzywilejowanych: Krakowa, Sącza, Kazimiérza, Bochni, Wieliczki i Olkusza. Na kommissarzy takowych pomienione miasta wysyłały po dwóch radnych do Krakowa, gdzie razy trzy co rocznie zbierali się.

Od prawa gorącego nie było odwołania; gorącém zaś prawem sądzono tych, którzy na uczynku (in manuali et recenti facto) schwytani byli, a przestępstwo ich zasługiwało na karę śmierci. Gorące prawo trwało 24 godzin od popełnienia zbrodni, i powinno być siedmią świadkami poparte.

Tak surowe ustawy, wniesione do Polski przez przybylców niemieckich razem z prawem cywilném, zatwierdzone od Kazimiérza W. i następnych monarchów polskich, nie potrzebowały w całéj swéj obszerności wykonywanemi być w kraju, którego mieszkańcy znajdując się już na wysokim stopniu cywilizacyi moralnéj, nie tyle w zagrożeniu kar, jak raczéj w powszechném a wrodzoném sobie zamiłowaniu cnoty i ustalonych wyobrażeniach towarzyskich, powściągającą od przestępstw znajdowali pobudkę. Łagodne obyczaje, wielka liczba ludzi uczonych, silna wreszcie administracya krajowa, gdy każden prawie

([17]) *Porządek etc. str. 178.*

dziedzic miał zamek i władzę nad swoją włością, utrzymywały pomiędzy ludem polskim surowe zasady uczciwości. — Wprawdzie kraj ten doświadczając częstych zmian politycznych, ulegając napadom ościennych barbarzyńców, wichrzony wewnątrz, smutny nieraz przedstawiał obraz; lecz to tylko chwilowe burze, po których błoga spokojność wracała znowu: bo dobre ziarno rzucone było, na téj dobréj ziemi od wieków. Dla tego nieznajdziemy tu prawie przykładu szarpania klészczami, zakopywania żywo w ziemię, włóczenia końmi, i tyle innych kar potwornych, wcale u nas nieznanych, a które i w innych dziś narodach, łagodniejszemi acz i więcéj skutecznymi środkami zastępowane bywają.

KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIÉJ,

I WYSTAWIENIU JÉJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

(Dalszy ciąg).

Jeżeli atoli dotychczas widzieliśmy, jakie są warunki, by się stać rzetelnym artystą, toć następnie nasuwa nam się pytanie, jakim trybem artysta prawdziwy okazuje się we wykonaniu swéj sztuki, i po czém poznać można na scenie artystę skończonego? Szybki rzut oka na istotę samą téj sztuki będzie tutaj wystarczającym; a wyjawi się w całéj postaci świetność i wysokość powołania artysty dramatycznego, a zarazem przekonanie, iż kto temu powołaniu nie podoła, znajduje się w nieszczęśliwém i spaczoném położeniu do siebie, do sztuki, i do publiczności. A zaiste, zacna i godna czci głębokiéj jest sztuka drammatyczna, byleby była w swéj wysokości pojętą. Bo we-

wnątrz człowieka niby w tajnéj świątnicy mieszka, ten ogień święty, który Bóg na cześć swoję i rodu ludzkiego w sercu naszém rozpalił, słowem, ta świadomość istoty wiekuistéj człowieka i godności jego, ta świadomość, mówię, występuje z głębin ducha naszego, a przybierając na się postacie materyalne, zmysłowe, staje się sztuką piękną; i żyje w onych cudach architektury, rzeźby, obrazach, tętni i przemawia w muzyki falach, albo występuje w czarownéj szacie poezyi. Grono sztuk pięknych niby gwiazdy niebiańskie, składają się we wieniec nieśmiertelny nad głową człowieka; one nie dają mu zatonąć w zapomnieniu swéj godności. Bo prawdy, które na ziemskiém polu ród człowieczy twardą dokupuje się pracą, do których przychodzi niesłychanym trudem i mozołem, których się dosługuje cierpieniem łzawém i krwawém doświadczeniem, te prawdy ubierając się w postać cielesną sztuk pięknych, przemawiają wprost do niego, bo przychodzą drogą *zmysłów*. Ale wszystkich sztuk pięknych pierworodną siostrą jest poezya; ona ich mistrzynią i panią, boć ona już nie ciosów, nie marmurów, nie kolorów lub dźwięków, jak inne sztuki za środek swój używa, ona nie ze świata materyi bierze swoję osnowę, która do duszy trafia, ale używa najzacniejszego środka, bo mowy, onego duchowego narzędzia ducha samego. Lecz ze wszystkich zaś rodzajów poezyi na samym szczycie stoi poezya drammatyczna, bo łączy w sobie i plastyczność zewnętrzną Epopei, i grę wewnętrzną ducha, jaka jest w Lirze. Ale gdy to poezya drammatyczna ma uzupełnienie swoje, swoje uiszczenie dopiéro na scenie; więc też wysokie i wzniosłe przeznaczenie téj sceny widzimy. Wszak drammat bez sztuki drammatycznéj nie dopełniłby przeznaczenia swojego. Co w świecie idealnym poezyi się poczęło, co w krai-

nach nadziemskich wieszcza żyje i przebywa, toć wstępuje widocznie na scenę, i przybrawszy postać zmysłową, patrzy i przemawia do nas. Artysta drammatyczny jest czarodziejskiém ogniwem, co łączy świat czysto umysłowy ze światem ziemskim, co łączy dwie ostateczności, bo ducha i materyą; on to sprowadza one dzieci niebiańskie poezyi na nasz ziemski padół, i ulotnym widziadłom wieszcza nadaje krew i ciało. Lecz choć ten duch zjawia się w osobie widzialnéj na scenie, toć przecież ta cielesność, którą na scenie widzimy, nie należy do zwyczajnéj i codziennéj natury człowieka, bo ją ożywia tchnienie wyższego świata, bo świata poezyi; ją to albowiem prześwieca promień wiekuistości i nigdy nie przemijających prawd. Jakoż co drga i pulsem bije w życiu narodów — one myśli, na których wykarmiły się niby dzieci, wieki całe — i te święte boleści, co płaczą i kwilą się na dnie serca całych ludów — to wszystko odziane majestatem sztuki występuje na scenę przed oczy nasze.

Sztuka sceniczna budzi pełnemi akkordy drzymiące uczucia w piersiach widzów, porywa je tchem swéj wszechmocności i potęgą, któréj się już nikt oprzéć nie zdoła, bo ona jest wcieleniem myśli, a myśli pełnéj nadziemskiego uroku, bo myśli wieszcza. Bez niéj ta myśl jest bez życia, cicha, milcząca, byłaby nutą śpiącą wielkiego kompozytora; a gra sceniczna zamienia dopiéro te nuty w dźwięki, harmonią, w czarowne melodye odzywające się aż na dnie duszy naszéj, w spokrewnione tony. Z tego więc już widzimy bliżéj istotę drammatycznego artysty. Bo jak architekt wyraża poetyczność swéj duszy świątnicą, tumem, rzeźbiarz posągiem, malarz we figurach swych obrazów, muzyk tonów harmonią, a wieszcz obrazami ujętemi w urok mowy; tak artysta sceniczny wyraża wła-

szą osobą swoją, całą swoją indywidualnością, myśl autora: a jak owocem każdéj sztuki pięknéj jest *dzieło jakowe*, tak *dziełem artysty dramatycznego jest stworzenie w świecie zmysłowym tego samego pomysłu, który stworzył wieszcz w świecie myśli.* Artysta drammatyczny jednoczy osobę swoję ściśle z myślą autora; on wskróś całą osobę swoję przejmuje pomysłem jego, wciela go w siebie; jego osoba jest tedy jakby naczyniem dla obcéj duszy, dla duszy téj osoby, którą on przedstawić ma. Gdy zaś ta dusza obca wstąpi w osobę artysty, już téż cała ta osoba artysty nabiéra innego piętna, innéj cechy, przeradza się wskróś, *bo dusza jest zawsze panią ciała, i w niém się odbija i wyraża.* Więc zadaniem artysty scenicznego jest właśnie to, by on przestał być sobą, a był tym, kim go autor mieć chciał: kto to zdoła, jest artystą; kto tego nie dokaże, nie jest artystą. Wyjawia się tedy już jasno, iż *dwa są warunki,* które w sobie gra prawdziwego artysty zawiéra: naprzód artysta winien, gdy na scenę wystąpi, wyprzeć się siebie, zrzec się swojéj własnéj indywidualnéj natury, winien tedy, onego swojego zwyczajnego człowieka za kulisami zostawić; powtóre, gdy całą tę treść swoję właśnie z siebie wyrzuci, winien na jéj miejsce wziąć treść i ducha figury, którą autor stworzył, a którą on wystawić ma. Kto te dwa warunki w sobie łączy, jest artystą: że zaś do téj artystyczności potrzeba i talentu przyrodzonego i teoryi, toć już wyżéj powiedziano. Kto zaś jeden tylko z tych warunków dopełnia, to jest, kto zdoła wprawdzie wyprzeć się swojéj osobowości, swojéj indywidualności, ale w tém chybia, że nie pojąwszy myśli autora skręca ją i paczy, wystawując zupełnie inną osobę, inny charakter, niż był w myśli autora, gra takiego aktora jest fałszywą, a on sam dopełniając

jednego tylko warunku gry, jedną jéj połowę, nie jest artystą, ale może dawać nadzieję, iż kiedyś nim będzie; bo już tém samém, iż siebie się zrzekł, dowodzi, iż sztukę pokochał, że tedy się uzupełnić może, wchodząc w istotę swéj roli i zamiast gry fałszywéj przybierze prawdziwą, zgodną z myślą wieszcza. Trzeci stopień, to jest najniższy, jest ten, gdy aktor niedopełnia ani jednéj ani drugiéj połowy swojego powołania; bo nie tylko nie przejmuje się rolą swoją, ale nawet nie zrzeka się téj prywatnéj jemu właściwéj osobowości swojéj: o takim człowieku ani nadziei nie ma, aby mógł być nawet kiedyś artystą. Aktor taki jest jedynie zawsze sobą, i jakim jest i w domu i w stósunkach spółecznych i za kulisami, takim się téż i na scenie okazuje. Jego zaś postępowanie takowe pochodzić może albo ztąd, iż albo aktor taki nie zdoła inaczéj, albo téż, iż nie chce inaczéj postępować. W piérwszym razie okazuje zupełną niezdatność swoję, w drugim razie dowodzi, iż lekce waży sobie publiczność, że sztuce ubliża, i sam sobą poniewiera. Jakoż uważmy, każdy człowiek ceniąc siebie, za żadne skarby świata nie radby swoją osobą bawić publiczność i być jéj widowiskiem. Prawdziwy artysta téż tego nie czyni; bo on swojéj osoby prawdziwéj, jakim on jest w życiu prywatném, nie pokazuje na scenie, on ją zostawia za teatrem; wystawia tedy na widowisko publiczne nie swoję osobowość, ale osobę inną, to jest tę, którą autor stworzył, więc on nie sobą publiczność bawi, ale tą osobą zmyśloną idealną. Więc już rzecz jasna, iż kto inaczéj czyni, to jest, kto się na scenie takim przedstawia, jakim jest w życiu prywatném, ten już sobie ubliża, bo się widowiskiem robi: a z tego wypływa i to, iż zawsze sobą samym będąc, zawsze téż jest jednostajnym, a zatém wnet publiczności sprawi ckli-

wość i znużenie, zwłaszcza, gdy gra taka dowodzi oziębłości i braku miłości dla sztuki. Takie to postępowanie było powodem, iż Europa przez długi czas poniewiérała powołaniem aktorów, i że po dziś dzień w niektórych ludziach chowa się uprzedzenię niekorzystne przeciw stanowi osób poświęcających się teatrowi.

To uprzedzenie wtedy atoli będzie słuszne, bo przez samych aktorów usprawiedliwione, jeżeli oni nie uznając, że powołanie ich jest sztuką, własną osobę swoję, całą indywidualność prywatną swoję na widok wystawią i za piéniądze uczynią ją środkiem dla zabawy publiczności. Wtedy téż tacy aktorowie spadną poniżéj skoczków linowych, powołanie swoje tak piękne strącą poniżéj sztuk łamanych. Bo skoczek choć także nie okazuje się w roli żadnéj, choć nie przybiera obcego sobie charakteru i wprost z osobą swoją występuje na widok publiczny, toć przecież on nie dla pokązania téj swojéj osoby to czyni, ale dla okazania swéj sztuczności, swéj zręczności, i dowodzi jakie zwycięzkie panowanie ma silna wola człowieka nad ciałem; jest to tedy także w swoim rodzaju tryumf umysłu nad cielesnością, tryumf ducha nad materyą. Téj zalety nie dosięga aktor popisujący się swą osobą.

Uważmy, iż idąc do teatru, nie idziemy po to, aby widzieć grających tak, jak ich widzieć można codziennie w powszedniém ich życiu, albowiem człowiek nie jest zwierzem; idąc do menażeryi, pragniemy obaczyć zwierzęta tak, jak są z natury, a będą one tém ciekawsze, im mniéj się obłaskawiły, im mniéj utraciły swojéj pierwiastkowéj przyrodzonéj im natury — pragniemy je widziéć z całym ich typem naturalnym. Jeżeli aktor okazuje własną osobę swoję na teatrze, więc téż żadnego dzieła nie tworzy, więc gra jego jest zupełnie pustą.

A biada aktorowi, jeżeliby przyczyną takiego postępowania jego była jakaś biedna miłość własna, jakieś dziecinne zakochanie się w swojéj osobie, jakaś nikczemna kokieterya. Kokieterya takowa poniżyłaby już artystkę, bo choćby jéj była prędzéj do przebaczenia, nie zjednałaby jéj przecież szacunku; ale dla aktora, jak dla każdego mężczyzny, byłaby ubliżeniem wszetecznèm. Aktor taki okazałby jawnie, iż nie ma najmniejszego zamiłowania ani poważania dla sztuki swojéj, bo scena służyłaby mu jedynie do obrzydliwych celów. Tutaj wyjawiałby bezecność, brak czci dla piękności, a miasto jéj plugastwo uczuć i prostytucyą i brak pojęcia nawet godności i zacności człowieka; przytém zachowanie się jego podobne byłoby obrazą dla publiczności, którą on szanować, którą on cenić winien. Aktor taki stanąłby nieskończenie niżéj, niż inny nie mający nawet iskry zdolności, bo takiego żałowalibyśmy tylko, iż tak był nieszczęśliwym w wyborze swojego powołania, ale moglibyśmy go poważać jako zacnego człowieka, jeżeli życie jego jest bez plamy moralnéj; gdy tymczasem tamten mógłby być przedmiotem uwielbienia jakiéjś rozwiązłéj suberetki lub innéj chałastry moralnéj, stojącéj zapewne i z obyczajów swoich i smaku na jednéj linii z oną rozpustną suberetką. Ale i te chwały brudne, niedługoby trwały, czekałby go w perspektywie los zwyczajny wszelkiéj kokieteryi na starość.

Niechaj tedy każdy poświęcający się scenie zamiłuje z całéj duszy swą sztukę, i niechaj uwierzy, iż powołanie jego jest pełne zacności i wysokiego znaczenia; lecz niechaj wié także, iż sam talent, jeżeli jest jaki z urodzenia dany, nie wystarczy wcale, iż tutaj potrzeba bogatego ukształcenia umysłu, długiéj pracy, mnóstwa wiadomości w różnych gałęziach nauk, że trzeba i teoryi sztuki i myślenia, że trzeba przedewszystkiém wyrzeczenia się wszel-

kiéj zarozumiałości o sobie, bo zarozumiałość jest dowodem cofania się w sztuce. Niechaj tedy każdy chcący być nie z imienia tylko, ale z rzeczy artystą, ma to przekonanie, iż poklaski pobłażającéj publiczności nie są żadnym doskonałości dowodem, owszem, iż te oklaski mogą być upadkiem talentu, jakiego może udzieliła natura, bo one budząc uprzedzenie i pychę niewczesną, zdołają o śmiészność i zgubę przyprawić. Gdy to zachowa w pamięci i sercu młody artysta, w tedy dopiéro się może spodziewać, że mu urośnie chwała i powszechne poważanie w kraju.

Wyżéj powiedziałem, iż dawniéj artyści drammatyczni nie pojmowali swojego powołania jako sztukę piękną, i właśnie że tego nie pojmowali, było przyczyną poniżenia ich powołania; tutaj jeszcze przypomnieć wypada, że niegdyś często bardzo same prowadzenie się osób należących do tego stanu przyczyniło się nie pomału, iż go dawniéj tak lekko ważono. Bo jakież to dawniéj było mniemanie publiczności w tym względzie? Ot uważano, iż człowiek który się niczego nie uczył, który do niczego już w życiu społeczném nie był zdolny, który wypadł z innego powołania i na niém się zwichrzył, właśnie jako ostatni środek utrzymania swojego, imać się jeszcze może powołania artysty dramatycznego. Nierzadko i rzeczywistość była smutném potwierdzeniem tego mniemania publicznego, a z tego smutniejsze jeszcze wypływały skutki; bo zarzucano artystom tym brak ładu i rządu w życiu, lekkość obyczajów, brak powagi i łatwość układania się z przedsiębiorcami, a większą łatwość jeszcze w zrywaniu tych układów, lub lada jaką usilność w dopełnianiu wziętych na się powinności, i znieważania tak własnego zobowiązania się i danego słowa. Teraz to wszystko inaczéj; zabierają się do téj świetnéj sztuki ludzie z ukształceniem

znakomitém, uposażeni nawet w nauki uniwersyteckie, a grona artystów składają się zwykle z osób szanownego obyczaju i poważnego postępowania, z ludzi honoru. Artystki bywają wzorem małżonek zacnych i dobrych matek; więc teraz już nie tylko artystów, ale i prawych ludzi w tych artystach cenić umiemy. A że to samo mówić należy o zgromadzeniu naszych artystów, to już świadczy, żeśmy i pod tym względem poszli zarówno z cywilizacyą Europy. Wszak życie pełne ładu i porządku, byłoby dla tego już koniecznym warunkiem do sztuki, iż ono samo nadać zdoła tę spokojność ducha, tak potrzebną w wykonaniu sztuki, bo życie rządne zabezpiecza od burz wewnętrznych i trosków, piénieżnych zabijających wszelkie życie artysty.

Lecz i w téj mierze artysta znajduje się w stanie wyjątkowym, on nie powinien przéstawać na téj powszedniéj poczciwości życia, wystarczającéj dla wielkiéj części ludzi. Duch prawdziwego artysty wyżéj jeszcze wznieść się powinien. Bo kto pragnie czuć co jest wysokiém, szlachetném i prawdziwie piękném, winien téż miéć duszę piękną i szlachetną; więc téż do mistrzowstwa każdéj sztuki pięknéj, a zatém i sztuki drammatycznéj, wypada miéć duszę piękną, umiejącą czuć cały urok niebiański cnoty; zwyczajna poczciwość tu nie wystarczy. Wypada miéć serce czyste i bez skazy, nie dotknięte mętami życia. Wtedy się téż artysta zanurzyć zdoła w głębi prawd poruszających świat, i wznieść się na wysokości, kędy zatknięte znaki godności człowieka, a które on ma wcielać na scenie. Niechaj tedy artysta uszlachetni się w sobie, niechaj będzie czujny, opatrzny nad sobą, by żaden pyłek nie przyćmił mu przejrzystości duszy, i nie skaził jasności uczuć jego; a gdy do talentu wrodzonego i do teoryi nabytéj przyłączy się wieniec zacnego obywatela kraju i szlachetne-

go człowieka, już wtedy artysta i po śmierci nie umrze, ale zaświéci jasną w przyszłości gwiazdą. Niechaj inni gromadzą bogactwa, niechaj inni pragną dostojeństw, dla prawdziwego artysty najdroższym skarbem jest sztuka, a najwyższém dostojeństwem, zapisane w sercu widzów imię jego.

Te słów kilka o sztuce drammatycznéj w ogólności i o krytyce właściwéj dla tego umieściłem, by wywołać jakie zdolne i swobodne pióro do zajęcia się krytyką naszego teatru; czego by tém więcéj życzyć u nas wypadało, iż towarzystwo naszych artystów miejscowych zawiéra w sobie wiele talentu, a co więcéj zaleca się usilném pragnieniem kształcenia się, miłością i poważaniem dla sztuki i pięknego powołania swojego: możnaby być prawie pewnym, iż gdyby artyści nasi i w literaturze saméj i w krytyce mieli pomoc podobną, jak to gdzie indziéj bywa, wnet by téż urośli w sztuce i zdolności. Bo nikt zapewne nie zaprzeczy, iż jeżeli dziś mamy teatr w Krakowie, jakiego jeszcze u nas nie było nigdy, również jesteśmy to winni zasłudze pana Meciszewskiego, jak i grona samych artystów. *(Dokończenie nastąpi).*



SKARB UKRYTY

OBRAZEK OBYCZAJOWY.

przez *Fr. Wiesiołowskiego.*

Pewnego dnia jesieni 18.. roku do pana Stanisława B. zjechało się kilku znajomych na polowanie. Tylko co właśnie powrócili z lasu, a znużeni pozrzucawszy przemokłą odzież bez ceremonii jak w domu kawalera, zasiadłszy przy wesołym na kominie ogniu rozprawiali o dzisiejszych łowach. Myśliwi ganili lub chwalili psy i strzelby; ten

szczycił się, jak zręcznie zabiegł wymykającemu się lisowi; tamten palnął na sto kroków kota; ów znowu piérwszy raz dziś chybił, co mu się nigdy nie trafia. Naśmiéwano się przy tém dowoli z kilku tylko dla kompanii obecnych tam sąsiadów, zwąc ich nie myśliwemi, ale tylko amatorami sztuki łowieckiéj.

— A wiész kochany hrabio, w rocznikach myśliwskich zapiszemy, jak się dziś gracko spisałeś; żeby zaś zamiast lisa zastrzelić psa i to pstrokatego! mam ci honor powiedzieć, że to więcéj jak być amatorem. — Dajcie już temu pokój, odrzekł Władysław, bo aż mi się chce płakać za moją sroczką. — Wierzcie mi, rzekł hrabia, w ziemię skryłbym się ze wstydu i żalu, własnego konia wiérzchowego wolałbym zastrzelić; ale téż to już i ostatni raz pokusiłem się polować z wami. Oczy moje niegodziwe; pewny byłem, że to lis. — No no, przerwał Władysław, nie martw się tak, żałowalibyśmy znowu stracić tak dobrego kollegę. Co się stało, to się nie odstanie, mówmy o czém inném. — A wiész ty Władysławie, odezwał się inny, co mi Julian zrobił, to prawie gorzéj jeszcze; tu psy gonią wprost na [illegible], wlepiłem oczy w gęstwinę, że ledwo mi nie wyjdą na wiérzch, aż tu za mną paf! i wiész do czego, do dzięcioła. — Ha! ha! ha! śmiéch się rozległ ogólny, nieszczęśliwych amatorów zaczęto brać na fundusz i znowu obracać na wszystkie strony, aż wreszcie stanął dekret, że jutro wszyscy zostaną przy zielonym stoliku, i co zepsuli na polowaniu, odbiją w karty.

Po myśliwskim obiedzie przy fajeczce rozmowa szła daléj, wesoła lub poważna, dowcipna lub płaska, jak się komu podobało; mówiono o koniach, o gorzelniach, kartoflach, aż wreszcie zwykłym trybem skończono na kobiétach. Gdy rozmowa stawała się co raz głośniejsza,

z kąta pokoju wyszedł mężczyzna nie młody, wysoki i chudy, co dotąd jako amator znużony polowaniem drzymał na tłómoku jednego z gości. Był to pan Gragnon Francuz zpolaczały, od młodości trudniący się po różnych domach guwernerstwem; ztąd znał on prawie wszystkie rodziny, wiedział wszystko, co się gdzie działo, a uprzykrzywszy sobie siedzenie na jedném miejscu, zebrawszy do tego mały kapitalik, jeździł z miejsca na miejsce, zbiérał nowinki, plótł prawdę i nie prawdę, a zawsze wesół i mówiący wszędzie był mile przyjmowany. — Posłyszawszy on tedy, o co rzecz idzie, powstał i krząknął jak gdyby teraz nań koléj przyszła. — Właśnie już znaczny zrobiono przegląd wszystkich panien i nie panien okolicy, chwaląc, wyśmiéwając, obliczając posagi bez miłosierdzia, — gdy któryś wspomniał sędziankę L. — Wiécie co panowie, szkoda téj panny, poczciwe to, dobre, bez żadnych pretensyj, ale cóż kiedy de quibus nic, ale to zgoła, a tu i latka przychodzą, ba nawet djable zpaszowała. — O dajno pokój, rzekł Stanisław, gdzie ona tam zpaszowała, śliczna to zawsze osoba, co za oko pełne wyrazu, co za uśmiech miły, a do tego jaka płeć, figura; już to widać bardzo jesteś wymyślny mój Władysławie, kiedy ci ona zpaszowała. — No, ja tam jeszcze nie mówię, żeby była brzydka, ale przecie nie to jest co było; powiedz mi mój Stasiu, bo jako sąsiad wiész to najlepiéj, zkąd człowiek tak loiczny, tak światły i majętny jak p. Grzegórz, mógł przyjśdź do takiéj biédy. — Mój bracie, alboż to nie wiész, że łatwiéj komu doradzać jak sobie. Właśnie też ta loika, to światło zgubiło go. Mieszkając on w Radomskiém niezmiernie lubiony i poważany ogólnie, ustawicznie był wzywany to na marszałka sejmiku, na zjazdy obywatelskie, to na kompromissa; obrany nareszcie sędzią pokoju,

trawił czas na sprawach cudzych, zaniedbując swoje. Do tego skończyła się jakowa sprawa, pogodziły się za jego pośrednictwem dwie strony, nuż zapraszać i jednę i drugą do siebie, nuż częstować, poić; pamiętam byłem jeszcze bardzo młody, to jak się nas zebrała czereda, tośmy i tydzień na miejscu bawili, a co dzień na wyjezdném stopniowego się upili i konie znów do stajni (broń Boże do oberży) a my nuż oświadczenia, nuż uściski, vivat zgoda! vivat jedność! kochajmy się i t. d. Tak bywało prawie przez cały rok, tymczasem w długi się zabrnęło, majątek poszedł na spłacenie towarzystwa kredytowego, a p. sędzia z całą swą loiką ledwo zdołał kupić tu lichą wiosczynę; przyjaciele się odsunęli, żona umarła, sam został z córką, jak go widzicie.

Francuz ledwie doczekał końca; przez cały czas opowiadania Stanisława uśmiechał się, jak gdyby wiedział co innego. — Ja powiedzialbym panom jednę rzeczę, ale proszę być diskretnym, bo to może byś sekreta. — I owszem, pro[illegible] mów. — On ma piéniąze — Kto ma pieniądze? [illegible]nisław. — Pan Gregor. — A wiész, że to praw[illegible]reta, o któréj nikt nie wié prócz ciebie; chyba zakopał te skarby. — Nie zakopal, ale co innego się stało. — Może wygrał na loteryi? — Nie wygral, ale złożyl w depozyt w sązie. — A to ciekawym, na co miałby składać, czyż to pieniędzy lepiéj użyć nie można? gdyby nawet tak było, [illegible]ż tu tajemnicy, zwłaszcza mając córkę. — A ja powiadam panu, że jest sekreta, bo mnie mówila pani starościna. — O jeźli starościna mówiła już o tém, nie lękaj się złamać tajemnicy, bo dotąd pewno ona już nie tylko złamana, ale stłuczona w moździerzu. Dziwna rzecz jednak, co to być mogło, czyby jakie resztki pozostały? bąkał Stanisław jakby sam do siebie. — I mów

wrócono do rzeczy, wypytując Francuza, a mowa o sędziance ciągnęła się w noc późną. Widać, że ona niemało całe to zgromadzenie interesowała.

I nie dziw. Aniela, był to wzór cnoty i dobroci. Spędziwszy piérwsze lata młodości w pieszczotach i dostatku, dzisiejsze swoje smutne położenie znosiła z prawdziwym rozsądkiem i rezygnacyą; poświęcona staraniom około ojca którен często zapadał na podagrę, resztę chwil obracała na zatrudnienie około małego gospodarstwa, nie szczędząc pracy, by ile możności nieść pomoc ubóstwu, opatrywać chorych, ocierać łzy nędzy to dobrą radą, wstawieniem się u możniejszych, to łagodném słowem pociechy. Życie jéj było ciągłém poświęceniem, dla tego téż nigdy nie spostrzegłeś chmurki na jéj czole, nigdy łzy w jéj czarném ognistém oku, oprócz łzy litości. Czystość, spokojność duszy malowała się na jéj twarzy. O ileż skarbów ukrytych pod tą zasłoną, ileż świętych uczuć i myśli przemykało się po téj duszy! szczęśliwy kto zdoła pojąć je i ocenić, szczęśliwszy kto pozyskać na wieki. Młodzieńcze, porzuć wyzłacane gmachy, porzuć łudzącém światłem błyszczące salony, tam twoja dusza, jeżeli masz duszę, zwątleje, zblednie jako kwiat majowy zamknięty w ciasnéj ogrodowéj szklarni, którego wkrótce odróżnić nie można od kwiatu z płutna bez barwy, bez woni; jeśli chcesz szczęścia, a to twoje szczęście chcesz znaleźć w sercu, coby cię kochało i z niém przebywać ciernisto koleje, o źleś się udał. Ta, co w każdéj chwili żyjąc w dostatkach we wszystko opływa, któréj skinienia zgadują do koła, która w całém swém życiu nie doznała, co to przeciwność, co to walka z losem, co to cierpienie, co to jest pokora, ta pewnie póty tylko dobrą będzie, dopóki wszystko pójdzie jéj po myśli; a niech no tylko

stanie jéj zawada, o co nie trudno, ba bez czego nawet życia tu niema, natenczas całe świetne wychowanie, i całe obcych języków nauka, i zgrabny taniec i włoskie rulady nie dadzą hartu, który się nabiéra przez ciągłą walkę z przykrym losem. Posagowe szczęście minie jak mija młodość i wdzięki, zostanie znudzenie, gorycz, daj Boże nie co więcéj.—Aniela stworzoną była na dobrą żonę i matkę, starannie wychowana, pełna wykształcenia, czynna, skrzętna, ona i kuchnią zarządzić, i ojcu głośno przeczytać i pamiętać o wszystkiém, tak, że ktoby niewiedząc w ten domek zajechał, myślałby, że jest w domu bogacza. A jednak tyle zalet i przymiotów leżało odłogiem, bo nie było posagu; rok dwudziesty piąty mijał, szczupły mająteczek ledwo wystarczał, sędziego rozpacz brała, gdy patrzał na córkę.

Gdy myśliwi i goście rozjechali się a p. Stanisław sam został w domu, chodził on niespokojny i zadumany, widać jakaś go ważna myśl zajęła. Był to człowiek poczciwy z sercem i rozumem, majątek posiadał mierny ale dobrze zarządzony i zupełnie dostateczny na porządnę kawalerskie życie; aleź żenić się bez posagu nie podobna, co wystarczy jednemu, z tego trudno jéjmość dobrodziéjkę i ubrać, i zabawić i dom sąsiedztwu otworzyć i zachować przyzwoite względy. Do tego p. Stanisław był już w tym wieku, gdzie trudno się decydować na odmianę stanu; zazwyczaj wtedy jakaś sąsiadka, ciotunia, lub mamunia dojrzałych córek bierze na siebie trudny obowiązek odsunięcia wszelkich przeszkód w wyszukaniu stósownéj partyi i doprowadzenia do skutku oświadczenia i konkurencyi, a powoli wygodnie człowiek sam się nie żeni, ale go żenią, z czego najczęściéj potém kontent. Pan Stanisław nie był wyjętym od téj reguły, kilkakrotne ataki odpiérał on mężnie, targając zastawione nań matni. Uporczy-

we przekonanie, że do ożenienia potrzeba znacznego majątku, nie odstępowało go; ile razy zaczynało mu się przykrzyć to życie samotne i bez celu, całą mocą charakteru odsuwał myśl szukania sobie towarzyszki, którą, jak mniemał, miasto uczczęśliwić, tylkoby naraził na tysiączne przykrości; nawet i wiek swój poczytywał już za niestósowny do ożenienia i do rozpoczęcia nowego sposobu życia z zaniechaniem dawnych przyzwyczajeń.

Wiadomość powzięta od Francuza zajęła jego wyobraźnią. — Miałażby to być prawda? kto wié, p. Grzegórz nie w ciemię bity, może co i zachował, a dla pewnych powodów cicho z tym przycupnął, dziwna rzecz jednak na coby mu się to przydało. — Ale jak teraz przypominam sobie, parę razy nawet bąknął coś podobnego, bo kiedy raz mówiono o lokowaniu kapitałów, uśmiéchnął się mówiąc, że ten tylko pewny jest swoich piéniędzy, kto je złożył w pewnym depozycie, a kiedy sprzedawano wieś Tułowy, widziałem jak skwapliwie przeglądał się w jéj inwentarzach. — Aniela, to prawdziwy aniół; dawno myślałem już, że ona jedna mogłaby być moją żoną, żeby nie te przeklęte piéniądze; ale jakże się bez nich obejść, mając tak mało, byłożby z méj strony rozsądnie, byłożby uczciwie brać pannę bez grosza; żeby choć cokolwiek, choć nie wiele, resztę możnaby pracą i oszczędnością przysposobić. — Gdy tak rozmyślał, na dziedzińcu zaturkotało, z bicza palnęło i dziarska czwórka przed ganek zajechała, z lekkiego powozu wyskoczył mężczyzna młody starannie ubrany i wszedł do pokoju. — Jak się masz Stasiu! chwała Bogu, że cię w domu zastaję, mam do ciebie prośbę. — Co każesz Adolfie, miło mi będzie służyć ci. — Oto wybrałem się dziś na wizytę do p. sędziego i proszę cię, byś mnie tam przedstawił; już dawno pragnę

poznać tego tak godnego człowieka, a dotąd jakoś nie przyszło mi do tego, córkę tylko jego widziałem parę razy w domu méj sąsiadki starościny, ale i do niéj nie zbliżyłem się, lubo wiele o niéj dobrego słyszałem. — Stanisław zakręcił się, hm, hm, kiedyż więc chcesz tam jechać? — Dziś zaraz po obiedzie; ale widzę coś ci to nie na rękę. — Nie i owszem pojadę, tylko mi dziwno, zkąd ci to tak raptem przypadło, kiedy dawno miałeś już czas na to. — No cóż ztąd, wiesz jak jestem zatrudniony, w lecie zawsze jadę gdzieś do kąpiel, bo cóż robić w domu, w zimie téż miléj w mieście jak po sąsiedztwach się włóczyć; nic nudniejszego, jak te wiejskie wizyty, jedź parę mil po złéj drodze, po co? oto wynudzić się doskonale i wypić filiżankę kawy z cykoryą. — Na cóż więc dzisiaj zachciało ci się téj kawy. — Cóż robić, jakoś wypada odbyć raz tę powinność. Szkoda tego sędziego, że się tak zakopał, słyszałem wiele o jego rozumie i dziwno mi mocno, żeby przytem być takim odludkiem, podobno bo tam koło kieszeni bardzo cienko było dotąd. — Dotąd? a czyż odtąd zmieniło się co? — Ja nie wiem z pewnością, ale. — Stanisław niecierpliwie przerwał, ale cóż? — Oto zaczynają mówić, że nie tak źle z majątkiem; całe to oddalenie, zamknięcie się w domu jest udane, żeby zataić majątek przed dłużnikami; jest pieniądz i to gruby, ale p. sędzia nie wydaje się. — Wątpię bardzo, mój Adolfie, za nadto on jest uczciwy, żeby uciekał przed dłużnikami, wiem nawet, że wszyscy są spłaceni. — Nie wierz temu Stasiu, szczwany to lis, prawnik, wié on, co robi. — Stanisława obeszła trochę ta mowa, bo inną miał opinią o sędzim, nie wdając się jednak w dalsze dysputy, począł się ubierać. Widząc niecierpliwość Adolfa, rzekł z przymuszonym uśmiechem. — Ej coś panie Adolfie sędzianka djable ci w głowie. — Gdzież

tam, nie znam jéj prawie, a z resztą nie miałbym się z czém taić, wszak nie byłoby w tém nic złego, mam lat 33, a sam Trentowski wiek ten przeznacza do ożenienia. Zupełnie nie mam planu ułożonego, ale cóż szkodzi poznać, zobaczyć, za to się nie płaci. — Stanisław zrumienił się poprawiając wąsa i czupryny w zwierciadle. Niech kaci porwą tę szpakowaciznę, mruczał pod nosem, u niego jeszcze ani włoska, a u mnie co raz więcéj.

Powóz zajechał, oba kawalerowie siedli i pojechali. W drodze Stanisław mało odpowiadał na gadaninę Adolfa, który w różnym humorze ciągle rozprawiał, przedrwiwał różne osoby, chwalił się rozpowiadając swoje tryumfy, rzecz zawsze naciągając ku sędziemu i jego kapitałom, o których myślał bardziéj jak o wszystkiém. Stanisławem dziwne uczucia miotały, jakaś bojaźń czy zazdrość opanowała jego duszę, sam nie umiał zdać sobie rachunku.

W dziedzińcu sędziego przed stajniami stało kilka bryczek i powóz; widać że jacyś goście tam już zajechali. Jakoż w istocie Stanisław z Adolfem wszedłszy do pokoju zastali tam starościnę, jéj kuzyna Ludwika, Francuza, Władysława i Juliana znanych nam już na polowaniu. P. sędzia uprzejmie powitał przybyłych, Adolfa przedstawił kobiétom, starościna przywitała go jak dawnego znajomego. Bawiono się wesoło, rozmowa była żywa, sędziemu aż się przypomniały dawne radomskie czasy, a w szczupłym pokoju bawialnym znać było, że nie zwykł mieścić tyle gości. Wieczór nadszedł, a nikt nie myślał o odjeździe. P. Sędzia bawił starościnę, reszta towarzystwa zasiadłszy około sofy wspólnie się bawiła. Stanisław tylko mało mówiąc przypatrywał się z boku wszystkiemu. Francuz skakał, kręcił się i plótł anegdotki. Ludwik, niezgrabny wysoki blondyn, kiedy niekiedy odzywał się nieśmiało,

patrząc na ciotunię, która chociaż zajęta rozmową z gospodarzem nie spuszczała go z oka, i to miną, to mrugiem potakiwała lub nakazywała milczenie; posłuszny siostrzeniec widać dopiéro co wyszły ze szkół kończył edukacyą pod okiem ciotuni. Starościna nie szczędziła starania, żeby Ludwiś pokazał wszystko, co umie; i tak pomiędzy innemi pochwałami długo zaczęła się rozwodzić nad jego pamięcią i szczególnie piękną deklamacyą. — Powiédz Ludwiku panu sędziemu tę bajeczkę o szczerości i obłudzie, którą nie dawno ktoś napisał; śliczna powiadam panu dobrodziejowi. Ludwik zaczerwienił się, pomyślał trochę, nareszcie śpiéwającym tonem deklamował.

Sędzia co raz uważniéj słuchał, byłby wpadł w zapał, bo wiérsz ten wzbudził w nim jakieś mocne uczucie; ale deklamacya przesadzona i śpiéwająca Ludwika zepsuła całe wrażenie, jedna tylko starościna klasnąwszy w dłonie zawołała: brawo! Adolf po francuzku zagadując do Anieli sypał jéj tysiące grzeczności. Władysław szepnął w ucho Stanisława, wiész Stasiu, że śliczna *nec plus ultra.* — Czy tak? przerwał tenże; niedawno mówiłeś, że zpaszowała. — No cóż ztąd, dzisiaj lepiéj się przypatrzyłem. — I znów siadłszy obok Anieli rozmawiał z nią długo. Sędzianka z godnością i taktem znosiła wszystkie te ataki, co było sztuką niemałą.

Po tych odwiedzinach nastąpiły i drugie i trzecie, kilku nowych gości uczęszczało w dom sędziego, aż dziwno było staremu kredencerzowi Szymonowi, co już dawno odwykł od tego. Apteczka zaczęła się wypróżniać. Anieli przykrzyło się, że ją ciągle od zwykłych zatrudnień odrywają. Dom sędziego stał się głośnym w całéj okolicy. Anielę nieustannie zabierano na bale, kuliki, pikniki i t. p. a lubo ją to serdecznie nudziło, wypełniając wolą ojca nie odmawiała łaskawym sąsiadkom, które jedna przed

drugą o nią się dobijały. Sędzia jak mógł biédę latał, a że i kredyt mu się od niejakiego czasu znacznie naprawił, pożyczył piéniędzy, kupował stroiki, sukienki, rękawiczki, śmiejąc się w duchu, bo wiedział, zkąd to wszystko pochodziło. Cóż bo robić w tym świecie! samą prawdą, cnotą i rozumem nie daleko zajedzie, ludzie żądają mamideł; największe prawdy, najważniejsze korzyści łatwiéj przyjmą, gdy im je ucukrzyć pozorem jak dziecku lekarstwo. Wszyscy przecież znali moję Aniołkę i piérwéj, dla czegóż dopiéro teraz ocknęli się z letargu, skoro wieść o depozycie rozeszła się wszędzie. Poczciwa starościna, w jéj niezawodne ręce złożyłem moję tajemnicę, a w skutek jéj gadatomówstwa stało się, co powiedziałem, że dziś wszyscy wiedzą o mych skarbach, ona zaś sama tak liczy na nie, że siostrzeńcowi nie dała dokończyć ostatniego roku prawa, by powiększył liczbę adoratorów méj Aniołki. Wszystko to dobrze, ale i mnie téż w pole nie wyprowadzi tak łatwo, dziecka mego pewno lada komu nie zaprzedam ani nie poświęcę. Po prawdzie nie bardzo téż jest w czém i wybrać. Adolf miejski wietrznik już 15cie razy się oświadczał, a nigdy nie ożenił, teraz podszarzawszy majątek chciałby go może poprawić moim. Władysław jeszczeby uszedł, gdyby nie to wieczne polowanie; o Julianie nie warto i wspominać. Stanisław podobno najprędzéj będzie mojém zięciem. Anielka dosyć go lubi, przytém poczciwy człowiek, dawny mój znajomy, jak tylko zechce, dam mu ją z ochotą. Choć prawdę mówiąc i on dopiéro dla piéniędzy zaczął myślć o tém, ale cóż robić! gdyby przyszło tak wybierać, trudno byłoby wybrać, doskonałości nie ma, a gradus superlativus w tym względzie powinienby być z grammatyki wymazany; nie ma najlepszych, są tylko lepsi od złych. Tak dziwnym zbiegiem okoliczności ten,

co przed rokiem ani mógł o tém pomyśléć, dzisiaj i sześciu mógłby mieć zięciów, w których przebierał jak w ulęgałkach. Dowiedziano się bowiem z pewnością, że znaczna summa przez p. sędziego złożona jest w depozycie, a nawet procent od depozytu z góry zapłacony.

Nie chcąc dłużéj rozwodzić się nad opisem rozlicznych intryg, zazdrości, swatów, plotek kobiécych i t. d., pominiem znane te okoliczności, by stanąć wraz z Stanisławem przed ółtarzem parafialnego kościoła, gdzie tenże Anielę poprowadził. Wesele było ciche, kilku z obydwóch stron przyjaciół i Francuz, bez którego się nigdzie nie obeszło, składali całą weselną drużynę. Starościna rozgniewana na kuzynka, któren dostał odkosza, odmówiła swéj bytności. Władysław pojechał gdzieś na polowanie, inni dawno już zarzucili bywanie u sędziego; tak dzień wesela odbył się ciszéj jak nie jeden oświadczenie Stanisława poprzedzający. Kto bliżéj znał naszę parę rokował jéj przyszłość szczęśliwą. Francuz ręce zacierał tryumfując, że on piérwszy przyczynił się do tego, a wziąwszy podany mu kielich w rękę, krzyczał: vivat państwo młodzi!

Kilka lat upłynęło. Stanisław wziął ojca do siebie, wioseczkę sprzedano, by zapłacić w ostatnich czasach porobione długi, a szczęśliwie żyjąc razem stan majątku Stanisława coraz się polepszał, o depozycie już i zapomniano. Stanisław zadowolniony kochając żonę i dzieci dwoje nad życie, żałował tylko, że nie piérwéj zaczął być szczęśliwym.

Zdrowie p. sędziego tylko co raz stawało się gorsze; ostatniego ataku podagry znieść nie mógł, uderzenie na mózg pozbawiło go przytomności a wkrótce i życia. Żal Anieli i Stanisława był nie do opisania; była to piérwsza ale okropna zasłona, która padła na szczęście ich; tylko czas i konieczność ocuciła ich z tego stanu. Pomiędzy

papiérami p. sędziego znaleziono list zapieczętowany z napisem: *ostatnie moje zeznanie.* Stanisław ze łzami począł czytać, co następuje: Kochane dzieci! gdy przyjdzie czas, gdzie porzuciwszy to życie stanę przed sądem najwyższego, do wielu grzechów moich policzę i ten, że was tak długo zwodziłem. Rozgłoszona przeze mnie wieść o depozycie jest zupełnie fałszywa, w kufrze złożonym prócz piasku i kamieni nic się nie znajduje. Rozpacz przywiodła mnie do tego kroku, widziałem wszystko stracone, siebie w kalectwie i nędzy lada chwila oczekującego zgonu, by moję Anielę bez opieki zostawić, krewnych nie mam wcale, przyjaciół wraz z majątkiem utraciłem, resztki pozostałe poświęciłem na wychowanie jedynéj córki mojéj. Bóg niech jéj stokrotnie nagradza, że praca moja nie była daremna, a skarby zamknięte w jéj duszy staną jéj pewnie za największy posag. W tém przekonaniu, w myśli że tylko przymioty serca prawdziwe szczęście stanowią, zdawało mi się godziwém użyć fortelu, pewnym będąc, że kto jéj serce pozyska, nie będzie oszukanym. Jakoż w istocie kochany Stanisławie wiem, że dzisiaj żony twéj nie oddałbyś za wszystkie skarby ziemi: jeśli Bóg dozwoli mi patrzéć na ustalenie szczęścia waszego, sam za życia wyznam wam winę moję; jeśli inaczéj zechce przeznaczenie, niech to pismo, zeznanie i szczęście wasze będzie jedyną po ojcu spuścizną.“

Stanisław rzucił się w objęcia Anieli. Tak jest, rzekł, ty moja droga jesteś mi wszystkiém, ja niegodny ciebie, własnego szczęścia niegodny, potrzebowałem do niego podléj zachęty. Ojcze! jeżeli słyszysz głos mój, ty mnie przebaczaj patrząc tam z góry, o ile będę się starał twe dziecię uszczęśliwić.

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 11. KRAKÓW dnia 1 Września. 1844.

Treść: Bernard z Lublina, napisał J. Muczkowski. — Kilka słów o Szyllerze, Dziewicy Orleańskiéj i wystawieniu jéj na teatrze krakowskim, przez Józefa Kremera (dokończenie).

Redakcya Dwutygodnika *uprasza Szanownych Prenumeratorów, którzy jeszcze przedpłaty nie złożyli, ażeby się z niéj uiścili do dnia 15 Września r. b. Prenumerujący zaś na pocztach w Król. Polskiém i W. X. Poznańskiém zechcą zawczasu zapisy na drugie półrocze przesyłać, albowiem mała liczba exemplarzy nad zapis drukować się będzie.*

BERNARD Z LUBLINA.

Jak imiona wielu zapadłéj przeszłości mężów, mimo ich prawdziwéj zasługi, bądź przez niechęć spółczesnych, bądź przez naganną obojętność następnych, jeżeli nie na wieczne, to przynajmniéj na długie zapomnienie wskazane zostały, tak i o Bernardzie z Lublina, aczkolwiek nie-poślednim i w literaturze naszéj godnym wspomnienia mężu, nicbyśmy nie wiedzieli, gdyby z rozległéj nauki słynny w XVItym wieku Flakcyusz Illyryjczyk, w ojczystéj mowie Frankowiczem zwany, tudzież Stanisław Pudłowski, professor w uniwersytecie krakowskim, w swych rozmaitych zapiskach, nie byli nam dochowali kilku o nim szczegółów, z których o jego życiu i naukowych pracach jaką taką wiadomość usnuć możemy.

Bernard z Lublina urodził się w przedostatnim dziesiątku piętnastego stulecia. Odebrawszy, jak się domyślać

można, w rodzinném mieście początkowe nauki, pod okiem swego ojca Jakuba, już w r. 1501, za rektorstwa Mikołaja z Pilcy (Pilicy), w letniém półroczu, zapisał się w poczet uczniów szkoły jagiellońskiéj, która w tych czasach wielce słynęła ([1]). Jak długo tu na naukach zostawał, nie podobna teraz wyśledzić; to atoli pewna, że o uczone stopnie wcale się tu nie ubiegał: gdyż w księdze promocyj imienia jego nigdzie nie znajduję.

Czyto odznaczające go zdolności i usposobienie w naukach, czyli téż względy Mikołaja z Pilicy, za którego rektorstwa nasz Bernard w poczet młodzieży akademickiéj był się zapisał, wyjednały mu wkrótce korzystne sekretarstwo przy boku Jana Pileckiego, lubelskiego i parczowskiego starosty, który go i szczególnemi względy zaszczycał i w potrzebne zaopatrywał księgi. Jakoż ze wspomnienia o nim Flakcyusza Illiryjczyka ([2]) dowiadujemy się, iż to sekretarstwo w r. 1515 sprawował, i że w tym czasie w niedzielę środopostną napisał był nader ciekawy list do Szymona, skąd inąd nawet z imienia nieznanego, krakowskiego księgarza. List ten, w którym Bernard twierdzi, iż w rzeczach wiary, ewangielii nie zaś ustaw ludzkich, bez których człowiek może być zbawiony, słuchać należy, w téj tylko treści przez rzeczonego Flakcyusza w *Zbiorze świadków prawdy* umieszczony, zachował nam imię tego znakomitego ziomka, które następnie przez Węgierskiego mimochodem dotknięte, późniéj

([1]) *Metricae studiosorum Univ. Crac. pars prima.*

([2]) Z pięciu wydań jego dzieła pod tytułem: *Catalogus testium veritatis*, w którém wyjątek z listu Bernarda zachował, biblioteka uniw. jagiellońskiego trzy posiada, w latach 1597. 4., 1608. f. i 1666. 4. ogłoszone. Z tych piérwsze i ostatnie w dwóch miejscach o naszym Bernardzie wspomina.

dwukrotnie się, ale zbyt słabo, w dziełach pisarzy naszych odbiło (3).

Czyli Bernard ciągle na dworze Pileckiego zostawał, lub téż jaki inny urząd publiczny bądź świecki, bądź duchowny w dalszych czasach sprawował, o tém żadnéj nie mamy pewności; zdaje się jednak, że, jeżeli nie obowiązki, to przynajmniéj wdzięczność i życzliwość z osobą Pileckiego zawsze go łączyła: dowodem tego zachowany przez Stanisława Pudłowskiego, professora uniwersytetu jagiellońskiego w jego zapiskach ustęp, który ze względu na jego ważność w całości tu umieszczamy. „Bernat z Lublina, mówi Pudłowski (4), przed stem i dwunastom lat o księżey pisze do pana Jana trzeciego Pileckiego w przemowie na Ezopa:

Nie patrząjąc na biskupy,
Którzy mają złotych kupy;
Boć nam ci wiarę zeszyli,
Boże daj, by się polepszyli.
Dwór nam pokaził kapłany,
Kanoniki i dziekany.
Wszystko w kościele zdworzało,
Nabożeństwa bardzo mało.“

Ponieważ te Pudłowskiego własnoręczne zapiski w bibliotece uniwersytetu jagiellońskiego pod znakami DD. X. 18. zachowane, w roku 1634 były czynione, wypada

(3) Węgierski w *Slavonia reformata lib.* I. str. 74 z *Catalogus testium veritatis* przywodzi kilkowiérszowy ustęp z owego listu Bernarda do Szymona księgarza; Krasiński zaś w swojéj historyi reformacyi w Polsce przez Lindau'a na niemiecki język przełożonéj na str. 44, a za nim Wiszniewski w Hist. lit. pol. T. VI. na str. 54 w kilku tylko wyrazach wzmiankę o Bernardzie uczynili.

(4) Stanislai Pudłovii *Collectanea. Lms. 4. 77 f. r.*

przeto, że Bernard w r. 1522 te wiérsze był napisał, a zatém że i Ezopa w tym czasie na język polski przełożył. Sama okoliczność, że autor swą pracę przypisuje Janowi Pileckiemu, który według Paprockiego ([5]) w r. 1527 żyć przestał, naprowadza na wniosek, iż to Ezopa życie do najdawniejszych dzieł w języku polskim, a Bernard do najstarszych poetów naszych należy. Ale czyliby ta książka już w tym roku była drukowana, a późniéj przez czas i niechęć zatraconą została, tego z pewnością twierdzić nie można; bo Pudłowski nie wspomina, czyli ten ustęp z drukowanego dzieła lub téż z dawnego wyjął rękopismu.

Juszyński w spisie dzieł poetów bezimiennych, w drugim tomie jego dykcyonarza umieszczonym, na stronicy 417, przywodzi dwa Ezopa wydania; ale ich wcale nie opisuje. Z tych jedno z r. 1585, które niesłychanéj rzadkości być mieni, za piérwsze; to zaś, które z dodatkami i poprawami, ale bez oznaczenia miejsca i druku jest wydane, za wtóre i w Rakowie ogłoszone uważa. Wiszniewski ([6]) wspomina wydanie z r. 1578, które się, jak mi wiadomo, w bibliotece Tytusa hrabi Działyńskiego znajduje.

([5]) Herby rycerstwa polsk. str. 382.

([6]) *Hist. lit. pols.* T. VI. str. 535. Przywiedzenie to świéżo z pod prasy wyszłego tomu, ważnéj historyi literatury naszéj, wkłada na mnie obowiązek, bym, zostawiwszy innym ocenienie całego dzieła, sprostował niektóre pomyłki, które w niém tu i owdzie dostrzegłem, a tak zwrócił uwagę uczonego Autora na to, że pospiech z jakim około historyi literatury pracuje, nietylko nie dozwala mu należycie obznać się ze źródłami, które, że tak powiem, ma pod ręką, ale nadto staje się powodem licznych pomyłek, z wielu względów szacownemu dziełu nie mało ujmujących zalety.

W przedmowie do tego tomu na str. IX mówi Autor, że, kiedy Francuzi i Włosi mają całe zbiory ksiąg pergamino-

Tak niedokładne bibliografów o tém dziele podania, możeby w ten sposób sprostować wypadało. Tłumaczenie Ezopa przez Bernarda z Lublina, najprzód bezimiennie z ukryciem miejsca i druku, pod tytułem:

wych, my trzy tylko posiadamy: *Statut* Łaskiego, Mowę legata Malespiny, i Jana Tarnowskiego *Consilium rationis bellicae*. Tu należało wspomnieć o zachowanym w bibliotece uniwersytetu jagiell. pergaminowym exemplarzu *Speculum Saxonum* przez Jaskiera w r. 1535 wydanego. Być może, że to jest jedyny exemplarz, o którym mówi przywiléj przez Zygmunta I. na wydanie tego dzieła udzielony, (zob. w Archiwum uniw. rękopism z bibl. Szastra str. 569 f. v. tudzież *Księgi bibliogr.* T. I. str. 173), może téż, że Jaskier, każdy z trzech oddziałów rzeczonego *Speculum* przypisując komu innemu, to jest Zygmuntowi I., bisk. Tomickiemu, i Senatowi krakowskiemu, całego dzieła tyleż exemplarzy pergaminowych wytłoczyć kazał. Exemplarz o którym tu mówimy, z podpisem: *Successores Nobilis ac Spectabilis olim Christinae Krolikowa Consulissae Cracoviensis volumen hoc publicae utilitati D.D.D. Anno Dni 1725*, pięknie oprawny, drugą przemowy kartę, tudzież cztéry w texcie (2—5), także na pergaminie dopisane mający, pochodzi z archiwum miasta naszego. W dalszym ciągu przedmowy czyniąc rzecz o tém, iż u nas książki niszczono, na str. XII dodaje: „Prałaci, kommendataryusze wytępili całkiem benedyktyna Szczygielskiego książkę *liber penticus* (penthicus), że jéj teraz nigdzie *znaleźć nie można; jedyny jéj exemplarz* zachował się w cesarskiéj bibliotece w Petersburgu." Aczkolwiek książka ta, równie jak i inne Szczygielskiego dzieła, nie jest pospolita, stémwszystkiém nie należy ona do owych feniksów, któreby tylko w bibliotece petersb. znaleźć można. Wszakże znajduje się i w bibliotece Uniwersytetu naszego, i ja mam ją w swym zbiorze, i zapewne nie jeden z licznych miłośników starych ksiąg polskich cieszy się z jéj posiadania. Spalenie jednego exemplarza *Gratisa* Szembeka nie zasługiwało na wspomnienie, nie zniszczone

Ezop, *to iest opisanie żywota tego to mędrca obyczaynego, przydane są ktemu przypowieści iego, z przykładami osobliwemi niektórych filozofów dawnych*

ogłoszone, następnie tu i owdzie, snać ze względu na okoliczności, i z obawy podpisującego się drukarza, obcięte; bowiem przez to całego dzieła; podobnie jak i inne książki bądź z polecenia królów, bądź téż przez wyroki trybunalskie w jednym exemplarzu na ogień wskazane, bynajmniéj dla tego rzadkiemi się nie stały.

Co się tyczy wątpliwości względem czasu piérwszego wydania ortografii Seklucyana (Przedm. str. XIV i przypis 577 na str. 399), tę byłby sobie Autor usunął i nie potrzebowałby czynić mylnych domysłów, tudzież nie byłby na str. 552 napisał, iż ortografia Seklucyana 2 arkusze (w Ringeltaube'm *Nachr. v. poln. Bibeln str. 51.* stoi 2 *Blätter* podobnie i w Tschepiusu *Preussische Zehenden T. III. str. 613)* zajmuje, gdyby się był lepiéj rozpatrzył w ostatnim autorze, którego kilkakrotnie przywodzi. Z niego bowiem *(l. c. T. III. str. 614)* byłby się dowiedział, że umieszczona przy wydaniu z r. 1551 Nowego Testamentu przez Sekl. tłumaczonego, jego ortografia, jest taż sama, którą przy ogłoszonéj przedtém ewangielii Mateusza ś. był umieścił. *Equitis Poloni in Jesuitas Actio prima* (Wiszn. str. 94 przypis 92) nie jest płodem Stan. Zawadzkiego, akad. krak. rektora, ale Sebastyana Klonowicza (zob. Rękop. Radym. p. Muczkowskiego str. 118).

Ten pospiech niezmordowanego Autora, niedozwalającymu należytego rozpatrzenia się w źródłach, był przyczyną, że jak dawniéj Marcina z Przemyśla w XV wieku żyjącego astrologa pomieszał z teologiem XVI wieku Marcinem z Pilzna (T. IV. str. 158 przypis 156), i Jana z Latoszyna prawnika XV w. astrologiem uczyniwszy (tamże str. 164) dzieło Jana Latosza XVIIgo wieku pisarza (Sołt. str. 269) mylnie mu przypisał, i wielu innych autorów pomieszał, tudzież bez zasady zapewnił, iż przekazane bibliotece uniwersyteckiéj przez

w latach 1578 i 1585 zostało wydane u Szarfenbergera pod tytułem:

Żywot Ezopa Fryga mędrca obyczaynego y z przypowieściami iego: z niektóremi też innych sławnych mędrców przykłady osobliwymi a bardzo śmiesznymi i też krotochwilnymi etc. (Drzeworyt: Karzeł coś opowiada), *w Druk. Stan. Szarfenb.* 1578. 4. kart niel. 72.

Czyli to wydanie, ogłoszone drukiem gockim, w dwóch kolumnach z drzeworytami do życia Ezopa odnoszącemi się, które w tekscie umieszczono, zgadza się co do treści i

Macieja z Miechowa rękopisma *(Histor. lit. pol. T.* IV. str. 169 przyp. 173) już się w niéj nie znajdują, oraz powtórzył za Kołłątajem z rzeczywistością mijające się szczegóły o kanonizacyi ś. Jana Kantego *(Hist. lit. T. V. str. 10),* tak i teraz to sprawił, że w niniejszym tomie nie wspomniał o *Herennii philosophi Enarratio in Metaphysica Simone Simonide interprete (gr. et lat.)* 4. w Zamościu bez przypisów, o których tłumacz na str. 15 wspomina, bo tylko do 160 strony wydanéj, a nigdy nie ukończonéj, (jak świadczy napis ręką Jana Broscyusza, na nader rzadkim w bibliotece uniwersyteckiéj zachowanym exemplarzu, według zapewnienia Kaspra Solickiego (Solicius) med. dokt. i akad. Zamojskiéj rektora oraz po siostrze Simonidesa wnuka); ale téż mówiąc o przekładzie biblii na język polski, przez jednych Leonardowi dominikanowi, przez drugich zaś Janowi Leopolicie, akad. krak. professorowi, przypisywanym, nie korzystając ze źródeł jakie mu miejscowość nastręczała, tylko wiadome rzeczy powtórzył. Wszakże gdyby był Autor zajrzał do archiwum tutejszego klasztoru OO. Dominikanów, byłby mu tam, równie z nauki, wymowy kaznodziejskiéj i uprzejmości powszechnie ceniony JX. Wincenty Plebankiewicz, wskazał szacowny rękopism *Necrographia fratrum Ord. Praedicator. auctore Valeriano de Cracovia Lithvanide anno 1615,* z którego byłby się dowiedział nader ważnego

tytułu z wydaniem z r. 1585, z pewnością twierdzić nie mogę; bo tego nigdy nie widziałem, a Juszyński przywodzi je tylko z Zamojskiego Indexu ksiąg zakazanych, gdzie jak się zdaje, przez opieszałość piszących, tytuł nieco jest zmieniony.

o Leonardzie szczegółu, iż ten *dicitur biblia sacra ex bohemico idiomate in nostram linguam polonicam primus non minus erudite quam utiliter transtulisse;* a pominąwszy zwykle przez wszystkich bibliografów na świadectwo w tym względzie powoływanych Ruszla *(Tryumf š. Jacka* str. 100 u Wisz. mylnie str. 102), tudzież Siejkowskiego *(Świątnica r. 1743* str. 310), wsparty powagą zapomnianego przez nich, aczkolwiek większéj wiary godnego, Bzowskiego *(Propago D. Hyacinthi. Venetiis 1606. str. 76)*, który wyraźnie mówi, iż Leonard bakałarz, piérwszy na język polski biblią przełożył, imię swe z pokory utaiwszy, za pomocą tak ważnych skazówek, przy świetle przez gruntownego Tschepiusa na tę część bibliografii rzuconém, uczony Badacz, byłby wyprowadził niewątpliwe i ważne wnioski, któreby dzielące w tym względzie bibliografów zdania sprostowały i ustaliły. Że bowiem Jan Leopolita nie jest tłumaczem téj biblii, z pewnością wnosić można stąd, iż prócz akademika Witeliusza *(Vindiciae scripto in Academicos 4.* karta *B. 3. f. v.)* nie tylko żaden z Leopolity spółczesnych, pomimo, iż wielu o nim tu i owdzie wspomina, nie przyznaje mu tego przekładu; ale co większa, sam nawet Stanisław Marzeński z Marzenina, w gnieźnieńskiém, (nie zaś z Marzenin jak Wiszniewski czyniąc o nim wzmiankę z obszerniejszéj wiadomości w *Index lectionum Univers. Jag. a.* 1843/44 w VItym tomie swéj hist. lit. na str. 186 mylnie podaje), który w kilku pięknych elegiach zgon swego nauczyciela i przyjaciela rzewnie opłakuje, lubo w jedném kollegium z nim mieszkający, oraz ścisłym węzłem przyjaźni połączony, wychwalając go z innych zalet (Stan. Marenii *Poëmata Lms.* str. 162), o mniemanym jego przekładzie biblii na język polski najmniejszéj wzmianki nie czyni.

Że ten drukowany Ezop jest Bernarda z Lublina dziełem, utwierdzają mię w tym domyśle dwie okoliczności: 1od: Iż przywiedziony wyżéj ustęp z przypisania Pileckiemu Ezopa, podobnie jak ogłoszone drukiem rzeczone dzieło, ośmiozgłoskowym wierszem jest napisany: 2re: Że treść powyższego ustępu zgadza się z duchem niektórych bajek w samém dziele umieszczonych, o czém przekonać się można z następującéj, którą, dla pokazania czytelnikowi poetyckiego Bernarda usposobienia, wyjętą z Historyi literatury pol. przez Wiszniewskiego (T. VI. str. 535) w całości tu umieszczamy.

Wilk welnisty złodziéj czysty.

Wilk na się owczą skórę wdział,
Y pokorną postawę miał;
Takoż się między owce wkradł,
Taiemnie ich wiele poiadł.
Potym więc pastyrz obaczył,
Zdraycę w owczéy skurze łuczył (ścigał),
A natychmiast go uchwycił,
Swey się szkody nad nim pomścił.
Bowiem na drzewie wysokim
Obwiesił go na kaźń wszytkim;
Aby nań drudzy patrzali,
Jego się dzieła wystrzegali.
Ludzie kiedy to widzieli,
Na dziw się wszyscy zbieżeli,
Pytaiąc przecz to udziałał,
Iż tak owcę uwiązał?
On im rzekł, łatwi przyczyna,
Iż mi była bardzo winna;
Pasterzom ci owcą była,
A wilcze skutki pełniła.

Takieżci w Bożey Owczarni,
Są wilcy szarzy i czarni:
Wilczą sierć wełną przykryli,
Aby tak rychléj zdradzili.

Czyliby nakoniec przywiedzione przez Juszyńskiego (T. II. str. 417) *Zwierciadło żywéj prawdy, w Warszawie u Schrejbera r.* 1686. 8. wydane, a w roku 1703 pod tyt. *Fabuły Ezopowe* w Krakowie przedrukowane, tłumaczenia Bernarda było przerobieniem, lub tylko jako bezimienny przekład Ezopa bajek, przy powyższych wydaniach przez Juszyńskiego umieszczone zostało, wątpliwość tę mogą rozstrzygnąć znawcy, którzy w swych zbiorach dzieła te posiadają.

J. Muczkowski.

KILKA SŁÓW

O SZYLLERZE, DZIEWICY ORLEAŃSKIÉJ,

I WYSTAWIENIU JÉJ NA TEATRZE KRAKOWSKIM

(Dokończenie).

Nie tu zaiste miejsce, bym się rozszérzał nad istotą tragedyi i jéj wysokiém znaczeniem; w krótkich wyrazach napomknę tylko, jakie winno być jéj pojmowanie. Wypada nam atoli zacząć z góry, i sięgnąć istotę człowieka i całą jéj głębię, a wnet obaczymy, co stanowi osobę czyli figurę tragiczną, która to śmierć jest tragiczną, a zatém co jest piętnem prawdziwéj tragedyi; obaczymy, iż przedmiotem tragedyi nie może być każda śmierć ani walka każda.

Przypominam jedynie, iż tutaj schodzi się wiekuista prawda, prawda trwała i niewzruszona jak sklep gwiaździsty nieba, z istotą wątłego człowieczego rodu; bo prawda, która nigdy nie ginie lecz trwa, która jest we wszystkiém i wszystko sobą obejmuje, ta prawda, mówię, promieniem niezgasłym nigdy świéci i w duchu człowieka. Uważmy następnie, iż człowiek z dwojakiéj składa się istności. Jedna jest ziemska, przemijająca, rozsypująca się w proch; jéj dziedziną jest wszystko, co w człowieku przemija, jego uczucia, namiętności, ochoty ulotne, krewkość i wątłość, jego natura i nastrój indywidualny jego. Drugą istnością jest jego duch nieśmiertelny, iskra ducha wiekuistego, która trwa wiecznie i nie zmienia się nigdy; dziedziną téj drugiéj jego istności jest potęga w poznaniu tego co wielkie i niezmienne: jest to ta siła jego, która mu każe poświęcić właśnie i radości doczesne i żywot swój za to, co w duszy stało się przekonaniem i prawdą. Ale właśnie dla tego iż człowiek składa się z dwojéj téj natury, właśnie dla tego, iż w nim duch wiekuisty obłożony jest ciężarem cielesności, która go ciśnie; więc téż on nie może być wyrażeniem całéj prawdy wiekuistéj, w nim nie zdoła się odbić cała prawda panująca ponad gwiazdami, i piastująca świat w swém łonie. W człowieku tedy wyrazić się może jeden tylko promień téj prawdy, jedna jéj cząstka: a ponieważ każdy człowiek jest inny, więc téż każdy będzie wyrażeniem innéj części prawdy wiekuistéj, innym jéj promieniem, będzie wyrażał jednę tylko prawdę szczegółową. Takim pojedynczym promieniem, taką prawdą szczegółową jest np. *miłość dla cnoty, cześć dla honoru, poświęcenie za kraj swój, świętość związków rodzinnych, chęć sławy, miłość, poważanie swych obowiązków, uszanowanie dla prawa i sprawiedliwości*, i tym

podobne cnoty; toć są prawdy szczegółowe, mające wszystkie swoje źródło w onéj jednéj prawdzie wiekuistéj ogólnéj; ta prawda je wszystkie w sobie zawiéra, więc jest jedna i trwała. Ale w rzeczywistości ludzkiéj, ta prawda ogólna nie znajdzie się w piersiach jednego człowieka zebrana: tu nie znajdziemy tego równoważenia się szczegółowych prawd między sobą, nie znajdziemy tego umiarkowania mającego wszystkie za równo we czci, a tém samém uznające ich zjednoczenie w onéj ogólnéj prawdzie. Człowiek albowiem nie jest ogólnym; sam jest szczegółem, zatém podlega namiętnościom, więc téż jednę szczegółową prawdę w sobie chowa, i bez względu na inne aż do ostateczności w sobie ją rozwija, ją tylko ma na oku, dla niéj wszystkie inne poświęca. Nie dziw tedy, iż party nią do ostateczności obraża inną jaką prawdę szczegółową równe mającą prawa do uznania, i nie dziw, że ta prawda się na nim mści, a to może się dziać w dwojaki sposób: albo sam w sobie uczuje, że ją obraził a to uczucie rozdwoja boleśnie istotę jego i rodzi walkę *wewnętrzną*, albo téż, iż tę szczegółową prawdę, którą obraził, spotka wyrażającą się i wcieloną w innym człowieku, z tym więc wstępuje we walkę; rozpoczyna się tedy walka *zewnętrzna*. W niéj obie strony mają w tém słuszność, iż istotnie poświęcają się za przekonanie swoje, a za przekonanie mające za grunt prawdę, i dla tego téż ich cierpienia i skon porusza spółczuciem głębię duszy naszéj, bo w duszę naszą Bóg włożył spokrewnione tony; ale w tém walczący mają niesłusznie, iż nie pojmując, że to przekonanie ich, za które ważą wszystko, nie jest całą prawdą, że nie zachowują miary w swém przekonaniu, że nie dają innym prawdom ostać się, mającym równe prawo do istnienia, i to właśnie stanowi ich niedostatek i błąd, za ten błąd téż giną. Śmierć

kończąc istnienie tych osób, kończy też ich błędne i mylne przekonanie, i znosi te szczegółowe prawdy, które się w nich wyrażały; a na miejsce tych prawd szczegółowych, staje prawda ówa wiekuista ogólna, a staje dla tego, bo ona jest całością, bo ona jest wiekuistą. Ona się unosi nad bojami ludzi w swym majestacie niezmiernym, bo ona ma stolicę swoję w wieczności, w nadziemskim świecie; tamte zaś prawdy szczegółowe są córami ziemi, bo mają początek swój w piérwiastku przemijającéj istoty człowieka. Skon tych osób poświęcających się za to, co nie jest samą i jedyną prawdą, jest że tak powiem rehabilitacyą onéj prawdy, jéj zadosyć uczynieniem.

Z tego widzimy, iż osoby będące wyrażeniem prawd szczegółowych, a poświęcające się tak za nie, iż je krwią, cierpieniem i życiem swojém płacą, są dopiéro figurami *tragicznemi*, a śmierć, którą ponoszą w téj walce, jest śmiercią *tragiczną*, a zawiązanie téj walki i rozwiązanie jéj stanowi dopiéro duszę *tragedyi*.

Stosując te zasady tak w krótkości tutaj dotknięte do Dziewicy Orleańskiéj, obaczymy i geniusz Szyllera i istotę téj jego tragedyi. Myśl całéj tragedyi w krótkości wyrażona jest następująca: Joanna z bronią w ręku chwałą wojenną i męztwem pragnie obronić Francyą, to jest tą prawdą, która ją prze i porywa, i w tém znajduje spółczucie nasze; ale w tém błądzi, iż choć kobiétą jest, nie uznaje powołania niewieściego, wyrzeka się miłości, wyprzysięga się szczęścia poznania uczuć macierzyńskich, i ślubuje, że nie chce być kobiétą, że nie chce być matką, a w tém obraża święte powołanie kobiéty będące zarównie prawdą na cześć jéj zasługującą: dla tego tu we własnych piersiach zradza jéj się wróg, znienacka miłość ją ogarnia, i ta ją gubi i staje się przyczyną jéj upadku i śmierci. Joanna tedy

nie upada w tén sposób, iż w kim innym znalazła inną jaką prawdę różną od téj, któréj się ona sama poświęca, ale upada dla tego iż ją znalazła we własnych piersiach; jéj skon, jako zniweczenie jéj doczesnego życia, godzi także to rozdwojenie, tę walkę wewnętrzną. Ze zrozumienia takowego całéj téj tragedyi wypłynie téż wprost zrozumienie osób w nię wchodzących, i ocenienie ich charakterów.

Przejdźmy w myśli cały rozkład tego arcydzieła, a wnet go wskróś zrozumieć zdołamy. Kto zaś nie ma w żywéj pamięci treści jéj, jak się rozwija w aktach i scenach po sobie następujących, a nie ma pod ręką książki, zechce przejrzeć rozkład tu przytoczony, a umieszczamy go w przypisku, by nim nie przerwać toku całego wywodu naszego (*).

(*) Rzecz otwiera się prologiem. Okolica wiejska — dąb stary — kaplica, w niéj obraz święty — Tibaut ojciec Joanny — trzy córki jego i trzech narzeczonych — Thibaut narzéka nad losem ziemi — niepewna przyszłość zniewala go, by życie zabezpieczył, dając im małżonków. Jakoż zaręcza dwie swoje córki, a pełen żałości, iż córka Joanna szuka samotności i w całém postępowaniu nadzwyczajna — wyrzuca jéj, iż pogardza Rajmundem zacnym młodzianem — zaklina ją by unikała dębu tego, co lęk i zgrozę szerzy koło siebie — wspomina, że w marzeniach nocnych widzi Joannę w dziwnéj postaci, a król i pany państwa i on sam, czołem bijąc przed Joanną — Rajmund kochanek Joanny daremnie ją usprawiedliwia przed ojcem — wchodzi Bertrand z hełmem w ręku, opowiada, jak dziwnym sposobem on dostał się w ręce jego, a przytém rozwodzi się żalem nad niebezpieczeństwem kraju — Joanna wyrywa mu hełm z zapałem, sobie go przywłaszczając i milczy — Bertrand opowiada daléj klęski kraju, przemoc straszną nieprzyjaciół, słabość wątłą króla — Joanna porwana natchnieniem, przepowiada

Joanna jest w ten sposób bohatérką całéj tragedyi, iż jéj koléj jest zarazem wysnuciem sztuki całéj. Jéj postać oddał mistrz rzeźbą tak wydatną, bogatą, iż inne figury giną przy niéj: są to blade gwiazdy toczące się

błogą przyszłość i oswobodzenie — nikt nie pojmuje téj nadziei dziewicy — Joanna zostaje sama — w monologu cudownym żegna wioskę ojczystą i błonia i góry, doliny i gaje, bo duch wyższy ją prze, duch który przemówił z gałęzi starego dębu, zakazując, by żadna miłość ziemska nie tknęła jéj serca, by nie zaznała nigdy szczęścia zostania matką, bo wawrzyny wojenne wyniosą ją nad ród kobiécy; że ona zniszczy najezdzców, Orleans uwolni, i w Rheims koronę włoży na głowę króla. Tak prolog się kończy, zawiązawszy w zaradzie rzecz całą: i dla tego ten prolog jest raczéj piérwszym aktem tragedyi całéj i tłem ogólném, w którém się wysnuwa dalszy wątek tragedyi.

Akt I. Dunois i inni wodzowie francuscy.—W scenach tych maluje się barwą posępną nieszczęśliwy stan Francyi, coraz przylatują okropniejsze wieści o nowych klęskach, za każdą gaśnie jeden promień nadziei, nakoniec La Hire przynosi wiadomość iż książę burgundzki odstąpił króla, że Elżbieta wyrodna matka Karola posadziła na tronie królewica angielskiego — Karol nie widząc z nikąd zbawienia, chce opuścić koronę i żyć w zaciszu za Loirą, ale w téj chwili przybywa wiadomość o zwycięztwie — Roal rycerz francuzki opowiada, iż zjawieniem się cudu zwycięztwo odnieśli Francuzi, że im przewodniczyła dziewica nieznana, że rzeź powszechna w szeregach Anglików padła na nich niby grom— W tém odgłos krzyku ludu — wchodzi Joanna — potwierdza posłannictwo Boże — bo lubo dla doświadczenia jéj, Dunois siada na tronie a król obok niego stanął, dziewica poznaje króla i wyjawia mu modlitwę jaką czynił Bogu w cichéj i niesłyszanéj od ludzi tajemnicy — wszyscy wierzą w jéj cudowność — Joanna opowiedziawszy posłannictwo swoje: przyrzeka królowi dwie rzeczy: bo uwolnienie Orleanu i koronacyą w Rheims — poseł od Anglików wchodzi, mówiąc,

kołem około niéj, jakby około słońca swojego. Tragiczność Joanny jest pragnienie oswobodzenia kraju swojego; jestto ta prawda, za którą ona się poświęca, wszystkie inne prawdy już nie mają w jéj oczach znaczenia. Joanna uboga i prostoty pełna pastérka, wśród boleści ludu

iż jest posłany od hrabiego Salisbury — Joanna oznajmia mu, iż Salisbury już nie żyje, i żąda wydania kluczów od twierdz przez nieprzyjaciół zdobytych, i grozi zniszczeniem i wjazdem króla do Paryża.

Akt II rozpoczyna się wśród Anglików. Talbot, Lyonel, Filip książe burgundzki, Fastolf i t. d.

Świéża klęska odniesiona przez Anglików jest powodem niechęci Talbota i Lyonela przeciw sprzymierzonemu im Filipowi — obie strony przypisują sobie przyczynę hańby i ucieczki — Filip odszczepieniec kraju swojego jest w złém położeniu, bo zdradziwszy kraj swój, nie ma wiary u Anglików swoich przyjaciół — Wchodząca królowa Izabella matka Karola VII godzi zwaśnionych; lecz w końcu sama jako matka wyrodna, jako kobiéta rozwiozła, staje się przedmiotem pogardy i Anglików i Filipa *(odchodzą)*. Joanna okazuje się ze swoimi na szczytach skał — bitwa — Anglicy uciekają przez scenę — Talbot nadaremnie chce wstrzymać swoich — z daleka widać obóz angielski ogarniony płomieniem — Montgomery jeden z wodzów angielskich występuje na scenę — przejęty zgrozą i przestrachem, zatrważa się widząc, iż w koło ni krzaku ni jaskini, któraby go ukryć mogła — rzuca myśl ku ojczystym stronom, kędy zostawił matkę kochającą i oblubienicę — trwoga jego rośnie widząc zdaleka Joannę — Joanna występuje — Montgomery klękając przed nią obiecuje drogi wykup — wylicza bogactwa i włości swojego ojca — nadaremnie zaklina ją na wielkość wrodzoną sercu niewiasty, na *uczucie święte miłości*, na pamięć rodziców — Joanna nieugięta wzywa młodziana, by bronił życia swojego, Montgomery po krótkiéj walce pada. Książe burgundzki Dunois i La Hire wpadają z różnych stron — Joanna wstrzymuje ich walkę i wymową pełną natchnienia

swojego ma widzenia święte; miłość swego kraju uosabia się jéj w postaci Matki Przenajświętszéj, i miłość ta w duszy Joanny zléwa się w jedność z religią i wiarą; wiara w Matkę Cudowną jest zarazem wiarą w oswobodze-

z księcia będącego wrogiem Francyi czyni prawego syna kraju swojego.

Akt III. La Hire i Dunois zwyciężeni wielkością Joanny i obydwaj przejęci miłością dla niéj, żądają jéj ręki w obliczu króla — dziewica nie czyni im żadnéj nadziei — król pasuje ją na rycerstwo — scena odmienia się na plac bitwy — Talbot ranny i wsparty na Fastolfie — Lyonel — Talbot umiera i złorzeczy, mówiąc: „Niechaj będzie przeklęty, „kto życie swoje na wielkość i zacność sadza; głupotą świat „się rządzi“ a następnie: „Oddaję ziemi atomy, które się „złączyły na radość i boleść w istotę moję, a z Talbota „potężnego zostanie garstka lekka prochu. Tak się kończy „koléj człowieka, a jedyną korzyść jaką odnosi z walki tru„dnéj żywota, jest wiadomość nicestwa i pogarda tego, co „nam się wielkiém i zacném zdawało.“ Król i wodzowie Francuzcy oddają cześć zwłokom Talbota. — *Widownia się zmienia w okolicę pustą, odludną.* — Rycérz w czarnéj zbroi, z wyzierem zamkniętym, ścigany przez Joannę, staje, i przestrzega Joannę, by zbyt nie ufała szczęściu, przestrzega by nie należała więcéj do bitew. — Joanna przysięga, iż nie złoży miecza, póki nie obali dumnéj Anglii, i podnosi oręż by go ugodzić — rycérz dotyka się jéj z lekka ręką — Joanna nieporuszona staje — czarne widziadło znika. Lionel wpadając wzywa dziewicę do boju, uderza na nię — Joanna wytrąca mu miecz, i w chwili, gdy go ma poświęcić swéj zemście, widzi twarz jego — ręka z mieczem opada — Lionel wzywa ją by mu życie odebrała, nie chce życia z jéj ręki — Joanna rozkazuje mu by uciekał, i w okropnym lęku wewnętrznym wyznaje sama sobie, iż złamała swoje śluby — Lionel poruszony współczuciem, bierze ją za ramię i powiada, że boleść okropna, że niewypowiedziana tęsknota prze go by ją uratował, i zaklina by z nim poszła —

nie Francyi, a tak już w prologu Joanna zyskuje stanowisko swoje. Jéj miłość do kraju nie wypływa z zasad powinności, honoru, nie jest wyrozumowaną prawdą, ani tradycyą przodków; ale odziéwa się we formę mającą

Joanna wskazuje na Dunois zbliżającego się w dali, i wyznaje że śmierć jego byłaby jéj własnym skonem — Lionel wydziera jéj miecz na zakład, że ją znów obaczy — oddala się.

Akt IV. Sala ustrojona — flety i oboje. Joanna sama. W monologu cudownéj piękności, porównywa uciechy powszechne, tryumf narodu, z niepokojem trapiącym duszę jéj. Pamięć Lyonela uważa za zgryzotę sumienia; wyrzut ciężki ciśnie jéj duszę. Agniészka wchodząc ukoszywszy Joannę, a przejęta dla niéj czcią najwyższą i podziwieniem serdecznem, klęka przed nią. Joanna mając jad zarzutu w duszy, z lękiem słucha hołdów Agniészki, i myślami przerwanemi wspomina o winie swojéj; a gdy Dunois i la Hire przynoszą chorągiew Joannie prosząc ją imieniem króla, by mu towarzyszyła i w czasie koronacyi. Joanna drżąc dotyka się chorągwi. Orszak koronacyjny przepychu pełen udaje się do katedry, — w końcu Joanna trzymając w ręku chorągiew, za nią król pod baldakinem. Po skończonym obrzędzie król w przytomności wszystkich rycerzy, całego dworu i zgromadzonego ludu dziękuje Joannie i oddaje jéj cześć; lecz w tém wśród tłumów zjawia się ojciec Joanny i oskarża córkę swoję o związki z piekłem; wyrzuca królowi i ludowi całemu zaślepienie — zaklina Joannę by do Boga się nawróciła. Wszyscy błagają Joannę by się usprawiedliwiła, by ich jednem słowkiem zapewniła o swéj niewinności, przyrzekają że jéj wszyscy uwierzą. Dziewica milczy — prośby, namowy, zaklęcia, daremne, ona trwa w milczeniu niemém. Słychać gromy. Wszyscy uchodzą przejęci zgrozą, jeden Dunois pozostaje, on jeden jeszcze w nią wierzy, on ją błaga by mu podała rękę na znak że jest niewinna. Joanna nieporuszona. W końcu i Dunois się oddala, a Rajmund jéj kochanek ze wsi rodzinnéj uprowadza ją z miasta.

piérwszy przystęp do serca dziewiczego pastérki, bo we formie Matki Przenajświętszéj, przemawiającéj do niéj z gaworów gałęzi starego dębu. Ta mocna wiara oddziela ją już od reszty świata, i nadaje jéj potęgę wznoszącą ją nad innych. Lecz świat ten nadziemski, który tchnął na Joannę poświęceniem swojém, z początku objawia się jéj saméj tylko; ale wnet rozléwa swój urok wszechwładną potęgą na całe rozwinięcie sztuki, na wszystkie osoby do niéj należące. Tak już w prologu samym, Bertrand przynosi przyłbicę, którą otrzymał cudownym sposobem. Tutaj równie należą późniejsze sceny, jako: zgadywanie osoby króla, którego nie widziała nigdy; wyjawienie mu skrytéj, tajemniczéj modlitwy jego, któréj nikt nie słyszał; następnie, zjawienie się ducha w postaci czarnego rycerza w akcie trzecim; gromy piorunne w akcie czwartym, zdające się niby potwierdzać okropne oskarżenie ojca w obliczu króla, dworu i całego ludu; tu nakoniec należy zerwanie cudowne kajdan w końcu samym sztuki. Ta cudotworność w Dziewicy Orleańskiéj, często przez najcelniejszych estetyków uważana była za wadę sztuki; przecież nie mógłbym się bezwarunkowo na te nagany zgodzić. Bo lubo prawda

Akt V. W puszczy Ardeńskiéj w śród burzy Joanna przez Anglików pojmana, zawiedziona do więzienia, gdzie w kajdanach staje się pośmiewiskiem królowéj Elżbiéty. Lud otaczający więzienie buntuje się żądając śmierci dziewicy. Lyonel staje w jéj obronie wołając, iż całym ludem francuzkim pogardza, jedną Joannę ma we czci wysokiéj. Żołniérz stojący na straży u okna, donosi osobom znajdującym się w więzieniu o losach bitwy; gdy Joanna słyszy, że francuzi zwyciężeni, że król pojmany, w tedy po rzewnéj modlitwie targa okowy, wylatuje do walczących, wśród osłupienia wszystkich. Akt kończy się śmiercią Joanny konającéj w objęciu króla i mężnego Dunois. Na niebie tęcza.

jest, iż póki cuda i zjawienia nadprzyrodzone wywiérają swój wpływ na samą Joannę tylko; póty téż łatwiéj usprawiedliwione być zdołają, bo je można uważać jako jéj własną mocną wiarę, jéj przekonanie religijne i święte, iż zbawić kraj zdoła. Gdy zaś ta potęga nadprzyrodzona roztacza się na inne osoby, na cały poemat, więc jużby się zdawać mogło, że tém samém osłabia się jedność artystyczna całego poematu. Bo właśnie ta jedność artystyczna na tém zależy, by dramat rozwijał się sam z siebie, by własny czyn człowieka wywoływał skutki sobie właściwe; gdy zaś obca siła, jaką jest cudotworność, wmięsza się w to rozwijanie się drammatu, już wtedy téj jedności nie będzie, bo nie czyn człowieka samowolny będzie rządzić wypadkami, ale potęga nadprzyrodzona, a całość organiczna dzieła zniknie i spaczy się w swéj jedności. Przecież przypatrzywszy się bliżéj naszemu poematowi, widzimy, iż zarzuty podobne tu zastosowane być nie mogą. Bo naprzód: cudotworność ta bynajmniéj nie wpływa na pochód rzeczy. Jakoż scena w akcie I, gdzie Joanna rozpowiada królowi tajemnice snu, nie jest stanowczą; bo Joanna już raz zwyciężyła nieprzyjaciół, a tak dowiodła posłannictwa swojego; dodajmy jeszcze, iż scena ta jest historyczna, bo z podań wzięta. Rycérz czarny także nie wpływa na pochód sztuki; podobnież i i gromy piorunne w onéj stanowczéj chwili wcale nie rozwięzują losu dziewicy: bo nie tak te gromy świadczą przeciw niéj, jak raczéj jéj milczenie, gdy właśnie na nalegania ojca, króla, Agniészki i Dunois, ona nie odpowiada. Równie i zerwanie kajdan nie może miéć wpływu na wątek rzeczy, bo dzieje się już w samym końcu sztuki i wtedy, gdy już od upodobania autora zależało tak lub w inny sposób ukończyć dzieło swoje; w każdym ra-

zie śmierć Joanny była jedyném rozwiązaniem dzieła całego. To złamanie okowów oznacza potęgę wiary i mocną wolę biorącą górę nad siłą zewnętrzną, fizyczną; jestto zwycięztwo ducha nad materyą i ślepą przemocą.

Tak cudotworność ta wcale nie przeszkadza jedności artystycznéj całego poematu, ale co więcéj ta cudotworność jest tu zupełnie na swojém miejscu i wprost z istoty dzieła wypływa. Bo osoby wchodzące do gry dla tego właśnie tak są zawisłemi od Joanny, iż one wszystkie wierzą, że dziewica istotnie ma z nieba posłannictwo swoje, więc choć nie wprost przez siebie, toć już przez pośrednictwo Joanny są w związku ze światem nadprzyrodzonym. Jeżeli zatém pozwolimy, iż sama Joanna jest siłą nadziemską natchniona, już tém samém pozwolić także musimy na całą potęgę nadziemską rozlewającą się na sztukę naszę. Ta nadprzyrodzona potęga jest nakoniec najwyborniejsze tło całéj bajki dramatycznéj odbywającéj się w wieku XIV, tak pełnym wiary w dziwy i cuda.

Powiedzieliśmy wyżéj, iż myślą panującą w całéj sztuce naszéj jest przejęcie się Joanny jedną prawdą wyłącznie, bo chęcią oswobodzenia kraju z mieczem w ręku, i choć jest kobiétą, zrzeka się uczuć kobiécie wrodzonych, pomiata miłością i uczuciem macierzyńskiém. Ale miłość, ale uczucia macierzyńskie, stanowią wskróś świętość kobiéty i jéj powołanie; zrzekając się ich Joanna, nie uznaje powołania swojego. Powołanie niewiasty, to nieuznanie jéj się, karze. Dla tego wszystkie sceny początkowe ku temu się mają, by Joannę po coraz wyższych szczeblach do najwyższego szczytu potęgi i chwały doprowadzić i postawić ją z nienacka nad przepaścią. Zbliżające się nieszczęście rokuje scena z czarnym rycerzem. Po bitwie zwycięzkiéj następuje walka, w któréj Talbot ciężko ranny

umiéra; złorzeczy życiu, oddaje atomy naturze, i mówi o nicestwie ogólném wszech rzeczy. Daremnie Lyonel napomina, by się z niebem pogodził. Zupełnie tedy stósownie z duchem romantycznym, dusza bezbożna Talbota błąka się po świecie i zjawia się Joannie, przepowiadając nieszczęście, które ją czeka. Joanna nie znając miary, powiada, *iż nie piérwéj złoży miecz z ręki swojéj, póki nie powali dumnéj Anglii.* Otóż tutaj Joanna sama na siebie wydaje wyrok — grzeszy — bo ona wzięła się do miecza, by obroniła własny kraj swój. Ta obrona jest świętą, a zarazem okazuje granice, w których się ona zachować powinna. Gdy zaś pragnienie oswobodzenia kraju zamienia się na chęć podboju, już myśl jéj staje się niesprawiedliwą, grzeszną, przestępuje powołanie swoje, a tém samém sobie upadek gotuje; dla tego też, gdy podnosi miecz, by zgładzić czarnego rycerza, zaledwie dotknięta lekkiém położeniem ręki jego, staje nieporuszona — duma ziemska bezwładna za dotknięciem ducha. Poczém też następuje spotkanie z Lyonelem i kara. Joanna zwycięża młodego rycerza; lecz zaledwie strąciwszy mu przyłbicę, widzi oblicze jego, już staje bezwładną; miłość ją ogarnia — ślub złamany. Miłość jest wrogiem, który powstał we własnéj jéj duszy. Cała jéj potęga cudowna i jéj chwała, stała na zrzeczeniu się uczuć natury; gdy te się rodzą, jéj wielkość upada; kobiéta mści się na bohatérce. Widzimy tedy, iż ta scena z Lyonelem jest stanowczą w całéj tragedyi. Cały poemat istotnie tedy ma dwie części: piérwsza trwa do téj sceny, druga się od niéj zaczyna i trwa do końca.

Tutaj jeszcze wypada powiedzieć, iż najcelniejsi estetycy, a na czele ich Tieck, zgodzić się nie mogą na tę miłość Joanny dla Lyonela, a zwłaszcza, iż Lyonel dla

samej Joanny nie ma prawie znaczenia żadnego, jest zupełnie dla niej zerem; uważają, iżby było rzeczą stósowniejszą, gdyby się była zakochała w innym rycerzu tej samej sztuki, mającym więcej treści w sobie. Niechcąc bynajmniej podnieść głosu przeciw wyrokowi tak przeważnych krytyków, rozumiem przecież, iż im mniej powodów ma ta miłość za sobą, im mniej znaczący jest dla Joanny Lyonel, tém też ironia tej miłości jest okropniejsza, tém i głębszy upadek i gwałtowniejsze jest wrażenie. Bohatérka, od któréj los kraju zależał, która groziła powaleniem kraju nieprzyjaciół, upada pod jedném spojrzeniem, a z niém wali się cały gmach jéj potęgi. Zgodzilibyśmy się zaiste na inny zarzut uczyniony Szyllerowi w tej mierze: powiadają, jak mniemam bardzo słusznie, iż przykry jest widok Joanny walczącej z sobą, chcącej nadaremnie obronić się namiętności wciskającej się jej mimowolnie w serce. Walka ta jak jest przykrą dla nas, tak ma jeszcze tę wadę, iż nie ma prawdy za sobą. Bo prawda na tém stoi, by okazać tryumf uczciwéj i cnotliwéj woli nad złą namiętnością, bo namiętność korzyć się winna, a wola zacna tryumfować, gdyż najwyższém piętnem majestatu istoty człowieczéj jest wolna jego wola. A cnota nie zależy na zupełnéj niewinności, bo i zwiérzę każde i niemowlę jest niewinne, istotą cnoty jest obronienie się od złych chęci, a téj obronie każdy człowiek wydołać winien. Wola zacna usiłująca zgnębić złe uczucia, a nie mogąca wydołać im, jak jest bolesna dla widza, tak nie ma myśli filozoficznéj w sobie; bo mocna i poczciwa wola zgnębienia w sobie winy zawsze zwycięzką być winna.

Po mistrzowsku w akcie IV Szyller wprowadza scenę koronacyi, a im świetniejsze w koło chwały otaczają ze-

wnątrz Joannę, tém okropniejsze wyrzuty wewnętrzne ją pożérają. Następuje bowiem scena z ojcem w obliczu króla i całego ludu. Milczenie Joanny przy téj sposobności było i jest również przedmiotem licznych zarzutów uczynionych autorowi. Powiadają, iż tylko jednego słówka trzeba było z ust dziewicy, a los jéj byłby się skierował zupełnie inaczéj; więc tego uporczywego milczenia zrozumieć nie mogą; przecież mniemam, iż to milczenie wprost winno było wypłynąć z całéj istoty Joanny i z nastrojenia jéj duszy. Jakoż ze świadomością swéj winy słucha milcząc oskarżenia ojca, i samowolnie naraża się na okropne skutki, uważając w tych cierpieniach odpokutowanie swéj winy i pogodzenie się z Niebem, bierze na siebie brzemię całego oskarżenia, w przekonaniu, że je Bóg na nię zsyła, by na ziemi jeszcze odpłaciła karę za złamanie ślubu, więc się téż i bronić nie chce i milczy, a milczenie jéj wymowniejsze niż wszelkie przemowy. Milczenie to dopiéro dopełnia charakteru całéj figury Joanny. Takie wytłumaczenie potwierdzone nawet jest z treści rozmowy Joanny z Rajmundem w czwartéj scenie aktu V. Zniesienie winy i pogodzenie się z sobą (z Niebem), następuje w całéj mocy w końcu całego poematu. Joanna śmiertelnie ranna umiéra, porzuca i świat cały i rzeczy ziemskie, a z niemi i miłość owę zgubną: a tak, ze skonaniem płaci za swoje winy, i ze śmiercią zmiata i pył doczesnego żywota. Na niebie panuje tęcza przymierza, łącząca związkiem świat wiekuistości ze światem ziemskim pełnym winy i biédy.

Taka w krótkości jest postać Joanny uważana z jednéj strony, to jest sama w sobie; lecz jéj uzupełnienie skończone znajduje się dopiéro w innych figurach poema-

tu, bo te dla niéj stworzone, są dopiéro rzeczywistém jéj dopełnieniem.

Tak Karol VII król, dla Joanny jest wcieloną Francyą; ona jako niewiasta, jako pasterka, nie ma na oku państwa, bo to jest abstrakcyą, ogólném pojęciem należącém do rozumu, do czystéj myśli, Joanna pojmuje państwo w osobie króla. Dziewica tedy w szczęściu i podniesieniu króla widzi uratowanie Francyi, a w tém historyczna postać Karola, dziwnie dobrze posłużyła Szyllerowi. Karol i w poemacie nie ma woli silnéj, nic sam przez się nie działa, choć zdolny by czuł co wielkie i piękne. (Akt I. sceny początkowe). Nieczynność Karola wypływa tutaj z konieczności; bo im mniéj sam działa, o tyle téż jaśniéj świécą czyny Joanny; a nadto, skoro Karol jest uzmysłowieniem abstrakcyjnego wyobrażenia Francyi ojczyzny Joanny, więc téż Francya sama przez się nie może występować czynem. Jéj czynami są dzieła tych, którzy w nią wierzą i za nią się poświęcają. Ona umarła, gdy ją opuścili Francuzi; odżyła, gdy w nich Joanna wskrzesiła wiarę i nadzieję. Kraj o tyle żyje, o ile żyje w sercach i w nich ma rzeczywistość swoję: inaczéj jest martwą i nieoderwaną abstrakcyą, myślą bez rzeczywistości, a takim właśnie jest téż Karol.

Agniészka Sorel, figura dowodząca gienialności autora; bo choć kochanka Karola i wprost przyznaje się do tych z nim stosunków, toć przecież postawiona obok dziewiczości Joanny tak czystéj i anielskiéj, jest jeszcze postacią rzewną, lubą, mającą tyle świetnych zalet, iż radzi zapominamy o owéj słabéj jéj stronie.

Królowa Elżbiéta, kobiéta rozwiązła, matka wyrodna, królowa zdradzająca własny kraj swój, słowem postać ohydna, jest drugą ostatecznością Joanny, niby

piekło obok nieba, i podnosi i uzacnia zbrodniami swojemi figurę Agniészki.

Filip książe burgundzki choć upadł w powinnościach swoich względem kraju, a tak sam odstąpił zacniejszéj dążności swojéj; przecież na dnie duszy żyje uczciwość, więc i nawrót jego ku dobréj sprawie i upamiętanie się nie trudne.

Dunois jest synem miłości, więc i miłość u niego tak potężna i silna; bo choć z krwi królewskiéj, prosi o rękę pastérki, on w nię wierzy mimo piorunów i gromów.

Lyonel butny i zuchwały, poniewiéra i Francuzami i księciem burgundzkim, a jest przejęty serdeczną pogardą dla Elżbiéty. Wszak na duszę tak hardą i żelazną, niby gromem działa widok i poznanie Joanny. On jest tym między Anglikami, czém Dunois między Francuzami. Z wroga gwałtownego Joanny, staje się czcicielem jéj wielkości i przed nią się korzy.

Theobald ojciec Joanny jest jednym z tych ludzi o ciasnéj duszy i o ciemnéj głowie, którzy nie pojmują potęgi wszechwładnéj żyjącéj w sercu człowieka; a gdy obcych czynów pojąć nie zdołają, więc téż nadzwyczajną wielkość, gdy ją w świecie spotykają, nie przypisują zacnym źródłom, ale w niéj widzą pobudki nieczyste i złą wolę. Tak i Theobald oskarża córkę o związki z piekłem, bo nie pojmuje, iż jéj dzieła świetne mogą mieć początek swój w niebie.

Z tego choć lekkiego zarysu osób, wypłynęłoby téż już łatwiéj ocenienie pracy naszych artystów drammatycznych. Mniemam atoli, iż czytelnik z początkiém artykułu tego zrozumiał, iż nam bynajmniéj tutaj nie chodziło o prostą recenzyą teatralną, albowiem recenzya takowa winna być napisaną tuż po odegranéj sztuce, póki

i dramat sam i wystawienie trwa jeszcze w świéżéj pamięci publiczności i powinna być krótką w swéj treści. Wszak tyle już czasu ubiegło od chwili wystawienia ostatniego Dziewicy na teatrze naszym, iż artykuł niniejszy nie mógł uważać za główną treść swoję, grę samą artystów, lecz raczéj przedmioty, na które bynajmniéj nie wpływa późniejsze lub wcześniejsze pojawienie się artykułu. Z tego powodu z kolei wzięliśmy za treść: Szyllera, Joannę d'Arc, jaką była w rzeczywistości, daléj powołanie aktora, w końcu Dziewicę Orleańską, jaka jest w poemacie Szyllera, a o wystawieniu zaś i o grze, możemy mówić jedynie sposobem bardzo ogólnym.

Wystawienie samego drammatu w porównaniu z całą przeszłością teatru w Krakowie, było tak celujące, iż wszelkie porównanie nawet miejscaby mieć nie mogło, a zwłaszcza pod względem zewnętrznego uposażenia sceny. Wszak i gra sama, była prawie zupełnie zadowalniająca.

Artystka wystawiająca rolę Joanny zarazem tak trudną i nużącą, dowiodła swéj usilności chwalebnéj i zamiłowania w powołaniu swojém, a co więcéj, dowiodła, iż pojmuje rolę Joanny i wié, jak ją grać wypada. Przecież jak we wielu innych sprawach, tak i w sztuce drammatycznéj, co innego jest wiedzieć jak co dobrze czynić należy, a co innego jest samemu dobrze się z rzeczy uiścić; bo do tego oprócz wiadomości, trzeba mieć i indywidualność potemu: i dla tego mniemałbym, iż gdyby nasza artystka miała uczennicę z talentem, wyborniéjby jéj w téj roli przewodniczyła. Dla niéj saméj inne role nierównie są właściwsze, co okazała bardzo często na scenie naszéj. Artystka posiada szkołę, a to jest zaleta pewno bardzo rzadka; ale szkoda, że ta szkoła może zbyt znacznie występuje. — Joanna jest dziewicą pełną prostoty; ją unosi

natchnienie, co na nią z góry spłynęło; cała jéj postać tak jak ją Szyller utworzył, jest widziadłem nadziemskiém, eterycznėm, lekkiém. Tu wiejska niewinność zléwa się z potęgą niebiańską, a z duszy dziecęcéj wylatują czyny niby gromy. Największém tedy zadaniem dla artystki, byłoby ukrycie wszelkiéj sztuki; bo sztuka okazująca się na jawie, wyradza się w sztuczność i manierowanie. Żałowaliśmy podobnie, iż wylewania się liryczne duszy jak np. owe pożegnanie ze stroną ojczystą w prologu, lub monolog na początku IVgo aktu tracił w deklamacyi.

Wytykając grę artystki, o ile jéj podzielać nie możemy, chętnie jéj przyznaję niezaprzeczone zasługi położone na scenie naszéj, a przekonani jesteśmy, iż w roli Joanny nawet niktby jéj u nas wyrównać nie zdołał.

Theobald. Rola ta odegrana przez jednego ze znakomitych artystów, była jednak za krótko trwającą, by w niéj rozwinął swój talent objawiony nam przy innych i licznych sposobnościach. Radzibyśmy jednak byli, aby tą razą gra jego była w ściślejszym związku i z rolą samą, i z całą myślą sztuki. Artysta w roli Theobalda, czyli to okazuje podejrzenie z postępowania Joanny, czyli ją jawnie i na zgubę jéj o czary oskarża, przemawia głosem wewnętrznego i niewątpliwego przekonania, głosem człowieka, który nie tylko to przekonanie swoje za prawdę uważa, ale którego przekonanie jest w saméj rzeczy istotną prawdą. Artysta używa głosu i tonu, jakiego zwykł był używać w innych rolach, gdy mu przychodzi mówić z tą godnością, jaką przybiéra przeświadczenie wewnętrzne wsparte na jasnéj prawdzie. I w tém się z artystą zgodzić nie mogłem. Bo co innego jest myśl urojona w czyjéj duszy a błędna, a co innego przekonanie, które nietylko dla niego jest prawdą, ale i prawdą samą przez się, i

dla wszystkich innych ludzi. Przekonanie urojone inaczéj się wyraża, inaczéj zaś objawia się prawda. Wszak Theobald staje wręcz przeciw Joannie; więc albo ona, albo Theobald był w błędzie. Lecz o niewinności Joanny jesteśmy przekonani; więc téż dla tego właśnie tém więcéj w głosie i w całém mienìu się Theobalda, obłąd jego okazaćby się był powinien, a to tém więcéj, żeśmy powyżéj wytknęli, iż osoba Theobalda wyraża po prostu nizkość uczuć, niepojmująca, iż człowiek bez pomocy piekła zdoła coś wielkiego i nadzwyczajnego sprawić. Że Joanna sama w Theobaldzie czci tylko ojca a nie człowieka, toć już mógł się artysta przekonać z tego, iż w prologu samym, ile razy Theobald zwraca mowę do Joanny, ona nie odpowiada mu nigdy, bo przeczuwa, iż on jéj nigdy zrozumiéć nie zdoła, a nie chce mu się sprzeciwić, mając uszanowanie dla niego jak dla ojca. Nakoniec sam Szyller w pewnym liście nazywa Theobalda człowiekiem przesiąkłym podejrzliwością i żółcią.

Montgomery. Trwoga, bojaźń, strach, uboléwanie nad rodziną i kochanką, wybornie się wyrażało w artyście naszym, i z przyjemnością trzeba było się patrzéć na grę jego, któréjby może nic nie było do zarzucenia, gdyby nie jedna drobna okoliczność, przeszkadzająca wrażeniu gry całéj. A nie wspomnielibyśmy nawet o niéj, gdyby właśnie dla drobiazgowości swojéj nie była dowodem, jak często małe rzeczy bróżdżą i stają się ważnym błędem. Tym błędem artysty są przypięte wąsy i broda. Przy lęku i przy tym przestrachu Montgomerego, przy téj bojaźni śmierci, te wąsy i broda oznaczają obrzydliwe tchórzostwo będące wszędzie śmieszném i pogardy godném, a cóż dopiéro u rycérza srożącego się wąsem i brodą? Ta uwaga byłaby już dostateczną, by dowieść niestóso-

wność i tych oznaków wojownika; ale nastręcza się nam jeszcze inna. Scena z Montgomerym, jak sam Szyller wyznaje, wcale nie jest drammatyczna, ale silnie się zbliża dla plastyczności swéj do epopei, a co więcéj, scena ta wypracowana na wzór sceny Iliady Homerowéj, jak się łatwo przekonać można, porównywając ją z Ks. XXI Iliady. Tu znajdziesz Likaona w tém samém położeniu do Achillesa — i Likaon klęka i o życie prosi i on obiecuje bogaty okup i o ojcu swym wspomina, jak tam Joanna tak tutaj Achilles powiada, iż go czeka śmierć. Tutaj wszędzie Homer nazywa Likaona *młodzianem*, a zatém tak jego trwożliwość uławiona drobnym wiekiem jego. Tę scenę przeniósł Szyller do poematu swojego, Montgomery także jest *młodzianem*, a zatém jemu niewłaściwe wąsy i broda. Ale uważmy wreszcie, iż Szyller w jednym ze swych listów powiada, iż Montgomery powinienby być granym przez *kobiétę*. Przecież mimo tych drobnych zarzutów tu uczynionych tym dwom artystom, wyrzec wypada, iż P. Rychter i P. Królikowski są młodymi artystami, pełnemi zdolności, mającemi piękną przyszłość, gdy nie ustaną w swéj usilności rozwijania darów przyrodzonych i kształcenia się artystycznego.

Lyonel. Lubo sama rola krótka, bo przesuwa się niemal po scenie, przecież ta figura nie zasługuje bynajmniéj aby była lekce ważona. Wszak cały tok poematu naszego, jakeśmy to powyżéj rozwinęli, dowodzi jawnie, iż Lyonel jest w grze saméj jedną z najważniejszych osób, na nim się wszystko opiéra. Piérwsza połowa sztuki, jest ciągły wzrost chwały i potęgi Joanny; ona coraz wyżéj się dźwiga, a jéj szczytem jest scena przed obaczeniem się z Lyonelem: zaledwie go ujrzała, gdy spada w przepaść i zgubę własną. Wypadało tedy całą siłę, całą sztukę

zwrócić ku temu, by ją odegrać stósownie z myślą autora. Rola krótka nie zawsze jest rolą nieważną. Nie wątpimy téż, iż artysta zrozumiał całość sztuki, i uczył się charakteru Lyonela ze scen, które opuszczone były na teatrze naszym, a w których mógł zrozumieć piętno rycérza tego. Mógł tedy widzieć, iż Lyonel jest szlachetny i zuchwały, wzniosły a czuły, umiejący cenić prawdziwą wielkość choćby w najokropniejszym wrogu, jakim była Joanna: dla tego gorąca nienawiść ku niéj kończy się u niego w cześć, w miłość pełną uszanowania a daleką od poufałości. Obeszło nas tedy, gdy w scenie, w któréj Joanna powaliła na ziemię Lyonela, gdy od jéj woli zależy odebranie życia, i gdy on jeden z najmężniejszych rycérzy zwyciężony od dziewicy, w niéj koniecznie widzieć musi czyli wpływ nieba, czyli piekła, gdy w téj mówię chwili artysta wstawszy, obejmuje ją poufale w pół; podobnie téż scena z umierającym Talbotem i ostatnia w więzieniu nie miała właściwego sobie koloru. Życzylibyśmy także z serca młodemu artyście, by wydobył z siebie deklamacyą właściwą dla każdéj roli, będącą że tak rzekę akompaniamentem myśli i czynu, a która winna być tak różną, tak rozmaitą, jak są różne charaktery osób, jak rozmaite i czyny i położenie; bo inaczéj, ta deklamacya wyrodziłaby się w jakieś stereotypowe zmienianie głosu, zostające zawsze jedną i tąż samą, bez względu na różnicę ról, w jakieś afektowane wymawianie. Toż samo powiedzieć wypada o całym układzie ciała i gry fizyonomii; wszak taż sama namiętność wedle różnych charakterów indywidualnych ma inne wyrażenie swoje, inną deklamacyą, inne ułożenie i mimikę ciała. Gdy téj wady unikać będzie artysta nasz, spodziewać się można, iż uiści piękne nadzieje uczynione nam już przed kilką laty.

Tutaj mile wspomnieć wypada o artyście młodym, przedstawiającym rolę Karola VII. Powiérzchowność przyjemna, ułożenie zgrabne, głos dźwięczny, wzbudzają w nas życzenie, by do tych zalet połączyło się ścisłe spływanie ze swą rolą, by oną nie była zewnątrz niego, ale przenikała go zupełnie.

Słowem mówiąc, całość wystawienia była wcale zadowalniająca, życzylibyśmy jedynie więcéj artystyczności w postawach i ułożeniu ciała, a zwłaszcza w ugrupowaniu się w scenach, gdzie wiele osób razem występuje na widok. Wszak rysunki Retscha do sztuk Shakspeara są pod tym względem niepospolitą nauką dla artystów drammatycznych, a zresztą przypatrzenie się litografiom jakimkolwiek, wywieszonym nawet przed księgarniami naszemi, a wystawującym obrazy wielkich mistrzów, najlepiéjby uczyły, jak wiele figur ułożyć się może w artystyczną całość.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłaconą z góry; kwartalna, dla nierozrywania części tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W* **Cesarstwie Rossyjskiém**, *w* **Królestwie Polskiém**, *w* **Królestwie Pruskiém** *i* **W. X. Poznańskiém** *w Urzędach pocztowych prenumerować można. W* **Galicyi** *zaś tylko księgarnie przedpłatę przyjmują.*

DWUTYGODNIK LITERACKI.

N. 12. Kraków dnia 15 Września. 1844.

Treść: Czy znasz ty łzy? przez Paulinę z L. Wilkońską. — Początek biczowania się w Polsce, napisał J. Muczkowski. — Sama jedna, przez P. z L. W. — Kronika bibliograficzna.

Redakcya Dwutygodnika *uprasza Szanownych Prenumeratorów, którzy jeszcze przedpłaty nie złożyli, ażeby się z niéj uiścili do dnia 15 Września r. b. Prenumerujący zaś na pocztach w Król. Polskiém i W. X. Poznańskiém zechcą zawczasu zapisy na drugie półrocze przesyłać, albowiem mała liczba exemplarzy nad zapis drukować się będzie.*

CZY ZNASZ TY ŁZY?

Chłopczyk skakał wesoło pomiędzy krzewiną,
Barwioną polném kwieciem i bujną trzmieliną,
A w tém nagle przystanął: — gołąbek skrwawiony
Leżał przy dzikiéj róży, wystrzałem trafiony.
Zadrżało serce dziecka, żale je ścisnęły,
Zbladły młodziuchne lica, z oczu łzy płynęły.
O znasz ty łzy?
Litości łzy?
Czy znasz je ty?
Tęsknotą wytrawiona płakała dziewica,
Jak białéj róży listek, tak blade jéj lica,
Pochylona jéj postać zdradzała cierpienia,
Pierś bólem przepalona tłumiła westchnienia;

[illegible] pr[illegible]ja [illegible]
[illegible] serce, w sw[illegible] szczeréj miłości [illegible].
O znasz ty łzy?
Zawodu łzy?
Czy znasz je ty?
Ponad wioską, na wzgórzu, gdzie stérczy dąb stary,
Gdzie pobożni przy drodze wznieśli krzyż, znak wiary,
Stał wędrowiec ponury, z smutkiem w ciemném oku,
Z okolic u stóp jego nie spuszczając wzroku:
Tam nad rzéczką — tam niegdyś stała chatka mała,
Tam go z dwojgiem aniołków żona wyglądała.
Dzisiaj chatka zwalona, Marya nie żyła,
Jego dwoje dziateczek, chłodna ziemia kryła.
I zapłakał wędrowiec, łza po licu ściekła,
Nie zastał swoich, domu, wróciwszy z daleka!
O znasz ty łzy?
Znasz męzkie łzy?
Czy znasz je ty?
Krwawa wojna zniszczyła złotorodne niwy,
Na zarazę powietrzną marł lud nieszczęśliwy,
Wszędzie wioski i miasta w gruzy zamienione,
Nawet świątynie Pańskie stały znieważone.
Lud ze łzami do nieba żale swe zanosił,
I Bóg modły wysłuchał, bo lud Boga prosił!
O znasz ty łzy?
Znasz ludu łzy?
Czy znasz je ty?

Paulina z L. Wilkońska.

POCZĄTEK BICZOWANIA SIĘ W POLSCE

NAPISAŁ

Józef Muczkowski.

Aczkolwiek już w piérwszych wiekach chrześciaństwa żarliwie pobożni, pomni na to, że Zbawiciel był biczowany, w czynieniu podobnéj pokuty pochop stąd brali; stémwszystkiém biczowanie się, które Baroniusz w swych rocznikach kościelnych *chwalebnym zwyczajem* nazywa, dopiéro od roku 1056 upowszechniać się zaczęło. W tym bowiem czasie benedyktyński zakonnik ś. Dominik, od noszenia na gołém ciele pancerza, pancernikiem *(loricatus)* zwany, wielce sobie upodobał ten rodzaj pokuty ([1]); a spółczesny mu opat tegoż zgromadzenia Piotr Damiani

([1]) Wiadomość o życiu ś. Dominika pancernika przez Piotra Damianiego z Rawenny do Alexandra II, papieża, napisana, znajduje się w Żywotach Skargi pod dniem 14 października. W niéj czytamy, iż ten pobożny mąż nie tylko że gołe swé ciało pancerzem okrywał, ale téż dwie żelazne obręcze w pasie, a dwie drugie na ramionach nosił, i liczbę ich w podeszłym wieku podwoił. Daléj pisze Piotr o nim, iż raz na początku postu wielkiego prosił się Dominik, żeby mu rzeczony opat 1000 lat pokuty na on post naznaczył, które nim się post skończył Dominik wypełnił. Późniéj zaś, będąc już w podeszłym wieku, tak się do takich pokut zapalił, iż stojąc, ani się ruszając, dwakroć psałterz z dyscypliną odprawiał i w onym pancerzu tysiąckroć przez jeden psałterz przyklękał. Co większa, trafiało się iż dwanaściekroć, nie przestając, psałterz z śpiewaniem, a rózgami się bijąc, przebiegał nocą i dniem bez przestanku. Jego przykładem wielu się innych takiego biczowania i czyszczu nauczyło, a nie tylko mężowie, ale i białogłowy. Skarga *Bo.* Baronii *Annales. a. 1056 n. 7.*

z Rawenny, późniéj kardynał i biskup ostyjski, całemu chrześciaństwu, szczególniéj zaś zakonnikom, biczowanie się, jako zbawienny środek do uzyskania grzéchów odpuszczenia, najusilniéj zalecał, nauczając, że trzy tysiące razy siebie zacinający, a przytém psalmy odmawiający, rok odpustu otrzymuje ([2]). Ta nauka utwierdzona ostrém Damianiego życiem, którego żywe uczynki silniéj na ogół działają, niż marne uczącego słowa, gdy przy swéj ozdobności tylko cnotę kłamią, tudzież głośna jego świątobliwość, wielu do naśladowania pobudziły. Odtąd duchowni i świeccy, mężczyzni i kobiéty różnego stanu i wieku poczęli rózgami, rzemieniami i łańcuszkami smagać swe ciało; a ten rodzaj pokuty nazywano dyscypliną, podobnie jak i użyte do niéj narzędzie, które to z trzech, to z cztérech, najpospoliciéj zaś, na pamiątkę pięciu ran Chrystusowych, z pięciu się pasków składało. Panujący, jak np. Henryk II, cesarz († 1056), używali do téj posługi swych spowiedników; a ś. Ludwik, dziewiąty tego imienia król francuzki, nosił przy sobie puszkę ze słoniowéj kości z żelazną dyscypliną i sumnienia swego przewodnika nader często do silnego smagania się zachęcał. Pobożny ten monarcha i książętom i księżniczkom rozdawał dyscypliny, jako szczególniejsze swéj łaski upominki ([3]).

([2]) „Sto lat pokuty liczym z mówienia psałterza, w którym jest 150 psalmów, dwadzieściakroć z dyscyplinami czyli z biczowaniem, licząc sto zacięcia na każdy psalm, a 3000 zacinania za rok jeden pokuty“. Piotr Damiani w Żywotach Skargi pod 14 października.

([3]) *Post confessionem a confessario suo disciplinam semper recipiebat cum quinque catenulis ferreis* i t. d. mówi o nim dwudziestoletni jego spowiednik dominikan Gaufridus de Bello loco, który z polecenia Grzegorza X. pap. jego ży-

Taki przykład źle pojętéj pobożności, z postępem czasu coraz więcéj upowszechniał się, zwłaszcza kiedy w następnych wiekach, wielu nieszczęściami dotknięte, przez ucisk znikczemniałe, a przez nadmiar niedoli z wszelkich uczuć swobody, godności i ludzkości wyzute narody, przy swém umysłowém uspieniu, nie znajdowały innéj pociechy w religii, którą w ciemnościach grubego nieuctwa zanurzeni jéj kapłani fanatyzmem skazili i zamącili.

Przekonanie, że przez takową pokutę odpuszczenia grzéchów i wiecznego zbawienia dostąpić można, natchnęło w r. 1260 pustelnika Rainera z Perugia (Perudżyi), iż pod brzemieniem nieszczęść i wnętrznych wojen upadającemu i wielce sobą trwożącemu ludowi ten sposób przebłagania Najwyższego szczególniéj zalecał, oraz napominał, że jeżeli się do pokuty nie uda, i korny o pokój i miłosierdzie Boga prosić nie będzie, to wszystek wkrótce od powietrza niezawodnie wyginie. Te słowa przerażenia i trwogi wskróś przejęły niedolą znękane umysły i ściśnione serca. Chciwie więc rzucono się do pokuty przez Rajnera wskazanéj. Jakoż, już późno w jesień, mężczyzni i niewiasty wszelkiego stanu i wieku, niezwłocznie jakby z namowy, po pas obnażywszy się, po mieście chodząc i gołe ciało dyscypliną siekąc, rzewnemi głosy N. Maryą Pannę błagali, by u Syna swego odpuszczenie grzéchów wyjednać im raczyła; a wyzuwszy się z dawnych niechęci i nienawiści, przepraszali się i przez wzajemne uściski jednali. Następnie wychyliwszy się z rodzinnego grodu, z długim na czele rzędem chorągwi, obiegali sąsiednie miasta, do których wchodząc, z powszechném zdumieniem

wot napisał. Ś. Ludwik panując od r. 1226 do 1270 w tym czasie w Tunis życie zakończył. *Acta Sanctorum Augusti T. V.* str. 547 §. 23.

to na drodze, to w świątyniach tę nową pokutę czynili. Tym widokiem zachęceni miejscowi naśladowali ich żarliwość, a biczując się, i o pokój i miłosierdzie Boga gorąco błagając, do dalszych miast wraz z przychodniami spieszyli, i podobnie jak biegiem wezbrane rzéki, coraz tłumniéj, z biskupami i rządcami na czele, okoliczne miasta przebiegając, ludzi obojéj płci i wszelkiego stanu i wieku do naśladowania siebie wielce zagrzewali. Nowy ten rodzaj pokuty tak licznych znalazł naśladowców, że w piérwszym dniu listopada, tegoż roku (1260), do Modeny już około 20,000 biczowników z chorągwiami przybyło ([4]), skąd się następnie nie tylko po innych stronach ziemi włoskiéj, ale téż i po sąsiednich krajach rozlali; zwłaszcza, kiedy Manfred, który się królem Sycylii i Apulii był uczynił, i część tuskiego i ankońskiego zawojował, tudzież margrabia Palavicinus w Kremonie, i innych posiadłościach swoich, nie tak ze względów religijnych, jako raczéj z obawy, żeby za pomocą tego zwolennictwa nie wyzuto ich z władzy, którą sobie byli przywłaszczyli, wiązania się z biczownikami pod karą śmierci zakazali ([5]).

Skoro przy schyłku tego lata (1260), i w roku następnym, tłum ten, ze steku różnych narodów złożony, przeszedłszy Alpy, i po Niemczech się rozlał, wtedy i sąsiednią Polskę dotknął swą zgubną zarazą. Jakoż według świadectwa spółczesnego Baszkona, kustosza poznańskiego, w r. 1261, wszczęło się między wieśniactwem naszém zwolennictwo biczowników, których zgraje, mając na czele po dwóch z chorągwiami i świécami, obnażone, i tylko płatem w biodrach przepasane, idąc jeden za drugim i jakieś

([4]) Sigonius *de regno Italiae lib. IX. p. 97.*

([5]) *Monachus S. Justinae Paduanus Chron. lib. III. ap. Urstisium part. I. p. 613.*

pienie śpiéwając, dyscyplinami srodze się siekli, a dwakroć na dzień t. j. o 1wszéj i 9téj godzinie przez 30 dni tę pokutę czynili, zapewniając, że, ktoby się przez tak długi czas biczował, ten wszystkich grzéchów odpuszczenie otrzyma. Janusz, arcybiskup gnieznieński, w całéj metropolii pod karą klątwy tych zbiegowisk zabronił, oraz usilnemi przełożeniami do tego przywiódł panujących książąt, iż ci zagrożeniem kary więzienia i utraty majątku zwolennictwo to przytłumili (6). Długosz (7), a za nim Maciéj z Miechowa (8) i Naruszewicz (9), mylnie podają, jakoby się ta sekta we Francyi wykłuła. W piérwszym z nich czytamy, że tłumy tego zwolennictwa, przybywszy do Polski, przebiegały kraj w uroczystym porządku, obyczajem mnichów zakapturzone. Pokutnicy ci, po pas obnażeni, dyscyplinami o cztérech paskach z węzełkami na końcach jeden drugiego srodze po plecach smagali, każdy w swym języku nabożne pieśni śpiéwając. Zgraja ta nie przed kapłanami, ale przed sobą nawzajem spowiedź czyniła, a nawet od śmiertelnych grzéchów rozwięzywała się, twierdząc, iż jéj zwolennictwo, i Bogu nader miłe; i duszom krewnych, nawet w piekle będącym, pomocne; i dla umierających w téj pokucie, wielce jest zbawienne. Zaledwie te pobożnisie, przybywszy do Krakowa, niektóre kościoły zwiedziły i pokutę w nich uczyniły, aliści Prandota, biskup krakowski, zagrożeniem więzienia z miasta je wypłoszył. I w innych ziemiach Polski, jak się wyżéj wspomniało,

(6) Baszko *ap. Sommersb. Silesiacar. rerum scriptt.* T. II. p. 74, a w tłumaczeniu Kownackiego str. 270.

(7) *Hist. pol.* T. I. lib. VII. p. 764.

(8) *Chronica polonorum. Cracc.* 1521 pag. 166.

(9) *Hist. pol.* wyd. I. T. V. str. 73, wyd. Most. T. V. str. 104.

nie lepiéj byli przyjęci. Tak więc skoro na ziemi polskiéj stanęli, zaraz *ich wyśmiano i niemi pogardzono* ([10]).

Lubo to zwolennictwo, z przyczyny szkodliwości swych zasad ([11]), tak przez władze świeckie jak i duchowne, niemal wszędzie, było ścigane i wytępiane, jednakże pomimo surowych postanowień przeciw sobie, i w późniejszych czasach przed rokiem 1347 we Włoszech i w Niemczech wielokrotnie się tu i owdzie wynurzało ([12]).

Ale początek prawdziwéj biczowników sekty niektórzy pod r. 1340 odnoszą. Jakoż w tym czasie w d. 25 marca zbiegowisko ludu różnéj płci pod Kremoną w wioscę Korrigisiorda w liczbie około 10,000 z różnych dyecezyj zebrane, zwolennictwu temu początek dać miało. Ludzie ci, boso i w łachmanach, włócząc się po wsiach i miasteczkach, biczowali się i jałmużnę wyciskali. Przewodniczyła temu stekowi, dziwnéj urody dziewica, w udawaniu świętoszki wyćwiczona przez złego życia kapłana, z którym w niecnych była stosunkach. Ta, z rozkazu biskupa kremońskiego ujęta, naganne swe życie w płomieniach zakończyła ([13]).

([10]) Secta ipsa irrisa et spreta est. Dług. *Hist. pol. l. c. p. 765.*

([11]) Szkodliwe biczowników zasady skreślił Teodoryk Urie w swéj *Historia concilii Constantiensis lib. IV. distinc. 13*, a von der Hardt w swojém *Concil. Constant. T. I. part. I. p. 127* seqq. tudzież Christianus Schoettgenius w pismie *de secta flagellantiam commentatio Lips. 1711. 8.* na str. 45 i następnych znowu je powtórzyli.

([12]) *Schoettgenius l. c. p. 62—64.*

([13]) Bernardin. *Cor. hist. Mediolan. parte 3. w* Bzovii *Annales eccl.* pod r. 1340. n. 24. *In agro Cremonensi ad XXV diem Martii in pago Corrigisiordae ad decem millia hominum promiscui sexus— flagellantium sectae initia aperuere.*

Nic atoli do wznowienia i upowszechnienia tego szczególnego rodzaju pokuty tak bardzo nie przyłożyło się, jak owo straszne powietrze, którém Europa w 1347 r. i latach następnych dotkniętą została. Zaraza ta z Azyi przeniosłszy się na zachód, we wszystkich niemal krajach naszéj części świata tak bardzo się srożyła, iż, według powszechnego dziejopisów podania, w miastach, miasteczkach, wsiach, świątyniach i wszelkich posiadłościach, a nawet po całych prowincyach, wkrótce grobowa cisza osiadła; a w wielu okolicach rozkoszne niegdyś niwy w dzikie zamieniły się zarośle. Waliły się wyludnione miasta, do których obiętnicą wielkich korzyści nowych osadników zwabiano; a ulewne dészcze niszczyły domy i świątynie, bo nie było, ktoby je od zagłady zasłonił ([14]).

Te okropne, w niektórych okolicach z wielkiém trzęsieniem ziemi połączone, klęski, które, według podania, połowę ówczesnéj ludności pochłonęły, wywarły nadzwyczajny wpływ na owe ciemne, zdziczałe, brzemieniem nieszczęść stłumione, i do rozlewu krwi nawykłe, atoli głęboko wkorzenioną i silną wiarą ożywione ludy. Jakoż szczególniéj w tym czasie, chcący przez modły uchylić od siebie zagrażające niebezpieczeństwo, zwolennicy nowéj pokuty, biczownikami zwani, wylali się z Węgier do Polski, i sąsiednich jéj Niemiec, Francyi, Włoch i Anglii dosięgli. Ale ta tłuszcza nie długo u nas gościła, bo obrażające jéj dziwactwa i zdrożności, zdrowy większéj części narodu obrażały rozsądek ([15]).

([14]) Leander *de viris illustribus Ord. Praed. in Rajmundo XXIII. Generali.*

([15]) *Pestis a cerba, duobus illis annis Poloniam omnem pervasit, tanta vi grassata, ut pagos atque oppida hominibus vacua redderet* i t. d. Cromeri *Polonia ed. Colon. p. 212.*

Biczownicy, których do téj obłędliwości najwięcéj przywiodła wieść, jakoby przez aniołów z nieba przyniesiony i w Rzymie na ółtarzu ś. Piotra złożony list, szczególniéj zalecał 33dniowe biczowanie się, jako jedyny środek pokuty przez Zbawiciela, na złość chrześcian zagniewanego, wskazany, gdy za nimi N. Marya Panna prosiła, na głowie z przodu i z tyłu, lub téż na odzieniu czerwone krzyże mający, boso i po pas obnażeni, po dwakroć we dnie, raz zaś w nocy aż do krwi siekli swe ciało. Nikomu z nich nie wolno było żebrać, i dla tego ludzi bez zasobów wcale nie przypuszczali do swojéj społeczności, do któréj należeć chcący, wyspowiadać się i winowajcom swoim wszelkie winy odpuścić powinni byli. Niemcy z początku, wielką czcią dla nich przejęci, w zawody ich zapraszali do swego stołu. Ale oni nigdzie dwa razy nie jedli, ani téż dłużéj nad noc lub jeden dzień nie bawili. Liczne zgraje ludzi, różnego powołania, czepiały się tych nabożnisiów, którzy często do tłumu przemowy czynili, a gardząc kapłanami i lekce ważąc słowo Boże i nabożeństwo, przenajświętszemu Sakramentowi należnéj czci nie oddawali i w swym obłędzie jedyną ufność pokładali. Mężczyzni z kobiétami pomieszani, boso, na poły obnażeni i tylko w biodrach płatem przepasani, z zakapturzoną głową i drewnianym krzyżem w ręku, każde w swoim języku pieśni o męce pańskiéj, i inne wierze chrześciańskiéj przeciwne, śpiéwając, to po kościołach, to na miejscach publicznych, dyscyplinami, na końcu po trzy węzły z żelaznemi kolcami mającemi, nielitościwie się siekli, albo téż, krzyżem leżąc, modlitwy czynili, lub nabożne pieśni śpiéwali; kiedy tymczasem przez tak leżących każdy z bi-

Długosz w T. I. ks. IX. str. 1094. okoliczność tę pod rokiem 1351 umieszcza.

czowników przeskakiwał i raz ich dyscypliną uderzał. Pomimo tylu zdrożności i nagannych zasad, pomimo iż w niektórych krajach połączył się z nimi stek ludzi najgorszego zachowania się, biczownicy dziwną swą pokutą tak dalece wielu ujęli, że tu i owdzie nie tylko kapłani, ale nawet i biskupi z nimi się łączyli ([16]).

Kiedy ogrom nieszczęścia częstokroć najoświeceńsze umysły i najmocniejsze dusze osłabia, kruszy i do upokarzającego rozum wiedzie przesądu, nic więc dziwnego, że ówczesne ludy pod nadmiarem niedoli upadające, a w swém ograniczeniu umysłowém prawdziwego jéj źródła odkryć nie umiejące, w grubym przesądzie jéj początku szukały. Wszakże, bądź przez powszechne zaślepienie i nienawiść obudzone, bądź téż przez złośliwą i za korzyściami goniącą chciwość rozgłoszone mniemanie, jakoby żydzi, z których wielu w owych czasach było lekarzami lub przez swą zabiegliwość do znacznego przyszło majątku, studnie i wszystkie wody zatruwszy, chrześcian wygubić usiłowali, było hasłem w niektórych krajach, szczególniéj zaś w Niemczech, do srogiego i powszechnego prześladowania tych nieszczęśliwych. Skoro bowiem przez ciężkie katusze na wielu z nich, tu i owdzie, wyciśnięto fałszywe zeznanie czynu, o którym i nie myśleli; zaraz ich wszędzie mordować, wycinać i palić zaczęto. Jakoż w saméj Bawaryi do 12,000 niewinnych wymordowano ([17]), a w Kolonii, gdzie się i okoliczni żydzi byli schronili, według podania spółczesnego kronikarza Limmuisis do 25,000 wyciąć ich miano ([18]). Te okrucieństwa do takiéj rozpaczy

([16]) Bzovii *Annales eccles. a. 1349 n. 2.*

([17]) *Naucler. generat. 45. ap. Bzovium a. 1348. n. 16.*

([18]) E. C. de Gerlache *Notice sur un manuscrit de Li Muisis Abbé de St. Martin de Tournay*; zob. *Nouveaux mémoi-*

nieszczęśliwych przywiodły, że kiedy, jak pisze dopełniacz Wilhelma dè Nangis, biédnych żydów palono, żony ich, własne dzieci, by je zachować od przyjęcia prześladującéj siebie wiary, w ogień za nimi miotały, a potém same się weń rzucały ([19]).

Kiedy miasta niemieckie, w skutek poważnych swych narad, żydów, za sprawców powszechnéj zarazy uznawszy ([20]), nielitościwie paliły i wycinały, naród nasz z łagodności znany, dał bezpieczny nieszczęśliwym przytułek. Tu nie tylko chroniący się swe bogactwa wnosili, ale téż i obcy ich bracia ogromne przesyłali summy, które Kaziḿérzowi W. podnoszenie miast ułatwiały ([21]).

Aczkolwiek zwolennictwo biczowników i w następnych latach, pomimo doznawanego prześladowania, kiedy niekiedy w Niemczech wynurzało się, stémwszystkiém w r. 1454 po raz ostatni wzmiankę o nich znajdujemy; bo przybyli tam z Włoch w r. 1501 i przez opata Trithemiusza opi-

res de l'Acad. royale des sciences et belles lettres de Bruxelles. Bruxelles 1837. T. V. str. 18.

([19]) In Alemannia et alibi per diversas partes mundi, ubi Judaei habitabant, fuerunt trucidati et occisi a Christianis, et cremati passim et indifferenter multa millia Judaeorum, et est mirandum de eorum et suarum uxorum fatua constantia; nam dum cremarentur, ne eorum parvuli ad baptismum convolarent, matres eorum primo in ignem projiciebant liberos, deinde post ipsos eaedem matres super ipsos in ignem se praecipitabant, ut cum maritis et eorum parvulis cremarentur. D'Achery *Spicilegium* tom XI. str. 807.

([20]) Schöpflin *Alsatia illustrata. ed. Colon. 1761. f. T. II. str. 343*, w *Czackiego Rozpr. o żydach. Wilno 1807. 8.* str. 62.

([21]) Wacł. Grabowski *o żydach w koronie 1611 r. 4* str. 9, w *Czackiego Rozprawie o żydach.* str. 74. 75.

sani pokutnicy, w niektórych względach od biczowników znacznie się różnili ([22]).

W Polsce, jakeśmy wyżéj wspomnieli, chroniąc się przed powietrzem z Węgier, powtórnie w r. 1351 mnóstwo biczowników obojéj płci przytułku szukało; ale i teraz po krótkiém bawieniu, za usilném biskupów naleganiem, zgraje te ustąpić musiały; bo ten rodzaj pokuty, obrażający naturę i świętości religii chrześciańskiéj uwłaczający, nie trafiał do przekonania zdrowo wówczas myślących i w czystości naukę Zbawiciela zachowujących przodków naszych. Trzeba więc było Jezuitów, żeby, zwiódłszy naród z drogi rozsądku, wprowadzili do kraju obyczaj, którym się w dawnych wiekach słusznie brzydzono. Jak bowiem, ci wymyślacze nęcących w obrządkach religijnych nowości, przedtém we Włoszech, a w r. 1574 i we Francyi bractwa biczowników zaprowadzili, i nietylko chciwego wyniesienia się kardynała Karola Lotaryńskiego ([23]), ale téż i Henryka III, najprzód polskiego, a potém francuzkiego króla, do téj zakonnéj zabawy wciągnęli ([24]); tak i do nas, jak

([22]) *Chron. Sponheim p. 415.*

([23]) Karol Lotaryński z zaziębienia się podczas processyi w worze, i biczowania się o życie został przyprawiony. Thuanus *Historiar. sui temp. ed. Francof. 1610. T. II. p. 29.*

([24]) Król ten tak żarliwym był zwolennikiem téj nowości, iż nietylko że sam processyj z biczowaniem się bywa uczestnikiem, ale w r. 1583 bractwo biczowników swą władzą królewską utwierdził. Powstawali na te gorszące nowości oświeceni i prawdziwie pobożni kapłani i bez ogródki ganili je w swych kazaniach, szczególniéj zaś uczony teolog *Mauricy Poncet*, który za uszczypliwe przeciw biczownikom wyrażenia się pod czas kazania, uległ karze osadzenia go w klasztorze ś. Pietra w Melun. Thuanus *Hist. sui temp. ed. Francof. 1625. lib. 78. pag. 475.*

się z tego chełpi ich pisarz Szembek, w *Gratisie* przeciw akademii krakowskiéj wydanym (str. 455), piérwsi wnieśli w r. 1587 obyczaj ohydnego biczowania się, oraz noszenia włosiennic i łańcuszków; na czém przodkowie nasi przez dwa wieki pobożność swą obłędliwie zasadzali. „Jezuickie dyscypliny, i włósiennice, mówi rzeczony pisarz, wiem dowodnie, że są tak twarde i ostre, że się drugich zakonów dyscyplinom przynajmniéj równają. Łańcuszki albo paski żelazne takie mają, jakich ledwie które tylo zakony okrom nich używają. Od dyscyplin i trapienia ciała nietylko ludzi nie odwodzą, jako niektórzy o nich twierdzić ważyli się; ale téż najpiérwsi ze wszystkich byli, którzy do Polski wprowadzili dyscypliny, które się w kościołach i po ulicach w processyach od bractw dziać zwykły: oni najpiérwéj chodzenie w kapach w piątek wielki wnieśli przez bractwo miłosierdzia, któremu téż dla tego samego ś. p. kardynał Radziwiłł († 1600), napiérwsze miejsce we wszystkich processyach bractw w kapach chodzących naznaczył; na którém po dziś dzień chodzi. Między młodzią, która się w ich szkołach uczy, a w kongregacyach abo bractwach Panny Maryéj w nabożeństwie ćwiczy, jako często dyscypliny, włosiennice i paski z powrózków z węzełkami ostro nawiązanemi uwijają się [25], a w piątek wielki, i ile razy

(25) Nieludzki, a zatém i niechrześciański, zwyczaj dręczenia się przez noszenie pasków i powrózków z węzełkami ostro zawiązanemi lub drutem przeplatanemi, przez żarliwość Jezuitów tak dalece upowszechnił się w Polsce, że jeszcze w końcu zeszłego, a nawet i na początku bieżącego wieku i świeccy i duchowni tu i owdzie téj dzikiéj, łagodności świętéj wiary chrześciańskiéj uwłaczającéj, pokuty żarliwie używali, jak to świadczą wiarogodne podania o zakonnikach

potrzeby pospolite koronne abo miast jakich to wyciągają, jak wiele dyscyplin w kościołach od ich studentów czynionych, wszyscy jawnie widzą.“

Wielewicki, Jezuita, w swym szacownym rękopismie dzieje domu Jezuitów professów w Krakowie obejmującym, podaje wiadomość, kiedy po raz piérwszy biczowanie się w Polsce zaprowadzono. Było to w r. 1587, kiedy, jak pisze, dla ubłagania Wszechmocnego, by miłosiernem okiem na kraj wejrzéć raczył, cztérdziestogodzinne nabożeństwo, tudzież biczowanie się, oboje dotąd ledwie z posłuchu znane, a bynajmniéj nie używane w całém Królestwie, z powszechném uwielbieniem i zapałem Jezuici zaprowadzili, i temu nabożeństwu, w czasie oblężenia w tym roku Krakowa, i zwycięztwo oblężonym, i szczęśliwe Zygmunta III. na tron wstąpienie przypisywali ([26]).

Odtąd nie było supplikacyj lub processyj w kapach, z któremiby biczowania się nie łączono. I tak: kiedy w r. 1595 kraj od Tatarów był zagrożony, podczas czynionych po różnych kościołach supplikacyj, w niezliczoném zebraniu pobożnych, a szczególniéj bractwa miłosierdzia, znajdowali się najznakomitsi stanu rycerskiego mężowie, wszyscy worami czyli kapami pokryci; był téż i król Zygmunt III, podobnie jak inni worem okryty, i z wielkiém wszystkich

i innych osobach, na których po ich zgonie, wrośnięte paski znaleziono.

([26]) Ad numen regno nostro propitiandum singulis mensibus supplicationes quadragenarias et flagellationes publicas (utrumque genus *vix auditum nedum usitatum Regno toto*) magna approbatione et favore instituimus. Wielewicki *Historici Diarii domus professae Cracoviensis Societ. Jesu.* T. I. pag. 81.

zbudowaniem krzyżem leżał ([27]). A kiedy w roku następnym (1596) w różnych czasiech cztérykroć odprawiano supplikacye dla odwrócenia nieszczęść chrześciaństwo dotykających, bractwo miłosierdzia, w którém się znajdowało wiele najznakomitszych osób duchownych i świeckich, tak rycerskiego jak i senatorskiego stanu, nowym obyczajem, długim rzędem, boso postępując ([28]), biczowało się; przez co prócz korzyści jaką dla dobra powszechnego i dla siebie wyjednać usiłowało, i ten swéj pobożności odniosło owoc, że od[illegible] i inne bractwa przejęły biczowanie się, i takowe na zawsze zachowały ([29]).

Ale najokwiciéj lała się krew biczowników w Krakowie w r. 1603, podczas jubileuszu przez Klemensa VIII papiéża na prośbę Zygmunta III na miesiąc jeden pozwolonego, a późniéj na powtórne tegoż monarchy przełożenie, w d. 18 stycznia 1603 roku na trzy miesiące przedłużonego, który Maciejowski bisk. krak., d. 22 lutego t. r. ogłosił. Wtedy bowiem król Zygmunt III, nie tylko, że kaplice na modlitwy jubileuszowe przeznaczone, niemal najpiérwszy, obchodził; ale téż z bractwem miłosierdzia, worem okryty, szczególniéj zaś w wielki piątek, processye przykładnie z biczowaniem się i leżeniem krzyżem odprawiał; przez co i senatorów i innych do żarliwego siebie naśladowania pobudził i zachęcił ([30]). Bractwo męki

([27]) *Wielewicki l. c.* str. 139.

([28]) Że i we Francyi pod czas takich processyj boso chodzono, świadczy to wyżéj przywiedziony *Thuanus* w księdze 78 na str. 475, gdzie wraz przywodzi tę okoliczność: że Jerzy *Jousa Sandesiderius* z chodzenia boso dostał dyaryi, i z niéj życie zakończył.

([29]) Wielewicki *l. c.* str. 162.

([30]) *Compendium jubilei et rerum cognitu dignarum, quae circa ejus celebrationem Cracoviae a. d. 1603 gerebantur a*

pańskiéj, przez czas trwania jubileuszu, co piątek, w worach i boso, uczęszczało do kościoła katedralnego, w którym po siedmkroć, tojest: piérwszy i ostatni raz przy grobie ś. Stanisława, pięćkroć zaś w pięciu kaplicach jubileuszowych ostrą dyscyplinę czyniło ([31]). Przybyli z dalekich stron kapnicy, miejscowym w żarliwém sieczeniu się bynajmniéj nie ustępowali ([32]). Najwięcéj atoli biczowano się podczas processyj jubileuszowych, wtedy bowiem mnóstwo osób worami z grubego płótna okrytych, boso idąc, to dyscyplinami, to rózgami przez całą drogę aż do krwi z powszechném rozrzewnieniem srodze się siekło ([33]).

W r. 1607 zaczęli Jezuici w kościele ś. Barbary po raz piérwszy, dotąd jeszcze nie widziane w Polsce, przez trzy dni mięsopustne t. j. dnia 25, 26 i 27 lutego odprawiać nabożeństwo, na którém codziennie biskupi celebrowali, a w piérwszym dniu król z królową i królewiczem Władysławem był obecny ([34]). Przywiązane do tego nabożeństwa odpusty, zwabiły tłumy ludzi różnego stanu, zwłaszcza że i inne zakony, jakoto: Karmelici trzewiczkowi i Bernardyni wielkie z sobą do kościoła jezuickiego przywiedli rzesze, którym przykładem swoim przewodniczyli w oznaczonych do modlitwy godzinach. Wszystkie bractwa, mówi daléj Wielewicki, w mieście będące, przybywszy na to nabożeństwo w worach pokutnych, żarliwie

Joan. Januszovio polonice conscriptum. Et a Mag. Stanisl. Nigrilio publico Philosophiae in Acad. Crac. Prof. in lat. idioma conversum. Cracoviae. in off. Lazari. 1608. 4. str. 31.

([31]) Tamże str. 34.

([32]) Tamże str. 34. 35.

([33]) Tamże str. 37.

([34]) *Coepta hoc anno tridui bacchanalium precatio egregium habuit et apparatum et successum in nostro s. Barbarae templo.* Wielewicki l. c. str. 347.

się smagały. Szczególniéj atoli, tak gorącą pobożnością jak i piękną muzyką, tudzież usilném biczowaniem się, odznaczyło się bractwo ś. Anny, na końcu XVI w. tutaj zaprowadzone, to z mistrzów i bakałarzy, których większa część boso była, to z młodzieży do przesławnéj akademii tego miasta uczęszczającéj złożone ([35]). Nie dosyć bowiem że podczas spiéwania psalmów pokutnych bractwo to trzykrotnie najmocniéj się siekło, ale téż, kiedy odśpiewywano gorzkie żale, rodzaj umartwienia czwarty raz powtórzyło; aby potokami swéj krwi i Najwyższego ubłagało i szalony gmin odwiodło od rozkoszy, któréj nagrodą są wieczne kary ([36]). I w roku następnym (1608) w czasie mięsopustu od 17 do 19 lutego odprawiało się w kościele ś. Barbary z wielką skruchą i biczowaniem się połączone trzechdniowe nabożeństwo, po którém po raz piérwszy przez cały post gorzkie żale codziennie śpiéwano ([37]). Odtąd i w latach następnych w dni mięsopustne w kościele ś. Barbary podobne pokuty czyniono, które się z czasem tak dalece upowszechniły, że kiedy ten kościół nie mógł wszystkich pomieścić, i w innych świątyniach a nawet i na publicznych miejscach biczowano się. I tak w r. 1637 nie tylko przez cztérdziestogodzinne nabożeństwo smagano się, ale téż w d. 24 lutego podczas konkluzyi nabo-

([35]) Przywiléj na to bractwo, na prośbę kapituły kościoła ś. Anny w Krakowie, przez Sulikowskiego arcybiskupa lwowskiego w październiku 1590 temuż kościołowi udzielony, w r. 1593 w listopadzie przez Kardynała Radziwiłła był potwierdzony.

([36]) Wielewicki l. c. str. 348.

([37]) *Coepta est hoc anno per quadragesimam decantatio passionis Dominicae singulis diebus, sicut et ceremoniae Parasceves, quae antea in nostro templo non fiebant.* Wielewicki l. c. str. 365.

żeństwa, bractwo rzemieślnicze od ś. Piotra, nie mogąc się do kościoła ś. Barbary docisnąć, najprzód u ś. Macieja, a następnie w świątyni N. Maryi Panny, dokąd przybyło z chorągwiami cztéry ostateczne rzeczy przedstawiającemi, żarliwie się dyscyplinami siekło ([38]). Podobnież w dniu 7go marca 1638 roku w czasie mięsopustu Jezuici z kollegium ś. Piotra z témże bractwem na rynku kazimiérskim przy stojącéj tam kamiennéj figurze dyscyplinę czynili, podczas, gdy z towarzyszących jeden Jezuita mówił do ludu stósowne nauki. I w dniu następnym po zakończeniu nabożeństwa w kościele ś. Piotra z uroczystą processyą, bractwo rzemieślnicze, już wieczorem, wyszło na rynek krakowski, gdzie się nielitościwie biczowało, a każący tu i owdzie Jezuici zebrany lud do pokuty zagrzewali ([39]).

Na tém kończę wspomnienie o biczowaniu się w Polsce, bo dzieje zgromadzenia Jezusowego w Krakowie przez Wielewickiego opisane, tylko do końca maja r. 1639 dochodzą; lubo nie masz wątpliwości, że ten rodzaj pokuty utrzymywał się aż do końca zeszłego wieku, jak mię o tém zapewniły osoby, które biczujących się w tym czasie w różnych stronach Polski widziały, lub téż same tę pokutę czyniły.

Jak we Francyi przykład króla Henryka III. wielu zwabiał do zaciągania się pod chorągwie biczowników, tak i u nas, nie pomału zachęcono się do téj szczególnéj pokuty, kiedy najprzód Zygmunta III., a następnie dwóch jego synów Władysława i Jana Kazimiérza, między kapnikami widziano. Wszakże już w r. 1633 obadwaj kró-

([38]) Tenże l. c. str. 1111.
([39]) Tenże tom IIgi str. 81.

lewicze w kapach obchody czynili (40); a o piérwszym z nich wspomina Albrycht Stanisław Radziwiłł, sam najżarliwszy biczownik, że w roku 1638 dnia 2 kwietnia w Warszawie niektóre groby Pańskie odwiedził, a wieczorem w publicznéj processyi między kapnikami nieznajomymi dyscypline czynił (41).

Aby czytelnik téj wiadomości o biczownikach dokładne mógł mieć pojęcie, jak dalece dziwny ten akt pokuty w XVIItym wieku był się u nas upowszechnił, dosyć tu będzie przytoczyć szczegóły tego rodzaju, o wspomnianym wyżéj księciu Albrychcie Radziwile, kanclerzu wielkim litewskim, które pisarz jego żywota starannie nam zachował; z nich bowiem poznawszy w jaki sposób Radziwiłł, wśród Jezuitów wzrosły, i szczególniéj od nich miłowany, pobożność pojmował, niemylne stąd poweźmiemy zdanie o całym w owych czasach albo przez spaczoną edukacyą na umyśle stłumionym i zwichniętym, albo, co bezwątpienia mniéj niż tamto jest szkodliwe, żadnego oświecenia nie mającym narodzie. „Dyscypliny u niego, mówi o Albrychcie rzeczony pisarz, niesłychane były, i ledwo do wiary podobne, ale *sic me Deus adjuvet*, że to prawda. Trzeba było przed starszym pokojowym obligować się na sekret, który po śmierci księcia, jego pozostali teologowie, wyjawić pozwolili. Sam się nie dyscyplinował, chyba z młodu; i znać, gdy na oczy począwszy falować, wziął tę przestrogę, aby grzbietu nie dyscyplinował; jakoż żyjąc wiek długi, nie zażywał okularów, wiele nieustawnie czytając

(40) „Władysław IV i Jan Kazimiérz w kapach na obchody chodzili, dali 100 świéc na processyą." *Acta Confraternitatis Compassionis Jesu Christi Crac.* Rękopism na karcie 55. f. r.

(41) Pamiętniki Albr. Stan. Radziwiła kancl. w. Litew. w Poznaniu 1839. T. I. str. 372.

i pisząc. Sposób dyscypliny był ten: czasem kazał starszemu pokojowemu, aby o téj a o téj godzinie, rózgi świéże mając, dał mu dyscyplinę, rachując zawsze plagi; czasem dwieście, trzysta, pięćset, tysiąc, półtora tysiąca, dwa tysiące plag sobie dać naznaczywszy, dwóch ze dwóch stron siekło, a cztérech albo sześciu trzymało nas pana kanclerza książęcia Radziwiłła, bez ulitowania, bo tak chciał. Co sto plag, to świéże rózgi brano, i ci, co bili, odnawiali się, Gdy krzyczał, to poduszką głowę narzucano. Po wytrwaniu, zawsze był wesół. Co większa, miał to w mocy każdy starszy pokojowy, za rozkazem, a raczéj za prośbą samego pana, że go powinien był śpiegować, jeżeli w czémkolwiek p. Boga obrażającego spostrzegł go, żeby podobnym sposobem, ile razy (tak), i każdego czasu, karał pana swego, nie przechodząc jednak nad dwa tysiące plag. I działo się to często z wielkiém ukontentowaniem księcia pana, bo zwykł był starszego pokojowego za to czém obdarować, albo koniem ze stada, albo parą soboli z skarbca, lub parą sukien. Gdy krew do koszuli po takiéj łaźni przywrzała, ze skórą ją oddzierali; i to aby tajno było, starszy pokojowy kazał koszulę i chusty przepłukać, aby się ten u nikogo nie wyjawił sekret. Skoro rzekł starszy pokojowy: miłościwe Książę, pójdź do tego pokoju albo do téj sali, trzeba Waszę Książęcą Mość skarać i bić, nigdy pan pobożny nie rzekł: a to za co, albo nie mam czasu; ale poszedł zaraz. A jeżeli się kiedy z rąk trzymających pan wyrwał, byleby mu starszy pokojowy rzekł, że jeszcze nie doszło tyle a tyle set plag, jako postanowił, bez sprzeciwiania się, bez wyrzeczenia słówka, dobrowolnie zaraz się znowu położył, aby odebrał liczbę plag od starszego pokojowego naznaczonych. Pasek żelazny we wtorek zapustny w wieczór powinność była sta-

rego pokojowego położyć mu na stole między książkami, rzadko kiedy przez cały post chyba w niedzielę, i to w dnie, widywaliśmy go tam leżący“ (42).

Takito rodzaj pobożności nastał w Polsce z Jezuitami. I tożto było owo *czyste światło nauki, wiary i życia* do ciemnych zakątków kraju przez nich zaniesione, za które ich Siarczyński w obrazie wieku Zygmunta III., tak bardzo wysławia (43). Inaczéj sądził przypatrujący im się z bliska Siemek, kiedy o nich napisał: „Cokolwiek grozi niebezpieczeństwem, to w rzeczypospolitéj niebawem stłumić należy; złe bowiem znienagła się wzmaga. Z którém duchowieństwem wzrosła rzeczpospolita, z tém niechaj żyje i ginie, jeżeli tak los zdarzy (44).

(42) *Żywot ks. Albrychta Radziwiła z rękopismu przez Edw. Raczyńskiego, w Poznaniu.* 1840. 8. str. 27. Radziwił, którego szczególniejszą zabawą były medytacye, włosienniki, łańcuszki i dyscypliny (tamże str. 4), prócz Pamiętników przez Edw. Raczyńskiego w dwóch tomach w r. 1839 ogłoszonych, napisał w języku łacińskim siedm dzieł ascetycznych, które za jego życia były wydane. O nim téż pisze Rostowski *Litvanicarum Soc. Jesu Historiarum lib.* I. §. 25., a za nim Niesiecki w tomie 3cim *Korony polskiéj* na str. 827, iż wymyślił był taką machinę, w któréj się pewnych czasów zamykać kazał. Ta tak misternie zrobiona była, że się w niéj ani ręką, ani nogą ruszyć nie mógł, albowiem zupełnie był zamknięty, oprócz tyłu, w który go, uczynionym ku temu celowi otworem, użyte do tego osoby rózgami siekły.

(43) *Obraz wieku panowania Zygmunta III. przez X. Fra. Siarczyńskiego. w Poznaniu 1848.* T. I. str. 28.

(44) *Quidquid non vacat periculi suspicione, illud a republica mature removendum, sensim mala excrescunt. Cum quo clero crevit respublica cum eodem vivat et moriatur, si fata jusserint.* Siemek *Civis bonus. Crac. in off. Matth. Andreovien. 1632. 4.* karta R3 *f. r.*

Atoli pomimo najnieprzyjaźniejszych postępowi zasad zakonu jezuickiego, nigdyby synowie Lojoli narodowi naszemu nie byli tyle szkodzili, gdyby los Polsce zawistny na jéj tronie nie był posadził i przez 48 lat na nim nie utrzymywał ich wychowańca Zygmunta III. Kiedy bowiem tylko własne widoki na celu mający Jezuici, krokami powolnego sobie króla, według swéj woli, kierowali, natenczas duma i chciwość, to źródło dworskości od przewrotnych roztropnością zwanéj, wlokły za zjezuiciałym władcą długi poczet różnego powołania możnych, co dla marnych widoków stłumiwszy w sobie przekonanie, tę jedyną myślącéj istoty cechę, z postępowania królewskiego brali dla siebie wzór układności, którą chciwie naśladował gmin, pozoru od rzetelności odróżniać nie umiejący; boć, jak mówi Fryderyk wielki:

Zawsze przykład monarchy zbyt przeważnie działa,
Kiedy pił August, Polska rozpiła się cała;
Gdy Ludwik wielki czułą miłością rozpłonął,
Paryż stał się Cyterą, dwór wszystko ozionął;
Skoro zaś znabożnisiał, dworaki i dworki
Układnie snuły w ręku swe długie paciorki (45).





I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza — ale sama jedna!
A. M.

1.

Rzym! odwieczne miasto, miasto zawiérające pamiątki od półtrzecia tysiąca lat! pamiątki wielkiéj chwały i podbojów!... Świadek minionych swobód, następnie ujarzmie-

(45) *Oeuvres de Frederic II. T. IV.* str. 3.

nią, rzadkiego męztwa, poświęceń się bohatérskich — potém zbytków, występków, a nakoniec zniewieściałości!... Miejsce dziwnym urokiem poczerniałéj przeszłości owiane — piękne, czarowne pomnikami swemi — świadczącemi o mistrzowskiéj doskonałości sztuk pięknych, wieków oddawna ubiegłych! Władczyni niegdyś świata, a dzisiaj omszona pamiątka swéj przebrzmiałéj świetności!!

Tutaj to zamieszkał w pobliżu kapitolskiego pagórka przybyły wędrowiec z swoją jedyną córką, dziewicą kilkanaście dopiéro wiosen liczącą. Rycerska jego postawa i wyraz nieugiętéj lecz szlachetnéj dumy wydatnych rysów, spowodowały, że go wszyscy *il capitano* nazywali. Włos śnieżnéj białości wieńczył wysokie zmarszczkami zorane czoło, lecz spotkawszy jego spojrzenie ogniste, rzekłbyś, że nie lat wielość, tylko trudy i znoje życia, to piętno przedwczesnéj sędziwości wyryły.

Il capitano w chwili, gdy powieść ta się wysnuwa, niespokojnym w swojém mieszkaniu przechadzał się krokiem; a rysy jego, większą jeszcze aniżeli zwykle posępnością osłonione, zdradzały cierpkich uczuć walkę. Przy oknie siedziała dziewica: wysoka i pełna wdzięku kibić naprzód pochylona — o drobną wsparta rękę — smutek na lubém obliczu i załzawione oczy, wszystko świadczyło, że z ojcem współcierpi, że głęboka boleść młode jéj owładnęła życie.

— I wieszże ty Klaro! — zawołał ojciec nagle stawając przed nią — że do najnieszczęśniejszych liczę tę chwilę, w któréj powziąłem zamiar zamieszkania w Rzymie; że złorzeczę godzinie, w któréj znajomość z Alfonsem zrobiłaś, że....

Lekkie drżenie przebiegło całą postać dziewicy i głosem pełnym boleści wyrzekła:

— O mój ojcze! mój ojcze

— Ty go pokochałaś, biédne dziecię!... Klaro! on jest bogaczem, panem rozlicznych włości, on dzierży imię znakomite! — szydzący wyraz zabłysnął w oczach mowiącego — Jemu droga do wszelkich dostojeństw otwarta, kroków jego nic nie tamuje, on dla rozrywki po cudzych błąka się krajach... Ja zaś... ja jestem... obcym pomiędzy obcymi!... A jednak Klaro, jednak — szlachtne starca oblicze dziwnym zajaśniało blaskiem, cała postawa jego wyrażała uczucie uznania własnéj wartości — żebrak, tułacz... bezdomy, odmówiłby synowi znakomitego bogacza, potomka wielkich przodków, ręki swéj córki, bo ten bogacz, ten dzierżyciel dostojeństw jest moim wrogiem.

— Ojcze mój! o wielki Boże! ja z całéj duszy, z całego serca kocham Alfonsa, miéj litość nade mną mój ojcze! — błagała dziewica stłumionym głosem, i z załamanemi rękoma schyliła się do nóg starca, jak lilia podmuchem wiatru nagięta.

Ojciec dłoń széroką do zachmurzonego przycisnął czoła, drugą ręką ujął wiotką postać klęczącéj.

— Czyliż nie znasz zbrodni ojca Alfonsa?

— Ojcze! Alfons jest dobrym i szlachetnym! jego nie powinny plamić czyny ojca! on....

— Nie daleko pada owoc od jabłoni... bywają wprawdzie wyjątki... ale czemżeż Alfons udowodnił te cnoty, które mu przyznajesz?

— On hojną ręką wspiera nieszczęśliwych....

— Ha! może bogaty panicz nie idzie za popędem serca i uczuć, ale....

— O mój Boże! mój Boże! bądź sprawiedliwym drogi, ukochany ojcze!

— Alfons patrzył z założonemi rękoma, gdy....

— O wielki Boże!

— Ty mglejesz nieszczęsne dziecię! Klaro! córko moja!— Przestraszył się starzec, widząc jéj zblednienie i siność powlekającą usta i przymknięte powieki — otworzył nagle okno, szkło z brzękiem wypadło, świeżość wieczornego powietrza orzeźwiła mglejącą.

— Moje dziecię! moja córko! ukochana córko! jedyne moje szczęście na ziemi! — zawołał z uniesieniem — Niechajże Alfons przychodzi, niechaj bywa jak najczęściéj, przyjmę go za syna, kochać go będę, jak mojego Tadeusza kochałem, byle tylko ciebie uszczęśliwił!... Nigdy już nie wspomnę o tém, co tyle twoje serce i duszę zraniło; będę usiłował we własnym umyśle cierpką zatrzéć pamięć, byleś ty tylko odzyskała spokój! Klaro! dziécię moje, czyliż ci lepiéj? czyliż się uśmierzyła żałość twoja? Pochylił się z troskliwości oznaką ku wspartéj na jego ramieniu, śledził wyraz jéj rysów, i drżącą dłonią pogłaskał białe jéj czoło. Był to rozrzewniający widok, ta czułość, ta miłość macierzyńska, że się tak wyrażę, w sędziwym wojowniku. Klara z anielskiém spojrzeniem zwróciła piękne ku niemu oczy, uśmiéch nadziemski miłe owionął rysy.

— Zupełnie mi dobrze, mój ojcze, tak jestem szczęśliwa, drogi, ukochany ojcze! i ucałowała rękę jego z uczuciem.

— Tadeuszu! cicho poszepnął starzec — i twojeż to miejsce ma mi syn nikczemnika zastąpić! Po chwili zbliżył się znowu do Klary, ujął jéj głowę obiedwoma dłońmi i przytulił do piersi, w któréj najszlachetniejsze biło serce. Klaro! wielką, olbrzymią jest moja miłość ojcowska dla ciebie. Odtąd Alfonsa jako własne dziecię uważać będę.

Klara łzy wdzięczności, łzy szczęścia roniła. Zdawało się, że się i jéj ojciec uspokoił, gdy młodzieniec nader ujmującéj powierzchowności we drzwiach się ukazał.

— Cześć i uszanowanie! Jakże zdrowie dzisiaj pułkownika?

— Nieco lepiéj, panie Alfonsie.

— A pani? zawsze swoją piękną pracą zajęta? — dodał zbliżając się do Klary; dziewica lekko zapłoniona, miłym wyrazem powitała młodziana.

— Klaro! wyrzekł Alfons zaledwie dosłyszalnym głosem, pochylając się ku krosienkom, jak gdyby krzyżową oglądał robotę — Klaro! moja luba! ty i dzisiaj znowu płakałaś?

Tymczasem widocznie cierpieniem wewnętrzném tłoczony pułkownik wydalił się z pokoju.

— Klaro! ty milczysz i jesteś smutna? Nie powieszże mi przyczyny waszego zmartwienia? bo i twój ojciec więcéj zachmurzony, jak zwykle....

— Mówiliśmy o... łzy przerwały dalsze wyrazy.

— Klaro! moja Klaro! ja te smutki wasze uśmierzę: zostań ty tylko moją, a wszystko się zmieni.

Pochwycił jéj ręce i do ust swoich przycisnął. Klara spojrzała w stronę, gdzie był grób jéj matki, brata, dokąd wszystkie myśli ojca i córki szybkim zmierzały polotem, i tęschna rzewność młode ścisnęła serce.

2.

Już słońce pożegnało czarowne Włoch niebo, już skwarne powietrze zachodni orzeźwił wietrzyk, a miasta *Siedmiupagórków* mieszkańcy z rozkoszą po dziennym upale wieczornym napawali się powiewem, gdy pułkownik po kilkodniowéj słabości, wraz z Klarą ze swego wyszedł

mieszkania. Najwięcéj ulubione miejsce było i dzisiaj celem niedalekiéj przechadzki: spoczął na odłamku jednéj z ozdób wiekopomnego kapitolu. W około leżące szczątki i gruzy zgadzały się z posępnością sędziwych rysów, i mógłby był malarzowi posłużyć za wzór bolejącego Jeremiasza na zwaliskach świetnéj niegdyś Jerozolimy. Opodal usiadła Klara, wywołując smutne dźwięki z strun lutni, którą jéj młoda Rzymianka podała.

Kilku sąsiadów, zbliżających się chętnie w to miejsce, gdy je *il capitano* odwiedzał, nadeszło niebawem. Jakiż to był urok, który ich nęcił do szukania towarzystwa nieznajomego przychodnia? Jeden z nich zapytał: czyli daleko od pięknych Włoch krainy, jest jego strona rodzima?

Starzec ręką i okiem ją wskazał, po chwili ponurym dodał głosem — głosem, co jak ton grobowéj zabrzmiał pieśni.

— *Sono un povero infelice....* skłonił głowę na piersi, głuche nastąpiło milczenie, bo niema żałość nieszczęśliwego dotknęła się struny współczucia w łonie potomków dawnych Rzymian.

Po długiéj dopiéro chwili zapytała Klary rzymska dziewica: czyli kraj, w którym się urodziła, równie jest pięknym, jak Italii ziemia?

— Wy macie pogodniejsze niebo, które tak uroczo w krysztale wód waszych się odbija; czarowne okolice wasze srogości zimy nie znają; u was słońce weseléj przyświéca, od skwarnych jego promieni złoty owoc pomarańczy dojrzewa; wasze migdałowe gaiki i laski oliwne dziwną wabią ponętą, kwiaty u was cudniejsze, krzewy wdzięczniejszy przedstawiają widok; pyszne gmachy wasze podziwienie budzą, w zachwycenie wprawiają, u was wszystko piękniejsze, pyszne i pełne powabu zarazem!... Ale,

Giovanno luba, nam milsze bory ciemne, nasze mętne rzeki, nasze łany, skromne kwiatki i owoce, strzechy słomiane, wiatry i śniegi, byle tylko w Ojczyznie!

— Zanuć im piosenkę Klaro, zanuć ulubioną śpiewkę moję.

Zadźwięczyły struny lutni pod drobnemi palcami dziewicy, złączył się z ich brzmieniem głos pełen czucia i słodyczy: śpiéw był jakoby bojowy, jakoby dziwną tchnący nadzieją, to rzewny, to radosny, znowu ponury, cichy i tajemniczy... — a w lubym jego oddźwięku odgadłbyś smętność uczuć śpiéwającéj, tęsknotę! I gdy ostatnie tony ulubionéj ojca nuty przewionęły, ozwały się rzewniéj jeszcze i smętniéj z lekka pochwycone struny, i żałosna piosenka zaległa w uszach słuchaczy, i może w nie jedném sercu odgłosiły się smutne jéj dźwięki:

I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza.... ale *sama jedna!*

Klara umilkła, niezdolna ostatniéj zwrotki dośpiéwać; zdawało się, że we łzach boleści koniec piosenki utonął!... Obecni nie zrozumiawszy wyrazów, odczuli je w rzewności nuty — cichość nastąpiła, którą tylko brzęczenie komara lub listka *pinii* poszmer przerywał. Starzec podparł ręką głowę ubieloną, a myśli w daleką uniosły go stronę.

Jakiż promyk wesela rozwiał tak nagle chmurki z gładkiego czoła dziewicy? — Cóż spowodowało zabłysk radości czerwonych jéj oczu? dojrzała bacznym wzrokiem już w oddali zbliżenie się lubego, za którego przybyciem od dni kilku tęschniła. Inne dźwięki, inne tony w śpiewną zlały się strojność, i nuta z nad Wisły, ochoczy krakowiak obił się o posiwiałe mury kapitolu!

— Dałeś na siebie tak długo czekać, Alfonsie, tak długo... A każda chwila bez ciebie spędzona jest dla mnie

wionemu sercu. Krótkotrwałą jednak była ta pociecha, bo gdy wieczór nadszedł, a ojca widać nie było, niepokój i trwoga z całą gwałtownością na nowo przytłoczyły duszę dziewicy. Same smutne obrazy, same tylko zatrważające domysły były nieodstępnymi towarzyszami znękanéj. Wreszcie, gdy już oddawna księżyc swoje srebrzyste rozesłał promienie, posłyszała Klara zbliżające się, ociężałe stąpanie ojca; wybiega naprzeciw niego z drżącém sercem.

— Ojcze! ojcze mój! cóż się stało? — zawrzasła i zachwiała się: był bladym jak mieszkaniec grobu; usta zsiniały; wzrok jego osłupiał.

— O mój ojcze! jakież stało się nieszczęście? — powtórzyła Klara błagalnie załamując ręce.

— Nieszczęśliwa!... Alfons ujechał! nikczemnik ujechał, jako narzeczony hrabianki N.! Silna postawa starca zadrżała; mroźny pot oblał mu czoło, twarz cała zczerniała....

Na zawrzask rozpaczy nieszczęśliwéj córki nadbiegli sąsiedzi, wysłano po lekarzy: nadaremną była ich pomoc!

Klara, z rozdartém sercem, sierota, została *sama jedna* — *sama jedna* wśród obcéj ziemi, pomiędzy obcymi!

4.

Trzy lata późniéj, Alfons z żoną zwiédzając Włochy, wychodził właśnie z pałacu *Lanfreducci* we Florencyi, gdy im kobiéta wysokiéj postaci, w czarne przybrana suknie, drogę zabiegła. Była młoda, ale tak wychudła, tak blada i od upalnego słońca ogorzała, że widok jéj przerażał; lecz przyjrzawszy się zbliska, uwielbiałbyś anielską piękność rysów, których rzadkiego wdzięku nawet i wzrok błędny wielkich oczu nie był w stanie oszpecić.

Spojrzała na Alfonsa, wstrzęsła się lekko postać — z oczu prysnęły żary — rysy skrzywiły się kurczowo — potém się dziko, okropnie rozśmiała — i zanuciła głosem podobnym do strun zerwanych brzęku:

I ty utoniesz w zapomnienia fali,
Ale smutniejsza.... ale *sama jedna!*

—Tak, tak, *sama jedna!* bo ojciec już tam! — i wskazała ku niebu — a matka oddawna w zimnym śpi grobie... i brat mój.... tam daleko.... w piaseczku.... i serca już nie mam, tu pusto i głucho.... słuchajcie ludzie, nie sztuka! on! on! wziął mi serce, i zdeptał, zamordował.... słuchajcie ludzie!... puk, puk, ale to nie serce, to robaczek, maleńki robaczek.... a ten robaczek mózg mi wyjadł, tu! tutaj, gdzie tak pali! i ściskała dłońmi skronie.

—A wiécież wy ludzie, że ja po dwóch matkach żałobę noszę.... a ta jedna nie ma mogiły, biédna matka! Potrząsła głową, jakoby z politowaniem, umilkła na chwilę, potém ognistym w około rzuciła wzrokiem, poruszyła się z żywością i zawrzasła przeraźliwie:

—Ale po ojcu nie noszę żałoby, nie! nie! bom ja go zabiła!.... I on! i on! co to ztamtąd przybył, szczęśliwy, bogaty.... przybył pastwić się nad nami!.... Wy go znacie?... Tak, tak, on mi zabił ojca..... on!.... Ależ nie! nie! nie wierzcie mi ludzie.... mnie robaczek mózg wyjadł.... to ja! to ja!.... jam ojcobójczyni! — pochwyciła długie swoje włosy obiedwoma rękami, targnęła niemi, zajęczała okropnie, rozśmiała się, i jak błyskawica zniknęła z przed oczu obecnych.

La maniaca! la maniaca! zawołano, i kilkanaście osób pobiegło w jéj ślady.

— Cóż tobie się stało Alfonsie? jesteś bladym jak mara, czyliż cię widok téj obłąkanéj tyle przeraził? zapytała go żona.

Alfons milczał; on wiedział, kto była ta nieszczęśliwa, on ją poznał od razu, on wszystko zrozumiał! On nie zapomni straszliwego obrazu! jéj słowa na zawsze w duszy jego zawięzną! — wszystko, wszystko na wieki w pamięci jego zostanie, bo musi być kara za zbrodnie!

Paulina z L. Wilkońska.



KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA

Rok 1844.

DZIEŁO WYSZŁE W WROCŁAWIU:

Pamiętniki księdza Pstrokońskiego kanonika katedralnego gnieźnieńskiego z rękopismu wydane przez Edwarda Raczyńskiego, in 12mo, nakładem J. Schlettera.

DZIEŁO WYSZŁE W BERLINIE:

Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa z cztérech ewangielistów zebrany i ułożony, potrzebnym wykładem powiązany, a uwagami objaśniony; tudzież dzieje apostolskie dzieło X. De Ligny, S. J. na język polski przetłumaczone, z zachow niem tekstu X. Wujka, S. J. przez kościół potwierdzonego in · vo, nakładem B. Behra.

Dwutygodnik literacki *wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca. Prenumerata roczna wynosi Złp. 20, półroczna Złp. 12 i ma być opłacona z góry; kwartalna, dla nierozrywania całości tomów, nie przyjmuje się. Przedpłatę przyjmują wszystkie księgarnie krajowe i zagraniczne. W* ***Cesarstwie Rossyjskiém****, w* ***Królestwie Polskiém****, w* ***Królestwie Pruskiém i W. X. Poznańskiém*** *w Urzędach pocztowych prenumerować można. W* ***Galicyi*** *zaś tylko księgarnie przedpłatę przyjmują.*





